

Detektywi

(True Detectives)

Przekład Przemysław Bieliński

Pamięci

Marcii Biloon

9 sierpnia 1979

Rzekomo to klimatyzacja – powiedział Dariusz Fox. – Jak myślisz, Johnie Jasperze? Ci debile od samochodów ustawili ją na pieczenie czy gotowanie?

Jack Reed zaśmiał się i mięsistym, piegowatym przedramieniem otarł pot z twarzy.

Rozglądał się po ciemnych kontenerach na śmieci i tylnych ścianach nędznych sklepików oraz zakładów pozamykanych na cztery spusty. Zaciągał się parlamentem i wydmuchiwał dym za okno patrolowca. Jechali uliczką piętnaście na godzinę.

Dziesięć lat temu, co do dnia, Rodzina Mansona zarżnęła Sharon Tate i mnóstwo innych ludzi. Jeśli Fox albo Reed wiedzieli o tej rocznicy, żaden nie uznał jej za wartą wzmianki.

Zbrodnie Szalonego Charliego równie dobrze mogły się wydarzyć na innej planecie; głośna zadyma w bogatej dzielnicy. Fox i Reed pracowali w Southwest Division. Ciągłe zajmowali się drobnym badziewiem, które czasami rozkwitało w brutalność wywracającą żołądek na lewą stronę. O tym nigdy nie było w gazetach, bo z tego, co się obaj orientowali, gazety opisywały fikcje.

– Rany, normalnie sauna – mruknął Fox.

– Rzekomo to też samochód – odparł Reed. – Raczej wózek z marketu z wisienką na czubku.

Fox przygotował się do jazdy jak zwykle – odkurzył swoją połowę fotela, potem wyczyścił kierownicę płynem. Teraz plastik był pokryty jego własnym potem.

– Podaj chusteczkę, J.J.

Reed posłuchał i jego partner zaczął wycierać kierownicę, aż piszczała.

Obaj rozglądali się po uliczce. Nic. Bardzo dobrze. Pół zmiany już za nimi.

– Jimmy Carter też rzekomo jest wodzem narodu – powiedział Jack Reed.

– Poruszasz nieprzyjemne tematy polityczne.

– To jakiś problem?

– W taką noc jak dzisiaj, tak.

– Prawda to prawda, Dariusz. To Orzechowy Chłoptaş pomógł temu walniętemu szmatogłowemu w Iranie i zobacz, jakie gówno z tego wynikło.

– Farmer Zębaty to palant, bez dwóch zdań, Johnie Jasperze. Po prostu nie chcę zatruwać atmosfery

takimi błahostkami jak stosunki międzynarodowe.

Reed się zastanowił.

– Racja.

– Słynę z tego, że miewam rację.

Spokojna zmiana; jak zwykle rozróby po pijaku w meksykańskich dyskotekach, dwa wezwania do włamania, oba fałszywe, najróżniejsi chuligani ostrzeżeni i wypuszczeni, bo żaden nie był wart papierkowej roboty.

Ostatnie wezwanie przed patrolem – kolejna skarga na głośne zachowanie studentów USC w internacie; kiedy Reed i Fox przyjechali na miejsce, ochrona kampusu już się zajęła imprezowiczami. Pewni siebie chłopcy grzecznie przytakiwali, pozbierali z trawnika butelki po piwie, szybko schowali się w budynku i... dalej hulali.

Mrug, mrug, mrug.

Reed wypalił papierosa do filtra, zgasił go palcami i pstryknął za okno. Był rumiany i jasnowłosy, w dobry dzień mierzył metr siedemdziesiąt pięć, ważył sto muskularnych kilogramów. Miał trzydzieści lat, ale wyglądał na starszego, ze skórą wyprawioną słońcem i z nosem spłaszczonym przez futbol w liceum. Okrągłą głowę wieńczyły obcięte na jeża włosy w kolorze słomy. Naturalną chrapliwość głosu wzmagaly dwie paczki papierosów dziennie.

Trzy lata po wojsku, całą służbę spędził w zbrojowni w Niemczech.

– Powiem ci, co znaczy „rzekomo”, Darius. Rzekomo noce w L.A. robią się chłodniejsze. A dzisiaj jest taka, że równie dobrze mogłem zostać w Bull Shoals.

– I stracić okazję przejażdżki ze mną?

Reed wyszczerzył się wesoło.

– Cóż za niegodziwa myśl.

– Cholerny upał. – Fox otarł pot ze swoich prostych wąsów. Był wysokim, żyłastym czarnym facetem, lat trzydzieści jeden. Kiedyś pracował jako mechanik sił powietrznych. Wielu ludzi mówiło, że jest wystarczająco przystojny, żeby zostać aktorem.

Jack Reed, chłopak z małego miasteczka w Arkansas, czuł się w towarzystwie czarnego tak swobodnie, jak nigdy nie mogli się czuć mieszkańcy północy. L.A. go przerażało. Wszyscy tu udawali, że kochają wszystkich, a ulice tętniły wściekłością.

Praca z czarnym – siedzenie ramię w ramię, jedzenie, rozmawianie, zawieranie życia czarnemu – dla przybysza z południa to wielka pociecha; Jack sam był zaskoczony tym, jak szybko przyzwyczał się do jeżdżenia z Dariusem.

Potrafił w mig odgadnąć myśli Dariusa.

Już sobie wyobrażał, co powiedzieliby jego kuzyni, gdyby jeszcze z nimi rozmawiał. Ale to już przeszłość. Cała ta ignorancja i głupota należała do historii.

Rozważył zapalenie kolejnego papierosa. Darius wyjechał z zaułka, przeciął przecznice, wtoczył się w następną. Znow śmietniki i składane w harmonijkę kraty tylnych wejść.

W kółko to samo; obaj już wariowali z nudy i upału.

Darius otarł pot z brody. Błysnęły wypolerowane paznokcie. Jack oparł się chęci zażartowania z cotygodniowego manikiuru partnera. W taką noc jak ta nie warto się naprzykrzać.

Jack czasami gościł w schludnym, małym domu Dariusa w Crenshaw, zapraszany na grilla.

Bawił się z jego synkiem, rozmawiał z kobietą, której Darius ślubował wierność do grobowej deski.

Madeleine Fox była wąską w pasie, zgrabną białą dziewczyną o mocnych rysach twarzy.

Uważała się za artystkę, ale nikt nie dostrzegał jej talentu. Świetne zęby i włosy, jeszcze lepsza figura. Te wielkie, miękkie... Jack wyobraził sobie, jak Darius się do niej zbliża. Wsuwa się do łóżka i kładzie swoje wymanikiurowane dłonie na... Sam zobaczył się w tej roli.

Poczuł się jak gnojek. Wyłączył film i zapalił kolejnego parlamenta.

– Wszystko gra? – spytał Darius.

– Aha.

– Zrobiłeś się nerwowo. Skakały ci kolana.

– Wszystko w porządku.

– Okej.

– Co okej?

– Wiercisz się tak, kiedy coś cię męczy.

– Nic mnie nie męczy.

– Okej.

– Jaka intuicja – zadrwił Jack. – Zgłoś się na detektywa.

– Też mi frajda – odparł Darius. – Cały dzień siedziałbym na dupie i pisał na maszynie, bez stymulujących rozmów z tobą? Nie mówiąc już o dodatkowych premiach?

Jack jeździł z Dariusem od trzynastu miesięcy. Wiedział, o jakich premiach mówi jego partner.

Darmowe posiłki, „prezenty” od wdzięcznych obywateli.

W zeszłym tygodniu obaj dostali po nowiutkim kieszonkowym kalkulatorze od Araba prowadzącego sklep na Hoover, po tym, jak przyłapali dwóch młodocianych złodziejasków kaset.

Ulubiona premia Dariusa nie miała nic wspólnego z dobrami namacalnymi.

Policyjne fanki. Wystarczyło o właściwej porze uderzyć do właściwego policyjnego baru i oblażyły człowieka jak mrówki melasę.

Smutne dziewczyny, a taka była większość z nich, Jacka nie kręciły. Ale nie osądzał.

Czasami tylko się zastanawiał. Darius miał ładną, seksowną żonę, miły domek, słodkiego małego Aarona.

Jack wiedział, że jeśli się kiedyś ożeni, nie będzie skakał na boki.

Czasami myślał o Maddy, o jej zębach. I o całej reszcie. Kończyło się to bólem głowy i długimi, włochatymi marzeniami. Najczęściej wtedy, gdy w jego dziadowskiej kawalerce w Inglewood robiło się naprawdę cicho, a „Penthouse” nie wystarczał.

– Wiatr przywiewa upał – powiedział Darius. – A potem upał osiada i zostaje, dopóki inny wiatr w końcu nie wykopie go z miasta.

– Dzisiejszą prognozę pogody przedstawił państwu Cal Worthington Dodge – oznajmił Jack.

– A teraz najnowsze informacje o Dodgersach.

Darius się zaśmiał.

– W taką paskudną noc, nie dość, że upał, to jeszcze prawie pełnia. Można by pomyśleć, że przydarzy nam się więcej zabawy.

– Że ludzie będą się kroić nożami – powiedział Jack.

– Dziurawić się z pistoletów – dodał Darius.

– Skakać po sobie, aż mózgi zaczną im tryskać z popękanych czaszek.

– Dusić się nawzajem, aż języki wyleżą im jak obwisłe... salami.

– Już myślałem, że dasz inne porównanie... hej, popatrz na tę brykę.

Wskazał wielki, biały samochód w głębi zaułka, może dziesięć metrów przed nimi, z włączonym silnikiem, przy lewym krawężniku. Światła miał wyłączone, ale lampa nad drzwiami sąsiedniego

budynku rzucała niewyraźną żółtą smugę na tył auta.

– Caddy, wygląda na nowego – ocenił Darius. – Jak to możliwe, że kopci bardziej niż ty?

Podjechał bliżej i obaj rozpoznali model.

Wielki fleetwood, biały winylowy dach, felgi z imitacją szprych. Przyciemniane szyby, szczelnie pozamykane.

Przynajmniej jego klimatyzacja nie była rzekoma.

Darius podtoczył się na tyle blisko, żeby przeczytać numery tablic. Jack je zgłosił.

Roczny caddy, zarejestrowany na Arpada Avakiana, adres przy Edgemont Street, nienotowany.

– Ormianin z East Hollywood – powiedział Darius. – Spory kawałek od Southwest.

– Może jest tu coś, do czego warto jechać – odparł Jack.

– Naprawdę warto.

Obaj pomyśleli to samo: Arpad Ormianin, czy ktokolwiek jeździł jego bryką, nie miał

żadnego powodu przyjeżdżać na to zadupie nowym luksusowym autem. Chyba że miał potężną chciwą.

Prochy albo seks.

Albo jedno i drugie.

Przyskrzynieć gościa w nówce cadillacu – to miało rozrywkowy potencjał, pozwoliliby odetchnąć od tępych tubylców, z którymi najczęściej mieli do czynienia.

Gdyby Arpad był miły, może nawet puściliby go z samym upomnieniem. Niektórzy z hollywoodzkich Ormian mieli sklepy z elektroniką i tym podobne. Nic w tym złego, żeby zaliczyć jeszcze jednego wdzięcznego obywatela.

Darius wrzucił luz. Wysiadł z samochodu, zanim Jack zdążył położyć rękę na klamce.

Podciągnął spodnie i podszedł do caddy'ego rozhuśtanym policyjnym krokiem – typowym dla każdego, kto musi się poruszać z ciężkim majdanem przy pasie. Przypominało to chodzenie po rozbujanym pokładzie statku; w końcu można było to polubić.

Darius zaświecił w okno kierowcy; trzymał latarkę wysoko, tak jak ich szkolono, żeby nikt jej nie wyrwał. Wolną rękę zawiesił nad kaburą trzydziestkiósemki; Jack też odruchowo sięgnął

do broni. W dzisiejszych czasach o wszystkim trzeba meldować, więc zgłosił przystanek. Odbiór był zły, spróbował jeszcze dwa razy, zanim połączył się z dyspozytorem.

Darius zastukał w szybę.

Ciemną, prawie czarną.

Nic.

– Policja, proszę otworzyć.

Caddy stał, dymił z rury.

Może samobójstwo? Albo wypadek z tlenkiem węgla? Generalnie trzeba znajdować się w zamkniętym pomieszczeniu, żeby udusić się spalinami, ale Jack słyszał o awariach wentylacji.

– Proszę natychmiast otwierać! – zawołał Darius groźnym tonem. Teraz nikt by się nie domyślił, że ten facet co tydzień chodzi na manikiur do kosmetyczki.

Okno cadillaca pozostało zamknięte.

Darius powtórzył polecenie i rozpiął kaburę. Jack sięgnął po broń i otworzył drzwi pasażera.

Ledwie zdążył wysiąść, szyba powoli się opuściła.

Cokolwiek Darius zobaczył, odprężył się. Opuścił rękę znad pistoletu. Uśmiechnął się.

Jack też się rozluźnił.

– Prawo jazdy i dow...

Noc huknęła.

Trzy strzały, jeden po drugim. Każdy trafił Dariusza prosto w pierś. Każdy nim targnął.

Darius nie upadł na plecy jak na filmach. Osunął się do pozycji siedzącej, z dłońmi płasko na asfalcie, a caddy wrzucił bieg i skoczył do przodu.

Na pierwszy rzut oka facet odpoczywa.

Nic mu nie jest, pomyślał Jack bez sensu.

Wtedy Darius się obrócił. Przez jego szytą na miarę granatową koszulę przeciekało coś, co wyglądało jak olej silnikowy. Miał obcą twarz.

Jack wrzasnął i zaczął strzelać do uciekającego samochodu. Opróżnił bębenek, biegnąc do Dariusza.

– O rany, o Jezu, Chryste Panie ...

Później dowiedział się, że jedna z jego kul przebiła tylną szybę cadillaca, ale to nie zatrzymało wielkiego samochodu.

Dariusz nadal siedział na ulicy. Z trzema mokrymi dziurami w piersi. Jack go objął, ucisnął rany.

– Trzymaj się, Dar, nic ci nie będzie, tylko się trzymaj się trzymaj się trzymaj się.

Dariusz tępo patrzył w niebo niewidzącymi oczami. Rozdziawił usta.

Jack poszukał pulsu. No dalej, dawaj, dawaj...

Skóra Dariusza zrobiła się lodowata.

Jack zaczął masaż serca, zakrywając zimne usta Dariusza swoimi. Jakby zionął w pustą jaskinię. Dariusz leżał na asfalcie.

Nieruchomy jak upał, który przybył z pustyni, gnany wiatrem, i postanowił zostać.

Aaron Fox rozumiał już pana Dmitriego.

Kiedy został ustalony poziom zaufania, facet nie pchał się przed oczy.

Aarona ulubiony typ klienta.

Dzięki bardzo głębokim kieszeniom – klient idealny.

Przed pierwszym spotkaniem Aaron jak zwykle go sprawdził. Wpisał w Google „Leonid Dawidowicz Dmitri” i dostał dwadzieścia kilka wyników. Najwięcej informacji dostarczyła historia typu „od pucybuta do milionera” w magazynie o biznesie: urodzony w Moskwie, inżynier elektryk, Dmitri przez piętnaście lat wykonywał bezsensowną komunistyczną pracę –

mierzył poziom hałasu w restauracjach i sporządzał raporty, których nikt nigdy nie czytał. W

wieku trzydziestu siedmiu lat wyemigrował do Izraela, potem do Stanów. Wieczorowo uczył

matematyki i fizyki innych Rosjan, a w kuchni konstruował liczne wynalazki wątpliwej przydatności.

Dziesięć lat temu opatentował maleńki, cienki jak opłatek głośnik stereo. Urządzonko zapewniało nieproporcjonalnie dobre brzmienie i doskonale nadawało się do samochodów –

zwłaszcza ekskluzywnych sportowych aut, które miały mało miejsca w kabinie.

Porsche Aarona zostało wyposażone w bajer Dmitriego, kiedy je robił pod siebie; jakość dźwięku kopała w tyłek.

Autor artykułu szacował majątek Rosjanina na dwieście milionów dolarów; Aaron spodziewał się spotkania z magnatem siedzącym za biurkiem o powierzchni działki budowlanej w supernowoczesnym sanktuarium, pełnym imitacji jaj Faberge i Bóg wie czego jeszcze.

Zobaczył niskiego, łysego mężczyznę z byczym karkiem i grubymi, krótkimi kończynami, pod sześćdziesiątkę, o płaskiej, okrągłej, nieogolonej twarzy. Facet siedział za biurkiem ze sklejki w pozbawionej okien norze w swojej fabryce, na terenie parku przemysłowego Sylmar.

Dmitri miał może metr sześćdziesiąt pięć, ważył co najmniej sto kilo; większość z tego stanowiły mięśnie, ale było też trochę tłuszczu. Piwne oczy o laserowym spojrzeniu ani na chwilę nie przestawały się ruszać.

Dwieście baniek, ale gość nie wydawał tego na ciuchy. Błękitna koszula z krótkim rękawem, workowate, szare spodnie z zakładkami, szare adidas. Aaron z czasem dowiedział się, że to mundur Dmitriego.

Tani cyfrowy zegarek.

Wszystkie ściany pokrywała imitacja boazerii. Tak samo drzwi, co tworzyło klaustrofobiczną atmosferę.

Na to pierwsze spotkanie Aaron ubrał się neutralnie, bo nie wiedział, jakie relacje będzie musiał nawiązać z klientem.

Właśnie takie indywidualne podejście było jednym z jego wielu kluczy do sukcesu.

W swojej pracy najbardziej lubił różnorodność. Jednego dnia spotykałeś się w Koi z żałośnie pijanym, goniącym utraconą młodość producentem nagrań, któremu wciąż się wydawało, że da sobie radę z hip-hopem. Jadłeś pałeczkami czarny kawior i czekałeś, a klient silił się na nonszalancję, w środku zżerany niepewnością, i próbował wytłumaczyć, po co wynajmuje detektywa.

W końcu wyznanie: musi wiedzieć, czy jego dwudziestosiedmioletnia czwarta żona dmucha się z tym przystojniakiem, z którym ktoś ją widział u Freda Segala, i czy Darrett to faktycznie gejfryzjer, którego zabrała ze sobą jako towarzysza zakupów?

W takiej sytuacji nie znizasz się strojem do ubrania klienta, ale i nie wkładasz garnituru.

Aaron włożył na spotkanie z biednym durniem granatowe dzinsy Diesla, beżowy T-shirt z egipskiej bawełny z VagueLine, luźną, czarną lnianą marynarkę, ażurowe buty od Santoniego.

Następnego dnia był w kancelarii prawniczej w śródmieściu. Korporacyjny klient porozumiewał się z nim przez rzecznika liczącego sześćset dolarów za godzinę. Chciał, żeby ktoś sprawdził, co się dzieje na placu budowy przy Tempie Street, skąd w alarmującym tempie znikają narzędzia i materiały budowlane. Na to spotkanie Aaron wybrał granatowy prążkowany garnitur Paula Smitha, szyty na miarę, perłowoszarą koszulę Ferrego, bordowy krawat Sego, niebieską chusteczkę do marynarki, brązowe mokasyny Magliego.

Rozkoszował się dotykiem dobrej jakości tkanin, bo jutro miał wyglądać jak brudny, bezdomny wariat i pchać wózek z marketu obok wykopów.

Na pierwsze spotkanie z panem Dmitrim włożył oliwkową marynarkę Zegna Soft, którą znalazł w sklepie w Cabazon, żółtą koszulę i brązowy lniany krawat od Barneysa, do tego pantofle Allena-Edmonsa w kolorze gorzkiej czekolady.

Dmitri nie zwrócił na to żadnej uwagi. Aaron równie dobrze mógł przyjść w trykotach i suspensorium.

Facet był gotowy zaproponować mu pracę. Znał jego stawki, w tym dodatkową premię na wydatki. Miał na biurku gotowy wielki, tłusty czek na okaziciela.

Bardzo wielki, bardzo tłusty.

– Czy mogę zapytać, kto mnie panu polecił?

Dmitri wziął coś, co przypominało kostkę Rubika, ale miało chyba z dwadzieścia ścianek, a

kwadraciki oznaczone wypukłymi, greckimi literami. Nie patrząc na nie, zakręcił zabawką sprawdził wynik i ją odłożył.

– Oczywiście, może pan. – Donośny, basowy głos. Akcent Dmitriego zmienił to w „ooszywistje, moosze pan”.

Z uśmiechem.

– Kto mnie panu polecił?

– *Serinus Canaria* – odparł Dmitri.

Kolejny obcokrajowiec? Aaron sobie nie przypominał.

– Cóż, nic mi to...

– Kanarek pospolity – wyjaśnił Dmitri.

Aaron wytrzeszczył oczy.

– Mały ptaszek – dodał Dmitri.

Uśmiech zniknął.

– Chce pan to zlecenie czy nie?

Aaron rozejrzał się po biurze, szukając śladów zainteresowania ornitologią. Na obrzydliwej boazerii nie było niczego oprócz pomiętych plakatów, które reklamowały opatentowane głośniki SoundMyte Dmitriego w „nowoczesnych, designerskich kolorach”.

– Słucham. Czego pan oczekuje? – spytał.

– Słuszna decyzja, panie Fox.

Pierwsze zlecenie było szokująco łatwe – kradzieże z magazynu. Winowajcą okazał się jeden z sześciu magazynierów. W ciągu trzydziestu sześciu godzin Aaron miał durnia nagranego na ukrytą kamerę, jak chowa głośniki do czterech plecaków, a potem pakuje jeden po drugim do bagażnika swojej camry.

Prosta robota, rachunek na trzy tysiące dolarów. Aaron zachodził w głowę, dlaczego człowiek z takimi technicznymi możliwościami jak pan Dmitri zawraca sobie tyłek zatrudnianiem detektywa.

Sprawdzał go?

Jeśli tak, Aaron zdał test, bo dwa miesiące później dostał kolejne zlecenie, i to nie było już proste.

Jedna z sekretarek Dmitriego martwiła się, że jej siedemnastoletnia córka, wzorowa uczennica,

„zadaje się” z gangsterem Hectorem George’em Moralem.

– Proszę to sprawdzić, panie Fox. Resztą ja się zajmę.

– Dobry z pana szef.

– Tu jest czek.

Morales okazał się niebezpiecznym draniem, trzecim pokoleniem w meksykańskiej mafii, z pięciostronicowymi aktami w wydziale młodocianych przestępców, które Aaron wydebił od policyjnego archiwisty za sto dolarów łapówki. Kolejnych dziesięć stron opisywało wybryki Moralesa w dorosłym życiu. Był podejrzany o kilka morderstw, ale skazano go tylko raz za napad z użyciem broni. Odsiedział połowę dziesięcioletniego wyroku w Chino. Trzydzieści trzy lata, debil kręcił się w towarzystwie bardzo złych ludzi, jawnie łamiąc warunki zwolnienia.

Aaron nagrał jego i wzorową ale niezbyt mądrą uczennicę Valerie Santenegro, jak wychodzą z motelu w East L. A. niedaleko biura koronera. Zgłosił to panu Dmitriemu i zaproponował, że uruchomi swoje kontakty w policji, żeby Hectora przytknięto.

– Dobry pomysł, panie Fox.

Hector został posadzony na kolejne dziesięć lat, a Valerie wysłano do Dallas, gdzie zamieszkała z rodziną siostry.

– Świetnie – powiedział pan Dmitri i odwinął kilka banknotów z rulonu. Dodatkowe dziesięć setek.

– A to co?

– Wyraz uznania, panie Fox. Niech pan sobie kupi więcej tych fikuśnych koszul.

Przez ostatnie pół roku Aaron dostał od Rosjanina jeszcze dwa zlecenia: śledztwo w sprawie szpiegostwa przemysłowego w wydaniu konkurenta, które zabrało go na trzy tygodnie obserwacji supernowoczesnym sprzętem do Eugene w stanie Oregon, i kolejnych kradzieży w fabryce w Sylmar, tym razem dokonywanych przez kierowców ciężarówek.

Wszyscy podejrzani okazali się winni, co nikogo nie zaskoczyło. Dmitri nie zatrudniał

detektywa bez powodu. W swojej branży Aaron rzadko miał do czynienia z zagadkami, najczęściej zbierał tylko dowody.

Piąta sprawa była inna.

Dmitri bawił się megakostką Rubika.

– Dobrze się pan miewa, panie Fox?

– Doskonale.

– Tak sobie myślę, że może powinienem zwracać się do pana po imieniu.

– Proszę bardzo.

– Pan może mi mówić „panie Dmitri”.

Aaron się zaśmiał.

– Tak, żartowałem. – Ostrzejszy ton głosu Rosjanina mówił: nawet nie myśl o żadnym spoufalaniu. – Aaron – powiedział Dmitri, jakby sprawdzając, jak to brzmi. – Z Biblii. Pana rodzice są religijni?

– Raczej nie.

– Brat Mojżesza.

– Tak, proszę pana. – Żebyś wiedział.

– W tym nowym śledztwie może nie poznamy prawdy – zaczął. – Jeden z moich księgowych nazywa się Maitland Frostig. Magister matematyki, ale woli się zajmować dodawaniem i odejmowaniem. Pan Frostig zawsze wygląda na smutnego. Ostatnio wydaje się jednak coraz smutniejszy. Mówię „wydaje się”, bo nie interesują mnie uczucia. W tym roku, podczas wigilii moja żona powiedziała: „Ten człowiek jest skrajnie przybity. Tak jak my byliśmy w Moskwie”.

Spojrzałem na Maitlanda Frostiga nowymi oczami i... rzeczywiście. Ale potem o nim zapomniałem. – Przesunął dłoń po lśniącej czaszce. – Moja żona nie zapomniała. Jest psychiatrą. W Związku Radzieckim próbowali ją zmusić, żeby wstrzykiwała psychotropy dysydem. Odmówiła i wysłali ją do gułagu. Nigdy nie mieliśmy dzieci.

– Przykro mi, proszę pana.

– Jak Regina mówi, ja słucham. Wezwałem Maitlanda Frostiga na spotkanie. Oświadczył, że wszystko jest w porządku. Ja mu na to: wcale nie jest. – Lekki uśmiech. – Powiedziałem to z przekonaniem, bo moja żona nigdy się nie myli.

– Ogólnie rzecz biorąc, to dobra filozofia życiowa.

– Pan nie jest żonaty. – Stwierdzenie, nie pytanie.

Aaron był pewien, że Dmitri kazał komuś go sprawdzić, zanim wypisał pierwszy czek. Może którego dnia dowie się komu.

– Nie spotkałem właściwej kobiety.

– Być może – przytaknął Dmitri. – W każdym razie, mówię Maitlandowi Frostigowi, że coś jest nie tak, a on mi wszystko opowiada. Mieszka sam, owdowiał, kiedy jego córka miała cztery lata. Teraz skończyła dwadzieścia i zaginęła. Caitlin Frostig. Nie daje znaku życia od piętnastu miesięcy, policja nic nie robi.

– W przypadku kogoś w tym wieku, jeśli nie ma śladów nieczystej gry, wpisują go do kartoteki osób zaginionych i odkładają na półkę – wyjaśnił Aaron.

– Wykonałem parę telefonów, wysłali jej papiery do wydziału zabójstw. Nic.

– Do którego wydziału?

– Nie wiem.

– Gdzie ostatnio widziano dziewczynę?

– Dom Maitlanda jest w Venice.

– Dwadzieścia lat i ciągle mieszka z ojcem.

– Tak.

– Venice to Pacific Division.

Wzruszenie ramion. Nie zwracaj mi głowy szczegółami.

– Policja nic nie robi. Kiedy dzwoniłem, jeszcze pana nie znałem. Teraz znam.

3

Zapomnij o wczoraj. Co zrobiłeś dla mnie dzisiaj?

Moe Reed – czerwony na twarzy, zdyszany, z bicepsami spęczniałymi do obwodu czterdziestu ośmiu centymetrów – odłożył łamany gryf sztangi i spróbował złapać oddech.

W rękach mu dudniło. Wszędzie w środku mu dudniło.

Sześćdziesiąt pięć kilo na gryfie, cztery serie po piętnaście powtórzeń.

Bez wątpienia jakaś więzienna łajza właśnie w tej chwili wyciskała więcej, ale Moe uważał, że jak na jednego z tych dobrych radzi sobie całkiem nieźle.

W pracy – to już inna historia.

Wyszedł z pokoju przerobionego na siłownię i ruszył do łazienki, kąpiąc potem na dywan.

Wytarł się, rozebrał, wskoczył pod zimny prysznic.

Wytrzymał tyle, na ile miał ochotę. Odkręcił gorącą wodę i natarł szamponem jasne, krótko obcięte włosy. Potem namydlił resztę masywnego, twardego jak stal ciała, spłukał się, osuszył.

Namydlenie kiedyś trwało dłużej. Ale teraz własna ręka już go nie podniecała. Nie, odkąd poznał Liz.

Pomyślał, żeby do niej zadzwonić, usłyszeć jej głos. Potem przypomniał sobie, że dopiero co wróciła z konferencji antropologów w Brukseli, jak zwykle na pewno zmęczona zmianą czasu.

Lepiej dać jej trochę odpocząć.

O siódmej rano był już ubrany w granatowy blezer, spodnie khaki, białą koszulę, prążkowany krawat i czarne pantofle. Na śniadanie zrobił sobie gorącą herbatę, trzy miski płatków z beztłuszczowym mlekiem i pierś kurczaka. Wpół do ósmej wsiadał do swojego najnowszego nabytku, pordzewiałego dodge'a. Jazda z North Hollywood do West L.A. potrafiła trwać w nieskończoność, poza tym chciał być wcześniej za biurkiem, nawet jeśli inni detektywi mieliby go wziąć za gorliwca.

Zapomnij o wczoraj. Co zrobiłeś...

Należał do zespołu, który zamknął sprawę morderstw na bagnach, prestiżową, świetny PR

dla departamentu. Sukces zapewnił mu przychylność zastępcy komendanta Weinberga i szybką zgodę na przeniesienie z Pacific do West L.A. Division.

Odkąd trafił w nowe miejsce, śródmieście pamiętało o nim tylko wtedy, kiedy wysyłało mu ponaglenia w sprawie, o której myślał, że zostawił za sobą.

Dotyczy: Caitlin Frostig.

Miła dziewczyna. Z tego, co się dowiedział.

Przez ostatnie osiem miesięcy była dla niego jak zadra w tyłku.

Rok wcześniej trafił do wydziału zabójstw Pacific. Nieźle, jak na dwudziestoosmiolatka.

Został przydzielony do banalnej strzelaniny gangów. Zamknął dochodzenie w siedemdziesiąt cztery godziny.

Jego drugą sprawą była Caitlin Frostig, zaginiona już od pół roku, kiedy jej akta przeniesiono z niezakończonych spraw starego detektywa, który umarł na zawał.

Ściśle rzecz biorąc, to nie robota dla wydziału zabójstw. Ale ktoś wpływowy – Moe nigdy się nie dowiedział kto – chciał, żeby dostała priorytet.

Zaczął tak, jak należy, od rodziny. Czyli w przypadku Caitlin, od ojca, mamrocącego jajogłowego, który wychowywał córkę samotnie od małości, ale nie wiedział o niej nic poza rzeczami oczywistymi. Drugim mężczyzną w jej życiu był chłopak, Rory Stoltz. Sprawiał

wrażenie tak grzecznego i porządnego, że Moe się nim zainteresował.

Poza tym, w dziewięciu przypadkach na dziesięć to Romeo zabija Julię.

Okazało się, że Romeo ma alibi na noc, kiedy Caitlin wyszła z Riptide. Moe mimo to sprawdził przeszłość Stoltza. Nie znalazł nic oprócz historii typowego amerykańskiego chłopca, generalnie – męskiego odpowiednika Caitlin. Wciąż mieszkał z rodzicami, pracował jako kelner, pilnie się uczył. Oboje byli piątkowymi studentami w Pepperdine w Malibu.

Rory z rozmarzonymi oczami opowiadał, jak poznał Caitlin na zajęciach z filozofii.

Moe przepytał go do potęgi entej, nic nie wycisnął.

Pan Frostig pozwolił przeszukać pokój córki. Żadnych śladów nieczystej gry w całym małym domku przy Rialto, w południowym Venice. Okolica robiła się fajna, ale Maitland Frostig nie przełożył w domu ani serwetki, odkąd szesnaście lat temu zmarła jego żona.

Bardzo cichy, bardzo przybity facet. Moe dostał pozwolenie na prześledzenie transakcji dokonanych kartą kredytową Caitlin. Dawno nieużywana.

Żadne niezidentyfikowane zwłoki w Kalifornii nie pasowały do tej dziewczyny, a z tego co Moe zdołał ustalić, Caitlin prowadziła wyjątkowo nudne życie: pilnie się uczyła, wieczorami pracowała, nie miała żadnych znajomych oprócz Rory'ego Stoitzza. Moe sprawdził go jeszcze raz, i znów nic. Zajął się bazami danych osób zaginionych, przesuwając się na wschód, aż przekopał

cały kraj. Dzwonił nawet do departamentów policji w Meksyku. Niewiele mu to dało.

Ostatnim przystankiem była Kanada – duże wyzwanie; olbrzymi kraj i nieufni gliniarze.

Mimo to zdołał odhaczyć na liście północnego sąsiada.

Zero. Jak powiedziałby Milo Sturgis.

Moe rozmawiał z nim o Caitlin, bo uważał porucznika za swojego guru w czasie pracy nad morderstwami na bagnach.

Bądź uczciwy, Moses, Sturgis rozwiązał tę sprawę, a ty tylko się przy nim pętałeś.

To się nazywa nieustanna nauka: praca z kimś tak doświadczonym była jak semestr na Harvardzie Wydziałów Zabójstw. To głównie dlatego, aby nauczyć się od porucznika czegoś jeszcze, Moe poprosił o przeniesienie do West L.A.

Jeśli po drodze zgubiłby Caitlin Frostig, bo jej akta miały numer z Pacific Division, tym lepiej.

Kiedy wiadomość o jego przeniesieniu się rozeszła, pozostali detektywi z Pacific zaczęli mu dokuczać.

„Zmieniasz orientację seksualną detektywie Reed?”

„To cień do powiek? Czy tylko za dużo ekstazki w tym klubie dla chłopców, jak on się nazywa, a tak, Zrób Mi Bob”.

„Nie pytaj i nie mów. A przede wszystkim, nie bierz do buzi”.

Moe ich ignorował. Choć kiedy zaczynał pracować ze Sturgisem, owszem, czuł pewien dyskomfort.

Trudno uwierzyć, że taki wielki, szorstki facet jest... kogo obchodzi, co ludzie wyczyniają na osobności. Liczyła się robota, a Sturgis był w swoim fachu mistrzem.

Porucznik często miał najwyższy współczynnik rozwiązanych spraw w całym departamencie.

Moe puszczał docinki mimo uszu. Gdyby przeniesienie nie wypaliło, czekałoby go piekło.

Ale wypaliło.

A razem z nim została przeniesiona sprawa Frostig.

Drugiego dnia w nowej pracy wyszedł z dużej sali detektywów i zapukał we framugę drzwi małego gabinetu na końcu korytarza.

Sturgis siedział w środku, z niezapalonym cygarem w zębach. Wielkie stopy trzymał na biurku i przeglądał coś, co wyglądało na akta starych spraw.

– Co jest?

Moe mu powiedział.

– Wygląda na to, że zrobiłeś już wszystko – stwierdził Sturgis.

– Też tak pomyślałem, ale może jakieś sugestie, poruczniku?

– Po tym, co usłyszałem, żadnych.

– Dobra, dzięki.

– Pogadaj z doktorem Delaware'em.

– To jakaś psychologiczna sprawa? – spytał Moe. – Zakładasz, że ona nie żyje?

Sturgis się przeciągnął, zaczął bawić się cygarem.

– Młody, każda sprawa jest psychologiczna, ale to nie znaczy, że zawsze potrzebny nam psycholog. Najczęściej chodzi o połączenie kropek. Ale tutaj... czasami Alex podsuwa niespodziewane pomysły... nie zauważyłeś przypadkiem, jak się przedstawia sytuacja z kawą na Times Square?

– Jeszcze gorąca – zameldował Moe. – Przyniosę ci kubek.

– Ze śmietanką, podwójny cukier.

Delaware był skory do pomocy, ale też nie powiedział nic mądrego i Moe doszedł do wniosku, że to jedna z tych spraw, których nie zamknie, dopóki ktoś gdzieś nie znajdzie kości.

Jeśli dziewczyna nie żyje. Miała takie nudne życie, może zapragnęła czegoś więcej.

W zeszłym tygodniu Moe przedarł się drugi raz przez labirynt o nazwie Archiwum Federalne. O ile dało się stwierdzić, nikt nie przywłaszczył sobie numeru ubezpieczenia Caitlin.

Nie było żadnych innych śladów kradzieży tożsamości.

Zastanawiała go nieużywana karta kredytowa. Jeśli panna żyła, skąd miała pieniądze?

Może pracowała w jakimś małym miasteczku, gdzie ludzie nie wsadzali nosa w nie swoje sprawy. Albo wstąpiła do sekty. Uciekła do cyrku.

Poznała bogatego faceta i zakochała się po uszy.

Jeśli cokolwiek z tego było prawdą, dziewczyna nie chciałaby, żeby ją znaleziono.

Pomyślał o tej ładnej buzi, smukłym ciele, burzy jasnych włosów. Dwa metry pod ziemią albo w jakimś parowie na odludziu.

Albo obciążona i wrzucona do głębokiej wody. Psychopata patrzył, jak znikła...

Czas i bakterie zrobiły swoje.

Śmierć jeden, Moses zero.

Aaron spotkał się z Maitlandem Frostigiem w jego skromnym domku.

Przedstawił mu się już w pracy – wszedł do boksu Frostiga w dziale księgowości fabryki pana Dmitriego, powiedział, że zajmie się sprawą Caitlin.

Spodziewał się choć odrobiny wdzięczności, ale Frostig tylko kiwnął głową, nie odrywając wzroku od ekranu komputera.

Aaron zerknął na monitor. Kolumny liczb. Palce Frostiga spoczywały na klawiaturze, gotowe stukać w klawisze. Chudy, siwy facet, obwisła skóra, dłonie z plamami od słońca. Wyglądał na o wiele starszego niż czterdzieści siedem lat.

W końcu się odezwał:

– Dziękuję, panie Fox.

Aaron zaproponował, żeby spotkali się następnego dnia o dwudziestej w domu Frostiga.

– Oczywiście – powiedział Frostig. Jego palce zaczęły się poruszać. Liczby się przesunęły.

Nienaganny przebieg kariery zawodowej. Dziesięć lat w zakładach Lockheeda, osiem w Amgen, reszta w SoundMyte Inc.

Magisterium z matematyki i certyfikat księgowego. Zanim zaczął pracować w gigancie branży lotniczej, musiał przejść rygorystyczne testy. Ale zadowolili się pracą księgowego, z o wiele niższymi zarobkami.

Ktoś, kto nie lubił wyzwania?

Czy aż tak przybiła go strata żony?

Może to przez żalobę wyglądał jak starzec. A teraz zaginał jego jedyny dzieciak. Biedny facet.

Z drugiej strony istniało dużo sposobów radzenia sobie w takich sytuacjach; na jego miejscu Aaron by się wściekał, boksował ze Złym Bogiem. Przekształcał słuszny gniew w konstruktywną energię.

To nie była teoria; wiedział, co to strata.

Któregoś letniego poranka dzwonek do drzwi. Mama podbiega zobaczyć, kto to, wciąż w piżamie, z tymi swoimi cudownie zaspanymi niebieskimi oczami.

Aaron idzie za nią, jak zwykle, pracując na swój przydomek. Mój mały Szczeniaczek. Ma na sobie piżamę z Batmanem, w ustach słodki smak płatków owocowych, w telewizji lecą kreskówki – zwyczajny poranek.

Tyle że nie taki zwyczajny.

Mama otwiera.

Za drzwiami stoją duzi, smutni panowie, wyglądają na zdenerwowanych, zaczynają mówić.

Mama upada.

Aaron do niej biegnie, ale duzi panowie panują nad sytuacją. Jeden z nich zerka na niego; wargi mu drżą, a wygląda na twardego, takiego, który nie przejmowałby się drobiazgami. Wtedy Aaron pojmuję, że wydarzyło się coś strasznego.

Każdy z nas dźwiga swój krzyż.

Mimo to Aaron poczuł odrobinę pogardy na widok Frostiga w jego nędznym saloniku; zgarbiony, przybity, rozkojarzony, jakby rozgłaszał wszem wobec, że życie regularnie daje mu w kość.

Równie dobrze mógłby sobie przyczepić karteczkę „Kopnij mnie”.

Najlepszą zemstą byłoby dobre życie. Pokazać Złemu Bogu palec i żyć dalej.

– Wiem, że panu ciężko – powiedział Aaron.

– Tak.

Ciasny, ciemny pokój zagracały tandetne meble; wszystko, co nie było zielone czy brzoskwiniowe, zrobiono z imitacji orzesznika. Od lat osiemdziesiątych nic się tu nie zmieniło –

telewizor z baniastym, szarym kineskopem wyglądał jak złom.

Brak kablówki i dekodera satelity.

Frostig gardził rozrywką?

Zdjęcie Caitlin na pustym stoliku.

Fotka z zakończenia liceum, uśmiech w stylu „Czy mogę wreszcie odblokować twarz?” Ładna dziewczyna, opalona, parę piegów. Gęste, proste blond włosy, inteligentne piwne oczy pod starannie wyskubanymi brwiami.

Nie miała matki, ale wiedziała, jak wyglądać kobieco.

Zdecydowanie wystarczająco ładna, żeby zwracać na siebie uwagę facetów; może zwróciła uwagę niewłaściwego.

Maitland Frostig wciąż siedział bez ruchu. Wyglądał, jakby się bał badania prostaty.

– Dziękuję, że się pan ze mną spotkał – powiedział Aaron. Chociaż powinno być wręcz odwrotnie.

– Co pan chce wiedzieć, panie Fox?

– Cokolwiek.

– Cokolwiek – powtórzył Frostig, jakby wymawiał obce słowo. – To dość szerokie pojęcie.

– Pan znał ją najlepiej.

Frostig zamrugął.

– To dobra dziewczyna. Pokażę panu jej pokój.

Krótki spacer obok kuchni, jakby nieużywanej, zaprowadził ich do pomieszczenia trzy na cztery metry. Różowe ściany, pojedyncze wysokie okno, beżowe zasłony, niepasujące do reszty.

Beżowa narzuta na podwójnym materacu.

Tanie biurko zajmowało połowę ściany. Po drugiej stronie komoda: kanciasta, bez stylu, pięć szuflad. Jedyne dekoracje to trzy rysunki kwiatów w ramkach – wyglądały jak wycięte ze starej książki.

Żadnych plakatów, dziewczęcych bibelotów, pamiątek z okresu dojrzewania.

– Coś pan tu zmieniał?

Sama sugestia wydawała się dla Frostiga obrażą.

– Oczywiście, że nie.

– Caitlin to poważna dziewczyna.

– Słucham?

– Taki surowy pokój... – Raczej więzienna cela.

– Caitlin jest bardzo poważna – potwierdził Frostig.

Wycofał się w kąt, kiedy Aaron zaglądał do szafy, przetrząsał szuflady.

Białe, bawełniane staniki i majtki, levisy, dwie pary czarnych spodni, zbiór bluzek madę in China. Ogólne wrażenie: styl budżetowy, skłaniający się do konserwatywnego.

Pepperdine była uczelnią baptystów.

– Caitlin jest religijna?

– Nie chodzimy do kościoła.

Aaron jeszcze raz przetrząsnął szafę. Wydawało się, że nie ma żadnych zainteresowań.

– Czegoś brakuje, proszę pana?

– Nikt tu nie wchodzi. Odkurzam tylko dywan, to wszystko.

– Nie ma zbyt wielu osobistych rzeczy.

– Kosmetyki trzyma w łazience. Górna półka w szafce na lekarstwa jest Caitlin.

Co on, przygłupi?

– Chodziło mi o dzienniki, pamiętniki..

– Jeśli ich pan nie znalazł, to znaczy, że nie ma – powiedział Frostig. – Córka nie jest sentymentalna.

– Pisała pracę dyplomową z filozofii. – Aaron rzucił jeden z tych faktów bez związku, które czasem wstrząsają ludźmi tak, że mówią coś bez zastanowienia.

– Owszem.

Wesoły tatko.

Aaron początkowo wykluczał dobrowolną ucieczkę. Teraz zaczynał się zastanawiać. Jak długo normalny człowiek mógł tu mieszkać?

– W porządku. Usiądźmy, a pan opowie mi, kiedy ostatni raz widział córkę.

– Tamtego ranka – odparł Frostig. – O siódmej czterdzieści rano. Wychodzę z domu o siódmej czterdzieści pięć, żeby być w pracy na dziewiątą. Czasami przyjeżdżam wcześniej i wcześniej wychodzę. Caitlin wstaje o siódmej i je śniadanie, kiedy ja piję kawę. Wychodzi do Pepperdine o różnych porach, zależy, kiedy ma pierwsze zajęcia. Z reguły widzujemy się wieczorem, chyba że córka pracuje do późna, wtedy już śpię, kiedy wraca. Ale słyszę, jak wchodzi. To nie rezydencja.

– Ostatni raz, kiedy ją widziano, wychodziła z The Riptide tuż przed drugą w nocy. Proszę mi opowiedzieć o jej pracy.

– Riptide – powiedział Frostig. – Bez „the”. Pewnie im się wydaje, że tak jest bardziej awangardowo. – Wykrzywił usta. – Pracowała tam cztery miesiące przed zniknięciem.

– Wyczuwam, że to się panu nie podobało.

– To bar. Mogą sobie mówić, jak chcą ale to bar. Ludzie tam dużo piją.

– Myśli pan, że to miało coś wspólnego z jej zniknięciem.

– Uważałem, że Caitlin stać na więcej niż pracę w barze. Córka twierdziła, że to wygodna praca

przez lokalizację. Po drodze do domu z Pepperdine. Fakt, ale mogła wybrać inny lokal.

– Czemu więc Riptide?

– Tam pracował jej chłopak.

– Rory Stoltz.

Kiwnięcie głową.

– Proszę mi o nim opowiedzieć.

– Miły. Z tego, co widziałem. Policja z nim rozmawiała. Nic nie wiedział.

– Nie podejrzewa go pan.

– A powinienem?

– Często ludzie bywają... krzywdzeni przez tych, których znają.

Frostig zamrugął.

– Wszyscy mówią że to porządny chłopak. Caitlin mówi, że to porządny chłopak.

– Rozmawiała o nim z panem.

Frostig podrapał się po brodzie.

– Ona nie lubi dyskusji. Powiedziała, że się z nim spotyka. Nie pytała o pozwolenie. Ma pan dzieci, panie Fox?

– Nie.

– Jeśli będzie pan kiedyś miał, zobaczy pan, że wyższe wykształcenie budzi w nich...

pewność siebie.

– Wydaje im się, że są dorosłe – podpowiedział Aaron.

Frostig uniósł brwi.

– Caitlin jest dorosła. Zawsze była. Przez studia zaczęła uważać, że to wystarczy.

– Żeby...

– Podejmować ważne decyzje.

– Na przykład...

– Praca w Riptide. Byłem tam, panie Fox. To pierwsze miejsce, gdzie pojechałem, kiedy Caitlin nie wróciła do domu. Potem do Pepperdine, co nic nie dało. Dojeżdżała na zajęcia, więc nie należała do „kampusu”.

– Czego się pan dowiedział w Riptide?

– Tego, czego i pan się dowie. Strata czasu. Patrzyli na mnie, jakbym im przeszkadzał w pracy.

– Nie byli pomocni.

– Ani trochę. – W głosie Frostiga pojawiło się napięcie, jego oczy zmieniły się w nacięcia skalpelem. – Caitlin pracowała na swojej zmianie, nic niezwykłego się nie wydarzyło. Z

Internetu dowiedziałem się, że tamtejsza klientela to mieszanina miejscowych imprezowiczów i tak zwanych celebrytów.

– Na przykład?

– Ludzi, o których nigdy nie słyszałem. Szefowie twierdzili, że nikt nie miał zatargu z Caitlin, nikt za nią nie wyszedł. Policja podobno to sprawdziła. Zasugerowali nawet, że córka uciekła z własnej woli. Co za bzdura. Nie korzystała z karty kredytowej, nie znaleziono jej samochodu. To Kalifornia. Dokąd można pojechać bez samochodu?

Nie chciał sobie wyobrazić swojej córki poza granicami Złotego Stanu. Poszukującej własnych prawd w wielkim, złym świecie.

– Słuszna uwaga – przyznał Aaron.

– Cieszę się, że pan tak to widzi, panie Fox. Policja była innego zdania.

– Piętnaście miesięcy i nie uważają tego za podejrzaną zniknięcie?

– On nie uważa – sprostował Frostig. – Jeden detektyw, i to najwyraźniej niezbyt doświadczony. Nie rozmawiałem z nim już dawno, bo po co?

– A kiedy ostatnio?

– Osiem miesięcy temu. Widziałem wyraźnie, że dalsze kontakty z nim nic nie dadzą.

Zadzwoiłem do jego przełożonych, nikt nie oddzwonił.

– Frustrujące.

Spojrzenie Frostiga mówiło „A czego innego można się było spodziewać?”

– Co pan zrobił osobiście, żeby znaleźć Caitlin?

– Nie wynajmowałem detektywów, jeśli o to pan pyta.

– Pytam o cokolwiek.

– Internet – powiedział Frostig. – Siedzę w nim bez przerwy. Wpisuję imię i nazwisko córki, zaglądam do serwisów o osobach zaginionych. Logowałem się do chat roomów o filozofii, bo Caitlin interesowała się filozofią – Ludzie rozmawiali o sensie życia?

– Ludzie są gotowi rozmawiać o wszystkim, panie Fox. Komputer daje przyzwolenie.

– Na...?

– Komunikowanie się.

– Dużo czasu spędzała w cyberprzestrzeni?

– Nie miała własnego komputera. Używaliśmy wspólnego.

To ci dopiero swoboda. Hipoteza o dobrowolnej ucieczce stawała się coraz bardziej prawdopodobna.

– Ustaliliście sobie pory? – spytał Aaron. – Frostig zmarszczył brwi.

– Caitlin korzystała z komputera do nauki.

– Prace domowe.

– Wypracowania semestralne. Ale proszę, niech pan przejrzy komputer. Dałem tylko przykład tego, co robię, żeby znaleźć córkę.

– Co jeszcze może pan powiedzieć o Caitlin?

– O Caitlin – powtórzył Frostig, jakby rozważając tę koncepcję.

Co za dziwak. Pół godziny w jego domu i Aaron już powoli wychodził z siebie. Hipoteza o dobrowolnej ucieczce zbliżała się do kategorii: wielce prawdopodobne.

– To dobra i inteligentna dziewczyna – odezwał się po chwili Frostig. – Schludna, pilna i odpowiedzialna.

To brzmiało jak opis harcerki, a nie córki.

– Wolę nawet nie myśleć – mruknął Frostig.

– O czym?

– Gdzie może być. Minęło tyle czasu...

– Jak się nazywał detektyw, z którym pan rozmawiał?

– Policja jest zupełnie bezużyteczna – powiedział Frostig.

– Mimo wszystko.

– Sprawdzając to raz jeszcze, będzie pan tracił czas. Za dolary pana Dmitriego.

Aaron zmusił się do uśmiechu.

– Hojny człowiek, ten pana szef.

Frostig odwrócił się do niego plecami, przeszedł przez salon i stanął przy drzwiach wejściowych.

– Czy z jakiegoś powodu przeszkadza panu, że zajmuję się sprawą pana córki? – spytał

Aaron.

– Bo jest pan czarny? Absolutnie nie.

Aaron akurat nie miał na myśli rasy. Frostig nie widział nic oprócz koloru jego skóry.

– Nie chodzi o pana, panie Fox. Po prostu straciłem nadzieję. Piętnaście miesięcy i nikt nie poświęcił mi chwili czasu.

– Teraz to się zmieniło, panie Frostig.

– Faktycznie. – Uśmiechnął się niepokojąco. – Przepraszam, jeśli zachowałem się niemiło. Z pewnością nie zamierzałem.

– Nic takiego nie zauważyłem.

– To bardzo uprzejmie z pana strony, panie Fox. Jestem pewien, że zrobi pan, co w pańskiej mocy.

Aaron otworzył drzwi i wpuścił do środka skrawek wieczoru.

– Nazwisko tego detektywa, proszę pana.

– Reed – odparł Frostig. – Moses Reed. Marnuje pan czas.

Aaron ruszył do samochodu. W głowie kręciło mu się z zupełnie nowego powodu.

W dużej sali detektywów niosło się echo.

Był tam tylko Moe – siedział przy swoim biurku, i detektyw trzeciej klasy Delano Hardy – w drugim kącie rozmawiał z kimś przez telefon o stawieniu się w sądzie.

Hardy służył tyle samo lat co Sturgis – kiedyś pracowali jako partnerzy. Moe wciąż czuł się jak na stażu i starał się podsłuchiwać, kiedy starsi detektywi rozmawiali.

Delano najwyraźniej omawiał sprawę strzelaniny gangów; sprawcę szybko złapano, łatwo się przyznał. Rutyna, nic nowego. Moe miał już się skupić na pracy, kiedy Hardy zaczął mówić głośniej, z napięciem.

Sprawcą okazała się piętnastoletnia dziewczyna, a jej prawnicy próbowali linii obrony: molestowane dziecko, ograniczona poczytalność. Do tego Latynoska, a Hardy jest czarny, więc na pewno zagrano by kartą rasową, żeby unieważnić przyznanie się „biedactwa” do winy.

Hardy chrząknął, napił się kawy, znów chrząknął.

Sturgis wydawał takie same odgłosy, kiedy się wkurzył. Może to oznaka kilkudziesięciu lat w robocie. Albo starzenia się. Moe zaczął się zastanawiać, czy któregoś dnia też będzie chrząkać jak zraniony wół.

Spróbował własnej kawy, dawno wystygła. Pił z kubka w kształcie zwłok, ze sklepiku z upominkami biura koronera. Prezent od Liz. Fajny, ale nie poprawiał smaku detektywiej lury.

Kartkując akta Frostig, znalazł numer komórki Stoltza. Zadzwoił, ale usłyszał tylko nagranie poczty. Głos Rory’ego był wesoły i pewny siebie. Wszelki żal, jaki chłopak w sobie wzbudził, dawno minął.

Pod numerem stacjonarnym odebrała matka Rory’ego; przedstawiając się, Moe wyszukał w aktach jej imię. Martha. Kierownik obsługi, hotel Peninsula w Beverly Hills.

– Znaleźliście Caitlin? – spytała.

– Niestety nie, proszę pani. Usiłuję się skontaktować z Rorem.

– Po co?

– Kontynuujemy dochodzenie.

– Syn ma zajęcia w szkole.

– Domyśla się pani, kiedy będzie wolny?

– Jest dorosły. Nie pilnuję go.

– Mieszka jeszcze z panią?

Cisza.

– Proszę pani...

– Nie rozumiem, po co pan dzwoni, detektywie Reed. Rozmawiał pan z Rorym ile, trzy, cztery razy? Zadawał mu pan w kółko te same pytania. Dla Rory'ego to było wyjątkowo nieprzyjemne. Uważał, że próbuje go pan przyłapać na potknięciu.

– Nie próbowałem – skłamał Moe. – Czasami musimy tak robić. Chodzi o dokładność.

– Syn się denerwował, że jest podejrzewany. Lubił Caitlin. Przejął się jej zniknięciem bardziej niż ktokolwiek inny.

– Rozumiem, ale czasami pojawiają się jeszcze jakieś pytania.

– Cóż, Rory się nie ukrywa, żyje swoim życiem.

Zanim Moe zdążył coś dodać, rozłączyła się.

Skąd ta złość? Zły dzień? Albo naprawdę miała dość wciągania jej jedyne dziecko w śledztwo w sprawie morderstwa.

Moe zadzwonił do administracji Pepperdine. Próbował wydobyć rozkład zajęć grupy Rory'ego najpierw od energicznej sekretarki, potem od jej przełożonego.

Nie dało rady. Może komuś z większym doświadczeniem by się udało, a może nie.

O dziesiątej rano wybrał się na spacer, tak jak to robił Sturgis. Przeszedł kilometr osiedlami otaczającymi posterunek.

Żadnych odkrywczych wniosków. Zadzwonił do Liz. Odebrała zaspana, ale kiedy powiedziała „To ty”, jej głos poweselał i dodała „skarbie”.

– Obudziłem cię?

– Nie, leżę tylko z potwornym bólem głowy i myślę o wszystkim, co mi się nazbierało w czasie nieobecności.

– Biedactwo.

– Zrobiłam, co mogłam, żeby nawodnić organizm. Ale nieważne, ile w siebie wlewam wody, czy mnie szczypią, a skórę mam jak bibuła.

Moe to sobie wyobraził – czekoladowo-brązowy papier wygładzający się pod jego dotykiem.

– Na pewno wkrótce poczujesz się lepiej. Jak minął lot?

– Jak zwykle opóźnienia i skończyły im się napoje, nie licząc gorzały, to dopiero odwodnienie. – Zaśmiała się. – Facet obok mnie ważył z pół tony. Połknął dwa nasenne i cały lot sapał jak lokomotywa. Musiałam pokonywać Mount Cielsko, żeby dostać się do kibelka.

Moe zaśmiał się razem z Liz.

– No, ale teraz już wróciłaś i ja się tobą zaopiekuję.

– Świetnie. Kiedy chcesz się spotkać?

– Jeśli nic się nie wydarzy, będę wolny o czwartej, piątej.

– Caitlin?

– Aha.

– Przenosisz się, a oni to wysyłają za tobą. Totalnie niesprawiedliwe.

– Jakoś się samo rozwiąże. Cały dzień siedzisz w domu?

– Planowałam jechać do laboratorium podgonić zaległości, ale czuję się tak fatalnie, że chyba sobie odpuszczę. Co zamówić do jedzenia?

– Co chcesz. Do zobaczenia o piątej, z fajerwerkami.

– Z fajerwerkami? Zamierzasz się wśliznąć w komin?

– O rany – mruknął Moe. – Symbolika tak wcześnie rano.

Liz roześmiała się wesoło.

– To ty tak na mnie działasz, Moses. Dlatego właśnie ze sobą chodzimy.

Już w lepszym nastroju zawrócił. Zboczył z trasy po francuskie ciastko z syropem klonowym, do kawiarni na Santa Monica. Z podwyższonym poziomem cukru znów zaatakował

akta Frostig.

Skupił się na rozmowach z Rorym Stoltzem, usiłując znaleźć coś, co mógł przeoczyć.

– Patrzcie tylko, kogo przywiał smog! – zawołał Del Hardy z drugiej strony sali.

Śmiechy i odgłosy przybijanych piątek. Moe się obejrzał.

Del stał, wesoło wyszczerzony.

Do Aarona.

Aaron udawał, że nie zwraca uwagi na Mosesa, przerzucał się gadką ze starszym detektywem. Bez okazywania szacunku. Zrelaksowany, jak równy z równym.

Moe też udawał, że go ignoruje. Aaron szepnął coś Hardy'emu, a ten znów zarechotał.

Chodziło o sprawę Dela? Aaron został wynajęty przez prawników piętnastolatki, żeby narobić kłopotów?

Ale gdyby Del uważał go za wroga, inaczej by się zachowywał. A tu, dwaj kumple, śmieją się i żartują.

Dwaj czarni kumple. Wyglądali jak pomarszczony ojciec i wyluzowany syn.

Moe – niewidzialny człowiek. Wetknął nos w akta.

– Moses!

Aaron stał nad nim wyszczerzony od ucha do ucha. Jakby przed chwilą wcale go nie olewał.

Moe nie zwracał sobie głowy ciuchami, uważał, że jego blezery i spodnie są do tej pracy w sam raz. Ale czasami, kiedy widział, jak ubiera się Aaron, czuł się jak szmaciarz.

Dzisiejsze haute-cokolwiek tworzyły dopasowany czarny garnitur, biała koszula i pomarańczowy krawat – jaskrawy jak pacholek robót drogowych, zawiązany w wielki węzeł, który zajmował mnóstwo miejsca i z daleka krzyczał: „Poważny GQ!*” [GQ – od męskiego pisma

„Gentleman’s Quarterly”, oznacza kogoś bardzo eleganckiego, na bieżąco z najnowszymi trendami mody (przyp. tłum.)]

Węzeł krawata Moe zawsze się rozwiązywał. Teraz też wydawał się luźny, ale Moe powstrzymał chęć, żeby go poprawić.

Del Hardy gapił się na niego zdezorientowany brakiem reakcji.

– Cześć – mruknął Moe.

– Cześć, braciszku. Zajęty?

– Aha.

– Caitlin Frostig?

Moego aż ścisnęło w piersiach.

– A co?

– Teraz jest moja – oznajmił Aaron. – Oprócz tego, że twoja.

Moe zamknął akta.

– O czym ty mówisz?

– O wolnym rynku, Moses.

– Kto cię wynajął?

– Szef pana Frostiga.

– Czemu nie sam Frostig?

– Moja dniówka z pensji księgowego? Nie sędzę. Musimy pogadać, braciszku.

– Nie mamy o czym.

Aaron położył mu rękę na ramieniu. Moe ją zdjął.

– To tak, Moses?

– Sprawa utknęła.

– Może ją odetkam.

– Cudotwórca.

Aaron się wyszczerzył.

– Bywało i tak.

Moe się odwrócił.

– Na przykład przy morderstwach na bagnach – dodał Aaron. – Nie chcę być nieskromny, ale odegrałem tam pewną rolę.

– To co innego.

– Mogę zerknąć w akta?

– Nie ma na co.

– Daj spokój, Moe.

– Zapomnij.

Aaron wzruszył ramionami.

– No tak, chyba nie powinienem być zaskoczony.

– Czym?

– Pan Frostig odniósł wrażenie, że nigdy nie uważałeś Caitlin za wartą twojego czasu.

Moe poczuł gorąco na twarzy. Wiedział, że zrobił się czerwony jak burak – Aaronowi zawsze udawało się tego unikać.

– Może sobie mieć wrażenie, jakie chce. To nie zmieni faktów.

– Zgadzam się – przyznał Aaron.

– Z czym?

– Że opinia Frostiga niewiele znaczy. Rąbnięty facet, afekt niedostosowany, w języku psychologów to oznacza dziwne reakcje emocjonalne. Kto wie, może ma Asperbergera, to takie zaburzenie autystyczne...

– Wiem, co to jest.

– Podszkalasteś się z psychologii?

Rzeczywiście. Moe przedzierał się przez stos książek, które polecił mu doktor Delaware.

Interesujące rzeczy, ale nic z tego nie dało się zastosować przy sprawie Caitlin Frostig.

Moe się uśmiechnął. Jego twarz nadal płonęła.

– Maitland cię nie rusza? – spytał Aaron.

– Czy uważam go za podejrzanego? Nic na to nie wskazuje.

– Nie za podejrzanego, Moses. Za czynnik, dość istotny. Rozumiesz? Caitlin ma tylko jednego rodzica, a ten niestety jest dziwakiem, więc ona w końcu ma dość i postanawia prysnąć.

– Ucieczka – mruknął Moe. – Jakies dowody?

– Nie mam nic oprócz tłustego czeku, na który chciałbym zapracować. Dlatego jestem tutaj, zamiast jeździć swoim C4S po torze w Laguna Seca. A to właśnie planowałem, zanim zadzwonił do mnie pan Dmitri, szef Frostiga.

– Urlopik.

– Zasłużony, Moses.

– Nikt cię nie zmuszał, żebyś brał tę sprawę.

– Pan Dmitri to ważny klient. On wzywa, ja jadę.

– To brzmi, jakbyś był psem.

Aaron się zaśmiał.

– Wszyscy jesteśmy psami, braciszku. Pytanie tylko, czy wolimy dobrej jakości karmę czy odpadki. No nie bądź taki, daj mi zajrzeć w akta. Zabiorę cię na obiad i zrobimy burzę mózgów.

Ja płacę.

– Raczej Dmitri.

– W każdym razie nie ty. Co powiesz na Peninsulę? Miejsce pracy Marthy Stoltz.

– Czemu tam? – spytał Moe.

– Dają dobre jedzenie.

– To jedyny powód?

Po raz kolejny rozbawił Aarona.

– A jaki miałby być inny? No, idziemy.

Ponad czarnym jedwabiem szerokich ramion Aarona Moe zobaczył oczy Delana Hardy’ego

– czujne, obserwujące.

Przypomniał sobie kumpelską rozmowę Hardy’ego i Aarona.

– Bądź elastyczny, braciszku – nalegał Aaron.

Moe wstał. Włożył akta do szuflady i zamknął ją na klucz.

– W porządku, łapię, braciszku – skwitował Aaron.

– Co łapiesz?

– Ty jesteś szefem, ja pomagam.

– Peninsula może być – oznajmił Moe.

– Świetne menu – powiedział Aaron. – Słyszałem, że obsługa hotelowa też całkiem niezła.

11 listopada 1980

Maddy patrzyła, jak dziecko śpi.

Fotel obok łóżeczka został upolowany w sklepiku Miasta Nadziei: jedwabna łososiowa tapicerka w tulipany, z brudną metką Sloana pod spodem i tylko kilkoma plamami.

Maddy zapłaciła trzydzieści dolarów, uznała fotel za znalezisko stulecia.

Sama wywlokła go z furgonetki i postawiła w salonie. Obok kominka, razem z uroczym stolikiem i wazonem jedwabnych sztucznych kwiatów. Zupełnie tak, jak w magazynie „Dom i ogród”.

Tamtego dnia, kiedy go ustawiła, nalała sobie soku jabłkowego i czekała na powrót Dariusa.

Wrócił spóźniony dwie godziny. Śmierdział piwem i kobietami. Rozdziawił usta na widok tego, co Maddy zrobiła, zaśmiał się i oznajmił, że nowy nabytek jest „*beaucoup* pedalski”. Jedną ręką podniósł fotel i wyniósł do garażu.

Później, kiedy zasnął, Maddy tam poszła, przykryła jedwab czystym białym prześcieradłem i usiadła. Wciągnęła zapach garażowego kurzu, oleju silnikowego, starych kartonów, metalicznych perfum na wpół odremontowanego harleya Dariusa.

Czasami wciąż chodziła do garażu i wąchała powietrze. Zmieniło się bardzo niewiele, ale fotel w tulipany wrócił do łask.

Nikt nie narzekał, kiedy wstawiła swój cenny mebel do pokoju dziecka. Od czasu do czasu w głowie dźwięczał jej głos Dariusa: „Różowy dla chłopca? Jezu, dziewczyno, zrobisz z niego klasycznego pedzia i jeśli ci się wydaje, że wyrośnie przez to kulturalny artysta, to się mylisz.

Widziałem, co ci kolesie wyprawiają, kiedy się wkurzą i stają się zazdrośni....” Maddy zapiekły oczy.

Dziecko się poruszyło.

Na palcach podeszła do łóżeczka, spojrzała na różową, gładką twarz, okrągłą jak talerzyk.

Niebieskokooki aniołek, jak z renesansowego obrazu.

Do tego z anielskim usposobieniem. Jakby wiedział, że nie należy sprawiać kłopotów.

Pięć miesięcy i już piegi. Trzeba go chronić przed słońcem. I Bóg wie czym jeszcze...

Dotknęła miękkiego, dobrze odżywionego brzuszka. Niebieska piżamka. Dariusowi by się podobała.

– Aniołku – szepnęła Maddy. – Nie masz pojęcia... Trzaśnięcie drzwi wyrwało ją z rozmyślań; szybko wyszła z pokoju i ruszyła do kuchni, gotowa skarcić oczywistego winowajcę.

Ile razy już mu mówiła?

Aaron był bystrym chłopcem, może robił to specjalnie.

Na pewno wiedział, co go czeka, bo krzyknął: „Mamusi!” jakby nie widzieli się kilka miesięcy, i błysnął tysiącwatowym uśmiechem.

Tym uśmiechem. Nie mogła nic poradzić; rozłożyła ramiona, kiedy do niej pobiegł.

Mała głowa Aarona przywarła do jej brzucha. Maddy przyklękła na jedno kolano i mocno go uścisnęła. Wciągnęła ten charakterystyczny chłopięcy zapach.

Aaron mógł mieć ubranie szare od kurzu, ale i tak udawało mu się wyglądać lepiej niż wszystkim innym czterolatkom na świecie.

– Kochana mamciu!

– Och, ty słodziaku.

Przytuliła go z całych sił. Aaron się wykręcił.

– Muszę zjeść froot loopsy! Proszę!

– Skarbie, jest za...

– Proooszę! To bardzo ważne! Och, mój brzuszek chce dostać froot loopsy, tak bardzo chce!

Tańczył po kuchni, nawet nie udawał, że jest poważny. Czasami Maddy miała wrażenie, że jej syn ma czterdzieści, a nie cztery lata. Zachwiał się z szeroko otwartymi oczami.

– Umieram z głodu, mamusi!

Maddy z trudem powstrzymywała śmiech. Mały oszust. Pani z przedszkola ujęła to bardziej dyplomatycznie.

– Aaron to urocze dziecko, ale niekiedy za bardzo polega na swoich umiejętnościach towarzyskich.

Krewnie...

– Froot loopsy! Zaraz padnę, mamusi, jak nie dostanę froot loopsów!

– Ćśś. Mały Moe śpi.

– Mały Moe – powtórzył Aaron nagle zamyślony. – To mój brat i go kocham – ciągnął

scenicznym szeptem. – Chciałby, żebym dostał froot loopsy, bez froot loopsów wszyscy są smutni i Mały Moe będzie płakał...

– Ćśś, Aaron. Proszę.

Natychmiast ucichł. Stał na baczność. Zasalutował.

– Umyj ręce, drogi panie – rozkazała Maddy. – Potem usiądź przy stole jak kulturalny człowiek, a ja ci przygotuję dobrą przekąskę.

– Froot loopsy to dobra przekąska – stwierdził Aaron. – Z mlekiem czekoladowym. Bardzo ciemnym.

– To o wiele za dużo cukru, skarbie.

– Tylko troszkę ciemnego?

– Nawet troszkę to za dużo cukru...

– Proooszę?

– Ćśś.

– Mamusiu, nie mogę być cicho, dopóki nie będę szczęśliwy. A dzisiaj mnie uszczęśliwią tylko...

– Froot loopsy – dokończyła Maddy. – Z normalnym mlekiem.

– Odrobiiinka czekolady?

– Dobrze.

– Trochę większa odrobinka?

– Nie przesadzaj, przystojniaku.

Aaron wyszczerzył się od ucha do ucha.

– To może smirnoffa.

Maddy zamarła.

– A skąd ty wiesz o smirnoffie?

– Jack go lubi. W waszym pokoju jest butelka.

Maddy położyła mu ręce na ramionach. Chłopiec nawet nie mrugnął.

– Aaronie Fox, grzebałeś w cudzych rzeczach?

– Zobaczyłem ją, kiedy wszedłem dać ci buzi, mamciu. Nie było was. Prałaś, a ja ją zauważyłem.

– Gdzie stała ta butelka?

Aaron nie odpowiedział.

– Muszę wiedzieć, skarbie.

– Jack był niegrzeczny?

Maddy westchnęła.

– Nie, Jack nie był niegrzeczny. Powiedz mi, gdzie...

– Na stoliku przy łóżku. Po stronie Jacka.

– Kochanie, smirnoff jest dla dorosłych – wyjaśniła Maddy.

Aaron uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wiedział, że zapędził ją w kozi róg, mały diabełek.

– Właśnie, mamusiu, a czekoladowe mleko jest dla dzieci. Odrobinę więcej ciemnego.

Proszę?

– Dwie łyżeczki nestle i to wszystko.

– Trzy.

– Dwie. Koniec dyskusji.

Wtedy ją to uderzyło. Aaron przyszedł sam. Serce zaczęło jej walić w piersi.

– A gdzie Jack?

– Siedzi w samochodzie – odparł Aaron.

– Dlaczego?

Wzruszenie ramion.

– Nic mu nie jest?

Wzruszenie ramion.

– Odebrał cię z przedszkola?

– Aha. Mogę już dostać froot...?

Maddy pobiegła do drzwi małego domku i otworzyła je z rozmachem na oścież.

Van stał na podjeździe. Jack siedział za kierownicą. Wpatrzony w pustkę.

Podeszła do niego, a on uśmiechnął się krzywo. Treść jej życia – wpatrywanie się w męskie zęby.

– Co ty robisz, Jack?

Siwiejące włosy miał rozwiane. Oczy mu się zamykały.

– Cześć, śliczna.

Śmierdział wódką.

– Piłeś, zanim go odebrałeś?

– Wiele godzin temu, śliczna...

– Jedzie od ciebie na kilometr, skończ z tą swoją „śliczną”!

Nie odpowiedział.

– Czyś ty oszalał?

– Maddy, niepotrzebnie dramatyzujesz.

– Mówię o swoim dziecku...

– Kocham go jak...

– Tak twierdzisz...

– Kocham go na zabój, Maddy. – W oczach stanęły mu łzy. – Może nie aż tak jak ty, ale to...

Kocham go, skarbie. Świetny chłopak. Wiesz, że nigdy bym go nie skrzywdził, kochanie. Wiesz o tym, prawda? Ja chcę się tylko opiekować swoją rodziną...

– To jak mogłeś...

– To było wiele godzin temu – powtórzył z uporem Jack.

– W Drop Inn.

– Dwa piwa z wódką nic więcej. – Sięgnął do jej ramienia. Odsunęła się. – No daj spokój, kochanie. Jakbym się napił tylko wódki, to byś nie poznała.

Maddy wróciła do domu.

Jack wysiadł z samochodu i ruszył za nią.

Na oko szedł prosto.

– Zadzwoń na posterunek, każe im przywieźć alkomat, dobrze?

– To nie jest śmieszne – powiedziała.

– Wcale nie miało być – skłamał.

Kiepscy kłamcy są najgorsi. Przy dobrych przynajmniej można sobie wyobrazić, że mówią prawdę. Jack zupełnie nie potrafił udawać, przez co Maddy straciła do niego szacunek już w kilka tygodni po ślubie.

– Nigdy więcej tego nie rób – ostrzegła. – Nie chcę, żeby Aaron czuł od ciebie alkohol.

– Przepraszam, kochanie.

– Nieważne.

– Kocham cię, skarbie.

Maddy nie odpowiedziała.

– I tak cię kocham.

Kiedy wrócili do kuchni, Aaron siedział przy stole i pożerał froot loopsy z wielkiej miski.

Jedną ręką trzymał szklankę mleka tak nasyconego czekoladą że nierozpuszczone kawałki pływały na powierzchni jak lilie wodne.

Trochę płatków spadło na podłogę. Niewiele, biorąc pod uwagę okoliczności. Aaron zawsze miał dobrą koordynację.

Wspiął się do szafki z płatkami, dokładnie ją zamknął, odstawił krzesło na miejsce.

Kiedy zobaczył Maddy, otworzył usta pełne papki w technicolorze.

– Mniam! – mlasnął.

Jack puścił do niego oko.

– Hej, to wygląda nieźle.

Z korytarza dobiegło posapywanie Małego Moego. Właśnie się obudził i szykował do płaczu. Pora na jego przekąskę.

Maddy wyszła nakarmić go piersią.

Zamiast na parking, Moe ruszył w stronę Santa Monica Boulevard. – Idziemy do Peninsula na piechotę? – spytał Aaron.

– Zapomnij o Peninsula.

– Za drogo, jak dla ciebie?

Moe przyspieszył.

– Zaczekaj, przecież nie gryzę. Dokąd idziemy?

– Do Suzy Q.

– Do tej nory?

– Za bardzo gliiniarska, jak dla ciebie? – spytał Moe.

– Boczek na tłuszczach trans z cholesterolem LDL zamiast sałatki? Beze mnie, braciszku.

Na twarz Moego wypłynęły rumieńce. Jego ojciec – mężczyzna, którego nazwiska Aaron nigdy nie przyjął – padł trupem na zawał w wieku trzydziestu dziewięciu lat. W zeszłym roku Moe w końcu wygrzebał akt zgonu.

Jack Reed spadł z barowego stołka i skonał, zanim dotknął podłogi.

Moe jadł dużo chudych piersi z kurczaka.

– Suzy to dla ciebie za wiele? A hinduska kuchnia?

– Ten lokal, w którym czczą Sturgisa? – spytał Aaron.

– Masz z tym problem?

– Życie jest piękne, nie mam żadnych problemów. – Cztery kroki później: – Lubisz pracować ze Sturgisem?

– A dlaczego nie?

– Bez powodu. Opowiedz mi, co zrobiłeś w sprawie Frostig.

Moe przyspieszył prawie do truchtu.

– Aerobik i chutney przed południem – powiedział Aaron. – Zawsze jestem otwarty na nowe doznania.

Kobieta w okularach, prowadząca Cafe Moghul, rozpoznała Aarona, kiedy tylko otworzył drzwi. Rzuciła mu neonowy uśmiech, jaśniejszy niż jej błękitne sari.

Zupełnie inne powitanie niż za pierwszym razem, pomyślał Moe. Aaron wszedł wtedy w trakcie dyskusji o morderstwach na bagnach i kobieta zareagowała na czarną twarz z instynktowną obawą. Mimo jego szytego na miarę garnituru, przyjaznego uśmiechu, rozmyślnie niegroźnej postawy.

Ile strategii jego brat stosował, żeby ludzie na jego widok się nie denerwowali.

Moe żywił wobec Aarona takie uczucia, jakie żywił, więc nieczęsto stawiał się na jego miejscu. Ale co jakiś czas wyobrażał sobie, jak to jest „być Aaronem”, bezustannie musieć się prezentować...

– Dzień dobry. – Kobieta ukloniła się lekko. – Proszę siadać, gdzie pan zechce.

Tamtego dnia Aaron nic nie zjadł, wypił pół szklanki herbaty z goździkami. Ale zapłacił za wszystkich rachunek i zostawił duży napiwek, co kupiło mu pewien status.

Usiedli przy stoliku w rogu.

– Pan porucznik też przyjdzie? – spytała kobieta.

– Nie, proszę pani – odparł Moe.

Spojrzała na Reeda, jakby dopiero go zauważyła. Odwróciła się z powrotem do Aarona.

– Wszystko u niego w porządku?

– Tak, proszę pani – rzucił Moe.

– Nie widziałam go od paru dni.

Restauracja była drugim biurem Sturgisa. Kobieta uważała porucznika za ludzkiego psa stróża. Dorobił się tej roli, wyrzucając kilku lumpów, oraz dzięki temu, że był po prostu wielki i groźny.

– Przekażę mu pani pozdrowienia – obiecał Moe.

– Mamy świeżą jagnięcinę w bardzo dobrym curry.

Aaron poklepał się po płaskim brzuchu; Moe przypuszczał, że brat wymyśli jakąś wymówkę i zamówi herbatę.

– Chętnie – powiedział Aaron. – I proszę przynieść surówkę dla detektywa Reeda.

Kiedy czekali na jedzenie, Aaron sprawdził swojego blackberry.

– Ani chwili spoczynku – zauważył Moe.

Aaron wyłączył urządzenie.

– W Peninsuli pracuje matka Rory’ego Stoltza. Zmieniłeś zdanie, bo nie chcesz mi niczego ułatwić.

– Cokolwiek zamierzasz zrobić w sprawie Caitlin, ja nie będę cię powstrzymywał, dopóki nie przegniesz. Jeśli chodzi o to, co ci mogę dać, jak już mówiłem, nie ma nic. A spotkanie z Martha Stoltz to strata czasu. Rozmawiałem z nią dziś rano. Żadnych rewelacji.

– Czyli pracujesz nad tą sprawą.

– Podobno.

Podano jedzenie. Stosy jagnięciny w potrawce dla nich obu, miski wszystkich warzyw, jakie kuchnia mogła zaproponować.

– Proszę przekazać porucznikowi zaproszenie na smaczne dania – powiedziała kobieta w okularach.

Kiedy odeszła, Aaron popatrzył na ucztę i pokręcił głową.

– Nie dasz rady? – spytał Moe.

– Trochę za wcześnie, nie?

Moe zaczął jeść z udawanym smakiem. Nieprzetrawione śniadanie zalegało mu w żołądku, ale prędzej by padł, niż wymiękł. Może jagnięcina była lepsza niż wołowina, pod kątem cholesterolu. Dodatkowa godzina ciężarów i przebieżka utrzymałyby go w formie. Wieczorem, po spotkaniu z Liz. O ile wróciłby do domu.

– Opowiedz mi o Rorym Stoltzu – poprosił Aaron.

– Przesłuchiwałem go cztery razy, ma alibi przynajmniej na godzinę po tym, jak Caitlin wyszła z Riptide. Sprzątał w lokalu. Potem pojechał do domu, gdzie został do rana. Według Marthy Stoltz.

– Według?

– To jego matka.

– Coś kręci?

– Nie słyszałeś? Nic na nią nie ma.

Gładka linia szczęki Aarona zafalowała. Odetchnął.

– Mo...

– Może dałem dupy gdzieś po drodze, ale Sturgis wcale tak nie uważa. Pokazałem mu całą dokumentację. Stwierdził, że nic nie brakuje. Tak samo Delaware.

- Pojechałeś do Delaware’a, bo...
- Tak zaproponował Sturgis.
- Uważa, że to sprawa psychologa?
- Sturgis nie wie, co to za sprawa. Nikt nie wie. Także Delaware. Ale dziewczyna, sama w samochodzie, tak późno w nocy? Możliwości jest dużo.
- Zły człowiek na drodze – podsunął Aaron. – Tyle że nie znaleziono jej samochodu.
- No to psycholog zbiera auta jako trofea. Albo gdzieś go porzucił.
- Psychodeliczny garaż. Wyobraź sobie: rzędy samochodów ofiar, a w każdym kościotrup za kierownicą.
- Za długo się kręcisz po Hollywood.
- Żebyś wiedział, braciszku. Ale może mi to coś da.
- Dlaczego?
- Maitland Frostig twierdzi, że do Riptide przychodzą celebryci.
- Byłem tam – powiedział Moe. – Widziałem tylko pijaków i starych surferów.
- Może trafiłeś na zły wieczór. Stoltz nadal tam pracuje?
- Nie wiem.
- Dowiem się, kiedy z nim porozmawiam. Chyba że to jakiś problem.
- Rozmawiaj z nim sobie, ile chcesz. Nic nie wyciągniesz, bo jeśli chłopak faktycznie ma coś do ukrycia, to przez piętnaście miesięcy zdążył dopracować swoją historijkę.
- Czysty jak łąza, a mimo to się zastanawiasz.

Moe popatrzył na niego spod łba.

- No co?
- Mówisz jak psycholog. Przekręcasz wszystko, co powiem – obruszył się Moe.
- Bra...
- Stoltz był chłopakiem Caitlin. To wszystko.
- Był – powtórzył Aaron. – Czyli jesteś przekonany, że dziewczyna nie żyje.

– Nie wiem – odparł Moe. – Może baluje w Dubaju.

– Białe niewolnictwo. – Aaron uśmiechnął się szeroko. – Uwielbiałem to określenie.

Przeciwieństwo normalnego niewolnictwa.

Ta rasowa aluzja zaskoczyła Moego.

– A ty nie uważasz, że ona nie żyje? – spytał.

– No tak, pewnie tak. Choć przypuszczam też, że chciała uciec od tatusia. Nie miała nawet własnego komputera, korzystali z jednego. Studentka bez laptopa? Maitland może być typem kontrolującym. A dziewczyny lubią się bawić.

– Była dziewicą – zaznaczył Moe. – Podobno.

Aaron uniósł brwi.

– Jej tata ci to powiedział?

– Martha Stoltz.

– W jakim kontekście?

– Opowiadała, że Caitlin i Rory stanowili świetną parę. Prawdziwi porządni Amerykanie.

Dziewica i prawiczek.

– Po co ci to mówiła?

Moe wzruszył ramionami.

– Ja tylko cytuję.

– Nie sądzisz, że to dziwne? – zagadnął Aaron. – Środek przesłuchania, a ona nagle sama z siebie opowiada o ich życiu seksualnym?

– Braku życia seksualnego. Pewnie chciała, żebym uznał Rory'ego za grzecznego chłopca z kościelnego chóru.

– Bo taki nie jest?

– Jeśli prowadzi drugie, sekretne życie, dla mnie pozostało sekretem – skwitował Moe. – Co zamierzasz zrobić, podłożyć mu supernowoczesną pluskwę w pokoju?

Aaron przygładził krawat, poprawił wielki węzeł.

– Dziewica i prawiczek... ciekawe, mama była z nimi na tylnym siedzeniu?

– Cóż, jestem otwarty na wszelkie sugestie. Jeśli odkryjesz, że Rory należy do fanklubu Teda Bundy’ego, zainteresuję się. Ale rozmawiałem z nim cztery razy i wychodziło mi, że jest dokładnie taki, jaki twierdzi, że jest.

– Czyli?

– Ułożony, grzeczny student Pepperdine.

– To szkoła baptystów. Młody święty?

– Normalny, porządny chłopak – sprostował Moe. – Wydawał się naprawdę bardzo przejęty Caitlin. Ale bez przesady, nie jakby chciał coś udowodnić.

– Dziewice – powtórzył Aaron. – Ciekawe, czy nic się nie zmieniło po piętnastu miesiącach.

Planujesz piąte spotkanie?

– Sprawa jest wciąż otwarta.

Aaron napił się wody.

– Wolałbym, żebyś mi nie deptał po palcach – zaznaczył Moe.

– To ostatnia rzecz, o jakiej myślę, braciszku.

– Ale jeśli ci każę trzymać się z dala, nie posłuchasz. – W przetyku Moego wzbierały gazy albo kwasy czy coś innego. Pasek wrzynał mu się w brzuch jak nić dentystyczna. Od czego, trzech kawałków jagnięciny i ćwiartki bakłażana? Co oni dodawali do tego świństwa?

– Moses, moglibyśmy sobie już to odpuścić?

– Co?

– Pierdoły jak zwykle. – Aaron się zaśmiał. – Pamiętasz, jak wypaliłem temu idiocie terapeutę, że tylko rozgrzebuje stare pierdoły, a on prawie spadł z fotela?

Moe milczał.

– Nie pamiętasz, braciszku?

– Doktor Gibson – powiedział Moe. Jakby ktoś mu kazał.

– Pan Gibson – poprawił go Aaron. – Miał magistra. – Pokręcił głową. – Wypełniał papierki w sekretariacie uczelni, a wieczorami dorabiał na lewo, udając psychoanalitka.

– Mamie to nie przeszkadzało.

– Mama. – Aaron pokiwał głową. – Lubiła też tę masażystkę z nieświeżym oddechem i brodawką na

brodzie, i Polaka naturopatę, którego wszyscy wzięliśmy za lekarza, Kusorskiego.

Facet wciskał ludziom fiołki wody z niewidzialnymi składnikami, a mama kazała nam to pić na alergię. I jednocześnie wzięła do domu dwa koty.

Znów się zaśmiał.

– Stare pierdoły.

Moe pomyślał o lewym psychologu Gibsonie; nie zdołał wykrzesać z siebie wesołości.

Miał czternaście lat, Aaron osiemnaście. Obaj bez przerwy skakali sobie do oczu, czasami się tłukli.

Mój ojciec był bohaterem.

Mój też. Co? Chcesz powiedzieć, że nie był? Tak?

Mówię tylko, braciszku, że...

Pierdol się.

Sam się pierdol.

Wir przepychanki, latają pięści, mama wpada, próbuje ich rozdzielić.

Następnego dnia oznajmiła, że wszyscy idą na „terapię rodzinną”.

Poznała magistra Quentina Gibsona na zajęciach jogi.

Prowadził wizyty domowe. Cherlawy, chudy, z kucykiem, pozujący na Brytyjczyka. Niech wszyscy wyrażą swoje uczucia. Skuteczny jak prezerwatywa z papieru toaletowego.

Moe poczuł, że się uśmiecha, założył blokadę na usta.

Aaron nachylił się do niego bliżej.

– Obiecuję nie deptać ci po palcach.

– Zakładasz, że tańczymy.

– Czyli nic, co powiem, nie wywrze na tobie wrażenia.

– Nie musi. Rób, co chcesz.

– Nawet gdyby to było w moim stylu, nie zabrałbym się do tego w ten sposób, braciszku.

– Przestań.

– Co?

– Braciszkować.

Aaron szeroko otworzył karmelowe oczy.

– Mówiłem tak do ciebie całe życie.

– Właśnie.

Przesunął długim, smukłym palcem po linii włosów.

– Dobrze. Detektywie Reed.

W trzewiach Mosesa coś zabulgotało. Z trudem stłumił beknienie. Aaron powoli wypuścił powietrze.

– Oto co zrobię. – Wpadł w swój nauczycielski ton, którego Moe nie znosił. – Będę cię pytał o zgodę, zanim przesłucham Stoltza, jego mamusię czy kogokolwiek, kogo uznasz za osobę istotną dla dochodzenia. Jeśli dowiem się czegoś konkretnego, ty usłyszysz to pierwszy.

Moe grzebał widelcem w talerzu.

– Detektywie bracie Reed, jest ktoś jeszcze, kogo uważasz za istotnego?

– Tylko Caitlin – odparł Moe. – Jeśli na nią wpadniesz, poproś, żeby do mnie przedzwoniła.

Kobieta w okularach podeszła, spojrzała na nietknięty talerz Aarona. Bez śladu irytacji w głosie spytała:

– Zapakować na wynos?

Aaron obserwował mały, różowy domek.

Było tuż po dwudziestej drugiej. Od trzech godzin nie robił nic innego, tylko patrzył.

Ładna noc w Valley, sporo gwiazd spoglądających z nieba czarnego jak węgiel drzewny, wzdłuż ulicy schludne domy, cisza i spokój.

Siedział nisko zsunięty za kierownicą opla, pił zieloną herbatę, zjadł drugą połowę kanapki z pastrami, na iPodzie słuchał Anity Baker.

Moe wyszedł z restauracji, do niczego się nie zobowiązując. Aaron zostawił Hindusce duży napiwek, potem pojechał do mechanika Heinza na Pico, gdzie zostawił C4S i wypożyczył opla.

Niepozorne maleństwo, z poobijaną karoserią i matowym, brązowym lakierem. Silnik z BMW 325i, podrasowany przez czarodziejskie ręce Heinza. To najlepszy z kilku samochodów zastępczych, które Niemiec wypożyczał, kiedy pracował nad carrerami, ferrari i tym podobnymi.

Za pięćdziesiąt dolarów Aaron kupił sobie dwadzieścia cztery godziny. Przyciemniane szyby idealnie nadawały się do czekającego go zadania.

Wpisał wynajem w koszty na blackberry.

W drodze do domu zadzwonił z komórki do swojego informatora w biurze asesora hrabstwa.

Dowiedział się, że Rory Stoltz nie posiada żadnych nieruchomości, ale Martha Greta Stoltz płaci podatek od jednorodzinnego domu przy Emelita Street w North Hollywood.

– Dzięki, Henry. Mam u ciebie dług.

Śmiech.

– Jeszcze jaki.

– Czek już wysłany.

– No ja myślę.

Ten telefon to luksus. Do ksiąg wieczystych każdy miał wgląd, ale oszczędzanie czasu na dłuższą metę było dla pana Dmitriego korzystniejsze.

Pięćdziesiątka dla Henry'ego została wpisana.

Aaron mógł tę sumę naciągnąć, ale z takimi bogaczami jak pan Dmitri trzeba uważać, żeby nie przesadzić z chciwością.

Z adresem w rękę sprawdził w GPS-ie dokładną lokację, jadąc do swojego domu przy San Vicente, niedaleko Wilshire. Bez przerwy wybierał nowe numery na komórce, na czerwonych światłach stukał w guziki blackberry.

Jego dom – piętrowy budynek w stylu artdeco, zbudowany w latach dwudziestych – to jeden z ostatnich szczegółów przypominających, że kiedyś to była dzielnica mieszkalna. Z domem Aarona sąsiadowały średniej wysokości biurowce. Wieżowce przy Wilshire rzucały długie cienie na jego dach.

Kupił tę nieruchomość na licytacji komorniczej za śmieszne pieniądze. Następných pięć lat spędził na przebudowach, sporo zrobił sam. W zeszłym roku wystawił rachunki na dwieście dziewięćdziesiąt sześć tysięcy, prawie wszystkie zostały zapłacone, a bieżący rok zapowiadał się przynajmniej tak samo dobrze. Ale gdyby nie atrakcyjna cena domu, wciąż mieszkałby w bloku.

Otworzył furtkę prowadzącą na mały placzyk przed wejściem, wyłączył elektroniczny zamek, otworzył obie zasuwę i wyjął pocztę z wewnętrznej skrzynki. Parter był Krainą Pracy, wszędzie podłogi z czarnego drewna, gdzieniegdzie przykryte berberskimi dywanami. Szare ściany, chrom, skóra i szkło. Małe okna od wewnątrz obite leksanem. Niewidocznym, chyba że wiedziało się, gdzie go szukać.

Wystrój wnętrza symbolizował nowoczesność i skuteczność – wartości, których łaknęli klienci.

Tego popołudnia Kraina Pracy była cicha, wszystkie wiadomości i e-maile Aaron odebrał po drodze. Uwielbiał działać w pojedynkę.

Sprawdził jeden z trzech faksów. Świetnie. Wyraźna kopia prawa jazdy Rory'ego Stoltza, wynik nielegalnego wyszukiwania przeprowadzonego przez jego kontakt w wydziale komunikacji.

Sto zielonych. Trr-czing!

Złożył kartkę na pół, uważnie, żeby zagięcie nie przebiegało przez twarz na zdjęciu. Na górze, w Krainie Zabawy, poćwiczył w swojej siłowni, wziął prysznic, wykąpał się w jacuzzi, ogolił.

Wyluzowany, pewny siebie i zupełnie nagi, wymachując kluczami, kroczył subtelnie oświetlonym korytarzem, wyłożonym miękką wykładziną. Szedł do pokoju, dawnej tylnej sypialni.

Dostępu do środka broniły drzwi z ognistego teku na antywłamaniowych zawiasach, z przyczepioną mahoniową sylwetką eleganta w cylindrze. Aaron wszedł do środka.

Taki sam tek pokrywał ściany i kasetonowe sklepienie. Dyskretne oświetlenie podkreślało bilardową zieleń wykładziny. Powierzchnię siedem na siedem metrów dzieliły przemysłowe wieszaki z nierdzewnej stali, które Aaron kupił po okazyjnej cenie w Carlyle and Tout, kiedy ta pasmanteria w Brentwood zbankrutowała.

Lewą stronę zajmowały garnitury, sportowe marynarki z dobranymi spodniami i płaszcze, które Aaron rzadko wkładał. Chociaż swój ulubiony, ciemnobrązowy Arnold Brant od Columbo, z kaszmiru z dodatkiem norki czasami zabierał, kiedy składał dach porsche w wietrzne zimowe noce.

Po prawej stronie wisały sportowe koszule i marynarki według kolorów, czterdzieści dwie pary wyprasowanych dżinsów z przewagą Zegny, dwanaście welurowych dresów Fila – nie, trzynaście.

Ścianę w głębi zajmowały głównie koszule wizytowe. Dużo Borelliego, ale też Brioni, Ricci, Charvet, Turnbull, Armani Black Label. Na haczykach obok wisały paski i krawaty, każdy krawat z pasującą jedwabną chusteczką do kieszeni marynarki. Dookoła pokoju biegły rzędy tekowych półek, na nich zaś stały przezroczyste plastikowe pudełka ze swetrami i butami, te ostatnie precyzyjnie opisane.

„Oliwkowe zamszowe pantofle Magli”. „Czarne mokasyny ze sprzączką Paciotti”.

„Kurdybany Edmonds”.

Połowa ubrań wciąż miała metki.

Aaron wszedł między swoje skarby, muskając palcami jedwab, bawełnę Sea Island, wełnę, kaszmir, alpakę.

Zatrzymał się przy Columbo. Kaszmir i norki. Uwielbiał ten płaszcz. Jedyne w swoim rodzaju.

Dziesięć minut później wybrał zestaw na wieczór.

Strój eleganckiego mężczyzny, siedzącego na tyłku przez długi, nużący czas. Luźna, brązowa, gruba lniana koszula z czterema kieszeniami, skrojona tak, by zamaskować pistolet.

Beżowe bojówki z takiego samego, starannie marszczonego materiału, z czterema kolejnymi kieszeniami. Kremowe jedwabne skarpety. Mięciutkie buty Santoniego ze świńskiej skóry.

O szesnastej Aaron był z powrotem w West L.A., siedział w miłym saloniku uroczego mieszkania Liany Parlat przy Overland. Liana, jak zwykle przyjacielska, wydawała się szczególnie zadowolona z jego wizyty; Aaronowi przyszło do głowy, że straciła część zleceń przez strajk scenarzystów.

Poczęstowała go kawą i domowymi ciastkami z białą czekoladą. Zaproponowała też porcję dietetycznej lasagne, którą właśnie zamierzała sobie odgrzać. Aaron podziękował za jedzenie, ale wypił trzy filiżanki jak zwykle doskonałej kawy Kenya. Liana zostawiła jedzenie w mikrofalówce i usiadła naprzeciwko niego, wygięta jak modelka reklamująca bieliznę – którą kiedyś była – na skraju fotela w stylu Ludwika XIV, obitego fioletowo-brązowym brokatem.

Wciąż piękna w wieku czterdziestu jeden lat, z grzywą czarnych włosów, lśniących i starannie ułożonych, z nieskazitelną białą cerą, dzięki której mogła uchodzić za kobietę przed trzydziestką, Liana miała wystarczające charyzmę i talent, by zostać gwiazdą filmową. Po piętnastu latach niepowodzeń pogodziła się z anonimowością i godziwymi dochodami z podkładania głosu w reklamach.

Zlecenia od Aarona zasilają jej fundusz emerytalny.

Zaczęli jako kochankowie, potem zostali przyjaciółmi i okazjonalnymi współnikami w interesach.

Małe świntuszenie od czasu do czasu w niczym nie przeszkadzało; Aaron był dumny ze swojej umiejętności utrzymywania złożonych stosunków towarzyskich.

Z wyjątkiem Moego...

– Myślałam o głosie energicznym, lekko nosowym, szczerym – powiedziała Liana.

– Jak chcesz.

Podał jej zastrzeżony numer, zdobyty od informatora w firmie telekomunikacyjnej, i usiadł

wygodnie, kiedy wykręcała numer. Zawsze wierna Metodzie, przekrzywiła głowę, zmieniła pozycję, zmrużyła trochę głupio oczy.

Zmieniła się w Dziewczynę z Valley.

– Dzień dobry, zastałam Rory’ego? – Dołożyła trochę więcej zatkanych zatok. – Och... och, jasne, jestem jego koleżanką z grupy i właśnie... nie, to nic ważnego, zadzwonię później. Bardzo pani dziękuję.

Klik.

– Matka spodziewa się go w domu o wpół do siódmej.

– Dzięki, skarbie. Teraz przyjemności.

Podał jej adres Riptide przy Ocean Avenue, dwie przecznice na południe od Colorado.

Częściowo uszlachetniona okolica, gigantyczny hotel Loews przyciągał porządnych ludzi. Ale nędzne moteliki i tanie mieszkania łatwo się nie poddawały, tak samo jak podejrzane bary. W

zeszłym roku porwano tam zakładnika. Kapitan z West Valley, niejaki Decker, którego Aaron znał, wyszedł na bohatera.

– Ojciec Caitlin powiedział, że uważała tę lokalizację za wygodną, bo studiowała na Pepperdine – wyjaśnił Aaron.

– To trzydzieści kilometrów od Pepperdine – zauważyła Liana.

– Ale na trasie do Venice.

– Aha... większość drogi do domu pokonujesz samochodem, kiedy jesteś naprawdę zmęczony. Ma to jakiś sens.

– Przejechałem obok tego baru wczoraj wpół do drugiej w nocy, mniej więcej o tej porze, kiedy ostatni raz widziano Caitlin. To nieprzyjemna okolica, Lee. Zaparkuj najbliżej jak się da, na przykład przy hotelu. Weź parkingowego, jeśli chcesz.

Liana się uśmiechnęła.

– I przynieś paragon.

– Byłoby miło.

– Pan Sam Biznes.

– Oj, wiesz, że to nieprawda, skarbie. Rozumiesz, o co mi chodzi. Bezpieczeństwo najważniejsze.

– Nie mówimy tu o zakazanej dzielnicy, kochanie. Ivy at the Shore jest ile, trzy przecznice dalej?

– Czasami wystarczy jedna, Lee. Wczoraj widziałem tam meneli z wózkami z marketów i żuli kręcących się pod jednym z moteli. Jeśli coś będzie wyglądało choć trochę podejrzanie, nie zgrywaj bohaterki.

– W porządku, ale bywałam na imprezach branży w Loewsie.

– Doskonale. Oczaruj parkingowego, to może pozwoli ci zaparkować za darmo.

Zaśmiała się i uszczknęła jedną ósmą ciastka.

– Ta dziewczyna... Caitlin. Jak długo tam pracowała?

– Cztery miesiące.

– Myślisz, że wpadła w okolicy na jakiegoś psychola?

– Na razie niewiele wiem, Lee. Idź, zamów drinka, bez procentów, jeśli uważasz, że alkohol by cię przytępił. Nie czuj żadnej presji, że musisz odkryć coś wielkiego. Rozejrzyj się tylko, wycuj atmosferę.

– Jaką mam motywację, panie De Mille?

– Dwieście za pierwsze cztery godziny, czterdzieści za każdą następną.

– Ooo – powiedziała z podziwem. – Hojny klient, co? – Pytała retorycznie, bo wiedziała, że nie powinna dociekać szczegółów. – Podają tam jakieś jedzenie?

– Przynajmniej barowe.

– To ja zostanę przy swoich mrożonkach. Tylko atmosferę, tak?

– Jeśli przy okazji wyjdzie coś, co ma związek z Caitlin, będzie bonus, ale się nie spodziewam. Wątpię, by po piętnastu miesiącach ktokolwiek o niej mówił.

– Ale jeśli ktoś zacznie, to...

– Nie poruszaj jej tematu w rozmowie.

Niebieskie oczy Liany rozbłyły.

– Teraz się obraziłam.

– Przepraszam – mruknął pojednawczo Aaron. – Po prostu zależy mi na twoim bezpieczeństwie. Wiosłuj powoli i uważaj na rekiny.

– Nie wiedziałam, że surfujesz.

Aaron surfował, wiele lat temu, od zera doszedł do wymagających wód County Line Beach.

– Nie surfuję – odparł. – Mam po prostu łatwość do metafor. Podał jej zdjęcie Rory’ego Stoltza z wydziału komunikacji, potem kilka fotek Caitlin, które dostał od Maitlanda Frostiga.

– Uroczą parka.

– Dziewice – powiedział Aaron. – Według matki Rory’ego.

Liana skrzyżowała szczupłe nogi.

– Uważasz, że trudno w to uwierzyć.

– A ty nie?

– Cóż, kiedyś też byłam dziewicą. – Mrugnęła. – Do czasu.

Pięć po dziesiątej światła w małym, różowym domku zgasły.

Porządny Chłopiec wcześniej chodził spać? Aaron postanowił dać mu jeszcze godzinę.

Dziewięć minut później drzwi się otworzyły i Rory Stoltz, w ciemnej koszuli wypuszczonej na czarne dżinsy, z jasnymi włosami bardzo starannie zmierzwionymi, wsiadł do swojego hyundaia i wyjechał tyłem z podjazdu.

O światłach przypomniał sobie dopiero pół przecznicy dalej.

Aaron zaczekał, aż Stoltz dotrze do skrzyżowania, i sam ruszył za nim z wyłączonymi światłami. Kiedy Stoltz skręcił na południe w Lankershim, Aaron pstryknął reflektory i włączył

się do ruchu. Trzymając się trzy długości samochodu z tyłu na sąsiednim pasie, dobrze widział

hyundaia.

Rory skręcił w prawo w Ventura, potem w lewo w Laurel Canyon, na południe w stronę miasta. Aaron wpuścił przed siebie mercedesa i rangę rovera.

Stoltz jechał powoli i ostrożnie. Za wcześnie hamował przed zakrętami i spowalniał ruch, aż mercedes się zniescierpliwiał i podjechał zderzak w zderzak, żeby spędzić niedzielnego kierowcę z pasa.

Hyundai przepuścił mercedesa i rangę rovera.

Aaron też go wyprzedził, mając nadzieję, że Rory nie zjedzie na boczny pas.

Nie zjechał, trzymał się kanionu aż do Sunset.

Włączył lewy kierunkowskaz daleko przed skrzyżowaniem.

Oba samochody pomknęły na wschód. Trzy przecznice dalej Rory zwolnił tuż przed czarnym tynkiem i czerwonym kamieniem wulkanicznym fasady ColdSnake. Jak zwykle przed czarnym aksamitnym sznurem stała kolejka durniów. Samoński bramkarz w białym skórzanym kombinezonie i za małym meloniku krzywił się groźnie, żeby nie wyjść z wprawy. Jego cielsko blokowało wejście.

Stoltz miał tupet – zaparkował za rubinowym, przedłużanym hummerem i limonkowym lamborghini gallardo. Mały samochodzik wyglądał jak pryszcz na tyłku hummera. Aaron czekał, aż bramkarz odpędzi chłopaka.

Ale Samończyk pozwolił hyundaiowi zostać. Chwilę później Rory został wpuszczony do środka; durnie wyciągali szyje, żeby zobaczyć, kto zasłużył na ten przywilej.

Porządny Chłopiec miał status VIP-a w jednym z najmodniejszych klubów w mieście.

Prawiczek, akurat.

Moe Reed pojechał do hotelu Peninsula.

Dochodziło południe; uznał, że ma spore szanse złapać Marthę Stoltz w przerwie na lunchu.

Parkingowy hotelu popatrzył na jego nieoznakowany wóz, jakby ten przenosił jakąś chorobę.

Moe wręczył mu kluczyki.

– Pilnuj go, ma wygrać następną Daytonę.

Parkingowy udał, że jest głuchy.

W hotelowym westybulu roiło się od bogatych turystów i typów z branży. Moe dwadzieścia minut przedzierał się przez kolejne szereby kierowników, żeby namierzyć Marthę. W pustej sali bankietowej rozmawiała z kilkoma kelnerami. Zauważyła go i skrzywiła się, jakby właśnie wypła mydlane martini.

Była wysoką, chudą kobietą z prostymi, rudymi włosami, wydatnym podbródkiem i opadającymi kącikami oczu. Zaczęła mówić dalej. Kelnerzy popatrzyli na Moego.

W kieszeni zawibrował mu telefon. Pozdrowienia od Liz. Odpisał. „Robota, I godz. ok”.

Gdy chował telefon, Martha zakończyła spotkanie i obsługa się rozeszła.

– Dzień dobry, pani Stoltz.

– Coś się zmieniło, odkąd rozmawialiśmy dziś rano?

– Chciałbym – odparł Moe.

Spojrzała na niego z napięciem w oczach. Ciemnozielonych, z bursztynowymi plamkami.

– Wobec tego nie rozumiem.

– Jak wspominałem, aktualizuję informacje. Co u Rory’ego, jak się miewa, gdzie mogę go znaleźć.

– Już to omówiliśmy.

– Niezupełnie. Powiedziała mi pani, że nie powinienem z nim rozmawiać.

– Tak to pan ujmuje, jakbym... cokolwiek utrudniała. Nie utrudniam, detektywie Reed. Nie chcę po prostu, żeby Rory znów się stresował.

– Odpowiadanie na pytania to dla niego stres?

– Uczciwi ludzie nie są przyzwyczajeni do rozmów z policją, detektywie. W kółko te same pytania. Panu by to nie przeszkadzało? A teraz pan się zjawia, bez uprzedzenia, w środku dnia pracy, tylko dlatego że jestem jego matką? To mnie stresuje.

– Naprawdę mi przykro. Pomyślałem, że złapię panią na przerwie...

Śmiech Marthy Stoltz był kruchy.

– Przerwa? A co to takiego?

– Ciężki dzień?

– Ciężkie życie, detektywie Reed. Ten hotel to małe miasto, nie mogę sobie pozwolić na nieuwagę. Proszę nie zrozumieć tego źle, ale nękanie mojego syna bardzo mnie wytrąca z równowagi.

– Nic mi nie wiadomo o żadnym nękaniu, proszę pani. Clipboard przemieścił się z jednej ręki do drugiej.

– Dość naoglądałam się policyjnych seriali, żeby wiedzieć, że uwaga zawsze skupia się na kimś, kogo ofiara знаła. Ale z Rorym już pan wszystko załatwił.

Moe zakołysał się na piętach.

– Gdyby to był mój syn, czułbym się tak samo, proszę pani. Niestety, sprawa została otwarta na nowo.

Zaczekał na reakcję. Nic.

– Jeśli Rory nie chce ze mną rozmawiać... cóż, jego prawo.

– Ale wtedy pan nabrałby jeszcze większych podejrzeń – skwitowała Martha Stoltz. – To paragraf 22.

– Rory wciąż studiuje na Pepperdin?

– Na trzecim roku... o nie, niech go pan nie upokarza, przyjeżdżając na kampus.

– Upokarza?

– Policja rozmawia z nim przy kolegach? Dla pana byłoby to miłe?

Moe uznał, że Stoltz przesadza, i cholernie go to zastanowiło.

– W porządku. Gdzie jeszcze mogę zastać Rory'ego?

– Wciąż mieszka ze mną ale nie podam panu jego dokładnego rozkładu dnia. Jest dorosły, detektywie. Wychodzi i wraca, kiedy chce.

– Pracuje jeszcze w The Riptide? – spytał Moe.

– Riptide – odparła Martha Stoltz. – Bez „the”. – Jej spojrzenie powiedziało mu, że właśnie oblał ważny sprawdzian. – Nie, nie pracuje tam. Niedługo po tym, jak zginęła Caitlin, musiał odejść.

– Musiał?

– Bolały go wspomnienia. Opłakiwał ją detektywie.

– Gdzie teraz pracuje?

Clipboard został przyciśnięty do piersi.

– Jest zarejestrowany w agencji pracy tymczasowej. Chciał się skupić na nauce, nie związywać się sztywnymi godzinami.

– Pracuje teraz dla kogoś?

Wahanie.

– Pani Stoltz?

– Nie chcę, żeby stracił pracę.

– Mówiąc mi, co i gdzie robi?

– Gdyby odwiedziła go tam policja, byłby skończony. On uwielbia tę pracę, detektywie.

Świetnie zarabia, a mamy jeszcze dwa lata chesnego do opłacenia, potem studia prawnicze, jeśli się zdecyduje.

– Proszę pani, obdzwoń wszystkie agencje w mieście i dowiem się, czego potrzebuję. Może nie komplikujmy spraw i...

– Mason Book. W porządku? Pracuje dla Masona Booka jako osobisty asystent.

Powiedziała to niechętnie, ale też z pewną dumą.

– Tego aktora – zauważył Moe i natychmiast zdał sobie sprawę, jak to głupio zabrzmiało.

Nie, pediatry.

– Teraz pan widzi, dlaczego dyskrecja jest tak ważna. Do obowiązków Rory’ego należy między innymi chronienie Masona przed niechcianym rozgłosem.

Mówiła o gwiazdorze po imieniu. Czyli tak prawdopodobnie robił Rory. Dobre stare nieoficjalne

L.A. A może Martha Stoltz czytała za dużo tabloidów, uważała, że celebryci to jej kumple.

Są tacy sami jak my.

Nie, wcale nie są.

– Mason sobie radzi? – spytał Moe.

– Z czym?

– Z tego co wiem, miał problemy osobiste.

Było to pewne niedopowiedzenie, biorąc pod uwagę kłopoty aktora z narkotykami i głośną próbę samobójstwa w zeszłym roku.

– Wszyscy oni mają problemy osobiste. – Martha omiotła wzrokiem salę bankietową. –

Wszyscy... pracuję tu od piętnastu lat, mogłabym panu co nieco opowiedzieć. – Zesztywniała. –

Ale nie opowiem. I Rory też nie.

– Proszę pani, nie obchodzi mnie, czy Mason Book dostaje pryszczki, czy robi się fioletowy, jak wypije. Tak samo wszyscy inni. Ja chcę się dowiedzieć, co się stało z sympatyczną dziewczyną Caitlin Frostig. – Twardzielska brawura w głosie. I kto tu teraz gra?

– Wiem, że ten człowiek cierpi. Ojciec Caitlin. Dzwoniłam do niego niedługo po jej zniknięciu. Żeby zaproponować wsparcie, jak rodzic rodzicowi. Podziękował, rozłączył się, a ja zrozumiałam, że byłam głupia. Zakładałam, że mogę mu coś zaoferować. Współczucie się cholernie nie opłaca, detektywie. – Jej spojrzenie zmiękło. – Sama straciłam dziecko.

Siedemnaście miesięcy przed urodzeniem Rory’ego. Nazywała się Sarah, miała najśliczniejsze piwne oczka na świecie. Żyła tylko trzy miesiące. Kiedy znalazłam ją w łóżeczku, nie oddychała.

– Przyk...

– Kiedy Rory skończył dziewięć lat, zmarł jego ojciec. Myślałam więc, że mogę zaoferować panu Frostigowi coś w rodzaju zrozumienia. Ale nikt nigdy nie zrozumie, co naprawdę czuje druga osoba, to tylko bzdura telewizyjnej psychologii. Trafiamy na tę planetę na kilka lat, my i nasze cienie, detektywie Reed. Może ktoś na górze pociąga za sznurki, nie wiem. Każdy, kto panu mówi, że wie, chce wyłudzić pieniądze albo wygrać w jakichś wyborach.

– Proszę pani...

– Rory to dobre dziecko, proszę go nie narażać na utratę pracy. Jest dla niego idealna, daje mu start w branży.

– Chce być aktorem?

– Prawnikiem zajmującym się rozrywką, a może agentem. Najważniejsze są kontakty, więc szczęście, że się wstrzelił na samej górze. Mason może i ma kłopoty, ale dobrze traktuje mojego syna, a Rory uwielbia tę pracę. – Ściszyła głos. – Miły młody człowiek. To znaczy Mason. Rory przyprowadził go tu na śniadanie, ja go osobiście obsługiwałam i był bardzo uprzejmy.

– To wspaniale – stwierdził Moe.

– Co takiego?

– Że sukces nie przewrócił mu w głowie.

– Tak, rzeczywiście – przyznała Martha Stoltz.

Bar Riptide był przesiąknięty zapachami tequili, wody po goleniu i lekko nieświeżego tłuszczu do smażenia.

Liana Parlat usiadła na końcu baru pokrytego skutniczym lakierem, świadoma tego, jak przyciągała męskie spojrzenia, kiedy szła przez salę.

Długą, ciemną salę, podobną do tunelu. Z boku – podwójne drzwi prowadzące do niewielkiej części jadalnej. W środku nikogo nie widziała.

Za to w barze wiele się działo. Kilka par po trzydziestce, reszta – grupki mężczyzn. W tle grali Beach Boysi.

Don't worry, baby. Jej ulubiona piosenka. Prowokowała uśmiech.

Uśmiech zwrócił uwagę barmana z kucykiem. Liana zamówiła Grey Goose Greyhounda, z lodem i twistem.

– Z sokiem z różowych grejpfrutów, jeśli macie.

Kucyk się uśmiechnął.

– Przykro mi, tylko zwykły.

– Niech będzie.

– Mogę dać kapkę żurawin, jeśli pani chce. Dla koloru.

– Wie pan co, może jednak poproszę Seabreeze.

– Dobry wybór.

Kucyk zabrał się do pracy i kilka chwil później postawił przed Lianą wyjątkowo duży koktajl. Plasterek pomarańczy, co lubiła. Maraschino, czyli zupełnie źle.

– Mniam – powiedziała.

– Smacznego.

Powoli popijając, zaczęła chłonać atmosferę baru. Z głośników poleciało *Goodvibrations*.

Niezły kawałek, ale poprzednie – piosenki surferów – lepiej pasowały do wystroju.

Doszła do wniosku, że jest dość oryginalny: ściany pokryte szorstką, cedrową boazerią, lakierowane zwoje konopnych lin, okrętowe latarnie, okrągłe szklane kule, kilka bojek.

Przynajmniej dwa koła sterowe na widoku; założyłaby się, że kolejne są w sali jadalnej.

Wszystko to prawdopodobnie pochodziło z poprzedniego wcielenia baru – robotniczej spelunki.

Przed przyjazdem tutaj odpaliła swojego starego maca i poczytała o lokalu. Znalazła kwiecisty artykuł z turystycznej części „Timesa” sprzed trzech lat. Podkreślano „radosny nastrój niczym u Jimmy’ego Buffetta” i okazjonalne „spontaniczne” odwiedziny celebrytów.

Britney, Paris, Brangelina, Mel, Mason, nawet Gubernator. Rzekomo najbardziej smakowało im Meyer Rum Tsunami. Jakby cokolwiek, co ci ludzie robili, było spontaniczne. Drętwo, ale czego się spodziewać po gazecie, w której połowę działu „rozrywka” stanowiły komunikaty wydawane przez działy prasowe studiów filmowych?

Liana nie trafiła na żadne gorące nazwiska, więc popularność lokalu wśród sław należała już do historii.

Celebryci, jak rekiny, potrzebowali ruchu, żeby oddychać.

Idąc do Riptide z Loewsa, nie zauważyła żadnych paparazzich ani limuzyn.

Zobaczyła za to kilku bezdomnych. Aaron miał rację. Jeden przyprawił ją o dreszcze; śledził

ją wodnistym wzrokiem, a ona wyobraziła sobie, jak mógł chwycić Caitlin i zawlec do zaułka. Zamiast zignorować lumpa, zatrzymała się i zmiażdżyła go spojrzeniem.

Ryzykowny ruch, ale musiała zaufać swojemu instynktowi.

Żuł się skulił, ruszył z wózkiem dalej wzdłuż Ocean; wózek podskakiwał i szczeekał na chodniku od dawna wymagającym naprawy.

Szkoda, że tacy goście nie musieli zawieszać na swoich wózkach specjalnych tablic rejestracyjnych. „Wariat”.

Liana popijała drinka i dyskretnie się rozglądała. Ktoś w drugim końcu baru się zaśmiał. Z

głośników polecili Jan and Dean. *Dead man’s curve*, złowieszczą przepowiednią wypadku samochodowego Jan.

Wesoła piosenka o tragedii... przynajmniej podłoga była z prawdziwej dębiny, a nie z tandetnej podróbki.

Liana wiedziała wszystko o tandecie. Dzięki niej zarabiała na życie – swoim głosem reklamowała, co tylko się dało.

Urodą i inteligencją zarabiała u Aarona.

Niezupełnie o tym marzyła dawno temu, w Południowej Dakocie, ale na tym etapie życia łapało się

każdą rolę, jaka się nawinęła.

Dziś wieczorem postawiła na styl seksowny, ale umiarkowany: czarny sweter z dekoltem, biały trójkąt bluzki ukrywający – choć nie do końca – rowek między piersiami, obcisłe szare spodnie z wełny z lycrą, otulające ją jak kochanek.

Brak konturu majtek sugerował nagą skórę pod spodem, ale tak naprawdę Liana miała na sobie opięte rajstopy.

Wszyscy mówili, że wygląda młodo jak na swój wiek, ale ona chlubiła się swoim dystansem do samej siebie, więc nie zamierzała udawać, że jej tyłek i brzuch są takie same, jak kiedy zgłaszała się na casting „Playboya”.

Dwadzieścia lat temu.

Całe życie gwiazdki; czasami wydawało się jej, że to było wczoraj.

Wyszła z sesji „Playboya” rozpromieniona pochwałami fotoedytora. Dwa dni później zadzwonił, żeby delikatnie jej odmówić. Dwadzieścia cztery godziny potem znów zadzwonił, żeby się z nią umówić.

Do głowy od razu wskoczyła jej idealna riposta.

„Przykro mi, ale ograniczam swoje życie towarzyskie do spotkań z mężczyznami, którzy mają jaja”.

„Przykro mi, Luigi, już jestem zajęta”, powiedziała.

Dwadzieścia... dwadzieścia jeden lat temu.

Rany!

– Często tu wpadasz? – spytał nieznajomy baryton.

Na tyle głośno, żeby dało się go słyszeć przez muzykę. Liana spojrzała w prawo.

Nerwowo uśmiechnięta twarz. Facet mniej więcej w jej wieku, z lekką nadwagą ale ogólnie porządny. Siedział nad kuflem piwa. Jasne włosy, popołudniowy zarost, przyjemne męskie rysy; dziesięć lat temu musiał być łakomym kąskiem.

Ciemny garnitur, jasnobłękitna koszula rozpięta pod szyją wygodne buty.

– Co taka ładna dziewczyna robi w takim lokalu? – ciągnął. – Dobrze, że rano ćwiczyłem, bo niełatwo cię poderwać. Miałaś chyba matkę rzeźbiarkę, bo jesteś w świetnej formie. Jeszcze chwilę temu myślałem, że doskonałość to tylko idea.

Liana wytrzeszczyła oczy.

Mężczyzna wzruszył ramionami, uśmiechnął się.

Usta Liany mimowolnie odwzorowały uśmiech.

– Teraz, skoro zużyłem już wszystkie świeże teksty, pora na te wyświechtane.

– Piszesz dla Leno?

– Gdybym pisał, nie męczyłby się z Lettermanem. – Wyciągnął dłoń. – Steve Rau.

Zamiast ją uścisnąć, Liana krótko zasalutowała i znów odwróciła się przodem do baru.

Bluzka podjechała jej na plecach, odsłaniając skrawek ciała. Obciągnęła ją, kiwając głową w rytm muzyki.

– Au – jęknął Rau. Ale dobrodusznie.

Kątem oka dostrzegła ruch. Gestem zamówił kolejne piwo.

Słynnym spojrzeniem z ukosa i przyjrzała się krojowi jego garnituru. Przyzwoity, ale nieszyty na miarę ani bardzo drogi. Koszula z oksfordu, na oko osiemdziesiąt dolarów. Buty –

pospolite, czarne mokasyny, raczej nie z cielęcej skóry. Ogólnie: solidne, nie tandeta, nie elegancja. Może Nordstrom.

Pracując dla Aarona, tego i owego się nauczyła.

– Zaproponowałbym ci drinka, ale jeszcze się męczysz z pierwszym – powiedział Steve Rau.

– I znów mogłabyś mnie potraktować po wojskowemu.

Liana parsknęła śmiechem.

– Orzeszki albo krewetki, Steve? – spytał barman.

– Nie, dzięki, Gus. „Często tu wpadasz?”

Aaron chciał tylko, żeby wczuła się w atmosferę, ale właśnie trafiała się jej sposobność.

Przećwiczyła w głowie tekst na otwarcie, odrzuciła go, poszukała następnego. Rau ułatwił jej sprawę.

– To moje drugie piwo i ostatnie – oświadczył. – Do publicznej wiadomości.

Odwróciła się z wdziękiem, pokazała mu więcej twarzy i ciała. Ciepły, szczery uśmiech.

– Wcielenie umiaru.

– Umiarkowany, rozsądny, odpowiedzialny. Gus może potwierdzić.

– A często jest o to proszony?

Rau się zaczerwienił. Zaśmiał.

– Dopiero od trzech miesięcy. – Wysunął lewą dłoń. Błady pierścień skóry na serdecznym palcu. – Jak to mówią, rozstanie w przyjaźni.

– Nie wiedziałam, że to jest możliwe – powiedziała Liana.

– Nie jest.

– O, przepraszam.

– Nie przejmuj się. Nie zamierzam się tu rozklejać ani wypłakiwać.

– Podwójna gwarancja, co?

Muzyka wróciła do Beach Boysów. *Little deuce coupe*. Oboje popijali w milczeniu. Liana się nie spieszyła, bo taki miała styl, nawet kiedy nie pracowała. Mężczyznę trzeba utrzymywać w stanie lekkiej dezorientacji.

– Skoro tu bywasz, to wiesz, że ja nie – zauważyła.

– Wizyta w L.A.? Pytam, bo czasami kobiety wpadają tu z hotelu.

– Nie, jestem stąd. – Jeśli nie liczyć baz wojskowych w sześciu innych stanach.

– *Rara avis* – zauważył Rau. – Rzadki ptak.

– *Quo vadis* – odparła Liana. – *Non sequitur, ipso facto*. A więc, Steve, czym się zajmujesz, oprócz popijania heinekena i popisywania się łaciną?

Skinął na barmana.

– Gus, czym się zajmuję, kiedy się nad sobą nie uzalam?

– Jesteś szpiegiem – odparł barman.

– Zero zero coś tam?

– Gus koloryzuje – sprostował Rau. – Pracuję w RAND-zie, tym think tanku* [RAND

Corporation – amerykański think tank (ośrodek nonprofit zajmujący się analizami i badaniami dot. spraw publicznych).

Korporacja RAND ma duży wkład w naukę; prowadzi badania w wielu zakresach: obronność,

terroryzm, edukacja itp. (przyp.

red.)] , niedaleko stąd, na Main.

– Płacą ci za myślenie.

– Oficjalna nazwa stanowiska to analityk bezpieczeństwa.

– Co analizujesz?

– „Shoe-bomberów” i debili z ładunkami pod płaszczami. – W jego łagodny baryton wkradły się ostrzejsze tony. – Ale nie zamierzam obrażać twojej inteligencji, udając tajnego cywilnego współpracownika. Mam tytuł z ekonomii. Bawię się statystyką, wyszukuję trendy. Ostatnio robiłem więcej analiz finansów niż bezpieczeństwa. To tak ekscytujące, jak przyglądanie się porostom brody.

– Mimo wszystko, przynajmniej wiesz, że robisz coś ważnego. Ilu ludzi może to o sobie powiedzieć?

– Z jakiegoś górnolotnego, teoretycznego punktu widzenia to prawda. Ale połowę czasu zajmuje mi wypełnianie wniosków o granty i chodzenie na spotkania. Kiedyś robiłem coś jeszcze bardziej mrożącego krew w żyłach. Zgadniesz?

– Wykładowca akademicki.

Wytrzeszczył oczy.

– To takie oczywiste?

– Masz doktorat.

– Powiedziałem, że mam tytuł.

– Wywnioskowałam.

Rau się zaśmiał.

– Stanford? – zgadywała dalej Liana.

– Chicago.

– Gdzie wykładałeś?

– W community college’u. Nigdzie nie miałem umowy na czas nieokreślony, więc postanowiłem zmienić bieg kariery. Bardzo zależało mi na uczeniu, myślałem, że RAND będzie tymczasowy. Od tamtej pory minęło dwanaście lat. Tyle w temacie wykrywania trendów.

Liana się uśmiechnęła.

Na kilka chwil zapadła między nimi cisza.

– No a czym ty się zajmujesz, tu wstaw imię? – spytał Rau.

– Laura. – Rzuciła pseudonimem, którego używała na sesji „Playboya”, bo brzmiał podobnie do jej prawdziwego imienia.

Laura Layne. Czasami nosiła w torebce różowe, satynowe wizytówki... Dwadzieścia jeden lat temu.

– Laura – powtórzył Rau. – Więc co wypełnia ci dni?

– Akurat jestem wolna – odparła. – W swoim CV mam pracę w charakterze przedszkolanki, sekretarki, dekoratorki wnętrz, pomocy domowej i, przed tym wszystkim, kelnerki, wielka niespodzianka.

– Aha. – Rau kiwnął głową. – W ilu zagrałaś pilotach?

– To takie oczywiste?

– RAND nie za to mi płaci, żebym nie czytał tłustego druku.

– Cóż, RAND tym razem by zaoszczędził. Aktorstwo to nie moja działka. Jak mówiłam, jestem rodowitą Kalifornijką, a nie dzieciakiem, co przyjechał autobusem z Iowa.

– Przepraszam za takie przypuszczenie. Czy mogę się z tego wykaraskać, obracając to w komplement „wyglądasz jak aktorka?”

Liana obróciła się na stołku i pokazała mu wszystkie swoje walory wprost.

– Mówią mi tak bez przerwy. I owszem, uważam to za komplement. Rau udał, że ociera czoło.

– Uff... czyli... pytam z wielką obawą... dlaczego trafiłaś akurat do tego baru?

– Byłam w Loewsie, na kolacji ze znajomymi. Wcześniej się skończyła. Rodziny, dzieci, przyziemne obowiązki. Ja nie byłam jeszcze gotowa na spokojny wieczór z Kurtem Vonnegutem.

– *Rzeźnia numer pięć!*

– *Witajcie w małpiarni.*

– Tego nie czytałem... Kiedyś poznałem Josepha Hellera. *Paragraf 22!*

– Naprawdę?

– Aha. Chodziłem do piątej klasy, a on miał pogadankę na uniwerku. Mój tata, wykładowca w szkole lekarskiej, uparł się, żeby mnie ze sobą zabrać. Chciał, żebym nasiąknął antywojennym nastrojem. W wieku dziesięciu lat byłem mocno apolityczny.

– Tata nie był.

– Tata miał bardzo surowe zasady. – Rau mocno podkreślił słowo „bardzo”; rysy jego twarzy na moment stwardniały.

Gniew sprawiał, że facet wyglądał pociągająco męsko.

– Zabrał cię ze sobą – wróciła do wątku Liana.

– Tak, a potem zaciągnął mnie do Hellera. Rozwodząc się, jakim to tamten jest geniuszem, a ja cały czas byłem myślami gdzieś daleko. Ojciec uścisnął Hellerowi dłoń, mnie też kazał, i wygłosił wielką mowę, że *Paragraf 22* to największe antywojenne dzieło świata. Heller popatrzył na niego i mówi: „To nie jest o wojnie, tylko o biurokracji”.

– Biedny tata.

– Zmieszał się, ale nie na długo. W drodze do domu poinformował mnie, że autorzy czasami sami nie znają swojej motywacji.

– Motywacji – powtórzyła Liana. – Wykładowca w szkole lekarskiej. Stawiam na psychiatrę.

Uśmiech Raua był szeroki i ciepły. Ładne zęby.

– Powinnaś pomyśleć o RAND-zie.

– Akurat by mnie przyjęli.

– Zdziwiłabyś się.

– Żebyś wiedział.

Chwila ciszy.

– Czyli jesteś akurat wolna. Przyjemnie.

– Bywa.

Rau podrapał się w skroń.

– Lauro, nie jestem w tym dobry, ale... skoro już jadłaś kolację, proponowanie, żebyśmy się przenieśli do sali jadalnej raczej nie wchodzi w grę. Pryśnicie z tego baru też, jak sądzę.

– Nie słyszałam pytania, Steve. Ale tak, raczej tu zostanę.

Rau uderzył się w pierś, schylił głowę.

– Aaargh. Nadzieje legły w gruzach.

Liana dotknęła jego rękawa. Gładki materiał, może lepszy niż oceniła na początku.

– Steve, nie byłabym zbyt rozsądna, gdybym poszła z kimś, kogo dopiero poznałam.

– Oczywiście... Czy zachowałbym się niestosownie, gdybym cię poprosił o numer?

Biedak cały poczerwieniał.

– Może dasz mi swój?

Spodziewała się kolejnego wybuchu samokrytyki, ale Rau wyglądał na zadowolonego; wyjął z kieszeni wytarty portfel, potem wizytówkę RAND-u.

Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało koszerne. Łatwo sprawdzić.

Schowała wizytówkę do torebki. Może się przydać.

– W każdym razie... – zaczął Steve Rau. – Jak mówiłem, naprawdę nie jestem w tym dobry.

– Praktyka, praktyka, praktyka. – Poklepała go po ramieniu. – Od dawna Riptide tu działa?

Zmiana tematu go odprężyła.

– Jako Riptide? Z pięć lat. Dostał tę nazwę, kiedy kupiły go jakieś filmowe szychy. Nikt sławny, producenci i tacy tam. Przedtem był tu lokalny bar U Smileya, a jeszcze wcześniej The Riptide. Nie wiem dokładnie, ile ten przybytek ma lat, ale przynajmniej czterdzieści.

Zabrzmiało to jak „wieki”. Liana powstrzymała wzdrygnięcie.

– Nie ma już „the” – zauważyła. – Szychy z branży uznały, że tak jest modniej.

– Nie, poskąpili kasy. Burza strąciła kawałek szyldu. Zamiast niego przyczepili neon ze szklanką martini.

– Subtelne – powiedziała. Rau się zaśmiał.

– To tragedia, Lauro.

– Co takiego?

– Poznaję inteligentną kobietę, która wygląda jak gwiazda filmowa, a ona jest dość rozsądna, żeby nie dać się kierować impulsom.

Liana się uśmiechnęła.

– Pewnie gdybyś się zgodziła ze mną wyjść, zastanawiałbym się, czy jesteś rozsądna. –

Wzruszył ramionami. – Historia mojego życia. Dwuznaczności i gdybanie. Ekszona mówiła, że to doprowadza ją we mnie do szału. Brak, cytuję, „konstruktywnej lekkomyślności”. Dlaczego, żeby

dojść do tego wniosku, potrzebowała jedenastu lat i podziału majątku, tego nie umiała wytłumaczyć.

– Zaczerwienił się mocno. – Przepraszam, to było szalenie niezręczne i niestosowne.

– Przestań – powiedziała Liana. – Ledwie masz to za sobą. Minęły tylko trzy miesiące.

– Trzy miesiące temu przysły dokumenty. Żyliśmy w separacji trzy lata. – Jego mina mówiła, że nieprędko porzucił nadzieję.

– Steve, ja akurat doceniam, że rozumiesz potrzebę ostrożności. Dla dziewczyny ostrożności nigdy dość. Nawet w lokalu takim jak ten.

Nie odpowiedział.

– To spokojne miejsce? – spytała.

– Nigdy nie widziałem tu rozróby – odparł. – A Gus ma oko na poziom upojenia. Tak, raczej spokojnie. Ale kiedy pojawiali się celebryci, dwa, trzy lata temu, bywało... trochę inaczej.

– Jak to inaczej?

– Długie pobyty w łazience. – Rau dotknął nosa. – Wyraźnie nieletnie dziewczyny, podrabiane dowody. Ludzie wstawali i tańczyli wolne, chociaż muzyka nie pasowała.

– Brzmi wesoło.

– Bardzo. Przestałem na jakiś czas tu przychodzić. Teraz cisza, spokój. Właściciele na pewno odczuli to na kieszeni, ale ja i reszta stałych bywalców nie tęsknimy za tamtymi czasami.

– Celebryci – podchwyciła Laura. – Fakt, czasami się panoszą. Rau zabrał się agresywniej za swoje piwo, wypił dwa duże łyki. Pocięło mu odrobinę po brodzie, wytarł ją chusteczką.

– Dlaczego egomaniacy już tu nie zaglądają, Steve?

– Znaleźli sobie nowe miejsce. Tak z nimi jest, liczy się tylko to, co najświeższe.

– Aha.

Rau opróżnił kufel. Spojrzał na barmana, ale kiedy Gus wskazał nalewak, Steve pokręcił głową.

– Czyli minęły dwa lata, odkąd sławni i bogaci tu balowali – powiedziała Laura.

– Dwa, trzy. Ironia losu. Wtedy, przy tych wszystkich ochroniarzach i kierowcach można by pomyśleć, że będzie tu bezpiecznie jak w przedszkolu. Ale okazało się wręcz odwrotnie. Same problemy.

Ujął pusty kufel w obie dłonie. Muzyka przełączyła się na Briana Wilsona śpiewającego o cudach w swoim pokoju.

– Jakie problemy, Steve?

– Nieważne. Za nic nie chciałbym cię spłoszyć. Bo naprawdę zależy mi, żebyś tu wróciła.

Popatrzył na nią. Łagodne, piwne oczy.

– Jestem już dużą dziewczynką – obruszyła się.

– To nic ważnego, stare dzieje.

– Daj spokój, Steve. Niełatwo mnie przestraszyć.

Stuknął się w czoło.

– Wprost doskonale, Rau – zakpił z siebie.

– Co się stało?

– Nie mówię, że to miało cokolwiek wspólnego z tym barem. Bo wydarzyło się na zewnątrz... o Boże, naprawdę nie wychodzi mi bycie singlem.

Liana zwilżyła wargi seabreezem. Ledwie go napoczęła, była czujna i gotowa.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – spytał.

– Chcę.

– Dziewczyna, która tu pracowała, w sali jadalnej jako hostessa, wyszła po swojej zmianie i nikt jej więcej nie widział. Ale tutaj włos jej z głowy nie spadł. Zresztą to było z półtora roku temu... więc chyba jeszcze za czasów celebrytów. Przynajmniej tak to zapamiętałem. Ironia losu, mówiłem. Niedługo później wydarzyło się coś jeszcze. Pewna para, turyści mieszkający w Loewsie, wpadli na kilka drinków i też zniknęli. O tym mówili w wiadomościach. Wspomnieli o Riptide jako ostatnim miejscu, gdzie ich widziano. Potem przestałem się tu pojawiać.

– Rozumiem, że się wystraszyłeś.

– Nie, tylko... Maria przestała chodzić do poradni małżeńskiej, byłem sam... przepraszam.

Teraz już na pewno tu nie wrócisz.

– Steve, nie pozwalam, żeby rządziły mną cudze nieszczęścia.

– A ja, dzień w dzień, nurzam się w cudzych nieszczęściach. Dzisiaj tworzyłem algorytmy związków między kryzysami gospodarczymi a aktywnością rebeliantów w Malezji.

– Jakie prognozy dla Malezji?

– Nie chcesz wiedzieć.

Nagle wstał.

Wyższy niż myślała i wcale nie taki gruby. Odrobina miękkiego brzucha, ale szerokie, kanciaste bary i długie, silne nogi. Rzucił kilka banknotów na bar i wyciągnął rękę.

– Wspaniale było cię poznać, Lauro. Poważnie.

Tym razem uścisnęła jego dłoń. Chłodna, sucha, gładka skóra.

– Jeśli z jakiegoś powodu tu wrócisz, mam nadzieję, że akurat będę.

Westchnął i przycisnął jej dłoń do ust, potem szybko puścił i pokręcił głową.

– Palant – wymamrotał.

Zanim zdążyła zaprzeczyć, wyszedł.

– Biedny Steve – powiedział ktoś siedzący dalej przy barze. – Żona zupełnie go zgnoiła.

Pół ciasteczka – powiedziała Liz Wilkinson.

– Słucham? – spytał Moe Reed.

– Jak w oreo. Jesteśmy jak pięćdziesiąt procent ciasteczka, skarbie. A może siedemdziesiąt, bo całe nadzieje jest tutaj.

Ścisnęła jego pośladki. Jej gładkie, brązowe ciało leżało na twardych pagórkach bladej, piegowanej muskulatury.

Stykali się biodrami. Wszędzie posklejani. W końcu przestali się całować.

– A oreo nie jest na odwrót? – prychnął. – Czarne na zewnątrz, białe w środku?

– Adaptuję do własnych celów.

– Twórczo.

– Miło mi, że się zgadzasz. – Zaśmiała się.

Moe uwielbiał ten śmiech.

Kilka chwil później:

– Liz, w oreo ciemna część jest chrupka, a nadzieje miękkie. Czyli my to odwrotne oreo?

Podparła się i spojrzała mu w oczy.

– Zostałeś filozofem?

Wyciągnął szyję, żeby ją pocałować. Kiedy ich usta się rozdzieliły, przycisnął wargi do długiej, gładkiej szyi. Znow opadła się na niego.

– Pan Dosłowny.

– Moja dziewczyna jest naukowcem, chcę się wyrażać ściśle. – Pomasażował jej plecy. –

Naukowiec z zawodu, piękność z natury.

Liz uśmiechnęła się do siebie i chcąc wygodniej się ułożyć, poruszyła biodrami. Ta niewinna próba zmiany pozycji spowodowała przyływ żądz w lędźwiach Moego.

– Widzę, że mówi pan szczerze, detektywie Reed, bo dowody są niezbita.

Usiadła i przesunęła dłońmi po jego piersi. Wiedziała, jak wyglądają ludzkie mięśnie szkieletowe

pod skórą. Wyobraziała sobie jego tkanki poprzecznie prążkowane.

Chłopak był twardy jak skała.

Wszędzie.

Dotknęła go. Pogładziła. Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami. Wprowadziła go z powrotem do środka i powoli się zakołysała. Z początku zrobiła to dla niego, bo zadowoleni chłopcy zachowywali się grzeczniej. Ale niedługo potem idealnie się zgrali we wspólnym rytmie.

Liz zamknęła oczy i zaczęła kołysać głową, końcówkami długich włosów muskając pierś Moego.

Z namaszczeniem prostowała swoje loki, ale zawsze trochę się zwijały, a Moemu to się spodobało. Teraz łaskotały go w sutki; odwrócił głowę na bok.

– O rany. – Położył dłonie na jej piersiach.

Dwadzieścia minut później siedzieli przy stole w jadalni jej mieszkania przy Fuller Avenue niedaleko Melrose, pili sok brzoskwiniowy i jedli kupne kanapki. Klimat tej okolicy był mocno ironiczny postmodernistyczny, ale Liz w ogóle to nie interesowało. W domu spędzała tak mało czasu, że wystarczyłby jej motel.

Matka i ojciec pomogli jej spłacić mieszkanie, dorzucili trochę na meble. Któregoś dnia będzie musiała kupić coś ładniejszego niż składany stolik do kart, na którym jedli, półki z Ikei na książki, materac na podłodze sypialni.

Na razie skromne życie zupełnie jej odpowiadało. Moe nie zwracał uwagi na wystrój wnętrza; jego własne mieszkanie w Venice, schludne i czyste, przypominało – nie licząc siłowni

– pokój w akademiku.

Tam też było pełno książek. Miła niespodzianka.

Liz patrzyła, jak Moe pożera kanapkę. Chuda pierś kurczaka, ze względu na cholesterol.

Zamówiła taką samą, chociaż wolała wołowinę.

Miłość, jak wiecznie pouczała matka, opierała się na kompromisach.

Gdyby tylko wiedziała...

Miesiąc po obronie doktoratu na Stanfordzie z antropologii fizjologicznej, dysertacja o mikrozmianach wilgotności i rozkładzie mięśni gładkich zapewniła jej staż u Eleanor Hargrove z laboratorium Departamentu Policji Los Angeles. W następnym roku pojawiły się fundusze na normalny etat i Liz szybko na niego wskoczyła. Spędzała długie godziny nad znumifikowaną skórą, studiowaniu detali gnicia i rozpadu, okropnych resztek, które zostają, kiedy wszystko się kończy.

Często wyjeżdżała na konferencje, bo Eleanor chciała, żeby laboratorium miało reklamę.

Wszystkiego tego Liz się spodziewała i wszystko to lubiła.

Czego nie miała w planach, to spotkania się z facetem, a co dopiero takim, którego wykształcenie kończyło się na licencji z kryminalistyki na Cal State Northridge.

Rodzice Liz byli profesorami z tytułami z Yale. Matka – nauki polityczne w Howardzie, ojciec – socjologia na GW. Liz wciąż nie wspominała im o Moem.

Poznali się w mało romantycznych okolicznościach. Akurat tkwiła po pas w błocie i wyciągała kawałki ludzkiego szkieletu. Moe, pierwszy detektyw na miejscu zbrodni, stał na brzegu, rozmawiał z doktor Hargrove i w ogóle nie zwracał uwagi na Liz.

Potem ją zauważył. Przyjrzał się uważnie.

Bardzo uważnie.

Od razu ją zaintrygował. Młody i zawzięty – miał tę chłopięcą gorliwość, której się już nie spotyka.

Do tego przystojny.

Typ celtycki.

Kiedy zaprosił ją na randkę, zgodziła się bez wahania, choć nie był z kręgu jej zainteresowań.

Lata świetlne od tego kręgu. Wychowywała się w akademii, więc kontakty randkowe miała ograniczone do wyrafinowanych mężczyzn z tytułami naukowymi i osiągnięciami.

Mężczyzn o takim samym jak jej kolorze skóry.

Pół ciastka...

Moe dotknął dłoni Liz, łagodnie, tak jak uwielbiała. Wysilek ostatniej godziny sprawił, że pokryły go różowe plamy, które nie schodziły.

Delikatny chłopak, nigdy się nie opalał. Jogurt truskawkowy – Liz nigdy nie przypuszczała, że stanie się dla niej atrakcyjny.

Bądź tu mądry. Pocałowała jego pięść.

– Jesteś niewiarygodna – powiedział.

– Myśl tak dalej, Moe.

– Zawsze będę – zapewnił. Jak sześciolatek obiecujący, że nigdy nic nie spoci. Bez śladu postmodernistycznej ironii. To coś nowego.

Ćwiczyła swoją przemowę setki razy. „To bardzo inteligentny chłopak, mamó. Ma intuicję.

Bynajmniej nie jest prosty”.

Wszystko prawda, ale brzmiało pusto. Za bardzo się starała.

Miała dwadzieścia dziewięć lat, Moe nawet nie tyle. Oboje płacili własne rachunki, nie musieli się nikomu tłumaczyć.

Akurat.

Przełknął ostatni kęs kanapki. Liz przysunęła mu pół swojej.

– Już nie mogę, dokończ.

– Dzięki.

Poradził sobie raz dwa. Głodny chłopiec – czasami Liz nie mogła się powstrzymać, żeby nie myśleć o nim jak o dziecku.

Uwielbiała to, jak zachowywał swoją niewinność mimo wykonywanej pracy. Zastanawiała się, jak jego zawód będzie postrzegany na salonach Georgetown.

Nie, nie zastanawiała się. Dobrze wiedziała.

Moe wstał i posprzątał ze stołu. Pokręcił głową.

– Masz skurcz? – spytała.

– Nie.

Stanęła za nim i zaczęła masować niewiarygodnie gruby kark.

– O rany, ale super.

– Jest jakiś powód takiego napięcia, detektywie Reed?

– Raczej nie. – Chwilę później: – Znow zajmuję się oficjalnie Caitlin. Presja z góry.

– Faktycznie, czworoboczny się może od tego skurczyć.

– To nic wielkiego – mruknął Moe. – Dam sobie radę.

– Na pewno. Ale przykro mi, że musisz się męczyć, skarbie.

– Coś ciekawego w laboratorium?

– Żadnych nowych spraw. Podgąniam z wnioskami o granty.

Moe odwrócił się i objął ją ramieniem w pasie.

– Chcesz, żebym teraz ja cię pomasował?

– Nie, dzięki, już całkiem nieźle mnie pan rozluźnił.

Uśmiechnął się. W jego oczach mignął niepokój. Trwająca ułamek sekundy burza, potem cisza.

– O co chodzi? – chciała wiedzieć Liz.

– To przegrana sprawa.

– Nie zmienisz faktów, kochanie.

– Wiem... będę miał przez to główną liczbę zakończonych spraw na samym początku.

– Rozwiązałeś morderstwo na bagnach, Moses.

– Tak naprawdę to robota Sturgisa.

– Nie chcę tego słuchać, Moses. Ty i Sturgis. Przecież nie odmówił ci zasług.

– Jest uprzejmy.

– Może i tak, ale zrobił to, co musiał – odparła Liz.

– Może... Aaron też zajmuje się Caitlin.

– Jakim cudem? – spytała zaskoczona.

– Szef ojca Caitlin pokrywa rachunek. Aaron uważa, że musi tylko poświęcić odpowiednio dużo płatnych godzin i zamknie sprawę.

– O, jasne.

– Może ma rację, Liz.

– Na tym etapie nie wiadomo, czy w ogóle da się ją zamknąć. Moe nic nie powiedział.

Pomasowała go jeszcze trochę.

– Daj spokój, chodźmy się odmóżyć, pooglądajmy telewizję.

– Dobra – powiedział Moe. Ale wieczór nie był już taki sam.

Przez te kilka miesięcy bliskiej znajomości z Moem, Liz spotkała Aarona Foksa dokładnie raz.

Sześć, siedem tygodni temu, kiedy szła liściastą ścieżką do rodzinnego domu Moe, żeby poznać

Maddy – co samo w sobie było dużym przeżyciem.

W połowie drogi zza zakrętu wyłonił się czarnoskóry mężczyzna.

Moe zeszywniał i Liz przemknęło przez myśl, że może tamten jest jakimś zagrożeniem.

Krótki uścisk dłoni i zdawkowa prezentacja rozwiały niepokój, ale przez cały czas Moe się nie odprężał.

Aaron z kolei był całkowicie wyluzowany. To typ człowieka, przy którym masz wrażenie, że znacie się od lat.

Dorastając w Waszyngtonie, Liz widziała podobną charyzmę u polityków i finansistów, odruchowo jej nie ufała.

Moe i Aaron rozmawiali, a ona usiłowała odgadnąć, skąd się znają. Może to też policjant?

Ale co by robił u mamy Moego?

Wyczuwając długą historię, czekała cierpliwie.

Osobisty trener?

Nie, coś więcej, jej skarb za bardzo się spinał.

Może młody czarny chłopak mamy?

Zdawała sobie sprawę, że zbyt szybko kategoryzuje ludzi; nie mogła się jednak powstrzymać.

Przystojny, ale zdecydowanie za dużo czasu spędza przed lustrem.

Świetne ciuchy, ale to samo.

Bardzo uprzejmy, staranna dykcja i inteligentne oczy, ale o wiele za śliski. Liz nazywała takich Graczami Pierwszej Ligi.

Niewiele różnił się od facetów, z którymi spotykała się przed Moem, tyle że bez polem Ligi Bluszczowej.

Jak zarabiał na życie?

Prawnik z wizytą domową? Być może.

Albo coś z show-biznesem – agent? Moe mówił, że Maddy kiedyś próbowała sił na scenie i ekranie, ale nigdy nie zaszła za daleko.

Nauczyciel gry aktorskiej? No, wystarczająco przystojny, do tego markowe ubrania i małe, wypasione porsche. Nieźle mu się powodzi. Albo tylko udaje, przecież to L.A.

Może właśnie dlatego sprawiał wrażenie Natychmiastowego Przyjaciela – spodziewał się, że zostanie rozpoznany.

Liz nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek go widziała.

Kiedy sobie poszedł, miała już skompilowane dossier. Moe patrzył, jak porsche odjeżdża z piskiem opon. Skrzywiona mina sugerowała dezaprobatę.

Rozbuchana konsumpcja nie leżała w stylu Moego. Jeszcze jedna rzecz, która łączyła go z Liz.

Samochód dawno zniknął, ale Moe nadal stał wpatrzony w ulicę.

Liz ujęła go za grube jak pień ramię.

– Chodź, chcę poznać kobietę, która sprezentowała cię światu.

Ruszyli dalej.

Liz już nie wytrzymała.

– Aaron pracuje z twoją matką?

– To mój brat.

– W sensie, że jest spoko?

– W sensie rodzeństwa.

– Nie, naprawdę, kochanie, pytam poważnie.

– Bardzo bym chciał żartować.

W ciągu następnych kilku tygodni Liz wyciągnęła z Moego całą historię dotyczącą jego relacji z bratem.

Obaj ich ojcowie byli policjantami, obaj nie żyli.

Może na tym polegał problem: jeden tata zastąpił drugiego, posklejana rodzina. Jeśli tak, matka jeszcze bardziej skomplikowała życie synom.

Najwyraźniej seryjna żona, Madeleine Fox Reed Guistone Entley – „ale o Entleyu nie rozmawiamy, moja droga” – pochowała trzeciego męża piętnaście lat temu. Bogaty ortodonta i

„przedsiębiorca z wizją”, Stan Guistone zainwestował w nieruchomości dość, by zapewnić wdowie po sobie przyjemny styl życia. Dwa lata po jego śmierci spróbowała ponownie, rozwiodła się z „niemrawym nierobem Entleyem” po kilku miesiącach.

Trzymała w ramkach zdjęcia swoich mężów numer jeden, dwa i trzy na komodzie w sypialni, co Liz

zauważyła podczas tej samej niedzielnej wizyty, kiedy poszła do łazienki Maddy, bo Moe zajął główną.

Dwaj gliniarze w mundurach i przysadzisty, siwy człowieczek o krzaczastych brwiach, w marynarce z szerokimi klapami.

Aaron wyglądał jak kopia swojego ojca.

Moe był potężniejszy niż swój ojciec, a przyjemne, symetryczne rysy twarzy odziedziczył po Maddy. Ale cera ta sama... kontur oczu. I uszy też.

Funkcjonariusz Darius Fox, zmarły.

Funkcjonariusz John Jasper Reed, zmarły.

Doktor Stanley Edgar Guistone, stomatolog, tak samo.

Ta kobieta zawyżała statystyki śmiertelności.

Trzech mężów, dwoje dzieci. Gdyby miała dziecko z doktorem G., biedne maleństwo mogło wyglądać jak szop z depresją.

Teraz ciekawość rodzinnej historii Moego męczyła Liz jeszcze bardziej, ale postanowiła nie naciskać. Presja w przypadku większości mężczyzn nie skutkowałą, na pewno nie podziałałoby dobrze na Moego.

Liz dużo podróżowała, on pracował w nienormowanych godzinach, więc musieli rozsądnie gospodarować wspólnym czasem. Nie było sensu psuć przyjemnych chwil napomknieniem o Aaronie.

Mimo to taki poziom wrogości między braćmi ją intrygował. Sama miała dwóch i ich uwielbiała. Sean i Jay kiedyś trochę się ścierali, ale teraz świetnie się dogadywali. Razem grali w golfa, na Boga.

Za to Moses i Aaron... ktoś głupi mógłby założyć, że w grę wchodzi rasa, bo głupi ludzie zawsze rzucali się na „oczywiste rozwiązania”, tłumaczące skomplikowane problemy.

Błąd Małego Człowieka, tak to nazywała, na cześć pewnego przypadku z okresu stażu. W

mieszkańiu przy Menlo Park znaleziono zwłoki mierzącej metr dziesięć kobiety, w stanie zbyt zaawansowanego rozkładu, żeby przyczyna śmierci była oczywista. Po autopsji doktor Lieber, patolog, kazał wszystkim zgadywać. Ci najbardziej odważni sugerowali karłowatość kręgowonasadową i wynikało z tego kłopoty ze zdrowiem.

Okazało się, że kobieta paliła trzy paczki papierosów dziennie i umarła na raka gardła.

Liz spędziła z Moem dość czasu, żeby wiedzieć, że naprawdę jest on rzadkim typem Amerykanina nieodróżniającego kolorów. I teraz rozumiała dlaczego.

Niezależnie od swojego wpływu na długość życia mężczyzn, Maddy musiała być osobą bardzo niezależną, skoro wyszła za czarnego faceta w czasach, kiedy jeszcze robiono z tego dużą aferę.

A potem biały z dalekiego południa...

Może dorastanie z Aaronem sprawiło, że Moe mógł go swobodnie nie lubić bez obawy, że pojawi się słowo na „r”.

Ale wciąż nie dość swobodnie, żeby wytłumaczyć Liz, czemu nie znosi swojego brata.

Dom Maddy na wzgórzach był pełen duchów, ale sama Maddy nie wyglądała na osobę udręczoną.

W przeciwieństwie do jej młodszego syna.

Któregoś dnia Liz miała tę zagadkę rozwiązać.

Dwadzieścia minut po tym, jak Aaron znalazł sobie punkt obserwacyjny naprzeciwko ColdSnake, Rory Stoltz wciąż siedział w klubie.

Kolejka przed wejściem nie przesuwiała się, chociaż desperaci nie tracili nadziei. Bramkarz w białym kostiumie i meloniku udawał, że nie istnieje.

W zasięgu wzroku ani jednego paparazzo, to jednak nie tłumaczyło, dlaczego Stoltzowi pozwolono zaparkować przed klubem i spokojnie minąć bramkarza.

Chłopak najwyraźniej był w środku z kimś umówiony, ale hyundai?

Aaron sprawdził SMS-y na komórce. Kilka reklam i wiadomość od Liany.

„wróciłam bezp zadzw jtr”

Poruszenie przed klubem.

Rory Stoltz wyszedł.

Zupełnie sam.

Aaron nie odrywał wzroku od hyundaia.

Stoltz pojechał na wschód do Highland Avenue, skręcił na południe do Santa Monica Boulevard, tam z kolei na zachód.

Robił wielką pętlę, pozornie bez sensu... chyba że interesowała go przejażdżka przez samo serce wybiegu męskich prostytutek.

A więc może tu chodziło o alternatywny styl życia. Ale jak to się miało do blisko półgodzinnej wizyty w lokalu hetero, takim jak ColdSnake?

Hyundai mijał leniwie spacerujących młodych mężczyzn i panio-panów w najróżniejszych stadiach kamuflażu. Stoltz nawet nie zwolnił, żeby rzucić okiem na towar, pojechał prosto do La Cienega, gdzie skręcił na północ i wrócił na Sunset. W końcu znalazł się przecnicę na wschód od ColdSnake, tam myknął w lewo.

Jedno wielkie bezsensowne okrążenie.

Tym razem Stoltz minął tłumek przy wejściu i zaparkował tuż przy wylocie zaułka za klubem. Zgasił światła, ale nie wyłączył silnika.

Chłopak zdecydowanie w coś pogrywał.

Prochy. To najbardziej logiczne wyjaśnienie. Pierwszy przystanek Rory'ego – spotkanie z klientami i

przyjęcie zamówienia. Problem w tym, że potem zrobił tylko wielkie kółko, nie zatrzymał się, żeby cokolwiek odebrać. A więc może towar miał cały czas w samochodzie i wcisnął komuś kit, że po coś ekstra musi specjalnie pojechać. Co, oczywiście, kosztowałoby odrobinę więcej...

Aż taki cwaniak z tego Porządnego Chłopca?

Niezależnie od szczegółów, nie był tym, na kogo wyglądał.

Moe popełnił wielki błąd, że tak szybko go sobie odpuścił.

Aaron minął hyundaia, przejechał dwie przecznice, zawrócił z wyłączonymi światłami.

Ustawił opla w dobrym miejscu trzy domy na północ, zczekał, aż Stoltz wysiądzie z samochodu.

Chłopak siedział w środku.

Pięć minut, dziesięć, piętnaście.

Po siedemnastej minucie z zaułka wyszły dwie postacie, skierowały się w stronę hyundaia.

Mężczyźni, dość wysocy. Sądząc po zmierzwionych konturach rozwianych fryzur i tym, jak się poruszali – biali.

Kiedy podeszli bliżej, Aaron zobaczył, że jeden z nich jest bardzo chudy, drugi zwalisty. Ten cięższy jakby podtrzymywał chudego. W połowie drogi przystanął, żeby się rozejrzeć.

Patrzył, czy nie ma glin? Klienci Stoltza sami do niego przychodzili?

Łatwiej prysnąć, gdyby coś się skomplikowało.

Prawiczek, akurat.

Aaron wodził wzrokiem od hyundaia do dwóch mężczyzn. Trzy metry od samochodu Chudy oklapł, a Gruby lekko się ugiął pod ciężarem.

Wygląda na to, że ktoś nie potrzebuje już więcej nielegalnych substancji... Hyundai włączył światła i błysnął długimi. Dwa razy.

Sygnal: Chodźcie po towar, żalosne ćpuny.

Gruby zaprowadził Chudego do samochodu, jedną ręką przytrzymał go za ramię, drugą sięgnął do klamki.

Chwilę trwało, zanim udało się zapakować Chudego na tylne siedzenie.

Położ mu rękę na głowie i pchnij w dół, kolego. Tak to się u nas robi.

Kiedyś tak się robiło...

Gruby wyprostował się, wskoczył na przedni fotel pasażera i zamknął drzwi.

Zajarają na miejscu?

Nie, Stoltz odjechał.

Tym razem hyundai popędził na północ, do serca Hollywood, skręcił w lewo na Selma.

Kolejny rejon gejowskich prostytutek. Czyli tu chodziło o seks? Rory z dwoma facetami wciąż udawali, że są hetero?

W głowie Aarona kłębiły się różne opcje. Stoltz tymczasem znów minął chłopaków z ulicy, pojechał do Laurel Canyon, przy pierwszej sposobności skręcił w prawo, w wąską, krętą boczną drogę.

Kiedy opel wjechał w tę samą uliczkę, Aaron zgasił światła. Miał nadzieję, że jakiś radiowóz z Hollywood Division nie szuka tu akurat pieniędzy z mandatów.

Droga zrobiła się stroma i hyundai wyteżył swoje cztery cylindry; wspinał się, śmigał na łukach, często skręcał w krótkie, ciche uliczki, wzdłuż których stały zaciemnione domy. Nie było tu latarni; Aaronowi do szczęścia brakowało tylko czołówki z jakimś debilem gadającym przez komórkę.

Rory Stoltz wiedział, dokąd jedzie; maksymalnie przyspieszał na każdym prostym odcinku wąskiej wstążki asfaltu.

Nagle skręcił w coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak podjazd; nie, to Swallowsong Lane.

Żółty znak ostrzegał: ślepa ulica.

Aaron zaparkował przy samym wylocie Swallowsong, wyłączył silnik, wyskoczył z samochodu i dalej pobiegł pieszo.

Stromizna była tu jeszcze większa; opłacało się dbać o kondycję.

Duże domy, mnóstwo drzew, wysokie żywopłoty, sportowe samochody pod brezentowymi płachtami. Noc pachniała jaśminem; smog bijący z Hollywood tłumił słodki zapach.

Aaron dotarł na szczyt w samą porę, hyundai akurat wjeżdżał w elektrycznie otwieraną bramę.

Żelazne skrzydła na kamiennych słupach, dużo barokowych zwojów, medalionów i innych takich. Aaron zajrzał za bramę – łuk podjazdu biegł między włoskimi cyprysami i ginął za zakrętem.

Na lewym słupie bramy numer ulicy: 1001. Spisał go i wrócił do opla.

Wytrzymał na czatach dwie godziny, zanim uznał, że Porządny Chłopiec już się raczej nie pojawi.

Czyli to nie narkotykowy deal? Jakaś impreza?

Wrócił do domu, włączył światła w Krainie Pracy, sprawdził adres w książce teleadresowej, znalazł numer telefonu.

Postanowił zaczekać do rana z telefonem do zastępcy kierownika technicznego Henry'ego Q.

Stokesa w biurze asesora.

Potem przypomniał sobie, że Henry czasami zabiera pracę do domu.

Czy kładzie się wcześnie spać? Jeśli tak, no to bardzo mi przykro. Zadzwoił do jego mieszkania w West Covina.

Siedem dzwonek, zanim usłyszał głos Henry'ego, gruby ze zmęczenia i irytacji.

– To ja.

– Co to ma...

– To będzie więcej niż Ulysses – oznajmił Aaron. – Dwa Benjaminsy, więc nie marudź.

– Która godzina... o cholera, dwadzieścia po drugiej, człowieku. Zepsułeś mi sen o Paris Hilton i jej mamie.

– Jeden zero zero jeden Swallowsong Lane, Hollywood Hills.

Henry ochryple odetchnął.

– Zapisaleś? – spytał Aaron.

– To nie może poczekać?

– Myślisz, że za dwóch doktorów Franklinów może?

– Przyjechałbyś jutro, sam sprawdził...

– Jasne, a mimo to dzwonię do ciebie, Henry. Mówimy tu o specjalnych okolicznościach.

– Raczej o specjalnym funduszu.

– Nie tobie pytać co i jak, panie Stokes. – Aaron powtórzył adres.

– Za to będzie dwieście dwadzieścia... nagrywasz to?

– Niby po co, Henry?

– Bo to właśnie robią prywatni detektywi. W pracy to co innego, używam linii dostępnej dla

każdego. Ale to mój telefon domowy.

– Nie nagrywam.

– Ten facet z kontaktami w mafii pewnie mówił to samo.

– Mafia srafia – powiedział Aaron.. – Mario Fortuno to amator, Henry. Nie mówiąc już o tym, że pensjonariusz federalnego więzienia w...

– Otóż właśnie – przerwał Stokes. – Bo nagrywał.

– Nie nagrywam przyjaciół, Henry. Zresztą w czym problem, udostępniasz publiczne dane za drobną opłatą. Wolny rynek.

– Bardzo mi ulżyło.

– Zresztą myślisz, że nagrywałbym sam siebie? – spytał Aaron.

Cisza.

– Henry, czy kiedykolwiek łączyło nas coś innego niż serdeczne stosunki biz...

– Dobra, dobra... telefon o wpół do trzeciej w nocy nie jest specjalnie przyjacielski. Spałem, człowieku. Ten sen...

– Dla dwóch stówek warto się obudzić.

– Dwieście plus pięćdziesiąt za skradziony sen.

– Nie ma mowy.

– Żałuj, że cię tam nie było, człowieku – mruknął Stokes. – Jak ci się zdaje, że Paris jest niezła, powinieneś zobaczyć...

– Dobrze – przerwał mu Aaron. – Dwóch Benów i generał Grant.

Stokes westchnął.

– Ta chwila już nie wróci. Zaczekaj.

Półtorej minuty później znów się odezwał, już bardziej przytomnym głosem.

– Tanio się wykpiłeś, stary. A ja nie chcę, żeby mnie z tym w ogóle łączyć. Nieważne, ilu martwych prezydentów stawi się na imprezie.

– Czyj to dom? – spytał Aaron.

– Nie wiesz?

– Jakbym wiedział, to po co bym do ciebie dzwonił?

– Żeby potwierdzić – odparł Henry.

– Nie mogę potwierdzić czegoś, o czym nie mam pojęcia, Hank. I jak mi bezustannie przypominasz, zawsze mogę pojechać do tego waszego zapleśniałego archiwum i sprawdzić sam...

– Niezupełnie – wszedł mu w słowo Henry. – W tym przypadku, jakbyś przegrzebał księgi, dowiedziałbyś się, że akt własności należy do holdingu Malibu Sunset Trust. I to wszystko.

– Ty z kolei wiesz, że...

– Aaron, naprawdę musisz mi obiecać, że to nigdzie nie wypłynie. I że nie nagrywasz.

– Obiecuję.

– Mówię poważnie, stary.

– Obiecuję.

– Trop podatkowy – zaczął Henry – prowadzi z tego Malibu Sunset do Vision Associates, Inc. z Beverly Hills, potem do Newport Management Trust, potem poza stan. Seven Stars Management, Las Vegas.

– Typowy papierowy kamuflaż – stwierdził Aaron. – A teraz podaj nazwisko.

Henry głośno westchnął.

– Vegas – powiedział Aaron. – Boisz się mafii? Spokojna głowa, teraz tam są same korporacje. Ludzie w obcisłych spodniach i bermudach w kolejce przy bufecie.

– Lem Dement – poinformował Henry.

Aaron stłumił okrzyk zdziwienia. W głowie mu się zakręciło.

– Teraz wracam spać – oznajmił Henry. – I jak będę bardzo grzeczny, Paris i Kathy znów się zjawią. Może nawet siostra, jak jej tam, też posadzi swój mały...

Aaron rozłączył się i zastopował uruchamiany głosem dyktafon.

Internet bywał najlepszym przyjacielem Aarona, ale w przypadku kogoś takiego jak Lem Dement za duża ilość informacji sprawiała, że komputer stawał się bezużyteczny.

Jedno stuknięcie w „Enter” wyrzuciło setki blogośmiccia.

Aaron zaczął od Wikipedii, potem rozszerzył zasięg poszukiwań.

Lemuel Houston Dement, urodzony we Flint w stanie Michigan pięćdziesiąt cztery lata temu, w

rodzinie związkowca przemysłu motoryzacyjnego i sekretarki z zakładów Forda, obojga zwolenników Trockiego. Houston i Althea Dementowie nienawidzili kapitalizmu ogólnie, a własnej pracy szczególnie; swoje jedyne dziecko wychowali w duchu światopoglądu zakrawającego na paranoję.

Nauczony, że szkoła to tylko kolejna burżuazyjna pułapka, młody Lem posłusznie wykazywał się chronicznym złym zachowaniem i kiepskimi stopniami, zaprzeczającymi jego inteligencji. Miesiąc po skończeniu liceum nitował już ośki na linii montażowej Forda. Po dziesięciu miesiącach w głowie zapaliło mu się światełko „Wyjście” i dał szansę community college’owi. Niezłe oceny pozwoliły mu przenieść się na Wayne State, gdzie przez trzy lata studiował socjologię, a potem na Uniwersytet Ann Harbor. Tam wkręcił się do szkoły filmowej.

Uganiał się za dziewczynami, palił trawę i brał kwas, nauce poświęcał minimum czasu, ledwie zdał.

Obarczony klątwą ślimaczej przemiany materii, przekładającej się na kolejne kilogramy, i twarzą przypominającą rozgotowany ziemniak, Dement rekompensował to sobie szorstką, ale dziwnie pociągającą charyzmą. To pozwoliło mu odnosić umiarkowane sukcesy z kobietami.

Ponadto posiadał dar dyskusowania i ciętych ripost oraz, co najważniejsze, wrodzoną umiejętnością kłamania za pomocą kamery. W wieku prawie trzydziestu lat, bez grosza, przespał

się z właściwą kobietą i fuksem dostał posadę przy kręceniu filmików instruktażowych BHP.

W dzień kręcił zbliżenia warczących maszyn, przetykane seryjnymi ujęciami zmasakrowanych kończyn. Noce poświęcał swojej sztuce: filmom pseudodokumentalnym, z obsadą złożoną ze znajomych i sąsiadów, ukazującym zło każdej korporacji.

W wywiadzie dla „New York Timesa”, wiele lat później, opisywał tamte dni: „Nie spędziłem ani sekundy na terapii, ale dobrze rozumiałem swoją motywację: moi rodzice uważali, że haruję jak faszystowski parobek, i chciałem się odkupić w ich oczach. Potem zginęli w pożarze domu, przez długi czas byłem w rozsypce. Ale ostatecznie sieroctwo mnie uwolniło”.

Dwadzieścia dwa miesiące po tym, kiedy się dowiedział, że jego rodzice zostawili więcej długów niż majątku, Dement napisał, wyreżyserował, nakręcił i pokazał na Festiwalu Filmowym Ann Arbor dokument o zanieczyszczeniu jeziora Eire. Może to przez rozmyślne użycie ziarnistej czerni i bieli, a może po prostu wyprzedzał swoje czasy; na *Brunatną wodę* nikt nie zwrócił

większej uwagi.

Następne było zdemaskowanie spisku masonów, Kościoła Katolickiego i Syjonistycznej Organizacji Ameryki.

Po tym filmie Dement opuściła połowa zespołu.

Nastąpiło kilka chudych lat. Dement, dobijający do czterdziestki, ożeniony z byłą tancerką i obarczony gromadką dzieci, pracował jako kierownik ciężarówki i specjalista od płyt kartonowo-gipsowych. Potem populistyczny kandydat do Izby Reprezentantów z Flint, Eddie Fixland, potrzebował kogoś, kto

za małe pieniądze nakręciłby mu spoty reklamowe do kampanii.

Dement dostał tę pracę, bo zgodził się kręcić za darmo. Fhdand zdobył fotel w Izbie i choć dwa lata skandali stały na drodze reelekcji, reklamówki z jego kampanii, przedstawiające walkę klas – długie ujęcia wymierających, pustynnych miasteczek i wychudłych emerytów mieszkających w przyczepach – zwróciły uwagę wszystkich.

Dement został specjalistą od zaangażowanego kina politycznego. Zaczęło mu się powodzić, przeprowadził się do dużego domu w Birmingham, napisał i nakręcił jeszcze raz film o jeziorze Eire, już z większym budżetem: w kolorze, z megadawkami insynuacji i hiperboli, które mistrzowsko opanował, pracując dla Fhdanda.

Brunatna woda wersja II zdobyła nominację do Oscara. Dostała statuetkę. Lem wygłosił

krótką, nieprzyjemną mowę, przeprowadził się do L.A., chodził na spotkania, dostawał

propozycje. Za cudze pieniądze nakręcił dokument demaskujący praktyki ostrego dyżuru, naszpikowany makabrą inspirowaną jego filmikami o wypadkach w fabrykach.

Czerwony dyżur też był nominowany do Oscara. I może by go dostał, gdyby tuż przed upływem terminu zgłoszeń nie pojawił się rozdzierający portret dziewięcioletniego, niewidomego dziecka-poety.

Po usłyszeniu werdyktu Lem podobno poruszył się nerwowo w fotelu w Kodak Theatre i mruknął: „Jak można pokonać zezowate wcielenie pieprzonej Helen Keller?” Później wyparł się tych słów.

W ciągu następnych dwóch lat szczęście powoli od niego odpływało; spróbował sił w

„poważnym kinie”. Opowieść o szekspirowskim pożądaniu przyniosła mu więcej pozwów o plagiat niż zysków. Historyczny film akcji przedstawiający obie strony Wojny Secesyjnej jako zaślinionych, samolubnych barbarzyńców trafił prosto na wideo. Ten sam los spotkał

postmodernistyczną

wersję

Otella,

ukazującą

tragedię

jako

metaforę

impasu

arabsko-izraelskiego, z czarnym charakterem przemianowanym na Jago Bernsteina.

Nazwisko Lema Dementa zniknęło z plotko-sfery. Podobnie jak tabloidowe fotki już stu pięćdziesięciokilowego filmowca na właściwych imprezach, rozsadzającego swój szyty na miarę smoking, z charakterystycznym oklapłym kapelusikiem wędkarskim, najeżonym muchami, na wielkiej, rozczochranej głowie.

Dement udał się „na odludzie w poszukiwaniu skupienia”. Wychynął z niego trzy lata później z czterogodzinnym, niewypowiedzianym okrutnym przedstawieniem pierwszych dni chrześcijaństwa, nakręconym podczas pobytu w Turcji.

Zważywszy na osobę twórcy, wszyscy się spodziewali, że *Szawel w Pawła: Najważniejsza chwila* będzie atakiem na religię zorganizowaną. Zamiast tego otrzymali pean na cześć najsurowszych aspektów fundamentalistycznych dogmatów. Autor pochwalał nawracanie siłą i przedstawiał Arabów, Fenicjan, Mezopotamczyków i Żydów jako krzywonosych heretyków.

W całostronicowej reklamówce w „Variety” Lem Dement ogłosił: „Narodziłem się ponownie w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu. Moja sztuka i moje serce skupione są teraz na sakramentach prawdy, czystości i odkupienia”.

Szybko ochrzczony rasistowską agitką przez hollywoodzki establishment i głównonurtową prasę, oprotestowany kolejno przez muzułmańskie i żydowskie ugrupowania obywatelskie, film trafił do ograniczonej dystrybucji w wynajętych kinach i salach kościelnych. Zaczęto o nim mówić. Zainteresowały się sieci kinowe. W ciągu trzech miesięcy *Szawel w Pawła* zarobił

czterysta milionów dolarów. Dochody z zagranicy przyniosły kolejne sto pięćdziesiąt.

Lem Dement ogłosił, że „usuwa się w cień życia poświęconego kontemplacji” i przeprowadził się do „wielohektarowej posiadłości” w Malibu.

Tego samego miasta, gdzie studiował Rory Stoltz. Szlifujący swoje branżowe ambicje.

Gdzie Caitlin Frostig dostawała same piątki.

Aaron odsunął się od komputera. Zaczął krążyć po gabinecie.

Malibu było bardziej koncepcją niż miejscowością, rozciągało się na pięćdziesiąt kilometrów wzdłuż wybrzeża. Ale powiązania Pepperdine-Caitlin-Rory nie należało lekceważyć.

Aaron przez moment chciał jeszcze raz obudzić Henry’ego, żeby sprawdzić, czy działka Lema Dementa nie leży gdzieś w pobliżu wielkiego kampusu. Ostatecznie postanowił tego nie robić. Jeśli Henry’emu udało się trafić z powrotem w objęcia pani Hilton, przerwanie mu snu po raz drugi zrodziłoby zbyt dużo złej woli.

Poza tym na wstępnych etapach śledztwa Aaron musiał uważać, żeby nie popaść w widzenie tunelowe.

Caitlin chodzi do szkoły w rejonie 90265, tak samo Rory.

Rory ma pilota do bramy posesji w Hollywood Hills, należącej do Dementa, a główna chata stoi w rejonie 90265.

Aaron przypomniał sobie dom na Swallowsong. Zakręcający podjazd... czyli działka z niezłym widokiem. Kosztowna nieruchomość. Może mieszkał tam jeden z ćpunów, których woził Rory.

W hyundaiu?

To musiał być kamuflaż. Podobnie jak wyjście z klubu tylnymi drzwiami – tak się zachowują celebryci.

A może obaj ćpuni byli VIP-ami? To by pasowało do tego, jak Rory wmaszerował do ColdSnake.

Aaron wrócił do komputera, zestawił w Google „Rory Stoltz” z „Lem Dement”.

Czy chodziło ci o *demented roar*?

Nie, nie chodziło, Upierdliwy Cybersiusiaku.

Siedział tak przez dłuższą chwilę. Mózg już mu się lasował.

Trzecia dziesiąta nad ranem. Pragnął zatopić zęby w tej sprawie, rwać ją i szarpać jak wściekły pies, aż zacznie krwawić faktami.

Zamiast tego powlókł się na górę do Krainy Zabawy, rozebrał, starannie powiesił ubranie na tekowomosiężnym wieszaku, nagi wsunął się w pościel Frette.

Domyślał się, że w snach zobaczy twarz Caitlin. Miał taką nadzieję.

Kiedy służył jeszcze w policji, bardzo lubił klasyczne powiedzenie detektywów wydziału zabójstw.

„Mówimy w imieniu umarłych”.

A czasami umarli mówią do nas.

Moe zjawił się przy swoim biurku o ósmej rano, myśląc o zestawieniu Rory Stoltz – Mason Book.

Obok jego komputera leżały dwie wiadomości od Aarona. Zmiał je i cisnął łatwymi rzutami za dwa punkty do najbliższego kosza, potem wpisał nazwisko aktora w Google.

Prawie cztery miliony wyników. W połowie drugiej strony znajdowały się relacje z porannej próby samobójczej Booka przez podcięcie żył.

„Załoga karetki przyjmująca zgłoszenie z położonego w Hollywood Hills domu przystojnego...”

Fakty nie przytłaczały ilością, wynagradzały to natomiast kwieciste opisy: anonimowe źródła twierdziły, że Mason Book jest uzależniony od wszystkich narkotyków znanych ludzkości; dyskretne przyjęcie do sekcji VIP szpitala Cedars-Sinai kosztowało sześciocyfrową sumę za tygodniowy pobyt...

Moe znalazł kilka ziarnistych, ciemnych zdjęć w podczerwieni – facet, który mógł być Bookiem, wsadzany do czarnej terenówki pod służbowym wyjściem szpitala. Inny wynik wyszukiwarki cytował prośbę niewymienionego z nazwiska rzecznika Booka, by:

„Uszanować prywatność Masona w tym trudnym okresie. Mason musi skupić całą swoją energię na powrocie do zdrowia. Dziękuje wszystkim za wsparcie”.

Moe miał się już wylogować, kiedy zobaczył datę próby samobójczej Booka.

Wydrukował sobie ten fragment tekstu i ruszył korytarzem do znajomych nieoznakowanych drzwi. Zapukał.

– Tak?

– Tu Moe, poruczniku.

– Proszę.

Pomieszczenie było tak małe, że po otwarciu drzwi natychmiast ukazywała się nosorożcowa postura Sturgisa w zbliżeniu. Prawie jakby człowiek zobaczył szarżującego na siebie byka; Moe wciąż czuł się z tym nieswojo.

Porucznik wcisnął cielsko w obrotowy fotel, długie nogi oparł o rozchwiane biurko. Nowe zimne sprawy leżały na lewo od wyłączzonego monitora komputera. Sturgis poruszył ciężką szczęką.

– Masz chwilkę, poruczniku?

Sturgis wyjął cygaro i przetoczył je z palca na palec, jak sztukmistrz z wesołego miasteczka.

Wskazał krzesło w kącie.

Moe nie miał klaustrofobii, ale nie lubił ciasnoty. Spod drzwi opowiedział więc porucznikowi o tym, że Rory Stoltz pracuje dla Masona Booka, że w przeszłości Riptide był

lokalem hollywoodzkich gwiazd. Na koniec zostawił najlepsze: Book podciął sobie żyły dokładnie tydzień po zniknięciu Caitlin.

– Zastanawiasz się, czy nie zrobił jej czegoś i nie targały nim wyrzuty sumienia – powiedział Sturgis.

– Wiem, że to naciągane, poruczniku, ale na razie nic więcej nie znalazłem.

– Wyrzuty sumienia jako motyw... To wynika z założenia, że Book ma sumienie. Ma?

– Nie wiem.

Sturgis się roześmiał – tym swoim sugerującym groźbę, mokrym śmiechem.

– To aktor, Moses. Aktor-ćpun, czyli masło maślane. Ale jasne, sprawdź to, czemu nie.

Jakieś nowe sprawy?

– Nie – odparł Moe.

– U mnie też nic. Cholerny zastój.

Przez chwilę Moe miał wrażenie, że to Sturgis zechce zająć się Caitlin. Ale porucznik tylko zaklął i potarł twarz.

– Jeśli obywatele wiedzą, co dla nich dobre, zaczną zabijać innych obywateli, żebyśmy mogli zarobić na swoje pensje. Na razie jesteśmy przydatni jak polityk-dekownik. Nie żebym nie doceniał twojej pracy nad biedną Caitlin.

– Ja jej nie doceniam, poruczniku. Guzik się dowiedziałem.

– Niektóre sprawy takie są. – Sturgis wsadził cygaro z powrotem do ust, podniósł teczkę, przejrzał ją, pokręcił głową. Na przykład ta. Tak zimna, że mógłbym jej używać jako okładu na kolano. *Sayonara*, chłopcze.

– Jeszcze jedno – zagadnął Moe. – Book był przyjęty do Cedars. Twój... partner kieruje tam izbą przyjęć, prawda?

Sturgis zamknął akta.

– Moses, istnieje coś takiego jak tajemnica lekarska.

– Wiem. Ale może tylko skierowałby mnie do... jakiegoś źródła.

– Idź zapytaj. Doktor Richard Silverman. Jest wymieniony w spisie telefonów Cedars.

– Tobie to nie przeszkadza?

– Nie jestem jego ojcem, Moses. Jestem jego... zagadkowy uśmiech – ... partnerem.

Podczas krótkiej nieobecności Moego Aaron zadzwonił po raz trzeci. Pięść Moego zacisnęła się na karteczce z niespodziewaną, miazdzącą siłą, która samego go zaskoczyła. Zamiast iść na łatwiznę, wycelował do kosza pięć metrów dalej, po drugiej stronie sali.

Siup. Trzy punkty.

Przekornie zadowolony z siebie wykręcił numer do Richarda Silvermana. Doktor sprawiał

wrażenie zajętego, wręcz zagonionego. Moe wymienił nazwisko porucznika, zanim się przedstawił.

– Co mogę dla pana zrobić, detektywie? Trochę oziębłe, bez „a, tak, wspominał o panu”.

Sturgis nie miał powodu o nim wspominać.

Moe spytał, czy doktor może go skierować do kogoś posiadającego informacje o hospitalizacji Masona Booka.

– Zakładam, że nie chodzi panu o naszego rzecznika – odparł Silverman.

– Zgadza się, doktorze.

– Book nie był moim pacjentem, ale i tak nie mogę o nim rozmawiać. Niezależnie od kwestii prawnych, są jeszcze ogólne zasady etyczne.

– Rozumiem, doktorze, ale...

– Miał pan nadzieję, że się trochę nagnę ze względu na Mila.

Moe nie odpowiedział.

– Nie zamierzam panu niczego utrudniać – powiedział Silverman. – Po prostu czegoś takiego nie mogę zrobić.

– Oczywiście, doktorze. Ale to śledztwo w sprawie morderstwa, bardzo trudne.

Streścił zniknięcie Caitlin, przedstawił ją jako świętą, dodał patosu, opisując jej zdruzgotanego ojca – więdnącą, tragiczną postać.

– Biedaczka – westchnął Silverman.

– Matka zmarła, kiedy dziewczyna była mała. Ojcu została tylko Caitlin – dodał Moe.

– A Mason Book wiąże się z tym, bo...

– Uczciwie mówiąc, doktorze, może nie być powiązany, ale muszę sprawdzić każdy trop.

Okazuje się, że dawny chłopak Caitlin pracuje dla Booka, co samo w sobie wiele nie znaczy. Ale potem się dowiedziałem, że Book usiłował popełnić samobójstwo tydzień po zniknięciu Caitlin.

Uznałem więc, że należy...

– Tydzień? – powtórzył Silverman. – Nie widzę związku.

– Prawdopodobnie to nic takiego, doktorze, ale co jeśli chłopak był w jakiejś okropnej zмовie z Bookiem, a ten miał wyrzuty sumienia i dlatego podciął sobie żyły?

– Podejrzewa pan tego chłopaka?

– Jeszcze nie.

– W takim razie wciąż nie rozumiem.

– Przepraszam, że zawracałem panu głowę, doktorze.

– Book nie przeszedł przez izbę przyjęć – oznajmił Silverman. – Trafił prosto na Waż Pac.

Może pan spróbować z kimś stamtąd, ale wątpię, żeby coś pan wskórał.

– Co to jest Waż Pac?

– Wązni Pacjenci. Oddział VIP. Jeśli lubi pan ryzyko, niech pan zapyta Mila. Umieściłem go tam w zeszłym roku. Po tym, jak został postrzelony.

– Dlaczego to ryzykowne? – spytał Moe.

– Milo nie wierzy w całe to „podziel się swoimi uczuciami”.

– Czyli udało się panu wysłać porucznika na oddział VIP...

– Co nie znaczy, że mam tam dojścia. Powodzenia, detektywie Reed. Niedopowiedziane: Będzie go pan potrzebował.

Po kolejnej godzinie wyszukiwania w Internecie artykułów o próbie samobójczej Masona Booka Moe odebrał telefon.

– Wydział zabójstw, detektyw Reed.

– North Corsair Lane 300, dumna matka detektywa Reeda.

- Cześć, mammo.
- Co u ciebie, skarbie?
- W porządku.
- Po głosie sądząc, hm... wątpię.
- Dlaczego?
- Masz taki zduszony głos, skurcz krtani w wyniku stresu. Dotykało cię to od maleńkości.
- Dotykało – powtórzył Moe.
- Twój głos, skarbie, jest jak okno duszy – wyjaśniła Maddy.
- Jejku, codziennie dowiaduję się czegoś nowego.
- Stęskniłam się, Mosey. Kiedy ostatnio wpadłeś coś zjeść?
- Noo – mruknął. – Chyba...
- Nie chyba, ja wiem na pewno. Osiem tygodni temu od zeszłej niedzieli. Ty i czarująca Elizabeth. Jesteście jeszcze razem?
- Tak, mammo.
- Uff – odsapnęła Maddy. – Nie popełniłam faux pas. Dobrze cię traktuje, Mosey.
- Za dobrze – wykrztusił.

Poczuł gorąco na twarzy.

- Ojej, dlaczego mówisz takie rzeczy, skarbie?

Nie odpowiedział.

- Zaczekam, aż ci zejdzie rumieniec – stwierdziła Maddy. – A potem ci wyznam, że nikt nie jest dla ciebie za dobry, mój najdroższy chłopaczku.

- Dlaczego myślisz, że się rumienię?

- A mylę się?

Cisza.

- Wystarczy, że powiesz: „Dzięki za emocjonalne wsparcie, mammo”.

– Dzięki.

– Och, Mosey, nie chciałam cię zdenerwować, tak tylko się z tobą drażnię. Ale jeśli tego nie lubisz, musisz się nauczyć nie być taki drażliwy, kochanie. W każdym razie pragnę cię zobaczyć.

Osiem tygodni to o wiele za długo czekania, aż zobaczę twarzączkę swojego Adoniska.

Malowałam jak szalona i łaknę twojej oceny.

– Na pewno wyszło ci świetnie, mammo.

– Na pewno wcale nie, Mosey.

– Nagle ktoś tu ma problem z samooceną? – spytał Moe.

Maddy się zaśmiała – niski, prawie męski wybuch wesołości, tak kontrastujący z jej wyglądem. Moe widywał ludzi całkowicie tym zaskoczonych. Czasami jego samego to zdumiewało.

– Problemy z samooceną? – powtórzyła. – Nie ja, skarbie. Oceniam tylko fakty i doskonale zdaję sobie sprawę, że nie posiadam ani krzty talentu. Zero. Wielka, ziejąca otchłań braku talentu. Do licha, Mosey, sztalugi aż drżą, kiedy się do nich zbliżam. Ale na tym polega siła mojego charakteru: mam to w nosie. Uwielbiam malować i każdy, komu się to nie podoba, może iść prosto do Pasadeny. W tym sensie diametralnie się różnimy, Mosey. Ty masz olbrzymi talent do tego, co robisz, ale jesteś z siebie wiecznie niezadowolony.

– Mammo, nie jestem niezadowolony...

– Czyli znów się pomyliłam – przerwała mu Maddy. – W porządku, zupełnie mi nie przeszkadza błądzenie, bo jestem tylko małym pyłkiem w skali kosmosu. No to kiedy wpadniesz? Dzisiaj wieczorem? Zrobię swoją słynną zupę z soczewicy... nie martw się, kupiłam zapas proszków na gazy.

– Mammo!

Detektyw drugiej klasy Gil Southfork spojrział przez całą salę. Moe zrozumiał, że podniósł głos. Zasłonił dłonią słuchawkę.

– Zadzwoń później, mammo – szepnął.

– Nie trzeba. Po prostu wpadnij. Dzisiaj.

– Co to za oka...

– Stęskniłam się, skarbie. Osiem tygodni.

– Zobaczę, jak mi się ułoży dzień i...

- O szóstej. Zrobię twoje ulubione kielbaski: kurczak-kolendra, indyk-jabłko. Jesteś wolny o szóstej, skarbie?
- W tym właśnie problem, trudno mi określić godzinę – wyjaśnił Moe. – Prowadzę śledztwo i...
- Przywieź Elizabeth, jeśli będzie wolna. Dlaczego się wieczorem nie spotykacie? Życie towarzyskie musi ci równoważyć pracę.
- Ona też jest zajęta, mamó. – Półkłamstwo; Liz kończyła o ósmej, oboje nie robili jeszcze planów na wieczór.
- Szkoda, bardzo lubię tę dziewczynę – powiedziała Maddy. – Do zobaczenia o szóstej.

Kiedy Liana pojawiła się o dziesiątej rano w Krainie Pracy, Aaron miał już dla niej wypisany czek.

Teatralnym gestem wsunęła go sobie w dekolt.

– Jestem zazdrosny – powiedział Aaron.

Liana ze śmiechem wyjęła czek, wrzuciła zgrabnym ruchem do torebki od Kate Spade.

Wróciła do popijania espresso, którą Aaron zaparzył w uroczym, miedzianym włoskim ekspresie, stojącym w aneksie kuchennym obok biura.

– Mniem, panie Fox. Jest z pana gość z klasą.

Aaron bawił się kawałkiem cytryny.

– Ładna koszula – pochwaliła Liana. – Nowa?

– Nie.

– Nigdy jej nie widziałam.

– Nie miałem okazji włożyć. – Jedenaście miesięcy wisiała w garderobie. – Opowiedz mi o tym facecie z RAND-u.

– Nie martw się, on tam naprawdę pracuje, Aaron. Po powrocie do domu natychmiast sprawdziłam to w Internecie. Jest na stronie RAND-u, ze zdjęciem i w ogóle. Robi dokładnie to, co powiedział.

– Ściga terrorystów.

– Przetawia cyferki – sprostowała Liana. – Kontrakty rządowe.

– To nie znaczy, że nie jest czubkiem – stwierdził Aaron.

– Nie wpadaj w paranoję.

– Rozmawiasz z nieznajomymi, Lee. – Aaron cmoknął z dezaprobatą.

– Myślałam, że o to właśnie chodziło.

– Mówiłem, żebyś się wczuła w atmosferę.

– Trochę trudno to zrobić, z nikim nie rozmawiając odparła Liana.

– A doktor Rau bez wątplenia nie wygląda jak zdeformowany bakłazan.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– Nie mówisz poważnie.

– Zależy mi na tobie, Lee. Tylko dlatego, że poznałaś fajnego faceta...

– Niech pan natychmiast przestanie, panie Fox. – Szczupłe, zgrabne palce zacisnęły się na uszku filiżanki. – Chociaż gdybym musiała szukać czułości u ciebie, co bym miała, Aaron?

Palnął się w pierś.

– Jestem śmiertelnie zraniony.

Zrobił to lekko, w przeciwieństwie do Steve'a, którego bicie się w pierś zeszłego wieczoru było podszyte prawdziwym żalem. Liana nachyliła się nad szklanym blatem biurka.

– To, co nas łączy, *mon amour*, to forma aerobiku. Zdrowego, wytężonego, przyjemnego i całkowicie niezobowiązującego.

– W przeciwieństwie do pana RAND-a, który jest głęboko uduchowiony, wprost kipi empatią i wrażliwością. O czym wiesz po godzinnej gadce w barze.

– Śmieszne – prychnęła Liana. – Przydzieliłeś mi zadanie, wykonałam je na piątkę z plusem.

– Otóż to, Lee. Jesteś cenna, chcę cię mieć jak najdłużej.

– Och, na Boga, przecież się z nim nie umawiam.

– Ale się nad tym zastanawiałaś.

Liana się uśmiechnęła.

– Zazdrosny?

– Nie, po prostu się o ciebie troszczę.

– Bardzo dziękuję, ale umiem sama o siebie zadbać. – Odstawiła filiżankę. – Co w ciebie wstąpiło?

– Nie lubię mieszać pracy z przyjemnościami.

Zmrużyła oczy.

– Będę o tym pamiętać, kiedy ktoś do mnie zadzwoni następnym razem o trzeciej rano, żeby się umówić na seks.

Zerwała się, odrzuciła włosy, odwróciła na pięcie.

– Zaczekaj! – zawołał Aaron. – Przepraszam, tak, zachowuję się jak idiota. Wiele dla mnie

znacysz... jako przyjaciółka, wolny strzelec. – Przewrotny uśmiech. – Jako najseksowniejszy, najbardziej jędrny...

– Przestań.

– Dobra, dobra. Siadaj.

Liana kilka razy głęboko odetchnęła.

– Proszę, Lee.

Wróciła na fotel, założyła nogę na nogę tak, żeby dżersejowa spódnica podjechała w górę na tyle wysoko, by ukazać smukłe, białe udo. Przykazanie pierwsze: niech cierpią.

– Przesadziłem – kajał się Aaron. – To przez tę sprawę. Nie wiem, jest w niej... jakaś mroczna aura. Tak, to brzmi głupio i nie potrafię ci podać logicznego wytłumaczenia, ale coś tu się kryje pod powierzchnią, coś nienormalnego.

– W sensie paranormalnego?

– Nie, nie, nic z tych bzdur. Raczej chorego, wyuzdanego i spaczonego. Jeśli twierdzisz, że w panu RAND-zie nie ma nic podejrzanego, mnie to wystarczy. Nie uważasz jednak, że to dziwne?

Tak od razu wspomniał o Caitlin?

– W doktorze RAND-zie – poprawiła Liana. – Ma doktorat. I to nie było tak od razu, tylko w kontekście. Rozmawialiśmy o czasach, kiedy do baru przychodzili celebryci. Jak na ironię losu, coś się stało właśnie wtedy, kiedy pełno tam było ochroniarzy. I nie wspomniał o Caitlin po imieniu, tylko o samym incydencie. Poza tym powiedział mi o Rensselaerach, a oni okazali się fałszywym tropem. Czyli to nie tak, że jest zafiksowany.

– Rensselaerowie. – Aaron ze złością popatrzył na informację, którą przyniosła Liana.

Wpisała do wyszukiwarki „zaginiona para riptide santa monica” i wydrukowała artykuł z rodzinnego miasta Rensselaerów, Buckeye Bridge w Pensylwanii.

Ivan i Bettina, właściciele sklepu z antykami, prysnęli stamtąd, gdy rozpętała się afery związana z dużymi czekami bez pokrycia na eBayu. Za wyłudzone pieniądze zafundowali sobie wakacje na Zachodnim Wybrzeżu. FBI wysłodziło ich w L.A., potem straciło trop i zagrało podstępnie: wysłało sfalszowane zgłoszenie zaginięcia do kilku agencji policyjnych w południowej Kalifornii, przekonało lokalne stacje telewizyjne i radiowe, żeby nadały komunikat o poszukiwaniach.

Dwa dni później czujny szeryf z West Hollywood zauważył Ivana i Bettinę wychodzących od Dana Tany po zjedzeniu olbrzymiego włoskiego obiadu. „Buckeye Bridge Beacon” pisał o

„plamach sosu pomidorowego na nowej, białej jedwabnej koszuli Ivana Rensselaera, kupionej na Rodeo Drive”.

– Czyli doktor Rau wiedział o ich zniknięciu, ale nie o tym, że ich znaleziono – zauważył

Aaron.

– Już mówiłam, nie jest zafiksowany.

– Płacą mu za myślenie, tak?

– Aaron, dlaczego tak krzywo na niego patrzysz?

– Dlatego, że poruszył temat Caitlin na waszym pierwszym spotkaniu. Dla mnie to podejrzane, Lee. Jeśli gość chce poderwać piękną dziewczynę, po co psuje nastrój opowieściami o tajemniczej zbrodni, zwłaszcza takiej, gdzie ofiarą jest kobieta? To po prostu nie pasuje.

– Nie pasuje, bo to nie jest ściemniacz. – W przeciwieństwie do kogoś innego, kogo znamy.

– To właściwie taki nudziarz mózgowiec. Nie fizycznie... och, co za różnica, i tak nigdy więcej go nie zobaczę. Nie zamierzałam. Zadowolony?

– Jeśli mówisz poważnie... Jedno wydaje się tu znaczące. Obecność ochroniarzy, mnóstwo limuzyn. Trudniej byłoby czubkowi porwać Caitlin tuż pod barem... jej samochodu nigdy nie znaleziono, więc może gdzieś pojechała i została uprowadzona... to mogło stać się wszędzie od Santa Monica do Venice.

– Albo i dalej – wtrąciła Liana – w takim razie nie warto się skupiać na Riptide.

– Rau wymieniał jakichś celebrytów z nazwiska?

Pokręciła głową.

– Tylko te, które ci pokazywałam w „Timesie”.

– Właśnie pojawiło się jedno spoza listy, Lem Dement.

– Ten dupek – syknęła Liana. – Byłoby miło, jakby się okazało, że miał z tym coś wspólnego.

Jej gniew zaskoczył Aarona.

– Nie podobają ci się jego religijne poglądy?

– Cały mi się nie podoba. Bo raz przyjrzałam się z bliska jemu i jego psyche.

– Gdzie i kiedy?

– Niedługo po tym, jak wyszła ta biblijna makabreska. San Marino, czyjś gigantyczny dom niedaleko Caltechu, bez zwyczajnych typów z branży. Księża, grube ryby, modlitwa przed przekąskami, krzyże na każdym stole. Wtedy jeszcze cię nie znałam, pracowałam w cateringu, żeby zarobić na życie. Było

lato, imprezę zorganizowano na dworze, wszyscy w lekkich ubraniach, oprócz pani Dement... Gemmy. Miała na sobie czarny sweter z długim rękawem na sukience Chanel i o wiele za mocny makijaż. Od razu zwróciłam uwagę na jej oczy... pewne rzeczy natychmiast poznaję, bo moja starsza siostra związała się z facetem, który ją tłukł. Minęły lata, zanim drań łaskawie zdechł. Nigdy nie mogłam przekonać Sybil, żeby go rzuciła.

– Gemma wyglądała jak kobieta maltretowana? – dociekał Aaron.

– Nie tylko wyglądała. Była – odparła Liana. Wściekłość pociemniła błękit jej oczu. – Puste, zaszczute spojrzenie, tego nie da się z niczym innym pomylić. Jestem na to wyczulona przez doświadczenia z Sybil. Dlatego roznosiłam tosty z krewetkami i zerkałam na tych dwoje. Nie musiałam długo czekać, żeby zauważyć: ścisnął ją za ramię trochę za mocno, ciągnął z miejsca na miejsce, traktował jak przedmiot, w ogóle się do niej nie odzywał. Raz, kiedy myślał, że nikt nie widzi, pstryknął ją paznokciem w kark, to musiało boleć.

– Jak zareagowała?

– Wcale, w tym rzecz. Była otępiała i posłuszna, grzeczny mały robocik. Nikt oprócz mnie chyba tego nie dostrzegł. Wszyscy skupiali się na Demencie. Miał tyle forsy, tłusta świnia. I ten głupi kapelusik, z haczykami wędkarskimi. Do smokingu, a co. Nikt nic nie powiedział.

– Kilkaset baniek tak na ludzi działa – powiedział Aaron.

– Ale chwileczkę, moi drodzy, to nie wszystko! – Liana podniosła palec. – Jakiś czas później poszłam do damskiej, gigantycznej toalety dla gości. Patrzę, Gemma. Bez swetra. Ale kiedy mnie zobaczyła, od razu włożyła go z powrotem. Tyle że nie dość szybko, żeby ukryć siniaki na całym ręku. Takie do żywego, Aaron. Wyglądała, jakby ją ktoś potraktował kompresorem. Udawałam, że się nie gapię, a ona udawała, że nie zwraca na mnie uwagi. Poprawiła włosy, nałożyła jeszcze więcej pudru. Już zrozumiałam, dlaczego tak się pacykuje. Miała też siniaki na karku i ramionach. Plus wyraźną opuchliznę za uchem. To kobieta, która regularnie służy za worek treningowy. – Zacisnęła pięść. – Gnojek i hipokryta. Proszę, powiedz mi, że jest w to zamieszany.

– Może się tak okazać, ale na razie mamy tylko powiązanie przez nieruchomości.

– Z kim?

Opowiedział jej o przygodzie Rory'ego Stoltza na Strip, o ogrodzonej posiadłości na Swallowsong.

– Przemycił dwójkę celebrytów tylnym wyjściem? – spytała Liana. – Nie domyślasz się kogo?

– Za ciemno, za szybko, za daleko – odparł Aaron. – Jeden chudy, drugi raczej typ futbolisty.

Żaden z nich nie był Dementem. Młodszy, szczuplejszy.

– Aaron, Dement bije żonę. Kto wie, co robi innym kobietom? Błagam, sprawdź drania.

– Oczywiście.

– W jakim wieku byli ci faceci, których Stoltz odwiózł do domu?

– Czy ja wiem? Dwadzieścia parę, trzydzieści parę lat.

– Dement ma gromadkę dzieci, sześcioro albo siedmioro. Jest po pięćdziesiątce, więc...

– Junior mieszka w domu ojca? Być może, ale to wciąż nic nam nie mówi o Caitlin. Mnie interesuje Rory.

Liana umilkła.

– Sprawdzę Dementa – obiecał Aaron.

– Wiem, że reaguję emocjonalnie. Nie wyobrażasz sobie, przez jakie piekło przeszła moja siostra. I rodzice. I cała reszta. Nasza rodzina trzyma się blisko. Gordon skrzywdził nas wszystkich.

Aaron nigdy jej jeszcze takiej nie widział. Rodzina potrafi skomplikować życie.

– Obwącham Dementa jak pies.

– Może policja coś ma, zatajone wezwania do przemocy domowej.

Aaron wyszedł zza biurka, zaczął się przechadzać.

– Co się stało? – spytała Liana.

– W tej sprawie współpraca z policją nie jest łatwa.

Madeleine Fox Reed Guistone miała anielskie usposobienie.

Ale zmieniające się kolory jej domu, inspirowanego stylem Toskanii, na hektarze wzgórzystego Beverly Hills, sugerowały coś wręcz przeciwnego.

Co jedynie potwierdza klasyczne powiedzenie detektywów, pomyślał Moe: „Jeśli z góry coś zakładasz, robisz z siebie durnia”.

Jadąc nieoznakowanym wozem po ocienionym jałowcami podjeździe prowadzącym do posiadłości mamy, przypominał sobie kolejne odcienie: kawowy, łososiowy, szafiowy, koralowy, jaskrawo-pomarańczowy z plamami sjeny, który widział osiem tygodni temu. Ale kilka etapów mógł pominąć.

Dotarł na miejsce, spodziewając się czegoś jeszcze okropniejszego.

Nie, wciąż „ognisto-rdzawa villa de Borghese”. Barwiony tynk narzucono tak grubo, że dom wyglądał jak pokryty guzami. Obrazu dopełniały rozrzucone na chybił trafił łaty sztucznych, gołych cegieł: typowa dla L.A. żalosna próba oddania rzeczywistości, która w ogóle nie istniała.

Kiedy Moe zobaczył ognisto-rdzawy dom za pierwszym razem, mruknął:

„Disneyland”, ale mamie powiedział: „śliczny”. Tego wieczoru, gdy parkował na okrągłym podjeździe obok czerwonego mercedesa kabrio matki, znów przyszło mu do głowy skojarzenie z wesołym miasteczkiem.

A to z kolei przywołało wspomnienia.

Moe, jako dziecko dręczony infekcjami ucha i chorobą lokomocyjną, zawsze nienawidził

anaheimskiej* [Anaheim – miasto w Kalifornii, gdzie znajduje się centrum rozrywki Disneyland Resort (przyp. red.)] ody do kiczu.

Rzygał ciastkami po jednym obrocie na karuzeli.

Aaron tymczasem wskakiwał do wagonika kolejki górskiej Matterhorn. Raz po raz zdobywał

„Alpy”. Maddy i Moe czekali, aż będzie miał w końcu dość. Moe łapał się za brzuch na samą myśl o Matterhornie.

Pogarda na dziesięcioletniej twarzy Aarona, kiedy pokazuje okruch wymiocin na koszulce Moego...

Gość nazwał swoje biuro Krainą Pracy; niektórzy nigdy nie schodzą na ziemię.

Moe minął florencką fontannę, mętną i pełną liści jak zwykle, wesoło ciurkającą w łagodnym blasku zachodzącego słońca. Tego mama nie przemałowała, może z szacunku dla pamięci doktora Stana

Ciustone'a.

Stan mieszkał w domu przy North Corsair przez czterdzieści lat, zanim ożenił się z Maddy, i dopóki nie umarł, nie zmieniła tam nic, nawet nie tknęła zdjęć jego zmarłej pierwszej żony, ustawionych jak ikony na ołtarzowym stole w monumentalnym holu.

Nabożnie odkurzała portrety Miriam Guistone, bagatelizowała propozycje Stana, żeby przearanżować wnętrza, zatrzymała wszystkie co do jednego niezgrabne, neowiktoriańskie meble Miriam.

Znosiła szaro-beżowy tynk, który nawet Stan uważał za ponury.

Doktor Guistone był dobrym człowiekiem. Zasługiwał na takie traktowanie.

Tydzień po tym, jak złożono go pod szmaragdową trawą cmentarza Forest Lawn, w domu zjawili się malarze i zjechały ciężarówki z Armii Zbawienia. Pa, pa, Agatho Christie, witamy Georgię O'Keefe: masywne meble i prążkowane tkaniny w staropółudniowym stylu, który mama pokochała podczas swoich „duchowych” podróży do Santa Fe.

Moe przeszedł przez dziedziniec do domu. Z drzwi wybiegła matka, w baletkach.

Jej fartuch malarski był cały w tęczowe plamy. Do tego pochłapane turkusowe legginsy.

Wciąż styl Georgii: włosy do pasa, starannie ufarbowane do chromowej bieli i zaplecione w warkocze, makijaż obliczony na niewidzialność, kawały srebra i turkusy lśniące na palcach, nadgarstkach, szyi, uszach.

Rumiana i o piętnaście kilo cięższa niż w swojej szczytowej formie, wyglądała na pięćdziesiąt trzy nie na sześćdziesiąt trzy lata. A przynajmniej twierdziła, że tak jej wszyscy mówią.

Jej własna matka była wciąż żwawa w wieku pięćdziesięciu jeden lat, kiedy zginęła w wypadku samochodowym.

„Geny i tryb życia. Jedno na dwa to i tak nieźle, chłopcy”.

Podbiegła do Moego, objęła go w pasie i mocno przytuliła. Odsunęła się, pogładziła po twarzy, jakby oceniała rzeźbę.

– Świetnie wyglądasz, Mosey. Pełen energii, w dobrej formie, skupiony. Mimo stresu.

Moe cmoknął ją w policzek.

– Wszystko to potrafisz powiedzieć po dwóch sekundach.

– Matka zawsze wie. – Wzięła go za rękę i poprowadziła przez wielkie, sklepione pokoje posiadłości, do kuchni z widokiem na kaniony porośnięte sykomorami i dachy tych, którym w grze w nieruchomości mniej się poszczęściło. Moe zauważył kolejną przeróbkę od swojej ostatniej wizyty:

część szafek została pomalowana na turkusowe, a w szufladach powycinano orle głowy.

– Podoba ci się, Mosey?

– Bardzo stosowne.

– Używasz albo przegrywasz – powiedziała Maddy. – Mówię o kreatywności i zmianie.

Trzeba żyć na całego. Kawa, herbata, zbożówka, wódka czy Red Bull?

– Masz Red Bulla?

– Nie, ale mogę zamówić dostawę w Pink Dot. – Zaśmiała się. – Wciąż traktujesz mnie poważnie, niech ci Bóg wynagrodzi. To co będzie?

– Może wody?

– Zimnej czy normalnej, gazowanej czy nie?

– Zimna niegazowana.

– Moje małżeństwo dba o zdrowie... proszę, schłodzona buteleczka Eviana. Evian, czyli *naive* czytane od tyłu, jakbyś nie zauważył.

Moe usiadł i się napił. Maddy kręciła się przy ośmiopalnikowej kuchence Wolf, na której stał jeden garnek.

– Co teraz malujesz?

– Wypełniam kontury kolorami. – Podniosła pokrywkę, zajrzała do garnka. – Rabiniczna strawa już prawie gotowa.

– Ciągłe jedziesz na koszernym? – spytał Moe. – Może się przechrzisz?

– Jeśli kielbaski są jakimś wskaźnikiem, powinnam się zainteresować.

Poprawiła warkocz, wyjrzała przez okno na palmowy ogród. Moe zobaczył na jej twarzy nowe zmarszczki, luźną skórę wokół szczęki. Czas robił swoje, choćby nie wiem co.

– Nie, skarbie – powiedziała. – Jak dobrze wiesz, wszystko co zorganizowane jest nie dla mnie, w tym religia. Uznałam, że najtaktowniej jest akceptować cudze bóstwa, ale bez przesady.

Można to nazwać konstruktywnym bałwochwalstwem.

– Ostatnio nazywałaś to teologiczną dywersyfikacją.

– To też, Mosey. – Powąchała zawartość garnka. – Ach, kielbaski. O to warto się modlić.

Maddy, wiecznie wojująca z konwencjonalną mądrością, każdemu, kto jej słuchał, opowiadała, jak bardzo kocha L.A. „Pora dać w kość tym bladym nowojorczykom, którzy gnębią nas dla rozrywki”. Jakby chcąc to podkreślić, w zeszłym roku jeździła po wszystkich etnicznych enklawach w hrabstwie i kupowała tamtejsze jedzenie, wyroby rzemiosła, religijne gadzety, płyty. W ciągu dwudziestu miesięcy zaliczyła Małe Tokio, Mały Sajgon, Małe Indie, kubańską enklawę na Venice Boulevard w Culver City, ormiańskie przyczółki w East Hollywood i Glendale oraz serce osiedla ortodoksyjnych Żydów między Pico a Robertson. To właśnie na Pico kolejki ciągnące się wzdłuż chodnika zaprowadziły ją do sklepu z koszernymi kiełbaskami.

Spontaniczna rozmowa ze studentem jesziwy czekającym na białe cielęce dopełniła jej edukacji w kwestiach semickich.

„Chłopcy, czy wiedzieliście, że koszerny znaczy dopuszczony? Nie tylko trzeba zabić zwierzę szybko – ten cały weganizm mamy już dawno za sobą, prawda? – ale wykwalifikowany rabin musi obejrzeć płuca. Co w czasach globalnego ocieplenia i zanieczyszczonego powietrza, jak dla mnie, jest cholernie mądre”.

Religijnie zatwierdzone kiełbasy szybko stały się „tymi kiełbaskami, za którymi ty i twój brat tak przepadacie, Mosey”. Chociaż sama Maddy pochłaniała trzy za jednym posiedzeniem, a żaden z braci nigdy nie wyraził o nich swojej opinii, na plus ani minus. Kiełbaski były smaczne, ale na tym etapie życia Moe nie zwracał szczególnej uwagi na dietę.

Wstał, zajrzał do garnka. W środku bulgotał tuzin pętek.

– Planujesz przyjęcie?

Maddy zamrugła.

– To na wypadek, gdybyś był głodny. Wyglądasz trochę mizernie. Dobrze się odżywasz, skarbie?

– Ostatnio przybyło mi parę kilo i czuję się dobrze.

– Na pewno same mięśnie. Jak jesz? Trzy pełne posiłki czy pościsz cały dzień i ucztujesz w nocy jak muzułmanin w Ramadan?

– Różnie, mamó. Staram się jeść umiarkowanie.

Maddy się rozpromieniła.

– Mój najdroższy malutki wielkolud. No to opowiedz mi, jak żyjesz.

– A o czym tu mówić? Pracuję.

– Na pewno jak szatan.

– Robię tylko, co do mnie należy, mamó.

– Mosey, tobie nigdy nie wystarczało „tylko robienie”. Od pierwszej klasy bez przerwy tyrałeś. Kiedyś wezwała mnie twoja wychowawczyni z przedszkola... tego przykościelnego, gdzie cię posłałam, bo dawali stypendia, jak ona się nazywała... panna... nieważne. W każdym razie cała grupa uczyła się o tym, jak Izraelici niewolniczo harowali w Egipcie, a panna...

wszystko jedno, uznała, że wyglądałeś na zmieszanego, więc później z tobą porozmawiała.

Spytała, czy wszystko w porządku, a ty popatrzyłeś na nią ponuro i powiedziałeś: „Ja też byłbym dobrym niewolnikiem. Lubię ciężko pracować”. – Znów pogładziła go po policzku. – Cudowna szczerłość. Panna... Southwick, właśnie... Helen Southwick martwiła się, że jesteś „nad wiek dojrzały”. Cokolwiek to, u licha, znaczy.

Moe słyszał tę historię co najmniej sto razy. Uśmiechnął się.

– Opowiedz mi, jak żyjesz – poprosiła Maddy.

Usiedli przy stole. Moe dokończył wodę, a Maddy popijała z dużego kubka kawę zbożową posłodzoną miodem.

– To wszystko rutynowe zajęcia, mamó.

– Nad jakimi sprawami pracujesz?

– Nad niczym specjalnym.

– Cichosza, ściśle tajne? – dopytywała Maddy. – Nawet dla najbliższej rodziny?

– Nie, po prostu nic szczególnego.

– Jeśli tak można nazwać morderstwa. Myślisz, że zostaniesz w wydziale zabójstw?

– A czemu nie?

– Ludzie się zmieniają, skarbie. Pragną zmian.

– Ja nie.

Minęło kilka chwil. Maddy spojrzała na zegarek. Zazwyczaj czas nic dla niej nie znaczył.

– Coś zaplanowałaś? – spytał Moe.

– Nie, tylko nie chcę, żeby się kielbaski rozgotowały.

Poderwała się, wróciła do kuchenki.

– Parę minut i gotowe. Jeszcze wody, skarbie?

Zanim Moe zdążył odpowiedzieć, z sieni dobiegło echo zamykanych z trzaskiem drzwi.

Kroki, coraz głośniejsze. Mama w ogóle się nie zdziwiła. Dźgnęła widelcem kiełbasę.

Nuciła pod nosem.

W kuchni pojawił się Aaron.

Starszy syn został obdarowany takimi samymi pochwałami, uściskami i komplementami, jakimi Maddy obsypała na powitanie Moego. W przeciwieństwie do niego, Aaron zmienił ten pokaz uczuć w duet.

– Wyglądasz absolutnie cudownie, mamo. Świetnie ci z taką fryzurą, nie skracaj włosów, pasują ci... fajny naszyjnik, rewelacyjny kamień. Arizoński turkus, prawda? Wspaniały okaz, żyłkowanie wygląda jak... kot.

– Zgadza się. Co za oko.

– Hopi?

– Tewa.

– Coś pięknego. – Aaron zajrzał do garnka. – Kiełbaski mozaikowe, niech żyje kulturowa różnorodność. Jest tam jakaś z pieprzem cajun?

– Dwie – powiedziała Maddy. – Tak jak prosiłeś.

Moe wyszedł z kuchni.

Aaron dogonił go przy fontannie.

– Przestań, nie bądź aż tak drażliwy.

Moe prawie biegł do samochodu. Aaron dotrzymywał mu kroku.

– Chcesz jej zrobić przykrość, bo masz kiepski humor? Po tym wszystkim, co przeszła?

– A co takiego przeszła?

– Życie.

Aaron chwycił brata za rękaw. Moe odtrącił jego dłoń z taką siłą, że Aaron stracił równowagę i zatoczył się w tył. Otrzeptał nieistniejący pyłek ze swoich szarych, jedwabnych spodni.

– Dobrze, zachowuj się dalej jak gówniarz.

– Uczyłem się od najlepszych.

– Ode mnie niczego się nie nauczyłeś, w tym właśnie twój problem.

Moe poczuł, że jego twarz kamienieje.

– Nie wiedziałem, że mam jakiś problem – wycedził.

Aaron udał, że naciska guzik dzwonka.

– Pan Reed? Tu kurier FedExu. Paczka dla pana. Do gruntownego przejrzenia.

Moe sięgnął po kluczyki.

– Totalny gnojek – warknął Aaron. – Opóźniony rozwój i typowy zespół dysfunkcyjny.

– Zostałeś psychiatrą?

– Nie musiałem. Od razu widać, że sztywność przeszkadza ci w pracy. Dzwoniłem dziś do ciebie cztery razy...

– Czyli się z mamą zmówiliście?

– Nikt się nie zmówił, po prostu...

– Chłopcy!

Obaj się odwrócili. Maddy stała w drzwiach z dwoma talerzami pełnymi kiełbasek.

– Obiad podano! Chodźcie jeść!

– Moe nie jest głodny! – zawołał Aaron. – Ja zostanę.

– O, pewnie, zrób ze mnie drania – mruknął Moe. – Chrzań się. Chwileczkę, mam, musiałem tylko wziąć coś z samochodu.

– Słuchaj, zapomnijmy o osobistych pierdołach. Jestem tu ze względu na pracę. Być może mam dla ciebie trop.

– Szybciej, chłopcy! Kupiłam na deser lody.

– Jaki trop? – zaciekał się Moe.

– Później – powiedział Aaron. – I żeby było jasne, z nikim się nie zmawiałem. Mama zadzwoniła i zaproponowała, żebyśmy się spotkali. Ucieszyła się. Mówiła, że nie widziała cię od dwóch miesięcy, więc pomyślałem...

– A kiedy ty ostatnio tu wpadłeś?

Aaron nie odpowiedział.

– Potrzebny ci kalendarz? – spytał Moe.

– Chłopcy?

Maddy zbliżyła się do nich, zręcznie balansując talerzami. Ciężkie godziny pracy kelnerki w Dupar nie poszły na marne.

– Jedzenie stygnie, skarby. Rabinom by się to nie podobało.

Obiad był krótki, ale wydawało się, że trwa w nieskończoność. Maddy udawała świetny humor, obdarzając obu synów czułościami z obsesyjną dokładnością.

Jakby miłość, tak jak lekarstwa, można było odmierzać dawkami.

Równie beztrąsko, boleśnie sprawiedliwe traktowała ich w dzieciństwie. Na pozór nieporuszona podwójną stratą problemami z pieniędzmi, które zmuszały ją do pracy na dwa etaty. Jadowitymi spojrzzeniami i mamrotaniem sąsiadów za każdym razem, kiedy przeprowadzała się ze swoją wielorasową rodziną do nowej, wynajętej nory.

Kiedy mieszkali w Crenshaw, dokuczali im czarni. W Valley purytanie mieli inny kolor skóry, ale nie nastawienie.

Maddy została wychowana przez hipokrytów i rasistów. Wiedziała, co to są durne uprzedzenia. Zajmowała się własnymi sprawami, z determinacją broniąc własnych przekonań. To działało, ale też odcisnęło swoje piętno. Tak samo jak bezustanne odmierzanie miłości jej dwóm małym chuliganom.

Gdyby Aaron i Moses potrafili zajrzeć do jej głowy, zobaczyliby zaskakujące, niepokojące miejsce pełne ciemnych kątów, cieni, ślepych zaułków. Rozkładające się pamiątki z życia pełnego przygód i nieszczęść, które rozpuściło się w nudzie.

Teraz była ustawiona finansowo, miała dom, podróże, swoje chwilowe hobby.

Puste miejsce w podwójnym łóżku.

Czy mogła znieść jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat takiego odrętwienia? Bez wyzwania, bez niczego, przeciwko czemu mogłaby się buntować?

Synowie wyglądali jak mężczyźni, ale nigdy nie dorośli.

Czy dzieląca ich psychiczna otchłań była jej winą? Nie sądziła, zawsze starała się...

Stop. Nie zamierzała rozczulać się nad ich problemami. Zasługiwała na coś więcej.

Jej terapeuta się z tym zgadzał.

– Gotowi na deser, chłopcy? – spytała. – Waniliowe z wiśniami dla Aarona, czekoladowo-śmietankowe dla Moseya. Zabawne, co?

Kiedy posprząтали ze stołu, zaprowadziła ich do swojej pracowni na piętrze i pokazała olbrzymie,

dwukolorowe płótna. Wariacje na temat jasnego i ciemnego. Jeśli któryś z nich zrozumiał żart, nie dał tego po sobie poznać.

– Ładne, mamó – pochwalił Mosey.

– Bardzo ładne, mamó – powiedział Aaron.

Maddy zauważyła niedomalowane miejsce na skraju jednego z obrazów. Wycisnęła farbę na paletę, usiadła przy sztalugach, zaczęła uzupełniać.

Chłopcy stali i patrzyli, jak malowała. Wstała, żeby ocenić efekt, znów usiadła. Farba nie leżała dobrze. Kiepski akryl, zauważyła zdecydowaną zmianę w ostatnich kilku partiach...

Wycisnąć, zwilżyć, podnieść pędzel, nałożyć...

Kiedy się oderwała, minęło pół godziny, a w domu panowała błogosławiona cisza.

No i co to za trop? – spytał Moe.

Słońce zaszło, a bruk na podjeździe miał dziwny odcień fioletu. Smutny kolor. Moe chciał już jechać.

Aaron zachował dla siebie odruchową ripostę. „No i co to za nastawienie?” Opowiedział o przygodach Rory’ego Stoltza w hyundaiu.

– No i? – burknął Moe.

Aaron stłumił frustrację, gładząc materiał swojej sportowej marynarki. Super 200s z Mediolanu, jedwabście gładki, bezkonkurencyjny. Kupił te marynarki w trzech kolorach.

– Przyglądałeś się Stoltzowi na początku, ale wydawał się czysty...

– Nie „wydawał się”, miał alibi.

– Został w Riptide po tym, jak Caitlin wyszła. To nie znaczy jednak, że nie spotkał się z nią później. Ale i tak nie jest na szczycie mojej listy. Podobno w Riptide bywali wtedy celebryci. Nie wiem, kto wkręcił Rory’ego do ColdSnake, ale na pewno VIP, pracuję nad tym. Chłopaka najwyraźniej nęci ten świat. A jeśli jakiś sławny typ załatwił Caitlin, a Rory go chroni?

Moe pomyślał: Mason Book jest chudy, wszystko się zgadza.

– Rory rzekomo kocha tę dziewczynę, ale pozwala mordercy ujść bezkarnie, żeby móc mu przywozić prochy?

– Albo i coś więcej, Moses. Był jeszcze w tamtym domu grubo po trzeciej. Może tam nocował. Czyli wkręcił się w wyższe dochody.

– Jako chłopiec na posyłki. – Który chce być prawnikiem od rozrywki albo agentem. Pasuje idealnie.

– Uważa, że to dobry początek – podsumował Aaron.

Moe milczał.

– Nie robi to na tobie wrażenia.

– Widziałeś, jak Stoltz podrzuca dwóch klubowiczów. Nie wiemy, czy są z branży.

– To co powiesz na to? Dom, do którego ich zawiózł, należy do Lema Dementa.

Moe skrzyżował ręce na piersi.

- Będziesz tak się dzielił informacjami po kawałku?
- Musisz się zainteresować, zanim zacznę tracić czas, Moses.
- Spiesz mi się. Mów, co wiesz.

Aaron z trudem zachował spokój.

– Jeden: dom należy do Dementa. Dwa: mój informator twierdzi, że facet bije żonę. Żaden z tamtych dwóch nie był Dementem, ale ten ma gromadę dzieci. Dokładnie siedmioro, w tym pięciu synów. Chłopcy uczą się, jak traktować kobiety od ojców. – Brak ojca też uczy traktowania kobiet. – Znalazłem w Internecie zdjęcia trzech młodych Dementów. Dwaj najstarsi pasują budową do grubszego typu, którego widziałem.

Moe wyjął notes.

- Imiona?
- Japhet i Ahab. – Aaron się wyszczerzył. – Pierwszy ma dwadzieścia pięć lat, drugi dwadzieścia osiem. Ahab od czasów swojej fascynacji heavymetałem nosi ksywę Siekiera. Jeśli któryś z nich był karany, chciałbym się o tym dowiedzieć.
- To znaczy, że nic nie znalazłeś.
- W prasie trafiłem tylko parę fotek z imprez. Siekiera próbował wcisnąć się w kadr.
- Gdzie były te imprezy?
- Nie w Riptide. Oscary, Grammy, typowe imprezy po ceremoniach: Standard, Design Center, Skybar. Wszyscy narajani. Udają, że zależy im na prywatności, ale tak naprawdę pragną trafić do gazet.
- Jacyś prawdziwi celebryci na tych fotkach? – spytał Moe.
- Żebyś wiedział. Tom, Julia, Sean, George, stała obsada. Na jednym zdjęciu Siekiera usiłował ustawić się tak, jakby był kumplem Masona Booka.
- Jak to usiłował?
- Book obściskuje się z jakąś chudą supermodelką, a Siekiera nachyla się między nimi, piąte koło... co?
- Co to znaczy, „co”?
- Wzrok ci opadł jak ołowiany ciężarek.
- Tak tylko myślałem. Book jest wysoki i chudy. Może to jego widziałeś.

– Jasne, ale w L.A. chudych facetów jest na pęczki. – Aaron cofnął się o krok. – Dlaczego mam wrażenie, że Book cię interesuje?

– Bo Rory dla niego pracuje. Jako osobisty asystent.

Aaron zacisnął zęby.

– I kto tu dawkuje informacje?

– Dopiero się dowiedziałem.

– Kiedy? Jak?

– Nie muszę ci się spowiadać ze swoich metod.

– Swoich metod... – Aarona uśmiechnął się niepokojąco. – Kiedy tylko zniknąłem, pewnie pojechałeś do Peninsuli i rozmawiałeś z matką Rory’ego. Nie ma sprawy, ty jesteś szefem, a ja wyrobnikiem wdzięcznym, że mogę się czepiać poł twojego płaszcza. Ale jak tak dalej będzie, to pożegnaj się z zakończeniem sprawy Caitlin. – Ze złością wymachując kluczykami, poszedł do swojego porsche.

– Dzięki za wotum zaufania! – krzyknął Moe.

Aaron zatrzymał się i odwrócił.

– Mam wrażenie, że nie rozumiesz, Moses, że ja właśnie w ciebie wierzę. Gdybym nie wierzył, nie traciłbym czasu na dzielenie się informacjami. Jest mnóstwo tępych matolów ze złotymi odznakami, którzy nie są warci mojego czasu. Caitlin to sprawa z zamrażarki, braciszku.

Ty masz jedne kawałki układanki, ja inne. Najrozsądniej byłoby współpracować. Jak w tej cholernej piosence, której zawsze słuchałeś, z *Ulicy Sezamkowej*.

– Nienawidziłem *Ulicy Sezamkowej*. To ty ją oglądałeś.

– Nie, nie, nie, Moses. Ja lubiłem *Electric Company*. Morgan Freeman w swojej najlepszej formie.

– Czyli bawimy się we współpracę – mruknął Moe. – Mnie być może podskoczy wskaźnik wykrywalności, ty tak czy inaczej zgarniesz niezły szmal.

– A to przestępstwo?

– Jak się za bardzo rozpędzisz... Nie chcę ryzykować.

– Że niby cię czymś zarażę? Weź przestań, Moses. Robiłem to co ty, znam zasady. A smutna prawda jest taka, że będę kopał dalej i już. Na przykład sprawdzę Masona Booka, kiedy tylko mój tyłek trafi na fotel za biurkiem. Coś tu nie daje ci spokoju, a ja się dowiem co i dlaczego.

– Chodzi o zgranie w czasie – wyjaśnił Moe. – Book targnął się na życie dokładnie tydzień po

zniknięciu Caitlin.

– Co ty powiesz... że niby miał wyrzuty?

– Book jest aktorem, uzależnionym od narkotyków, więc mogło mu się poprzestawiać w głowie.

– O rany – mruknął Aaron. – Prawie od początku miałem złe przeczucia, że to robota psychologa. Teraz wyobrażam sobie prawdziwe paskudztwa.

– Na przykład?

– Gwałt zbiorowy, coś, co zaszło za daleko, żeby pozwolili dziewczynie zostać przy życiu.

Udział brali Book i jego kumple, może jeden albo więcej młodych Dementów, bo wiedzieliby z pierwszej ręki, jak się maltretuje kobiety. A nawet sam Rory.

– Zabili Caitlin, żeby ją uciszyć, albo jeszcze gorzej, umarła w trakcie – podsunął Moe.

– Załóżmy, że Book był na haju, kiedy to się stało. Kilka dni później w głowie mu się przejaśnia, uświadamia sobie, co zrobił, i tnie żyły... oczywiście jeśli ktoś taki ma sumienie.

To samo powiedział Sturgis.

– Nazwisko „Book” daje cztery miliony wyników w Google – powiedział Moe. – Siedziałem nad tym parę godzin, nie znalazłem ani jednego użytecznego faktoиду na temat próby samobójczej faceta poza tym, że leżał przez tydzień w Cedars na oddziale VIP.

– Waż Pac – stwierdził Aaron.

– Byłeś tam?

Szeroki uśmiech.

– Nie jako pacjent, w odwiedzinach. Najwyższe piętro, widok na miasto, ładne dywany, prywatna ochrona na korytarzu. Nie żeby to oznaczało lepszą opiekę medyczną. Podobno nawet lepiej nie być celebrytą w szpitalu.

– Dlaczego?

– Tacy ludzie nigdy nie słyszą słowa „nie”, wszyscy się ich boją. Kiedy zwykły pacjent narzeka, że się go budzi w środku nocy na badanie, pielęgniarka mówi: „Pan się odwróci, no już”. Jak marudzi VIP, pielęgniarka się wycofuje. Dwa lata temu zajmowałem się pewną sprawą.

Wnuk miliardera trafił tam na drobną operację kolana, skończył bez nóg. Nie powiem ci, czy to było w Cedars czy w innym miejscu. Ale uwierz mi, specjalne traktowanie to miecz obosieczny.

– Kto jest twoim kontaktem na Waż Pacu?

Aaron pokręcił głową.

– Nie mam żadnego, pilnują się tam bardziej niż w Pentagonie. Ale to dobre, coś się zaczyna kształtować. – Zaryzykował i położył rękę na ramieniu brata. – Współpraca, Wielki Ptak byłby dumny.

Moe drgnął, ale nie strząsnął dłoni Aarona.

– Dobra, łączy nas wspólny interes. A teraz mów wszystko, co wiesz.

– Dlaczego uważasz, że nie powiedziałem?

Tym razem Moe się uśmiechnął.

– W porządku – sapnął Aaron. – Ale naprawdę najważniejsze ci już powiedziałem. Nie trać czasu na szukanie innych zaginionych klientów Riptide, bo ich nie ma. Była para o nazwisku Rensselaer, niedługo po tym, jak zniknęła Caitlin. Okazało się, że uciekali po przekrętach z czekami; zostali znalezieni. Jedyne inne okruszki informacji, który może cię zainteresować, to że Lem Dement ma wielką działkę w Malibu, dwadzieścia pięć hektarów. Chodzą plotki, że stawia tam własny kościół.

– Jak to daleko od Pepperdine?

– Piętnaście kilometrów na północ, czyli jeszcze dalej od Riptide. Na razie nie widzę związku.

– Na dużej działce łatwiej ukryć zwłoki.

Aaron kiwnął głową. Dlaczego na to nie wpadł? Pewnie z braku snu.

– Co jeszcze? – spytał Moe.

– To wszystko, przysięgam. Co powiesz na to, żebyśmy dalej działali każdy sobie, a jak któryś trafi na coś ciekawego, to się podzieli?

– Ja zadzwonię – odparł Moses. – Z prywatnej komórki.

Aaron się uśmiechnął.

– Boisz się zarzków?

– Boję się skojarzenia z czymś, co może się okazać nielegalne.

– Już ci mówiłem...

– Wracasz do mamy?

– Tylko żeby się pożegnać.

– Ucałuj ją ode mnie.

Moe wyjechał z dziedzina.

Kiedy zniknął, Aaron poczuł się jak ostatni człowiek we wszechświecie.

Zamiast pojechać do Liz, Moe popędził na wschód Sunset przez Strip, celując swoim GPS-em w Hollywood Hills.

Trafił na ładną okolicę, ciemną i położoną na uboczu. Dużo ogrodzonych posesji, niewiele widać z ulicy. Dokładnie to, na czym zależałoby celebrycie. Zwłaszcza takiemu, który miał coś na sumieniu.

Po miesiącach bezowocnych wysiłków Moe nakręcił się na Caitlin. Rory Stoltz jako chłopiec na posyłki Masona Booka... to wiele nie znaczyło, a kiedy się nad tym zastanović, tak samo niewiele znaczył czas samobójczej próby Booka. Ale razem wzięte...

Aaron uznał, że warto się tym zająć...

Pani z GPS-a powitała Moego łagodnym głosem, kiedy dotarł do wylotu Swallowsong. Jego nieoznakowana crown victoria rzucała się tu w oczy. Szalę przechylił znak „Ślepa uliczka”: zaparkuj na dole, idź dalej pieszo.

Kiedy Moe wspinał się Swallowsong, powietrze niemal aż trzaskało. Wydawało się miedziane, naelektryzowane, jakby zaraz miało się zapalić. Gdzieś wyżej na wzgórzach zawył

kojot.

Coś właśnie ginęło. Witamy w prawdziwym życiu.

Szybko znalazł posesję. Wielka brama, fikuśnie kuta. Za nią – ciemność, nic nie wskazywało, że ktokolwiek tu mieszka.

Może to tylko jeden z tych domów do zabawy, w którym urządziło się imprezy z narkotykami, kręciło pornosy i tak dalej.

Moe stanął i zaczął wyobrażać sobie, jak Caitlin wchodzi do olbrzymiego domu, trochę przestraszona, ale pełna podziwu. Wypija więcej niż zwykle. Albo gorzej. Zanim się zorientowała, jej miękkie, opalone ciało jest już rozciągnięte na nieznanym łóżku i... Moe przerwał film w głowie i ruszył z powrotem w dół.

Była dziewiąta jedenaście, ponad godzinę po czasie, kiedy zapowiedział Liz, że wpadnie.

Zadzwonił do niej z samochodu.

– Bardzo przepraszam, kochanie – powiedziała.

– Za co?

– Że się spóźniłam. Dopiero wróciłam do domu. Spotkanie w La Puente; w wykopie pod fundamenty centrum handlowego odkryli szczątki, musieli się upewnić, że to nie jest indiański cmentarz.

Myślałam, że zdążę, ale na autostradzie wywróciła się ciężarówka z naczepą. Nie mogłam do ciebie zadzwonić, bo padła mi bateria. Długo czekałeś?

– Ani chwili, właśnie jadę – odparł Moe. – Moje własne wykopy.

– Och... no to mi ulżyło.

Głos miała zmęczony.

– Ciągle chcesz się spotkać? – spytał Moe.

– Na czipsy i dip? – zaśmiała się. – Tak, chyba jeszcze wykrzeszę trochę siły.

Przywitała Moego w luźnej, czerwonej koszulce i spodniach od dresu, z włosami byle jak upiętymi, bez makijażu, z puszką coli zero w dłoni. Pocałowała go szybko i mocno, przyniosła mu piwo.

– To sprawdzian. Widzisz mnie w mojej najgorszej postaci.

– Trudno to nazwać wyzwaniem.

Usiedli na kanapie.

– Ee, jeszcze jedno, Moses. To jest ta pora miesiąca. Przyszła trochę wcześniej.

– Hej, możemy się napić białego wina, obejrzeć powtórkę Opry, porozmawiać o naszych uczuciach.

– Albo o butach.

– Nie przeginaj.

Napili się piwa, pogadali o niczym, obejrzeli powtórkę *Misji moda*, bo Liz interesował ten program, a Moego bardzo śmieszył.

Po pięciu minutach, przy jakimś facecie narzekającym, że ma za mało czasu, żeby przeszyć linię A, cokolwiek to było, Moe zaczął zasypiać. Zanim zdążył się otrząsnąć, głowa Liz na jego piersi zrobiła się ciężka. Chwilę później dziewczyna już spała.

Moe wyłączył telewizor, wysunął się tak, żeby nie obudzić Liz, przykrył ją narzutą i cicho poszedł do sypialni, gdzie włączył laptopa.

Godzina surfowania po Internecie zakończyła się wnioskiem: Mason Book borykał się z problemem narkotykowym od wczesnej młodości w Nebrasce.

Dawny Michael Lee Buchalter był, jak sam przyznawał, „kiepskim uczniem”. Wyleciał z liceum i brał prochy, palił trawę, wachał farbę i robił, co mógł, żeby wytrzymać nocne zmiany w cuchnącej masarni pod Omaha.

Pod wpływem kaprysu pojechał do L.A., gdzie miał się różnych beznadziejnych zajęć, aż w końcu jego „gwiazdorska uroda” urzekła pewną szefową studia, która patrzyła, jak szczupły chłopak o zmierzwionych włosach myje jej mercedesa w myjni WeHo. „Pomyślałam, że to ktoś, z kim mogłaby się identyfikować większość kobiet i mężczyzn, Jimmy Stewart naszych czasów”.

Gdyby tylko Jimmy Stewart wciągał heroinę.

Umyty i ubrany przez patronkę, ze zmienionym nazwiskiem, pod okiem instruktorów aktorstwa Book zademonstrował zaskakującą umiejętność przywdziewania cudzych tożsamości.

W półtora roku został gwiazdą. Jego romans z szefową studia trwał jeszcze kilka miesięcy, potem znalazła sobie kogoś młodszego.

Nic nie wskazywało, żeby porzucony Book rozpaczął; zagrał główne role w kilku kolejnych hitach, za każdym razem emanując charakterystyczną skromnością i opanowaniem.

A potem się pociął.

Moe poszukał szczegółów wykraczających poza tabloidowe podstawy, nic nie znalazł.

Internet był jak wielkie koło młyńskie, zasysał informacje, a potem je obrabiał, aż nie zostały żadne konkrety.

Wpisał do wyszukiwarki „lem dement”, z nadzieją, że trafi na bezpośredni odnośnik do domu na Swallowsong. Nie trafił. Hasło „mason book lem dement” okazało się tak samo jałowe.

Zestawił adres domu z próbą samobójstwa. Zero. Karetka zabrała Booka, kolejno z: „siedziby w Hollywood Hills”, „apartamentu z widokiem na Sunset” albo „kawalerki przy Strip”.

Wyszukiwanie obrazów wyrzuciło następne strony miniatur Booka i różnych aktorek na czerwonych dywanach. Zaskakująco mało niepozowanych fotek paparazzich, a każda z nich pochlebna – smukłe ciało, orle, trochę wydatne rysy, wyluzowana postawa, gęsta grzywa jasnych blond włosów.

Uśmiech Booka był skrojony pod kamery. Nawet na tych kilku zdjęciach po podcięciu żył

facet wyszedł nieźle. Właściwie wyglądał na całkiem zadowolonego.

Cudowne ozdrowienie?

Korpus fotografów najwyraźniej traktował Booka ulgowo. Moe się domyślał dlaczego. Book, podobnie jak najmądrzejsi celebryci, dogadał się z cyfrowymi pijawkami: „Kiedy mnie złapiecie, ja posłusznie przyjmę kilka efektownych póz. W zamian wy dopilnujecie, żebym nie wyszedł jak wychudzony ćpun”.

Z drugiej strony to, że Bookowi udało się wymknąć z ColdSnake – o ile to on był tym chudym facetem, którego widział Aaron – oznaczało, że paparazzi go nie śledzą.

Może się już opatrzył i nikogo nie interesował. Nie zagrał w żadnym filmie od... Moe postukał w klawisze.

Trzech lat. W kategoriach branży to dinozaur.

Wrócił do galerii zdjęć. Sprawdził, z jakimi kobietami Book pokazywał się publicznie.

Z całym mnóstwem. Istniały pewne wariacje w kolorze włosów i skóry, ale dominował typ długonogich i jasnowłosych piękności. W L.A. to nic wyjątkowego, ale oba kryteria pasowały do Caitlin Frostig.

Podrywał kelnerki? Czemu nie? Miał trzydzieści trzy lata, nigdy się nie ożenił, według jednego z tabloidów „wciąż polował”. Czyżby traktował to dosłownie?

Niezła hipoteza, ale żadnych faktów na jej poparcie. Moe zaczął się zastanawiać, czy tych kilka sugestii brata nie pchnęło go w niewłaściwym kierunku.

Aaron miał swobodę działania, za to Moe był ograniczony do ślęczenia za biurkiem i rozmów ze świadkami.

Musiał wyjść na ulice i coś zrobić.

Zajrzał do salonu. Liz wyciągnęła się na kanapie, z twarzą prawie całą zakrytą narzutą.

Moe usiadł z powrotem przed płaskim, czarnym oknem cyberprzestrzeni.

Hasło „lem dement dzieci” wyrzuciło odnośniki do „olbrzymiego stadła”, „niezłej gromadki”, „wyraźnego policzka wymierzonego w twarz przeludnieniu” i „plemienia religijnych fanatyków” reżysera. Moe miał już wpisać inną kombinację, kiedy na trzydziestej stronie wyników trafił na artykuł „Malibu Sunrise” sprzed roku. Opisywano plan zbudowania przez Dementa repliki drewnianego kościoła z Krakowa, zniszczonego podczas II wojny światowej.

Dziennikarz miał pewne problemy ze zrozumieniem, czemu ktoś chciałby budować osobistą świątynię, ale ton artykułu był aż mdlący: hollywoodzka szyszka tworzy wielką szczęśliwą rodzinę.

Nowe, fundamentalistyczne poglądy Lema Dementa nie pasowały do przekonań Westside, ale bogatym i sławnym wszystko wolno.

Artykułek zilustrowano zdjęciem całego klanu, upozowanego przed budynkiem z bali.

Dement – zrelaksowany facet w wędkarskim kapeluszu i kraciastej koszuli. Żona Gemma, jasnowłosa, chuda jak patyk, o ładnych, ale ostrych rysach, kontrastujących z rumianą, świńską gębą Dementa – sztywno wyprostowana.

Stali odgradzeni dziećmi, najdalej od siebie, jak się dało.

Trójka najmłodszych była jasnowłosa i opalona; uśmiechały się tym swobodnym uśmiechem, który

rodzi się z bez troski.

Ambrose, Faustina i Marguerite promienieli optymizmem.

Ale za nimi stały chude, ponure nastolatki – Mary Giles i Paul Miki.

Z tyłu tkwiło dwóch skrzywionych olbrzymów, długowłosych i brodatych, w czarnych koszulkach. Twarze mopsów i beczkowate torsy.

Japhet i Ahab Dementowie wyglądali niemal identycznie. Moe obsadziłby ich w rolach złych bliźniaków-mutantów hodujących świnie na odludziu, schodzących ze wzgórz w jakimś horrorze typu „rodzina gubi się na zadupiu”.

Japhet wymachuje piłą łańcuchową, Ahab dwoma bosakami. Nawet nie trzeba by im zmieniać imion.

Moe długo klikał, zanim znalazł zdjęcie Siekiery. Zgadza się, „Ahab Siekiera Dement, syn reżysera Lema” faktycznie wciskał się między Masona Booka a wysoką, zagłodzoną blond piękność.

Kolejne pół godziny zaowocowało czymś, co Aaronowi umknęło: Mason Book został

zauważony przez jeden z darmowych tygodników w klubie Mrówka na koncercie zespołu Siekiery, Demented. Obecność aktora uznano za najbardziej godny zapamiętania aspekt

„przygnębiająco przewidywalnych, wołających o Prozac, beznadziejnie nudnych usiłowań połączenia elementów metalu i emo”.

Data: trzy tygodnie przed zniknięciem Caitlin. Moe poszukał informacji o zespole. Nic. A klub? Też nic.

Zalogował się do wyszukiwarki LAPD, wpisał swoje hasło, uzyskał dostęp, zapytał DOJ, NCIC i wszystkich innych satelitów Wielkiego Gliniarza w Niebie, co wiedzą o Ahabie Demencie.

Wydział komunikacji zgłosił jego drugie imię – Petrarch – oraz dwa mandaty za przekroczenie szybkości i sześć za złe parkowanie, wypisane na ciężarówkę Dodge Ram zarejestrowaną na adres przy Solar Canyon w Malibu.

Jeśli Siekiera był zbrodniarzem, jak dotąd uchodziło mu to na sucho.

Rozczarowanie przyniosło falę zmęczenia. Moe znów zajrzał do Liz, zobaczył szybkie ruchy jej oczu pod powiekami, słaby uśmiech na ustach. Śniła z prędkością światła. Może nawet o nim.

Usiadł na podłodze i chwilę patrzył na Liz. Potem, myśląc o piłach łańcuchowych i bosakach, przykrył jej stopy, zgasił światło i wyszedł.

Pan Dmitri złożył okulary do czytania i wsunął je do kieszeni koszuli razem z wyliczeniem wydatków Aarona. Ugryzł kawałek kebabu, popatrzył na detektywa.

– Żałuję, że nie mam nic więcej, ale na takie rzeczy trzeba czekać.

– Na rosyjskie pociągi trzeba czekać, panie Fox. Czasami nie przyjeżdżają.

– Ten przyjedzie.

Dmitri napił się pomarańczowego napoju przez słomkę.

Aaron spojrzał na własny lunch. Hamburger jak hamburger, ale coś w nim było nie tak.

Dziwnie przyprawiony, chyba kminkiem, cuchnął jak szafa staruszki.

Sekretarka Dmitriego obudziła Aarona o siódmej rano, wzywając na spotkanie przy lunchu ze swoim szefem. W lokalu U Ivana, przy Burbank Avenue w North Hollywood.

Aaron włożył dobry garnitur, spodziewał się rosyjskiej restauracji, grubych karków w czarnych, skórzanych kurtkach, słuchających muzyki granej na bałalajkach, pożerających bliny i kawior.

Lokal okazał się kebabownią na wynos z dwiema ławkami na zewnątrz. Aaron patrzył na upstrzony przez gołębnie parking, zapchany starymi gratami. Powietrze było gorące i śmierdzące.

Dobre stare Valley. Zastanawiał się, czy jadał tu Moe. Nie, nie dość zdrowo.

– Uważa pan, że w sprawę może być zamieszany ten aktor? – spytał Dmitri.

– Warto pociągnąć wątek.

– Bo nie ma nic innego.

– Czas próby samobójczej i to, że chłopak Caitlin pracuje teraz dla Booka może coś sugerować.

– Może, może. Albo że syn Dementa jest takim samym wstrętnym bigotem jak ojciec.

– Nie zdziwiłbym się – stwierdził Aaron.

– A czy to bez znaczenia, że dziewczyna jest biała?

– Na tym etapie trudno ocenić, co ma znaczenie, a co nie.

Dmitri ugryzł duży kawałek kebabu, wytarł humus z mięsistej brody.

– Pięćset dolarów za „kontakty specjalne”.

Łapówka dla tej gnidy O'Geary w firmie telekomunikacyjnej. Dwa lata współpracy i drań podnosi stawki o pięćdziesiąt procent.

Wytłumaczenie: przymknięcie Maria Fortuny „podniosło poziom ryzyka”.

– Chyba woli pan nie znać szczegółów – powiedział Aaron.

Dmitriego to rozbawiło.

– Stosuje pan taktyki KGB?

Aaron się zaśmiał. Dmitri szturchnął grubym palcem woskowany papier pod hamburgerem.

– Nie lubi pan prawdziwego amerykańskiego jedzenia?

– Jest świetne. – Na dowód Aaron ugryzł kawałek, poczuł na języku smak zapleśniałego prania. – Czy pan Frostig rozmawiał z panem, od kiedy zacząłem się zajmować tą sprawą?

– Nie. Czemu?

– Na razie wolałbym go wyłączyć z obiegu, nie informować o żadnych szczegółach.

Dmitri zmarszczył brwi.

– Podejrzewa go pan o coś?

– Nie, chcę tylko zachować ostrożność... prawdę mówiąc, kiedy się z nim skontaktowałem, wydawał się... prawie obojętny. Jakby sam nie wiedział, co myśleć o wznowieniu dochodzenia. Z

mojego doświadczenia to niespotykana reakcja.

Dmitri zetknął dłonie czubkami palców.

– Dobrze, wyłączymy go z obiegu. – Drobny uśmiech. – Może obieg zmieni się w parabolę.

Albo hiperbolę. Albo ciąg Fibonacciego.

Poszedł do swojego volvo i szybko odjechał. Posprzątanie zostawił Aaronowi.

Merry Ginzburg kazała Aaronowi przyjechać na spotkanie do lokalu przy Hillhurst, niedaleko jej biura w studiu ABC na Prospect. Przybył na czas. Piętnaście minut później wciąż jej nie było.

Wystrój Food Tubę tworzył modny, skromny klimat, którego brakowało Ivanowi.

Jaskrawozielone ściany ze szklanymi płytkami nachylonymi pod dziwnym kątem, sufit z czerwonego winylu, betonowa podłoga w kolorze chartreuse. Aaron czuł się jak we wnętrznościach gigantycznego gada.

Wychudli, odziani na czarno kelnerzy zbili się w grupkę w kącie i starali unikać trzech kobiet w średnim wieku, które pochłaniały jedzenie wyglądające jak kompost. Aaron i ta trójka byli jedynymi gośćmi.

Nikt nie wskazał mu miejsca, więc wybrał stolik w rogu i czekał dobre pięć minut, zanim ruda dziewczyna metr dziewięćdziesiąt łaskawie do niego podeszła. Kiedy zamówił herbatę z miętą, skrzywiła się.

– Coś nie tak?

– Po prostu nie znoszę tego świństwa.

– Herbaty?

– No.

Po kolejnych siedmiu minutach dostał kubek gorącej lury. Nie miał apetytu. Nuda zgniatała mu głowę.

Kiedy podrywał kobiety, udawał skrepowanie, gdy pytały, czym się zajmuje. Potem atakował

prawdą w strategicznym momencie. O czym nigdy nie wspominał, to jak duża część tej pracy składała się z telefonowania, gadania i czekania.

Chciał iść i coś zrobić.

Może umówiłby się z kimś na porządną kolację.

Wciąż się zastanawiał, kim będzie ta szczęściara, kiedy zadzwonił Barret O'Geara z nieznanego numeru.

– Komórka na kartę, a co myślałeś? Że zostawię ślad?

– Czego się dowiedziałeś?

– Że Mason Book prawdopodobnie ma problemy towarzyskie.

– Jakie problemy?

– Taki ogier, można by pomyśleć, będzie bez przerwy wymieniał SMS-y z łaskami, studiami filmowymi, producentami i tak dalej. Z ostatnich dziewięćdziesięciu dni wynika natomiast, że dzwoni do wypożyczalni filmów i wysyłkowego sklepu z alkoholem. Aha, tak, łączy się z komórką młodego Dementa. Siekiera, tak? Ciach, ciach. Zamawia dużo żarcia na wynos, lubi włoskie i tajskie. Book kontaktuje się jeszcze z niejakim Rorym Stoltzem. Najpierw myślałem, że to łaska, ale go sprawdziłem, bo to też nasz numer, ale opłacany przez business managera Booka.

Na drugie ma Jeremy. Czyli jest trzech gadających koleżków. To geje?

- Jak często Book i Stoltz rozmawiają? – spytał Aaron.
 - Raz, dwa razy dziennie, a niekiedy nawet sześć. Czasem późno, o trzeciej, czwartej nad ranem. No powiedz, Foxy, mówimy tu o pedalerios w miseczce z mlekiem i cukrem?
 - Czego się jeszcze dowiedziałeś, Barret?
 - Tajemnica, tak? Czyli Book gra dla przeciwnej drużyny, a ten image ogiera to ścierna? O rany, w nic już nie można wierzyć.
 - Zupełnie nie trafiłeś.
 - W takim razie, o co chodzi?
 - Lepiej nie pytaj. Sprawdź Rory’ego Stoltza z ostatniego roku i jak najszybciej do mnie oddzwon.
 - Hola, hola – powiedział O’Geara. – Po pierwsze, wiesz, że nigdy nie sprawdzam powyżej dziewięćdziesięciu dni, bo potem wszystko jest szyfrowane i wysyłane do banku danych w centrali, żeby federalni mogli sobie podsłuchiwać ludzi, kiedy im się spodoba. Po drugie, kolejne podejście kosztuje kolejne pięć setek.
 - Skończ te żarty – rzucił szorstko Aaron. – To cały czas to samo zlecenie.
 - Ja żartuję? Wszystko tu jest nagrywane, człowieku, gorzej niż w CIA. Za każdym razem, kiedy się loguję, ryzykuję pracę. Nie wspominając o statusie niekaranego i związanej z tym możliwości głosowania w krajowych wyborach na dowolnie wybranego łajdaka.
 - To ciągle jedna robota, O’Geara.
 - Ty tak twierdzisz.
 - Jeszcze setka i koniec.
 - Ty mówisz kręc, ja mówię pięć.
 - Sto pięćdziesiąt – uciał Aaron. – Nie wkurzaj mnie, bo się rozstaniemy.
 - Słyszysz ten dźwięk? To nie deszcz, to moje łzy.
 - Jak sobie chcesz. – Aaron się rozłączył.
- Trzy minuty później Merry wciąż się nie pojawiła, kiedy O’Geara zadzwonił z innego numeru.
- Dwieście siedemdziesiąt pięć albo z nami koniec i zażądaj alimentów.
 - Dwieście i odezwiesz się jutro.

- Dwieście dwadzieścia pięć i co powiesz na już?
- Już masz?
- Dwieście dwadzieścia pięć dasz i masz.
- Gadaj, Barret.
- Udało mi się cofnąć cztery miesiące, nie pytaj jak, ale obraz się wiele nie zmienił. Book dostawał wtedy telefony z CAA, ale potem dyskusje z agentem się skończyły. Stoltz i Book rozmawiają regularnie. I niespodzianka, Stoltz czasami dzwoni do Ahaba Dementa. Wiedziałem, że to pedalska afera. Bo Stoltz wykręca też numer do hotelu Peninsula w Beverly Hills. Cała trójka surfuje po czekoladowym rurociągu w jakimś drogim apartamencie, tak? Przeczytam o tym jutro na Drudge, a po sprzedaniu informacji kupisz sobie ferrari?
- Nie i nie – odparł Aaron. – Zrób jeszcze jedną rzecz, bez opłaty.
- O, jasne...
- Spójrz na to tak, Barret: siedemset pięćdziesiąt w gotówce już do ciebie leci, chyba że coś się stanie z pocztą.
- Grozisz mi? Ja zrobiłem swoje, teraz twoja kolej.
- Do widzenia, Barry.
- Za bardzo się spoufalasz – burknął O’Geara. – Dlaczego wyczuwam, że zamierzasz mnie wydymać?
- Nie ma powodu do konfliktu, Barry. Chodzi o coś prostego. Skoro pracujesz tak szybko, zostanę na linii.

Wyjaśnił, w czym rzecz. Przeklinając, O’Geara ustąpił. Ledwie zdążył przekazać informacje, do restauracji weszła Meny Ginzburg. Pomachała do Aarona.

- Czek już wysłany – oznajmił Aaron i wyłączył komórkę. Wstał, cmoknął Merry w oba policzki.

Meny miała trzydzieści siedem lat, była niewysoka, zgrabna i ładna, z gęstymi, ciemno-rudymi włosami i najsmutniejszymi niebieskimi oczami, jakie Aaron widział. Kiedyś redaktorka działu kulturalnego „Timesa”, została zatrudniona przez pewną stację telewizyjną, żeby opisywać branżę. Czasami sprzedawała plotki pod koniec wydań wiadomości w nudne dni.

Cięcia budżetowe sprawiły, że po ośmiu miesiącach jej kontrakt został wykupiony. Nie stała przed kamerą od wieków.

Co tłumaczyło różowy dres Juicy Couture, brak makijażu, włosy ściągnięte gumką.

– Wybacz, przystojniaku. Niespodziewane spotkanie z garniturami.

– Wróciłaś do pracy?

Pokręciła głową, wolno i smutno.

– Wręcz przeciwnie, chcą stargować moje wykupienie. Dasz wiarę? Trzy miesiące negocjacji, żeby dojść do obecnego stanu, trafiły do kosza.

– Dranie – skwitował Aaron.

– Wiem, dlaczego to robią. Uznali, że będę musiała wynająć prawnika, który zje mi większość pieniędzy, więc ustąpię. – Dźgnęła powietrze środkowym palcem. – Niespodzianka, korporacyjne gnojki.

Rudy patyk podszedł do stolika.

– Wszystko w porządku, panno Ginzburg?

– Wszystko do dupy. Przynieś mi albakorę z kiełkami, średnio wysmażoną, na wieloziarnistej bułce, bez majonezu, musztardy, żadnego świństwa. Ale chcę miseczkę z kawałkami przysmażanego tempeh i trochę sosu sojowego.

Ruda wydeła usta.

– Muszę iść po notes.

– Tak trudno to zapamiętać? – spytała Merry, kiedy dziewczyna zniknęła. – Trzeba było iść do Mickeya D. No to co słyhać? Czeka, Ektomorfa wraca.

– Teraz słucham – mruknęła Ruda.

Merry powtórzyła zamówienie.

– I dorzućcie trochę awokado.

Znów zostali sami.

– Siekiera Dement – rzucił Aaron.

– Prawdopodobnie taki sam dupek jak jego tatuś.

– Prawdopodobnie?

– To waiter* [Gra stów; *waiter* (ang.) – kelner, ale także, jako neologizm, osoba, która czeka; od wait, „czekacz” (przyp. red.)], więc co mnie obchodzi?

– W której restauracji?

Merry się roześmiała.

– Nie w znaczeniu niedoszły aktor, mój drogi. W znaczeniu „czeka, aż tata wykituje”.

Dziecko funduszu powierniczego.

– Dużego?

– Nie wiem, teoretyzuję. Tata wyciągnął pół miliarda z tego ohydztwa o ślepej wierze.

Zakładając, że nie nienawidzi swoich dzieci, dlaczego nie miałby sypnąć im trochę w brudne nadstawione rączki? – Spojrzała na grupę beczynnych kelnerów. – Hej, chudzielce... tak, wy.

Dostanę trochę wody?

Zdezorientowane spojrzenia. Nikt się nie ruszył.

– Wody? H-3-0? O Jezu. – Westchnęła głośno.

Szepty wśród spiskowców. Kiedy Ruda wyszła z kuchni, powiedzieli jej coś; zmarszczyła czoło i podeszła do stołu.

– Z gazem czy bez, panno Ginzburg?

– Kranówki. I jeszcze wrzątku dla Denzela Washingtona. Spiskowcy zaczęli cicho burczeć, jakby ktoś podłączył ich do prądu. Ruda wytrzeszczyła oczy na Aarona. Ten się wyszczerzył.

– Ona żartuje.

Ruda wyglądała na zupełnie zdezorientowaną.

– Wrzątek – powtórzyła Merry. – Gorące.

Woda w końcu została przyniesiona.

– Co wiesz o Demencie seniorze? – spytał Aaron.

– Jest bogatszy od samego Boga po tym świętoszkowatym badziewiu, ale nikt nie chce z nim pracować.

– Z powodu jego antysemityzmu?

– Wiesz, skarbie, Hollywood nie założyli Irlandczycy. Z drugiej strony, gdyby zyski były wystarczająco duże, Dement mógłby być Hermannem Goringiem i ktoś znalazłby wymówkę, żeby sfinansować jego następny film. Problem polega na tym, że Lem uważa się za artystę.

Teraz, kiedy tarza się w forsie, chce tworzyć.

– Projekty niekomercyjne.

– Pokręcone. Z tego, co słyszałam. Na przykład musical o druidach. Albo następne pseudodokumenty o takich seksi rzeczach, jak wrzodziejące zapalenie jelita grubego. Żartuję, ale to z druidami to może być prawda. Generalnie, gdyby Dement w ciągu ostatnich trzech lat wymyślił cokolwiek sprzedawalnego, właśnie by to kręcił.

Pojawiła się kanapka Merry, ułożona niechlujnie na prostym, beżowym talerzu. Ruda się odwróciła.

– Jeszcze wody – warknęła dziennikarka.

Dziewczyna zaskomlała coś niesłyszalnego.

– H-3-0? – zdziwił się Aaron.

– Taki branżowy dowcip, skarbie. Ciężka woda, używana w reaktorach atomowych.

Sugestia, że wysadzę ten lokal, jeśli ktoś nie sprawi sobie działającego mózgu.

– Jestem pod wrażeniem.

– Skończyłam chemię, poszłam na medycynę w Duquesne, wytrzymałam trzy dni. Uznałam, że uczciwa praca to nie dla mnie. Teraz szefostwo mnie wywała i perspektywy mam mniej więcej takie, jak Lem Dement w synagodze Wilshire Tempie.

– Przykro mi, Merry.

– Może wrócę do Pittsburgha, zamieszkać wśród prawdziwych ludzi.

– Nie rób tego, będę tęsknił.

– Akurat.

– Wiesz coś jeszcze o Dementach?

– Nie znam dzieciaków, ale założę się, że to wredna zgraja. Obejrzyj sobie film. Przemoc dla samej przemocy przybrana pobożnością. Kiepskie wzorce. Mówi się też, że Lem bije żonę.

– Naprawdę.

– Przecież nie udowodnię. Ale ona ma to spojrzenie, wiesz? Długotrwałe cierpienie. Mój znajomy, kamerzysta w tym filmie o Jezusie, przysięga, że kiedyś pojawiła się na planie z siniakami na szyi. Myślał, że mogę to wykorzystać, ale po pierwsze, pozwalają mi tylko na wesołe wiadomości, po drugie, nie mając choć cienia dowodu, nigdy by tego nie puścili.

– Przemoc domowa. Interesujące.

– Nienawidzę tego określenia, brzmi, jakby tłukł cię dom. A to Lem bije żonę, Aaron.

– Urodziła mu siedmioro dzieci.

– To dopiero szaleństwo. – Skubnęła kanapkę.

– Mason Book – rzucił Aaron.

Meny przestała jeść.

– Teraz, drogi panie, wzbudziłeś moją ciekawość.

– Dlaczego?

– Book to popaprany ćpun, ale wciąż ma potencjał, żeby wrócić na szczyt. Taka charyzma, do tego naprawdę potrafi grać. Co się dzieje, Aaron? Jakieś szaleństwo między nim i dzieciakiem Dementa? Gorący temat, który pomógłby mi wrócić do niecywilizacji?

– Jeszcze nie, Mer.

Odłożyła kanapkę.

– Aaron, to dla mnie naprawdę ciężki czas. Jestem traktowana jak śmieć, mój fundusz emerytalny nie wygląda najlepiej, bo myślałam, że dobre czasy nigdy się nie skończą. Do tego tak dawno nie uprawiałam seksu, że równie dobrze mogłabym sobie zaszyć dziurkę. Rodzice chcieliby widzieć mnie z powrotem w Pittsburghu i bez końca powtarzać: „A nie mówiliśmy”.

Jeśli wiesz o czymś dużym, musisz mi powiedzieć.

Aaron zamieszał herbatę.

– Nie ma o czym.

– Ale może być.

– Niewykluczone.

Chwyciła go za rękaw.

– O Boże, daj mi cokolwiek. Potrafię być dyskretna.

Aaron sprawdził jej umiejętność dochowywania sekretów trzy razy, podsuwając fałszywe tropy. Dwa razy przeszła, raz oblała.

– Naprawdę na razie nic nie wywęszyłem. Jeśli coś się rozwinie, będziesz pierwsza.

Przysięgam.

Mocniej ścisnęła jego rękę.

– Pierwsza się nie liczy, muszę być jedyna. Obiecay mi wyłączność. Sprawa o tym idiocie, pamiętasz? Nieźle wywindowała moje notowania.

– Umowa stoi – powiedział Aaron.

Jej uścisk zelżał, cofnęła dłoń.

– Nie możesz przynajmniej czegoś zasugerować? – szepnęła.

– Jeśli dowiesz się więcej o tym, co łączy Booka i Siekierę Dementa, bez zwracania na siebie uwagi, dostaniesz jakiś konkret.

– Book i Dement – powtórzyła, jakby chciała lepiej to zapamiętać. – Tu musi chodzić o narkotyki. Bo Book nigdy nie trafił na narkotyki, którego by nie polubił, a Dement to czekacz. Ma za dużo wolnego czasu, więc pewnie pali, wciąga i wstrzykuje, żeby nie umrzeć z nudów.

Aaron milczał.

– Och, Dezel! – Meny podniosła głos. – Jesteś taki silny i tajemniczy.

Kelnerzy w kącie dygotali z niepewności.

Moe jadł surowe warzywa, słuchał policyjnych wezwań, obserwował wylot Swallowsong Lane.

Wybiła dwudziesta trzecia; siedział tu od zachodu słońca, ubrany w wygodną dresową bluzę i dżinsy. Brązowa, sztruksowa marynarka leżała na podorędziu na wypadek, gdyby musiał ukryć broń.

Szansa, że sytuacja zrobiłaby się do tego stopnia ekscytująca, była nikła; w ciągu ostatnich trzech godzin tylko jeden samochód potoczył się w stronę znaku „Ślepa ulica”: jasnoniebieski prius. Prowadziła rozkojarzona, rozmawiająca przez komórkę brunetka po czterdziestce, z włosami związanymi w kucyk. Moe widział wcześniej ten samochód na podjeździe sąsiedniego domu, więc nie miał powodu łączyć go z posiadłością na szczycie wzgórza.

Na policyjnym paśmie to co zwykle: zakłócenia spokoju, zgłoszenia włamań, najpewniej fałszywe, zatrzymane samochody wymagające dalszej uwagi, kiedy sprawdzenie prawa jazdy ujawniało nakazy aresztowania i listy gończe.

Od strony skrzyżowania dobiegł niski, pulsujący warkot. Moe wyłączył radio. Czarny pickup dodge ram stoczył się ze Swallowsong, minął znak stopu i zniknął, zanim Moe zdążył zapisać numer rejestracyjny albo zobaczyć, kto siedzi w środku.

Ale marka, model i kolor pasowały do auta Siekiery Dementa.

Agresywna kupa metalu na wielkich kołach. Sądząc po odgłosie silnika – dużo przeróbek. To nie był typowy wózek rozpuszczonego bachora z branży, ale w tej konkretnej rodzinie Siekiera grał rolę Twardego Wieśniaka.

Samochód dawno zniknął z pola widzenia, ale Moe wciąż go słyszał. Miał do wyboru: jechać za nim albo zaczekać, na wypadek, gdyby pojawił się Mason Book, sam lub wieziony przez Rory’ego Stoltza.

Równie dobrze jednak Book mógł siedzieć w pickupie Siekiery, jako niby jego dobry kumpel. Ale jeśli tak, raczej nie wybierali się na rajd po klubach; ram zwracałby na siebie za dużo uwagi w Westside.

Book i Siekiera zamierzali się pokręcić bo spelunkach?

Szukali nieostrożnej kobiety, żeby ją zbiorowo zaliczyć?

Bez konkretnego powodu, żeby w to wierzyć, Moe przekręcił kluczyk w stacyjce.

Kiedy dotarł do Sunset, ulica się zakorkowała, wszyscy byli zbyt rozdrażnieni, żeby go wpuścić. Tkwił jak kołek i przeklinał swoje niezdecydowanie. Wtedy ryk klaksonów i wykrzykiwane przekleństwa skierowały jego uwagę na przyczynę korka: czarny ram stał pięć metrów dalej, w poprzek ulicy, blokując wszystkie pasy na wschód.

Nietrudno było zgadnąć, co się stało: pickup wpełznął się w wolno sunący strumień samochodów i utknął, kiedy światło zmieniło się na czerwone.

Zapaliło się zielone.

Wszystkie samochody na wschód od rama ruszyły, ale pickup ani drgnął, więżąc swoich zachodnich sąsiadów.

Rozmawiał przez komórkę?

Nie, upływało za dużo czasu.

Też nie zepsuł mu się silnik; ram warczał.

– Ruszaj się, dupku!

– Jedź, palancie!

– Jeedź!

Wycie klaksonów. Głupi ruch ze strony Siekiery, jeśli wioził Masona Booka.

Chyba że Book, totalnie naćpany, wcale się tym nie przejmował.

Albo lubił być w centrum uwagi.

Burza klaksonów zrobiła się ogłuszająca. Ram błysnął dwa razy długimi: „mam cię gdzieś”.

Jeszcze większy jazgot. Szyba kierowcy rama zjechała w dół, wysunęła się zza niej graba, wytatuowana ręka, pokazała całemu światu wielki, wyprostowany środkowy palec.

– Gnoju!

– Nienormalny jesteś?

Czarnoskóry olbrzym w niebieskim welwetowym dresie wysiadł z infiniti i ruszył w stronę pickupa. Moe rozpiął pasy, jedną rękę oparł na kolbie pistoletu, drugą sięgnął do klamki. W tym momencie ram zawył silnikiem i ruszył.

Czarnoskóry rozdziawił usta, potem wszyscy zaczęli trąbić na niego. Skrzywiony wrócił do swojego samochodu, odjechał. Po kilku sekundach na Sunset znów był płynny ruch, a czarny ram zniknął.

Chwilę potrwało, zanim Moe wpełznął się między szczęśliwych podróżnych; kiedy rozpędził się do trzydziestu na godzinę, zauważył pickupa. Prawie dwie przecznice dalej, ale wielki samochód – podniesiony na modyfikowanym zawieszeniu i olbrzymich oponach –

stanowił łatwy cel.

Moe kilka razy zmienił pas, skrócił dystans, znalazł się przecznicę za ramem. Potem kilkanaście metrów, i tak został.

Wrzucił do ust kawałek marchewki i zaczął go żuć do rytmu łomotu swojego serca.

Pickup trzymał się bulwaru przez całe Hollywood aż do Echo Park. Przejeżdżał przez ciemne kwartały odszykowanych małych sklepów z podróbkami antyków oraz butików sygnalizujących niepewny awans dzielnicy. Pralnie, latynoskie bary i sklepy monopolowe głosowały za status quo. W oddali kusiły światła wieżowców.

Tak daleko na wschód po Sunset jeździło mniej samochodów. Moe zwiększył dystans. W samą porę, bo ram bez kierunkowskazu odbił w bok i zaparkował. Moe zgasił światła, podjechał do krawężnika tuż przy poprzedniej przecznicy. Sięgnął po lornetkę, popatrzył na pickupa.

Niewiele zobaczył w ciemności. Noktowizor z sowieckiego demobilu, taki, jak prawdopodobnie miał Aaron, akurat by się przydał...

Ram stał, tak samo, kiedy narobił chwilowego zamieszania na Sunset.

Cichy kwartał, dużo okien zasłoniętych storami, jeden działający lokal pod smugą neonu na drugim końcu. Moe poprawił ostrość lornetki, przeczytał napis.

The Tall Tale w migoczącej czerwieni, pod spodem – niebieska uśmiechnięta maska, też uszkodzona.

Prawdopodobnie The Tall Tale. Nikt nie dbał o żarówki, typowa pijacka spelunka.

Czy Masonowi Bookowi wydawało się, że nie zostanie tu rozpoznany? Ryzykowne.

Prawdopodobieństwo, że jakiś pijaczyna przypadkiem da mu po twarzy, dość duże.

Może ktoś, kto siedział w pickupie, nie zamierzał wysiadać, po prostu przyjechał tu po narkotyki.

Gdyby zwierzyzna weszła do baru, czy Moe też powinien? Rozwahał to przez chwilę. Uznał, że ubrał się idealnie na taką okazję. To, co Aaron nazywał garderobą z Valley, pasowało tu o wiele lepiej niż jego drogie, włoskie ciuchy...

Ale ubranie określało człowieka tylko do pewnego stopnia; muskuły i oczywista krzepa Moego rzucałyby się w oczy. Musiałby się zgarbić, szurać nogami, zwiesić ramiona, mamrotać niewyraźnie, jakby bar nie był jego pierwszym przystankiem tego wieczoru.

Wszystko to stało się akademickim problemem, kiedy z lokalu wyszły dwie postacie i zbliżyły się do pickupa.

Duża osoba i trochę mniejsza.

W półcieniu pobliskiej latami rozkwitły szczegóły. Mniejsza miała długie włosy, kobiece kształty. Większa powłóczyła nogami i się garbiła.

Obie doszły do samochodu i odbyły krótką rozmowę z kimś, kto siedział w środku. Potem ruszyły dalej – w kierunku Moego. Minęły go, obrzuciły spojrzeniem.

Ona ubrana w obcisłe ubranie, on w luźne. Kobieta wymachiwała miniaturową torebką, kołysała biodrami, trochę teatralnie. Zatrzymali się przy małym samochodzie trzy pojazdy za Moem. Mężczyzna długo szukał kluczyków, upuścił je, zaklął dość głośno, by Moe go usłyszał.

W końcu wsiedli. Czarny pickup zapalił światła.

Samochód – ciemna corolla – ruszył pierwszy. Pokonał cały kwartał z wyłączonymi reflektorami. Ram odbił od krawężnika, przyspieszył, aż dogonił corollę.

Corolla jechała wężykiem – oczywisty znak, że kierowca prowadził pod wpływem. Moe miał nadzieję, że w pobliżu nie zjawi się żaden patrolowiec. I że dureń nikogo nie przejedzie.

Pickup i corolla skierowały się do śródmieścia, ale zatrzymały tuż przed nim.

Za granicą Hollywood Division, w Rampart, gdzie grasowały gangi i łatwo było o przypadkową kulkę czy inne nieszczęście.

Corolla zjechała na parking motelu Eagle. Ram też.

Znów popsute neony, tym razem popękany plafon z kiepsko narysowanym drapieżnym ptakiem, raczej jastrzębiem niż godłem państwowym. Na dodatek pęknięcie biegło przez dziób ptaka, co sprawiło, że robił głupią minę. Mniejsze szyldy obiecywały tanią kablówkę i filmy na zamówienie.

Typowy rozkład budynku: kilkanaście pokojów wokół parkingu w kształcie litery U.

Ciemnoskóry recepcjonista urzędował w oślepiająco jasnej recepcji. Drzwi zabezpieczono stalową kratą, ale przy tym całym oświetleniu mężczyzna wyglądał dla Moego jak siedzący cel.

Siekiera Dement wysiadł z rama. Drzwi pasażera nikt nie otworzył.

Dement miał na sobie taki twardzielski kostium jak na rodzinnym zdjęciu: kraciasta koszula, dzinsy, motocyklowe buciory. Rękawy podwinięte do łokci odsłaniały grube, wytatuowane przedramiona. Przetłuszczone włosy związał w kucyk; pełna, zmierzwiona broda dotykała nosa, który wyglądał, jakby zaatakował czyjąś pięść.

Kawał chłopca, jak ojciec. Podciągając dzinsy, Dement junior ruszył rozkołysanym krokiem do recepcji. Wcisnął guzik, otworzył kratę, potem drzwi, wyszedł kilka sekund później, machając kluczem na łańcuszku.

Szybka transakcja. Stały klient?

Siekiera skinął głową w stronę corolli, której Moe zdążył się dobrze przyjrzeć: błotnisty kolor, w kilku miejscach stuknięta, z łatami podkładu. Moe spisał numery, a Dement zapalił

papierosa i poszedł do pokoju w północnym ramieniu U.

Najdalszego ze wszystkich dwunastu, pogrążonego w ciemności.

Pasażerowie toyoty wysiedli.

Kobieta miała wysoko upięte, ciemne włosy i grubo ciosaną, zblazowaną twarz. Trzydzieści parę lat, typ kaukaski, niecałe metr sześćdziesiąt w szpilkach. Biała bluzka, krótka czerwona spódniczka; torebka z czarnego skaju. Gigantyczne czerwone kółka kolczyków kołysały się przy kwadratowej twarzy. Ogólnie dobra figura, ale tu i ówdzie trochę za pulchna i za miękka. Jak u kogoś, kto kiedyś o siebie dbał, ale już się poddał.

Przesunęła palcem po ustach, poprawiła włosy, zakołysała biodrami, czego jej towarzysz nie zauważył, bo usiłował otworzyć paczkę papierosów.

Był starszy – czterdzieści, czterdzieści pięć lat, Anglosas, około metr osiemdziesiąt, chudy, choć z wystającym brzuchem. Łysy na ciemieniu, ale włosy po bokach nosił długie. Opadały mu na ramiona. Krzaczaste wąsy dodawały bandyckiego wyrazu nijakiej twarzy z cofniętym podbródkiem. O wiele za duża biała koszulka zwisała nad luźnymi, za długimi dżinsami. Moemu przyszło do głowy, że nie on jeden ukrywa broń.

Mężczyzna zapalił papierosa, ruszył w stronę pokoju, do którego wszedł Siekiera Dement.

Kobieta podrobiła za nim, stukając obcasami na asfalcie. Raz się potknęła, zamachała rękami, żeby złapać równowagę. Jej towarzysz tego też nie dostrzegł.

Moe szybko wysiadł z crown victorii i stanął najbliżej, jak mógł pokoju bez zwracania na siebie uwagi.

Nie pukali; od razu wkroczyli do środka. Krótki błysk światła, zanim drzwi się zamknęły.

Typowa narkotykowa impreza: dziwka-alfons-klient?

Moe zaryzykował trucht do rama.

W kabinie pusto. Czyli Mason Book tego wieczoru nie zamierzał aż tak się stoczyć. Równie dobrze mógł w ogóle nie mieszkać na Swallowsong, dom należał do Dementa juniora – kolejny szczeniak branży żyjący z pieniędzy taty.

Możliwe, że ten chudy facet, którego Aaron widział wychodzącego z ColdSnake, wcale nie był Masonem Bookiem – nie, to bez sensu, Stoltz pracował dla Booka, po co miałby wozic kogoś innego w środku nocy?

Możliwe, że Stoltz przybył po Booka tuż po tym, jak Moe odjechał.

Możliwe, że to wszystko nie ma żadnego związku z Caitlin Frostig.

Moe wrócił do samochodu i sprawdził numery corolli. Niczego się nie spodziewał.

Ale po chwili na ekranie terminala wyskoczyły informacje i poczuł lodowate ostrze adrenaliny, igłę podniecenia dżgającą go w mózg.

Jeszcze kilka stuknięć w klawisze i jego serce weszło w tryb maratoński.

Moego zaczęło nosić.

Siekiera Dement opuścił motel pierwszy, po trzydziestu dwóch minutach imprezy.

Moe cały ten czas siedział jak na szpilkach. Teraz postanowił zaczekać, aż wyjdzie tamta para.

Z nadzieją, że wyjdzie. Biorąc pod uwagę to, czego się dowiedział. Ku jego uldze, w drzwiach pojawiła się kobieta, upinając włosy w wysoki kucyk. Udała się prosto do recepcji motelu, została wpuszczona bez naciskania dzwonka. Położyła dłoń na ramieniu recepcjonisty.

Uśmiechnęła się. Przykucnęła i zniknęła z widoku.

Światła zgasły na niecałe trzy minuty. Kobieta wyszła z recepcji, masując kark. Zaczekała przy samochodzie, aż pojawi się jej kompan.

Chwiejnym krokiem doczłapał do samochodu. Kobieta potarła jego łysą głowę i oboje wsiedli do auta. Corolla skokami wyjechała z parkingu, skręciła w prawo na Sunset.

Dureń znów zapomniał włączyć światel. Tym razem na trzy i pół kwartału.

Dureń nie był już anonimowy, dzięki mobilnemu terminalowi Moego.

Raymond Allison Wohr.

Uliczna ksywa: Ramone W. Każda z tych łajz uważała, że ksywa należy się jej z urodzenia.

Biały mężczyzna, metr osiemdziesiąt, osiemdziesiąt jeden kilo, piwne oczy, ciemne włosy.

Wiek, według daty urodzenia: trzydzieści siedem lat, adres w La Puente, prawdopodobnie nieaktualny.

Moe dawał mu więcej, ale nic dziwnego, facet miał bogatą przeszłość.

Terminal wypuł dwanaście stron tekstu, i to bez akt sprzed osiągnięcia pełnoletności.

Niemal dwadzieścia lat aresztowań, głównie za narkotyki. Dużo za posiadanie trawy, kilka prób sprzedaży zioła, pigulek, kokainy, oskarżenie o heroinę, sprawa umorzona. Wohr długo kiblował

w więzieniu hrabstwa, czekając na procesy, co oznaczało, że jest nikim i nikomu na nim nie zależy na tyle, żeby zapłacić kaucję.

Mimo to wyniki miał nawet niezłe: prawie tyle samo uniewinnień co wyroków. Te drugie wysyłały go na okresowe wycieczki do najróżniejszych placówek kalifornijskiego systemu karnego, gdzie Wohra uznano za prawdopodobnie „sprzyjającego” Bractwu Aryjskiemu, ale nigdy za jego członka. A zatem gang go nie chciał, bo Wohr był za głupi, za bardzo nieprzewidywalny albo brakowało mu odwagi. Tak czy inaczej, wykorzystywali go do drobnych, nudnych zadań.

Podczas nieregularnych pobytów na wolności Wohr zgromadził mandaty za wykroczenia drogowe, co zakończyło się zawieszeniem mu prawa jazdy, wciąż obowiązującym.

Corolla była zarejestrowana na Arnolda Bradleya Wohra. Ten sam adres w La Puente, brak wpisów w policyjnych kartotekach.

Dwa lata starszy, praworządny brat dał gruchota Rayowi powodowany litością, rodzinną lojalnością?

Wielka szkoda, Arnie, cholernie naraziłeś swoje dobre imię.

Wykroczenia drogowe Raymonda Wohra to parę przekroczeń szybkości, trzy niezatrzymania na znaku stop, jakieś problemy z rejestracją w La Puente, wynikające prawdopodobnie z tego, że tamtejszy mundurowy wiedział, że Ramone jest uliczną łajzą, i go gnębił.

Najciekawsze były cztery – cztery! – mandaty za jazdę bez świateł i dwa za kierowanie po pijanemu; z obu udało się Wohrowi wykręcić.

Ponadto, Raymond Wohr zgromadził na swoim koncie sporo drobnych przestępstw: kradzieże drobiazgów ze sklepów i nie tylko, za co zubożały ćpun finansował swoje chemiczne eksperymenty.

Teraz stręczył przechodzone uliczne dziewczyny hollywoodzkim szczeniakom.

Moe obliczył, ile lat Wohr spędził za kratkami, wyszło mu trochę ponad czternaście, nie licząc poprawczaka. Typowy kołowrotek, nic ciekawego, dopóki nie doszło się do najświeższych kontaktów Wohra z wymiarem sprawiedliwości.

Półtora roku temu został aresztowany przez wydział zabójstw Hollywood – Petrę Connor i Raula Bira, świat faktycznie jest mały – jako podejrzany w sprawie morderstwa Adelli Berthy Villareal.

Nie postawiono mu zarzutów, a z tego co Moe się zorientował, sprawa pozostawała otwarta.

Ciało Adelli Villareal znaleziono trzy miesiące przed tym, jak Caitlin Frostig wyszła w ciemność i zniknęła.

Komputer nie mówił wszystkiego, miał swoje ograniczenia. Szczegóły, których Moe potrzebował, znajdowały się w niebieskiej teczce w Hollywood. Postanowił zadzwonić do Petry rano.

Teraz ruszył za nielegalnym wozem Wohra na zachód Sunset. Tym razem jednak corolla odbiła z bulwaru na Virgil, pojechała na północ do Franklin, skręciła w lewo.

Z powrotem do Hollywood, w głąb cichszej, spokojniejszej wschodniej części dzielnicy, gdzie europejscy turyści zapuszczali się czasami w opuszczone, nieprzyjemne boczne uliczki, z nadzieją że zobaczą kogoś takiego jak Mason Book, choć zwykle trafiali na kogoś pokroju Raymonda Wohra.

Wohr natomiast zatrzymał się przed obskurnym blokiem mieszkalnym na rogu Taft i Franklin i wypuścił swoją sprzedajną przyjaciółkę. Chyba była zła, odwróciła się do niego plecami. Weszła do

budynku. Moe spisał adres.

Wohr pojechał dalej na południe Taft, zaparkował tuż za Hollywood Boulevard. Zgarbiony, ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach powlókł się prosto do baru bardzo podobnego do The Tall Tale.

Klub Wieczorowy U Boba.

Tandetne drzwi z pomalowanej na czerwono sklejką, okrągłe okienko.

Morskie klimaty? Cienie Riptide?

Moe patrzył, jak Wohr przystaje, żeby zapalić papierosa. Ramone W. rzucił zapalniczkę na chodnik i otworzył drzwi.

Dwie minuty później Moe też był w środku, na drugim końcu lepkiego, laminowanego baru.

Z piwem w ręku patrzył na pamiątkowe podstawki pod kufie z dawno zapomnianych kasyn Vegas, uwięzione w przezroczystym laminacie jak owady w bursztynie.

Towarzyszyło mu kilku pijaczków, mocno już wstawionych. Siedmiu, licząc Raymonda Wohra, który pocierał swoje bezwłose ciemię i strzelał podwójne burbony jeden za drugim. W

śnieżącym telewizorze leciał policyjny serial. Brudny, płatny stół do bilardu, pokryty pomarszczonym sukniem nie przyciągał grających. Wohr odpalał papierosa o papierosa, pił i usiłował oglądać film, kiedy udawało mu się utrzymać oczy otwarte. Na ekranie blondynki z okazałymi biustami zastraszały złych facetów o aparycji kelnerów z Ivy. Wszyscy trzymali pistolety w obu rękach, stali w absurdalnych pozach, przerzucali się słówkami typu „podejrzany” i „próbki DNA”.

Piwo było chrzczone i kwaśne; Moe starał się go nie pić, zerkając na Ramone’a W. Z bliska Wohr wyglądał na jeszcze starszego: długie włosy przetykane siwizną, skóra szara i dziobata, nos czerwony i opuchnięty, a pod oczami worki jak kangurze torby.

Pił z piętnaście minut. Przez ten czas ani on do nikogo się nie odezwał, ani nikt do niego.

Sześć podwójnych luf, a – na oko Moego – Wohr wszedł do baru już pijany.

Mimo to zdołał wstać i otworzyć drzwi – choć dopiero za drugim podejściem.

Moe rzucił pieniądze na bar i opuścił lokal w samą porę, żeby zobaczyć, jak Wohr wchodzi do tego samego nędznego budynku, co kobieta w białej bluzce.

Stręczył własną dziewczynę. Oto charakter najwyższej próby.

Moe pojechał z powrotem do West L.A., w wielkiej sali detektywów zastał tylko detektywa z nocnej zmiany, Edmunda Stickleya, który wypełniał papiery. Wszędzie miał dużo wolnego miejsca, ale usiadł akurat za biurkiem Moego.

Moe rozmawiał z nim kilka razy; był to jeden ze starszych, wypalonych gliniarzy; tacy lubili dostawać sprawy na końcu zmiany i wszystko przekazywać innym.

– Reed? – zdziwił się. – Już dawno po dobranocce.

– Nocne życie to złe życie – odparł Moe. – Ale mocne.

– W piosence było „moje życie” – poprawił Stickley. – Masz coś do roboty? Zmienię miejscówkę.

– Nie trzeba, muszę tylko zajrzeć do komputera.

Stickley mimo to przesiadł się do sąsiedniego biurka. Moe zalogował się do książki telefonicznej, wpisał adres bloku na Taft, dostał osiemnaście numerów. Wśród użytkowników nie było Raymonda Wohra. Siedem nazwisk należało do kobiet.

Zaczął sprawdzać, trafił za czwartym podejściem.

Alicia Constance Eiger, trzydzieści dwa lata, dwustronicowa biografia z naciskiem na narkotyki i prostytutkę.

Blond włosy, piwne oczy na najbardziej aktualnym zdjęciu, zrobionym blisko rok temu.

Twarz poznaczona głębokimi zmarszczkami. Nocne życie, faktycznie.

Moe wpisał „Eiger” w Google w połączeniu z nazwiskiem ofiary morderstwa „adella bertha villareal”, nic nie znalazł. Tylko „villareal” – to samo. Media nie pisały o tej zbrodni, nikt z bliskich ofiary nie stworzył strony internetowej.

W kryminalistycznych bazach danych też pusto na ten temat, i na portalach o osobach zaginionych. Żadnego bijącego w oczy związku z Caitlin, jaka szkoda.

Może dlatego, że te sprawy się nie łączyły.

Przed świtem nic już nie dało się zrobić. Moe czuł, że go roznosi. Wyszedł z komisariatu i pojechał w stronę wjazdu na 405. Zmienił zdanie, został na Pico, skierował się na wschód, Beverly Glen dotarł do Sunset i pomknął przed siebie.

Wjeżdżając po raz drugi na Sunset, poczuł, że zamykają mu się oczy. Nastawił radio na hardrockową stację, podkręcił głośność.

Nic to nie dało; rozważał już, czy nie zatrzymać się na drzemkę, kiedy otrzeźwił go blask mocnych reflektorów.

Jakiś dureń pędził w jego stronę. Gnał wąską uliczką, minął crown victorię o centymetry.

Moe wyteżył wzrok, żeby zobaczyć kto to.

Srebrny porsche kabriolet. Postawiony dach, otwarte okno kierowcy.

Beznamiętna twarz Aarona, który zredukował bieg przed kolejnym zakrętem.

Kiedy Moe miał sześć lat, dziewczynka z jego klasy szepnęła mu do ucha:

– Twój brat to małpa.

Moe poszedł właśnie do pierwszej klasy, od razu po przedszkolu. Zignorował koleżankę i skupił się na zadaniu z dodawania.

Dziewczynka zachichotała. Później, na przerwie, przyprowadziła starszego chłopca, prawdopodobnie trzecioklasistę. Moses odbijał piłkę od ściany, sam, tak jak lubił.

– To jest mój brat – oznajmiła z dumą.

Chłopak uśmiechnął się pod nosem.

Moe rozejrzał się za Aaronem. Na boisku nie było nikogo z piątoklasistów.

Bęc, bęc, bęc.

Chłopak machnął pięścią i przysunął się bliżej. Zaśmiał się razem z siostrą.

– Twój brat to małpa i czarnuch – wycedził.

Moe pochylił głowę i zaszarżował, wymachując rękami jak maszyna. Jego dłonie zmieniły się w kamienie, a nogi w bardzo szybko kopiące nogi robota, które nie mogły się zatrzymać.

Nagle chłopak leżał na ziemi, a Moe na nim siedział i wciąż go tłukł. W ustach miał smak krwi, ale nie czuł bólu. Przeciwnik krzyczał i płakał, z nosa tryskały mu czerwień i smarki.

Za każdym razem, kiedy pięść Moego trafiała go w głowę i ciało, wydawał z siebie żaloszny jęk.

Trzeba było dwóch nauczycieli, żeby odciągnąć Mosesa. Większy chłopak zanosił się płaczem.

W gabinecie dyrektora Moe przestraszył się pana Washingtona i odmówił rozmowy, dopóki nie przyjdzie mama.

Wyszeptał jej wszystko do ucha.

Wysłuchała syna, pokiwała głową i przetłumaczyła jego słowa dyrektorowi.

– To bardzo niedobrze, pani Reed. Jeśli rzeczywiście tak było.

– Tak było, panie Washington. Moses nigdy nie kłamie.

– Doprawdy? – Washington, czarny jak węgiel i szeroki jak brama do garażu, uniósł brwi. –

Proszę mi wierzyć, panie Washington. W życiu nie spotka pan uczciwszego dziecka.

Dyrektor popatrzył na nią, potem na Moego.

– Czy przedtem sprawiał jakieś kłopoty, panie dyrektorze?

– To pierwsza klasa, pani Reed. Lekcje trwają dopiero od dwóch tygodni.

– Proszę zadzwonić do przedszkola. Moses zachowywał się nienagannie. Żeby zrobić coś takiego, musiał mieć dobry powód.

– Nigdy nie ma dobrego powodu do przemocy, pani Reed.

– Ach, tak? – obruszyła się mama. – Ciekawe, czy demonstranci w Selma w Alabamie mają taki sam pogląd. Nie wspominając o mieszkańcach getta w Warszawie, o Navajo...

– Nie sędzę, żebym potrzebował lekcji historii, pani Reed.

– Jestem pewna, że pan nie potrzebuje, i przepraszam, jeśli pana uraziłam. Skoro jednak takie rasistowskie uprzedzenia są powszechne wśród państwa ciała uczniowskiego, nie dziwota, że dochodzi do pewnych...

– Nasze ciało uczniowskie jest bez zarzutu, pani Reed. Nie zbaczajmy z tematu. Moses pobił

tego chłopca do krwi. Wiem, że uważa pani swojego syna za grzeczne dziecko. Ale podobny incydent trudno nazwać dobrym początkiem. W żadnych okolicznościach nie wolno nam tolerować fizycznej agresji. Pod żadnym pozorem.

– Oczywiście, że nie, proszę pana. I Moses zostanie należycie ukarany, zapewniam pana.

Mama nigdy mnie nie karze. O nie!

Moe próbował podchwycić jej spojrzenie, ale patrzyła na pana Washingtona, jakby była z nim sama w gabinecie.

– Cóż, zamknijmy tę sprawę ostrzeżeniem – powiedział dyrektor. – Dla Mosesa i dla pani drugiego syna.

– A co Aaron zrobił?

– Nic. Jeszcze. I chcę, żeby tak zostało. Nie będzie osobistej vendetty, prób wyrównywania rachunków.

– A druga strona? – spytała mama. – Czy oni również zostaną ostrzeżeni?

– Strona? – powtórzył pan Washington. – To konfrontacyjna terminologia, pani Reed.

– Przepraszam. Chodzi mi tylko o to, czy nikt nie będzie dokuczał moim chłopcom.

– Nie, nie będzie. Pani zaś musi zagwarantować, że synowie nie skoczą nikomu do oczu.

– Nie zrobią tego, przysięgam.

Nagle Maddy chwyciła Moego za rękę, tak jak przed przejściem dla pieszych. Może trochę mocniej.

Spojrzał na mamę. Wyraz jej twarzy zupełnie nie kojarzył się z otuchą czy bezpieczeństwem.

Był nijaki, po prostu maska. Moe zadrzał.

Mama znów ścisnęła jego dłoń.

– Cóż, oby miała pani racje, bo minęły dopiero dwa tygodnie, a Moses już stąpa po cienkim lodzie. – Washington przełożył jakieś papiery.

– Wszystko będzie perfekcyjnie – oznajmiła Maddy.

– Perfekcyjnie? – Washington się uśmiechnął. Zegarek na jego biurku tykał. – Żeby nie ograniczać się tylko do nagan, pani Reed, powiem pani, że Aaron jest jednym z naszych najlepszych piątoklasistów, a także doskonałym sportowcem. To wskazuje na sporą samodyscyplinę.

– Żeby pan wiedział – przytaknęła mama. – Aaron zawsze był bardzo zdyscyplinowany.

Dyrektor opuścił wzrok na Moego.

– A on?

– Też, proszę pana.

Dyrektor wziął z biurka ołówek, popatrzył na gumkę.

– Obaj moi synowie są cudowni – oznajmiła Maddy. – Nigdy nie mam z nimi kłopotów.

– To dobrze, że pani tak uważa, pani Reed. Miłego dnia.

– Panu również, panie Washington. Dziękuję za wyrozumiałość.

Dyrektor podniósł się ze skrzypiącego fotela, podszedł do Moego, rzucił na niego gigantyczny cień.

– Chłopcze, twoja matka mówi, że jesteś cudowny. Staraj się, żeby nie zmieniła zdania.

Moe coś wymamrotał.

– Co takiego, chłopcze? Mów głośniej.

– Mama nigdy nie kłamie.

– Uczciwa rodzina – powiedział Washington i położył wielką dłoń na drżącym ramieniu malca.

Ściskając spocone już palce Moego, mama poprowadziła go – pociągnęła – przez niekończące się beżowe korytarze szkoły na oślepiające słońce, przez boisko, obok strażnika przy furtce.

– Dzień dobry, panie Chavez.

– Dzień dobry. – Chavez, zawsze przyjazny, teraz się odwrócił.

Mama szarpnęła Moego.

– Au jęknął.

Cisza.

Ona zawsze mówi. Teraz jest inaczej. O nie! Wsiedli do furgonetki.

– Zapinaj pasy, kolego, jedziemy na wycieczkę.

– Dokąd?

– Do Baskin-Robbins. – Nachyliła się i pocałowała go w czubek nosa. – Nawet twardziele i bohaterowie muszą czasem zjeść lody karmelowe z migdałami.

Kiedy godzinę później Aaron wrócił do domu autobusem starszaków, Moe i mama czekali przy kuchennym stole z lodami i szklankami mleka. Aaron przebiegł obok nich. Trzasnęły drzwi jego pokoju.

– No, to coś nowego – powiedziała mama i pobiegła za Aaronem. Moe usłyszał dobiegające zza drzwi podniesione głosy. Przez chwilę siedział bez ruchu, w końcu wstał i poszedł posłuchać.

– ... nie potrzebuję jego pomocy!

– ... nie w tym rzecz, Aaron, tamten powiedział coś ohydny, a Moe chciał cię bronić...

– ... nie potrzebuję jego obrony!

– ... nazywa impuls chwili, skarbie. On po prostu cię kocha, więc zareagował...

– ... mnie kochał, to by pilnował swojego nosa!

– ... chyba jesteś dla niego trochę za...

– ... mi wstyd, to dziwak. Wszyscy mówią, że debil, bo stoi sam, odbija tę głupią piłkę i nic nie mówi, a ja muszę ciągle go bronić i mówić, że nie jest debilem. Odkąd przyszedł do szkoły, to ...

– No, mam nadzieję, że go bronisz. Debil! Okropne...

– ... zachowuje się dziwnie... nieważne. Powiedz mu tylko, żeby się trzymał ode mnie z daleka. Dobra?

Cisza.

– Dobrze, mamó? Niech się ode mnie odczepi!

– Aaron, naprawdę nie rozumiem tego zacho...

– Wychodzę przez niego na ciotę, której trzeba bronić! Sam się obronię, jasne? On zgrywa bohatera tylko dlatego, że ciągle opowiadasz, że oni byli bohaterami. Ale nie byli! Nie obaj! Mój tata był bohaterem, a Jack tylko głupim pijakiem, który siedział na tyłku, kiedy...

Ostry trzask.

– O Boże, przepraszam, skarbie. Nie chciałam, nigdy cię nie uderzyłam, jak to się stało?!

Cisza.

– Aaron, kochanie, proszę. Odezwij się, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Wybacz, proszę...

– Przez niego są tylko kłopoty.

– Och, Aaron...

– Dobra, dobra, wybaczam ci, mamó.

Później, kiedy Aaron wyszedł z pokoju, zobaczył, że Moe podsłuchiwał.

– Czego chcesz? – prychnął. – Bohaterze.

– Ja... ja...

– Ja... ja... ja... ja... bla, bla, blaaa. – Aaron odepchnął Moego i poszedł do kuchni. – Mm, trochę zgłodniałem. Nałożę sobie wielką porcję bohaterskich lodów.

Ten sam pewny siebie, kpiący ton Moses usłyszał przez telefon. Ósma rano, ciągle zmęczony. Śmiech Aarona. Moses zacisnął pięści.

– Powiedziałem, że miło było cię widzieć wczoraj wieczorem, chociaż przelotnie. Wiesz, że Rory Stoltz zabrał Masona Booka tuż po tym, jak odjechałeś?

Aaronowi udało się go obserwować zupełnie niepostrzeżenie. Moe nie widział brata, zobaczył dopiero kilka godzin później, w przemykającym obok porsche. Wielki Brat chciał, żeby Moe o tym wiedział.

– Jesteś pewien, że to był Book?

– Nikt inny, Moses. Przyjrzałem mu się dokładnie. Starszy niż wygląda na ekranie.

Wymęczony, jakby miał za sobą ciężkie chwile.

– Gdzie Stoltz go zabrał?

– W żadne konkretne miejsce, po prostu jeździli.

– Dokąd?

– Aż do Ocean Front. Pomyślałem: Tak! Zatrzymają się w Riptide. Ale Stoltz skręcił w drugą stronę, na północ, wskoczył na PCH, trzymał się prawego pasa i jechał poniżej ograniczenia prędkości. Wtedy doszedłem do wniosku, że zmierzają do domu Lema Dementa w Solar Canyon, może na poranny paciorek. Znow błęd. Dotarli do Colony i zawrócili do domu. Stoltz wysadził

Booka i dziesięć minut później sam wyjechał z bramy.

– Wycieczka wzdłuż wybrzeża w świetle księżyca – powiedział Moe. – Brzmi całkiem romantycznie.

– Tak, myślałem o tym, może Book prowadzi sekretne życie i wpycha głowę Stoltzowi na kolana. Ale kiedy było bezpiecznie, podjechałem bliżej. Tylko siedzieli. Book wyglądał, jakby wybierał się na pogrzeb. Czyli jeśli zrobił chłopakowi laskę, to w olimpijskim tempie. Naprawdę nie sądzę, żeby do tego doszło, Moses. Stoltz jest chłopcem na posyłki, Book cierpi na bezsenność, dzwoni, chłopak stawia się przed nim na baczność. O to właśnie chodzi z takimi przydupasami. Dzięki nim czujesz się ważny. Pytanie brzmi: dlaczego Book nie może spać?

– Prochy robią najróżniejsze cyrki z cyklami dobowymi.

– Fakt. Ale to, nad czym się zastanawialiśmy, czyli wyrzuty sumienia po Caitlin, też tłumaczyłoby problemy ze snem. Nie żebym widział bijące w oczy poczucie winy. Raczej stupor.

A tobie jak minęła noc?

– Bez ekscesów.

– Przykro mi, że cię ominęło najciekawsze.

– Przejazdźka w świetle księżyca? – spytał Moe. – Sam też nie zaszalałeś.

Sekunda ciszy.

– Niech ci będzie – mruknął Aaron. – Ale teraz przynajmniej wiemy na pewno, że Book pomieszkuje w domu Dementa. To, czy stacjonuje tam też Siekiera, dopiero się zobaczy.

Nie, wcale nie.

– Jeśli coś się rzeczywiście wydarzy, nie krępuj się i dzwoń – powiedział Moe.

Zanim Aaron zdążył się odezwać, Moe zakończył połączenie i wystukał numer w Hollywood Division.

Petra Connor była jedną z tych kobiet, które mogłyby zawrócić człowiekowi w głowie, ale przez jej inteligencję i rzeczowość zapominało się, że to dziewczyna.

Szczupła jak modelka, ale w ciemnych, dużych oczach ani śladu tej bezmózgiej tępoty.

Nieskazitelna alabastrowa cera, wdzięczne ruchy tancerki albo biegaczki. Lśniące czarne włosy przycięte w schludną garsonkę.

Do tej pory Moe widział ją wyłącznie w czarnym zestawie: marynarka plus spodnie. Tego poranka także – elastyczny materiał opinał jej beztłuszczową sylwetkę, a zarazem ukrywał

wybrzuszenie pistoletu.

Raula Biro Moses nie znał. Zanim wyszedł z posterunku, zajrzał do Sturgisa i spytał o partnera Petry.

– Bardzo bystry – stwierdził porucznik. – Haruje jak wół, pewnie zostanie gwiazdą.

Moe nie chciał wpadać w paranoję, ale jadąc na komisariat Hollywood, wciąż się zastanawiał, co to znaczyło.

Kiedy poznał Birę, był zaskoczony. Facet wyglądał jak dzieciak. Chociaż fryzurę miał z innej epoki – zaczesaną do tyłu i przylizaną po bokach, z góry usztywnioną lakierem. Azteckie rysy, budowa zapaśnika wagi lekkiej. Aaron doceniłby jego szykowny strój: gładki, beżowy garnitur, biała koszula, szaroniebieski krawat.

Francja-elegancja, jakby się nie spodziewał, że będzie musiał ubrudzić sobie rękę.

Sturgis powiedział, że to harujący wół, bądź tu mądry.

We trójkę usiedli przy stole w sali przesłuchań. Po krótkiej pogawędce o Sturgisie, doktorze Delaware i morderstwach na bagnach, Petra poklepała niebieską teczkę po swojej lewej stronie.

Cienką; zły znak.

– Adella Villareal, to nie był jeden z naszych tryumfów.

Biro cmoknął językiem.

– Może mój ślepy zaułek krzyżuje się z waszym – zasugerował Moe.

– Byłoby miło – odparła Petra. – Zobaczmy, co mamy.

Moe z uprzejmości pierwszy podsumował swoją historię z Caitlin, opowiedział o powiązaniach między Rorem Stoltzem, Masonem Bookiem i Siekierą Dementem, o imprezie Dementa w motelu z Raymondem Wohrem i Alicią Eiger.

Nie wspomniał o udziale Aarona. Nie widział powodu.

Opowieść wypadła bardzo cienko.

– Eiger to dla nas nowe nazwisko, więc zapytaliśmy obyczajówkę – zaczęła Petra. – Znają ją, typowa starzejąca się dziewczyna z ulicy. Nie wiedzieli, że mieszka z Wohrem, a kiedy my go przesłuchiwaaliśmy, twierdził, że w jego życiu nie ma kobiety.

– Przynajmniej żywej – dodał Biro.

– Wlareal była jego dziewczyną? – spytał Moe.

– To nie takie proste. – Petra pokręciła głową. – Nie, mało prawdopodobne... zacznijmy od początku. Ktoś uderzył Adellę w tył głowy, ale nie dość mocno, żeby zabić. Uznaliśmy, że miało to ją osłabić przed uduszeniem rękami. Była w pełni ubrana. Ani śladu seksualnej napaści, żadnego materiału dowodowego.

Otworzyła dokumenty, przeczuciła kilka stron, podsunęła je Moemu.

Zdjęcie dwanaście na osiemnaście – śliczna Latynoska trzyma na rękach niemowlaka zawiniętego w niebieski koc i oślepia megawatowym uśmiechem.

Moe sprawdził jej dane zeszłej nocy. Dwadzieścia cztery lata w chwili śmierci. Zdjęcie z wydziału komunikacji ukazywało ładną dziewczynę z ciemnymi włosami, ale nic poza tym.

Ta sama osoba, bez wątplenia, ale na portrecie z policyjnych akt wyglądała olśniewająco niczym królowa piękności, z długimi, lśniącymi włosami zawijającymi się na końcach, rozjaśnionymi na kasztanowy brąz z pasmami miodowego złota. Obcisła biała bluzka i brązowe spodnie podkreślały przyjemne krągłości.

– Kiedy zrobiono to zdjęcie? – spytał Moe.

– Dwadzieścia dwa miesiące temu – odparła Petra. – W Phoenix, w domu jej rodziców.

Poleciała do domu, żeby się pochwalić synkiem. Miesięcznym Gabrielem. Cztery miesiące później już nie żyła.

Biro zmarszczył czoło.

– W noc, kiedy ją zamordowano, miała dziecko ze sobą. Od tamtej pory chłopca nie widziano.

– O rany – mruknął Moe.

– Gdybym była wierząca, modliłabym się do Boga, żeby to było porwanie – powiedziała Petra.

– Zbadaliśmy sprawę – ciągnął Biro. – Nie znaleźliśmy żadnego tropu. Żadnych wariatek z fałszywymi ciążami, żadnego kidnaperstwa.

– Kim jest ojciec? – rzucił Moe.

– Dobre pytanie.

– Adella wychowywała się w konserwatywnej rodzinie – podjęła Petra. – Ojciec jest mechanikiem samochodowym, matka opiekuje się starymi ludźmi w ich domach. Ja też dorastałam w Arizonie, znam tamtą okolicę. Solidni robotnicy, dużo religii. Adella dobrze się uczyła, w liceum była czirliderką. W dziesiątej klasie zaczęła się zadawać się z niewłaściwymi ludźmi. Wpadła w kłopoty z narkotykami, w końcu zaczęła pozować do rozbieranek. Jej rodzice się dowiedzieli, wybuchła ogromna awantura. Adella uciekła do Los Angeles.

– Licealne porno? – spytał Moe.

– Na fotki namówił ją gość, który twierdził, że pracuje dla „Hustlera” – wyjaśnił Biro. –

Nazywał to aktami; zabawianie się z samą sobą.

– Na dzisiejsze standardy to nic wielkiego – wtrąciła Petra. – Ale na standardy jej rodziców ekspresowa droga do piekła. Po ucieczce całkowicie zerwali kontakty. Aż tu któregoś dnia dzwonek do drzwi i w progu staje Adella z miesięcznym dzieckiem na ręku. Kwestia ojcostwa nie została poruszona, bo dziewczyna o tym nie mówiła, a rodzina nie chciała naciskać. Bali się, że znów ucieknie, że się więcej nie odezwie. Mimo że byli bardzo ostrożni, została tam tylko trzy dni. Matka się obudziła i zobaczyła pusty pokój. Rodzice podali nam nazwiska ludzi, z którymi Adella zadawała się w Phoenix, i nazwisko fotografa. Obrobiliśmy wszystkich, bez skutku.

Villarealowie to sól ziemi, ale smutna prawda jest taka, że nie mają pojęcia o życiu Adelli przez ostatnie osiem lat.

– Mieszkała w kawalerce przy Gower – powiedział Biro. – Żadna nora, ale też nic wypasionego. Spała na rozkładanej kanapie, dziecko obok w przenośnym kojcu, były tam głównie rzeczy małego. Znaleźliśmy kilka pasków wypłat, na ich podstawie dotarliśmy do klubu pokerowego w Gardenia, gdzie przez trzy lata pracowała jako kelnerka. Odeszła dopiero kilka miesięcy przed ciążą. Wohr robił tam za barmana, ale tylko przez miesiąc, potem go wywalili, bo się nie przyznał, że był karany. Zainteresowaliśmy się facetem, ponieważ na nagraniach z monitoringu widać, jak kilka razy odprowadza ją do samochodu. A jeden z rozdających pamięta, że trzymali się razem w przerwach na papierosa. Wohr ma grubą teczkę, choć brak w niej oskarżeń o przemoc wobec kobiet. Ale różne rzeczy uchodzą mu płazem, więc może postanowił

podnieść poprzeczkę. Od razu mu się przyjrzelśmy.

– Kiedy tylko go znaleźliśmy – dodała Petra. – Jakiś czas wcześniej skończył mu się dozór, ostatni adres był dawno nieaktualny. Jeden z naszych patrolowców w końcu zauważył Wohra na ulicy. Facet twierdził, że mieszka w La Puente, ale okazało się, że to dom jego brata, gdzie sypia od czasu do czasu. Nigdy nie ustaliliśmy tutejszego adresu gościa.

– Teraz go ma – oznajmił Moe.

– Stręczy i mieszka z dziwką. Interesujące – powiedział Biro.

– Samochód, którym Woehr nielegalnie jeździ, jest zarejestrowany na brata Arnolda. Może w którymś momencie to nam się przyda – zasugerował.

– Myślisz, żeby przycisnąć wielbnego?

– To pastor?

– Prowadzi mały, lokalny kościółek, karmi bezdomnych, ma żonę, dwójkę dzieci, wszyscy są uczciwi i porządni aż do bólu.

Moe jęknął.

– Ale proszę bardzo, porozmawiaj z nim – zachęciła Petra. – Z kim chcesz. Sprawa trafiła do zamrażarki, każda nowość mile widziana.

– Nos wam mówi, żeby dać sobie spokój z wielbnym? Tylko Woehr i kropka?

– Nie posiadamy żadnych dowodów wskazujących na tego łajzę.

– Woehr ma alibi na czas morderstwa?

– W tym właśnie problem, nie jesteśmy pewni, kiedy popełniono morderstwo. Bilingi komórki Adelli kończą się trzydzieści dni przed tym, jak ją znaleziono. Ale nie była martwa tak długo. Koroner ocenił na dwa, trzy dni góra. Nie przedłużyła umowy z operatorem, przerzuciła się na prepaidy.

– Coś ukrywała? – dociekał Moe.

– Jeśli się sprzedawała, przydałaby się jej komórka, której można się pozbyć bez śladu –

odparł Biro i spojrzał na swoją partnerkę.

– Zgłosiła się do nas jedna osoba – podjęła Petra. – Stara kobieta mieszkająca w tym samym budynku co Adella. Uważała, że dziewczyna się sprzedaje, ale nie opierała tego na faktach, tylko na „intuicji”. Nikt inny tak nie sądził. A właściwie wszyscy pozostali sąsiedzi twierdzili, że to wariatka. Lubili Adellę. Cicha, zajmowała się własnymi sprawami, skupiała na dziecku, mówili.

Teraz, kiedy nam powiedziałaś, że Woehr stręczy, otwierają się nowe możliwości. Adella miała pieniądze, prawie cztery tysiące na koncie, a w kasynie dawno nie pracowała.

– Problem w tym – wtrącił się Biro – że nic nie wskazuje, aby Woehr wtedy stręczył, a ja nie potrafię sobie wyobrazić takiej mendy w roli szefa Adelli. Dla Ramone’a W. to by był ogromny krok w górę.

– Co z bilingami komórki, zanim skasowała konto? – spytał Moe.

– Nic nadzwyczajnego – odparła Petra. – Jedzenie na wynos, sklepy dla dzieci, linie Southwest

Airlines, żeby kupić bilet do Phoenix. Zarezerwowała lot w obie strony, najwyraźniej nie zamierzała zostawać. Włamaliśmy się do jej komputera, mało go używała. Zamawiała trochę rzeczy przez Internet dla siebie i dziecka, na eBayu kupowała zabawki i książeczki.

– Kiedy przesłuchiwaliśmy Wohra – ciągnął Biro – mówił, że Adella była jego koleżanką z pracy, odprowadzał ją do samochodu dla bezpieczeństwa. Wiedział, że dziewczyna mieszkała w Hollywood, ale wypierał się, że on też. Chociaż przyznał się, że przyjeżdżał tam autobusem, kręcił się po bulwarze. Kiedy go spytaliśmy po co, uśmiechnął się głupio i powiedział: „Żeby się zabawić”. Wszyscy doskonale się orientowaliśmy, że bierze, może sprzedaje, tak naprawdę nie próbował ukrywać, jaki jest.

– Już się nie dało? – spytał Moe.

– Mówię o jego ogólnym wizerunku. Sprawiał raczej wrażenie głupka i ofermy niż szczwanego psychopaty. Potwierdzili to ludzie z naszej obyczajówki i dwaj mundurowi, którzy go znali.

Moe zerknął na zdjęcie.

– Biedne maleństwo – westchnęła Petra. – W mieszkaniu Adelli znaleźliśmy książeczkę zdrowia dziecka i wpisy szczepionek. Z Western Pediatrics. Pielęgniarki zapamiętały, że była czułą, troskliwą mamą, przychodziła na czas, karmiła piersią. Raz nawet podobno powiedziała, że jej cycki wreszcie są używane jak trzeba. Zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie wróciła do pozowania albo striptizu. A może nigdy nie przestała. Przeczesałismy kluby topless, fotografów, którzy zajmują się takimi rzeczami, nie trafiliśmy na żaden trop.

Moe otworzył akta na podsumowaniu.

– Ciało w Griffith Park.

– Za Fern Dell, niedaleko strumienia. Raki zdążyły się zainteresować.

– To bardzo blisko jej mieszkania – zauważył Moe.

– Dość blisko – sprostowała Petra. – Ale tam została porzucona. Nie zginęła w parku. Ani też w swoim mieszkaniu. Wciąż nie wiemy, gdzie to się stało. Kiedy koroner dał nam margines trzech dni, znaleźliśmy Wohra raz jeszcze i znów go przesłuchaliśmy. Nie przejął się, powiedział, że przez wszystkie trzy wieczory pił. Potwierdzili to inni kolesie z baru. U Boba, tam, gdzie go ostatnio widziałeś, jest stałym bywalcem. Samo w sobie to kiepskie alibi, mógł zabić w dzień.

Ale nic nie wskazuje na jego winę.

– Mieliście wystarczające podejrzenia, żeby przesłuchać go dwa razy.

– Tylko jego mieliśmy – odparł Biro.

– Uznaliśmy – ciągnęła Petra – że zabójca skądś dziewczynę zabrał, bo jej samochód cały czas stał na parkingu przy domu. Ustawienie fotela pasowało do wzrostu Adelli, nie było żadnych śladów,

żeby jechał nim ktoś inny. Może faktycznie działała na własne konto i trafiła na bardzo złego człowieka. Gdybyśmy zdołali powiązać ją z Wohrem albo innym alfonsem, tańczylibyśmy z radości, Moe.

– Brała narkotyki w liceum. A później?

– W mieszkaniu nic – odparł Biro. – Sama też była czysta.

Moe znów popatrzył na zdjęcie.

– Pewnie macie rację, nie pasowała do Wohra. Z taką urodą mogła grać w wyższej lidze.

Czyli obsługiwać prestiżowych klientów. Na przykład dzieciaka reżysera-milionera.

– Jasne – przyznała Petra. – Ale z tego, co widziałeś zeszłej nocy, Siekiera Dement nie bawi się w luksusy.

– Albo po prostu lubi różnorodność – zauważył Biro. – W męskiej psychologii liczą się tylko nowinki.

Petra się zaśmiała.

– W przeciwieństwie do kobiet, które łakną w kółko tego samego? – Spojrzała na Moego. –

Przyglądasz się Dementowi, bo zadaje się z Masonem Bookiem. A Bookowi, bo jest szefem chłopaka Caitlin?

– I dlatego, że Book próbował popełnić samobójstwo zaledwie tydzień po jej zniknięciu –

dodał Moe.

– Miażdżące wyrzuty u gwiazdora-narkomana? – spytał z powątpiewaniem Biro. – Wszystko możliwe, ale tacy jak on ciągle sami się niszczą. Bo są głupi.

Stal w jego głosie. Petra się wyszczerzyła.

– Mój partner uwielbia aktorów.

– Nie, uwielbiam jak ludzie męczą mnie o autografy, kiedy im mówię, że pracuję w Hollywood.

– „Ludziom” w znaczeniu niezłym laskom – zakpiła Petra. – W tym problem, co, partnerze?

Pokręcił głową.

– Raczej w tym, że nie mogę zaszpanować fajnymi znajomościami. Przyjemności to Westside.

– Robert Blake to akurat Valley – sprostował Moe.

Biro zaczął odliczać na palcach.

– OJ., Hugh Grant, Heidi Fleiss, Mario Fortuno, Paris i Mischa, i Lindsay, i wszyscy inni celebturnie, którzy jeżdżą po pijaku dla przyjemności i rozgłosu.

– Moment – zaprotestował Moe. – W większości mówisz o Strip. Idź się skarżyć szeryfowi.

Phil Spector to Altadena!

Petra ułożyła dłoń w pistolet.

– Bum. To się nazywa ściana dźwięku.

Cała trójka zachichotała. Lepsze to niż rozmyślać o kryminalnych zagadkach bez żadnych tropów. Moe zamknął akta.

– Dzięki za wasz czas. Z braku laku spróbuję się dowiedzieć, jak taki pajac jak Wohr poznał trustowe dziecko, czyli Siekierę. Potem może uda nam się przejść do Booka, Stoltza, Caitlin. I Adelli.

– Bo na przykład Siekiera przepuszcza pieniądze ojca między innymi w klubie pokerowym – zasugerował Biro.

– Albo lubi płacić za tani seks w brudnych motelach – dodał Moe.

– Albo Siekiera i Wohr poznali się na przyjęciu po rozdaniu Oscarów.

Tym razem słabszy śmiech, nikt nie włożył w niego serca.

– Jeśli chwilę zaczekasz, skserujemy ci akta – powiedziała Petra.

– Byłoby super.

– Dużo macie roboty na Westside? – spytał Biro.

– Niezbyt.

– To tak jak my w zeszłym roku. Całe miesiące bez jednego morderstwa, „Times” pisał o kłęsce nieurodzaju. Bieżący rok zaczęliśmy od uciętej głowy. Sprawa łączyła się z seryjnymi morderstwami, którymi zajmował się Sturgis. Tydzień później dwa porachunki gangów, wciąż szeroko otwarte.

– Cztery dzieciaki zastrzelone przed domem, gdzie odbywała się impreza – powiedziała Petra. – I nikt nic nie widział. Domyślamy się, kto za tym stoi. Syn rzekomo nawróconego gangstera, który dostał od miasta duże pieniądze na program: „Nie dawajcie broni do rąk ludziom takim jak ja i mój potomek”.

– Co oznacza: udawaj, że harujesz, ale nie rób nic bez zgody burmistrza.

– Słyszysz, Petro? – Biro uniósł brwi. – Taki młody, a już taki cyniczny.

Jedno z ulubionych powiedzonek Sturgisa. Szacunek Mosesa dla wpływów porucznika wzrósł o oczko.

– Pójdę z tobą zrobić ksero – powiedział Moe.

– Kto ci partneruje przy tej sprawie? – spytała po drodze Petera.

– Nikt.

Aaron siedział w opłu, w zasięgu wzroku od Swallowsong Lane, słuchał muzyki na iPodzie i zmagał się z erozją pewności siebie.

Liczenie pana Dmitriego za godziny obserwacji było w porządku tylko do pewnego momentu. Musiał przedstawić jakieś wyniki.

Udział Mosesa nie ułatwiał sprawy. Z prostym przypadkiem brat na pewno by sobie poradził.

Ale zamrożona na kość zagadka morderstwa?

Może oceniał Moego zbyt surowo, patrzył na niego przez pryzmat ich wcześniejszych...
relacji.

Szlag by trafił więzy krwi, on i Moses stali się dla siebie obcymi ludźmi.

A czy kiedykolwiek byli sobie bliscy?

To skomplikowane... cóż, zawsze mogli mieć pretensje do mamy.

Jedyna w swoim rodzaju; na samą myśl o niej się uśmiechnął.

Ona nigdy nie przestawała się uśmiechać.

Chyba że przestawała.

Dudy i łzy, mnóstwo mężczyzn w niebieskich mundurach, wielu też płakało.

Mama w czerni, z welonem.

Wielkie, niebieskie kształty wznoszące się nad nim – czteroletnim chłopcem. Mówią o tacie.

Z boku siedzi Jack, płacze bardziej niż ktokolwiek inny.

Ni z tego ni z owego, mieszka razem z nimi.

Wydawało się, jakby to było następnego dnia. Wiele lat później, kiedy Aaron nauczył się węszyć, bez trudu wykopał z Archiwum Hrabstwa akt małżeństwa.

Mama i Jack pobrali się trzy miesiące po pogrzebie. Ślub cywilny, pewnie jeden z tych, gdzie pary czekały w kolejce na swoje półtorej minuty przed przysypiającym urzędnikiem.

Mimo to już zawsze mu się wydawało, że to było następnego dnia. O to właśnie chodziło.

Czterolatek musiał konstruować własną rzeczywistość, a on sobie cholernie dobrze poradził.

Nigdy Jackowi nie pyskował, nawet kiedy ten zasypiał w połowie partii szachów czy Monopoly, czy przed telewizorem.

Nigdy nie donosił, że Jack śmierdzący wódką odbiera go ze szkoły.

Biedny mały Aaronek miał nowego tatusia i wszystko w porządku. Tymczasem biedny mały Aaronek budził się nocami, spocony i drżący, widząc uśmiechniętą twarz swojego prawdziwego taty. Jego prawdziwy tata podrzucał go do góry, grał z nim w piłkę, rany, jak fajnie, jak cholernie, cholernie fajnie.

A potem: prawdziwy tata leży w kałuży ciemnej krwi.

Uśmiecha się do Aarona, mimo bólu. Bezgłośnie mówi: „Do widzenia, mały kolego”.

Aaron żył z tym przez lata, ale nikomu nie mówił. Wyszłoby, że pęka.

Nowy tata.

Nowe dziecko.

Różowe i piegowate jak Jack, potrafiło tylko kwiczeć, fajdać i ssać mamy...

Z upływem lat Aaron chciał znać coraz więcej szczegółów o swoim tacie. Mama bez problemu wyjmowała rodzinne albumy, opowiadała, jak się kochali i jakim był cudownym mężczyzną, przystojnym, mądrym. Jack siedział sam i oglądał telewizję. Słyszał te wyznania, ale w ogóle nie reagował. Co to za facet?

Kiedy Aaron miał siedem lat, zebrał się na odwagę, poczekał, aż Jack będzie sam i spytał go, co się wtedy stało.

Jack unikał jego spojrzenia.

– To bardzo smutna historia, synu.

Nie jestem twoim synem!

Jack sięgnął po szklankę wódki. Czy szkockiej. Czy czegokolwiek, co akurat sprzedawali w promocji w monopolowym.

Aaron sobie poszedł, a Jack nie pociągnął tematu. To był ostateczny dowód.

Tchórz. Może dlatego właśnie zginął tata.

Trzeba się od niego odciąć.

Jack zareagował na nową sytuację superpobłażliwością, czasami po kryjomu rozpieszczał

Aarona. To tylko zmniejszyło szacunek chłopca dla intruza, który sypiał z jego matką.

Bez kręgosłupa. I w dodatku pijak.

Kiedy Aaron miał trzynaście lat, Jack zgasł. Bez stylu.

Spadł z przeklętego stołka. Nie grały dudy.

Mama płakała, ale inaczej.

Kiedy Aaron już rok przejeździł w patrolu, poszukał oryginalnych akt sprawy. Znalazł je w końcu w Parker Center, upchnięte razem z innymi przypadkami nie do rozwiązania, na zakurzonym metalowym regale.

Zaczekał, aż archiwista sobie pójdzie, a potem rzucił się z zaschniętymi ustami, wilgotnymi oczami i sercem walącym jak młotem pneumatycznym.

Znalazł dwie strony policyjnej prozy z kiepską interpunkcją, opisującej okoliczności przedwczesnego zgonu funkcjonariusza Dariusza Foksa, oraz niepodpisany akapit na końcu, gdzie obwiniano tatę i Jacka o nieostrożność.

Aaron siedział na zimnej, betonowej podłodze archiwum, płacząc bezgłośnie i modląc się, żeby nikt nie wszedł. Czytał suchy memoriał. Potem jeszcze raz. I jeszcze.

Anonimowy autor oskarżycielskiego zakończenia proponował, żeby wypadek 7 sierpnia 1979 roku wykorzystać jako przykład szkoleniowy, ale na swoim szkoleniu Aaron się na tę sprawę nie natknął.

Przejrzał bibliotekę akademii w Elysian Park. Dopiero tam znalazł podręcznik sprzed piętnastu lat, gdzie sprawa figurowała, wraz z kilkoma innymi, jako przykład „sytuacji, w której niezastosowanie należytych procedur prowadzi do katastrofalnych skutków”.

Winę głównie ponosił tata, bo nie miał się na bacności.

Ale to wynikało z raportu Jacka – Dariusz Fox opuścił broń, kiedy kierowca cadillaca otworzył szybę.

A gdzie ty byłeś, do diabła?

Aaron wrócił do archiwum. Zmusił się, żeby odsunąć na bok emocje. Spróbował wycisnąć jakieś fakty z zachowania taty.

Skoro doświadczony glina się rozluźnił, to znaczy, że zobaczył kogoś, kogo nie uważał za groźnego.

Albo znał.

Nagle akta zmieniły się w bezwartościowy papier i tusz. Wepchnął je na miejsce i wyszedł bez kserowania.

Któregoś dnia jeszcze zajmie się tą sprawą. Kiedy zarobi już dość pieniędzy, żeby zrobić sobie dłuższe wolne, naprawdę się skoncentrować.

Finansowo wiodło mu się świetnie, każdy rok okazywał się lepszy niż poprzedni, fundusz emerytalny wyglądał nieźle, a hipoteka na domu malała. Więc może ta chwila była bliżej niż dalej.

Jak zareagowałaby mama?

Jak zareagowałby Moe?

Niech się dzieje, co chce.

Na kwadrans przed pierwszą w nocy otrzeźwiły go reflektory.

Swallowsong zjeżdżał biały jaguar ze złożonym dachem. Para w średnim wieku, kobieta za kierownicą, ponury mężczyzna. Sześć minut później z góry boleśnie powoli stoczył się ciemny range rover.

Dwóch facetów o wyglądzie gejów, pasażer mierzwił włosy kierowcy; terenówka zbczyła w stronę opła, odbiła gwałtownie.

Pohukiwania, kiedy się oddalała. Przyjemnie cieszyć się z własnej głupoty.

Aaron przeciągnął się na tyle, na ile pozwalał fotel. Miał wrażenie, że ktoś wtarł mu w oczy piasek. Zwilżył je kroplami z kosmetyczki. Otworzył kolejną puszkę – colę, a nie Jolt, lepiej nie przesadzać z endokrynami.

Wypił dwa łyki, kiedy pojawił się czarny ram.

Jak zwykle przejechał przez znak stopu. Aaron był gotowy, zauważył Masona Booka oklapniętego w fotelu pasażera. To samo spojrzenie zombie co wtedy, podczas przejażdżki do Colony z Rorym Stoltzem.

Kilka chwil później Aaron przysuwał się do rama i oddalał w niezbyt gęstym ruchu na Sunset, w kierunku zachodnim, pracując oplem jak suwakiem puzonu. Zbliżał się i podglądał, a to co zauważał, składało się na jeden obraz, jak klatki animacji.

Siekiera Dement, mimo upału, w czarnej skórzanej kurtce, z tłustymi włosami związanymi w kucyk, łamał ograniczenie prędkości o piętnaście kilometrów na godzinę i bezczelnie palił skręta.

Z okna kierowcy łomotali Lynyrd Skynyrd, mocno podbite basy.

Bogaty bachor, na całego grał gościa wyjętego spod prawa. A gdzie flaga Konfederacji i stojak na strzelby?

Dojechali do Beverly Hills, miasta pełnego glin, ale z okna pickupa wciąż buchały kłęby nielegalnego dymu. Czyli Siekiera naprawdę lubił ryzyko. Może dlatego, że kasa taty przytępiała

wszystkie ostre kandy życia. A może był po prostu za głupi, żeby się bać.

Aaron odbił w prawo, zaryzykował kolejny rzut oka na Masona Booka.

Aktor siedział zgarbiony, gapił się na wprost, usta miał zaciśnięte i ściągnięte.

Rozkoszował się tylko nieszczęściem.

Ram sunął na zachód.

Aż do plaży, potem zjazd na PCH, niespodzianka.

Powtórka z rozrywki. Mason Book łaknął wiatru znad oceanu, znalazł sobie drugiego szofera.

Mimo swojej wyraźnej depresji, był gwiazdorem, a Siekiera tylko zgrywającym macho przydupasem, który przybiega z wywieszonym językiem na każde skinienie idola.

Siekiera przycisnął mocniej gaz; utrzymanie tempa zaczęło być dla Aarona problemem.

Tylko tego brakowało, żeby zatrzymał go jakiś kowboj z Patrolu Autostrady.

Czarny człowiek na plaży.

Niedaleko od Colony Aaron przygotował się do zawrócenia. Ale tym razem pickup jechał

dalej; nawet przyspieszył i przemknął obok kampusu Pepperdine, gdzie kiedyś studiowała Caitlin, a wciąż uczył się Rory. Malibu zaczynało się zmieniać w wieś.

Jechali do domu taty w Solar Canyon? Nocna msza w rodzinnym kościele?

Ale ram minął Solar, Kanan Dume, Zummy, Broad Beach. Skręcił nagle w prawo; Aaron zgasił światła opla i zredukował bieg.

Z odległości dwudziestu metrów patrzył, jak ciężarówka zatrzymuje się przy wejściu na Plażę Stanową Leo Carrilla.

Niecałe dwa kilometry dalej hrabstwo Los Angeles przechodziło w hrabstwo Ventura; chyba z najczystszy piaskiem i najładniejszą wodą w Kalifornii.

Od strony lądu, tam gdzie stał ram, ścieżki prowadziły do pola namiotowego i w las. Parę lat temu niedaleko stąd puma zmasakrowała rowerzystę.

Aaron podtoczył się odrobinę bliżej, usiłując wypatrzeć tylne światła ciężarówki. Kąt nachylenia zjazdu na parking i okoliczne zarośla całkiem ją zasłaniały. Słabo widoczny ocean po lewej był bardziej dźwiękiem niż widokiem.

Miarowy szum przyboju. W tę i z powrotem, jak leniwy seks.

Aaron przejeżdżał tędy setki razy podczas wypraw do Oxnard, Yentura, Ojai, Santa Barbara.

Ale ostatni raz zatrzymał się w Carrillo... na drugim roku studiów, zabrał tu dziewczynę, żeby pobrodzić w kałużach po odpływie, poleżeć na białym piasku. Udawał, że obchodzą go rozgwiazdy i anemony, żeby było romantycznie. Miał nadzieję, że pokażą się delfiny, bo laski je uwielbiały.

Tuż przed zachodem słońca razem z... jak ona miała na imię?... zauważyli stadko uroczych ssaków i sztuczka się udała. Świetna sesja na tylnym fotelu jego samochodu, jak ona miała na imię?... brunetka też pół-czarna, pół-biała, mówiła, że chce być psychologiem... Ronette...

Ronelle DeFreeze, wysoka, smukła, zielone oczy, ładna główka odwrócona w bok, kiedy...

Skup się, detektywie Fox.

Podjechał oplem bliżej, kilka metrów do miejsca, skąd widział fragment parkingu.

Ciężarówka stała dość blisko autostrady, przed żółtą bramą zamykającą wjazd do parku po zmroku.

Nie sposób było zobaczyć, czy w środku ktoś siedzi. Wielkie dzięki, bezgwiezdna nocy.

Tamtego dnia z Ronelle Aaron zaparkował tuż za żółtą bramą. Skupił się i wygrzebał

wspomnienia. Budka strażnika, regulamin. Droga wjazdowa ocieniona drzewami.

Siekiera i Book albo siedzieli w samochodzie, albo wysiedli, żeby dalej iść pieszo. Oba scenariusze ryzykowne: zaciemniony, zaparkowany wbrew przepisom samochód mógł z łatwością zwrócić uwagę patrolującego strażnika leśnego. Tak samo jak smród marihuany, którym na pewno przesiąkła kabina.

Ale przecież ten facet pędził przez Beverly Hills ze skrzywką w zębach.

Może chłopcy już znali teren i wiedzieli, że jest bezpiecznie, bo strażnicy rzadko tu przychodzą.

Cóż, niewykluczone, że przez cięcia budżetowe garstka leśniczych musiała patrolować cały gąszcz.

Co się mówi o bezpiecznym obozowaniu...? Aaron zawsze uważał, że to żalosne silenie się na fałszywe machismo.

A to było Carrillo. Słyszał plotki o tym miejscu. Dobre stare czasy Rodziny Mansona i innych czubków rządzących ucztą kanibali przy pełni księżyca. Ofiary z ludzi, krwawe rytuały, nie wspominając o seksualnych psychopatach czających się za każdą sosną.

A zresztą, jaka to przyjemność budzić się rano z obolałymi mięśniami i piachem w ustach, kiedy jakiś wściekły szop, łasica czy coś innego pierdzi ci w twarz...

Co Mason Book i Siekiera Dement robią tu o drugiej nad ranem?

Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Nie, za duże ryzyko.

Gdyby się na nich natknął, ujawniłby się i nic więcej już nie działał.

Moe byłby zachwycony...

Pierwsze przykazanie tej roboty: Nie spieprz sprawy swej.

Aaron przygotował się na kolejny bąbel bezczynności.

Dwadzieścia cztery minuty później zobaczył dwie postacie wracające do pickupa – czyli jednak poszli na spacer.

Ram wycofał się spod żółtej bramy, wjechał na PCH i ostro zawrócił przez podwójną ciągłą.

Aaron odpalił opla, rozejrzał się, pusto, więc sam zawrócił i rozpędził się do setki.

Kiedy już zaczynał widzieć przed sobą rama, we wstecznym lusterku błysnęła czerwień.

Cudownie.

Patrowiec mrugnął długimi.

Cierpliwości, człowieku.

Za chwilę idiota włączy syrenę. Aaron zatrzymał się przy pierwszej informacji o zjeździe.

Patrowiec dostojnie wyhamował kilka metrów za oplem.

Długo trwało – o wiele dłużej niż zwykle – zanim gliniarz podszedł. Aaron, z rękoma na kierownicy, obserwował w bocznym lusterku, jak tamten się zbliża.

Młody, właściwie dzieciak. Wielki, ciężki, z wydatnymi wargami.

Powolny, rozmyślny krok Johna Wayne'a, jedna ręka blisko pistoletu.

Czarny człowiek na plaży.

Gliniarz zatrzymał się półtora metra za oplem, znieruchomiał.

Nie ma powodu do obaw, policjanciku. Już przecież sprawdziłeś numery.

Trzymał się procedury.

Podnosząc latarkę nad głowę, jak uczą w każdej akademii policyjnej, mundurowy podszedł

trochę bliżej. Znów się zatrzymał. Z dłonią na kolbie.

Aaron siedział bez ruchu.

W końcu:

– Proszę wysiąść z samochodu.

Przyklejając na twarz swój najlepszy wyraz dezorientacji, niewinności i skruchy, Aaron wykonał polecenie dokładnie w takim tempie, jakie podobałoby się jemu samemu, gdy jeszcze służył w mundurze.

Uśmiechnął się, kiedy policjant oślepił go latarką.

Buzię trzymał na kłódkę, bo cokolwiek by powiedział, popełniłby błąd.

Wielebny Arnold Wohr miał sprawy do załatwienia w mieście, upierał się, że spotkanie na posterunku to dla niego żaden problem.

Moe wolałby się przyjrzeć domowi w La Puente, zorientować się, czy Ramone W. wciąż tam czasami nocuje. Ale ponieważ duchowny wykazywał tak dużą chęć współpracy, nie było o co się wyklócać.

Wielebny Arnold zjawił się dziesięć minut przed czasem. Starszy o dwa lata, wyglądał na dziesięć lat młodszego od brata Ramone'a – szczupły, łysiejący mężczyzna w niemodnym, nieskazitelnie czystym szarym garniturze, białej koszuli, niebieskim krawacie i brązowych butach.

Moe szukał rodzinnego podobieństwa do Raymonda Wohra i znalazł – brak podbródka.

Arnold miał spokojne i jasne spojrzenie, uścisk ręki chłodny i suchy.

Moe podziękował za przybycie, spytał, jakie sprawy duchowny ma w L.A.

– Te sprawy, detektywie. Nie chcę, żeby moja rodzina była w to zamieszana.

– W co?

– W cokolwiek, co dotyczy Raya. Co zrobił?

– Widać, pastor przyzwyczajony do wezwań na policję.

– Na policję, do kuratora, kiedy Ray był jeszcze na warunkowym, do sklepu monopolowego w okolicy, gdzie nagle nie mogli się doliczyć papierosów po tym, jak Ray wpadł kupić gumę do żucia. Na szczęście właściciel to członek mojej parafii.

– Już od dawna pastor sprząta po bracie.

– Krewnych się nie wybiera, detektywie, ale trzeba próbować im pomóc.

– Uważa pastor, że Rayowi da się pomóc? – spytał Moe.

Arnold Wohr zmarszczył brwi.

– Gdybym nie wierzył w zmianę, nie mógłbym co niedziela o niej nauczać.

– Pewnie bez przerwy pastor słyszy, jak bardzo jesteście z Rayem różni.

– Właściwie nie. Mało kto widuje nas razem.

– Ray rzadko przychodzi.

– Został aresztowany, kiedy miał czternaście lat, detektywie. Za kradzież brzoskwińowej brandy z supermarketu, potem za wyniesienie adidasów z Wal-Martu. Spędził kilka miesięcy w poprawczaku. Kiedy go zwolniono, rodzice urządzili powitalne przyjęcie. No i się odwdzieczył.

Opróżnił portmonetkę mamy w środku nocy i uciekł. Nie mieliśmy o nim żadnych wiadomości aż do następnego aresztowania, rok później, też za kradzież. Wtedy trafił do więzienia, ale nie zadał sobie trudu i nie poinformował nas, że wyszedł. Mama i tata byli porządnymi ludźmi, bardzo dużo rozmawialiśmy o tym, od czego Ray ucieka. Rodzice zastanawiali się nad tym do śmierci. Po wojsku moje poszukiwanie odpowiedzi zaprowadziło mnie do duchowieństwa.

– Chciał pastor zrozumieć Raya.

– Jego i ludzi takich jak on. Człowiek rozważa wszystkie aspekty: psychologiczne, socjologiczne, ale one nic nie tłumaczą. Wtedy ucieka się do siły wyższej.

– Raya opętał diabeł.

Surowa mina pastora sprawiła, że Moe pożałował swojego żartu.

– Przepraszam – wymamrotał. – Nie chciałem się naigrywać...

– W porządku, detektywie. Wiem, że wyobrażenia o dobru i złu oparte na wierze nie są w dzisiejszych czasach popularne. Ale nikt nie przedstawił mi nigdy lepszego wytłumaczenia zachowania mojego brata.

– Uważa go pastor za złego.

Arnold gwałtownie podniósł wzrok i szybko spuścił.

– Za zagubionego. Nie twierdzę, że kieruje nim jakaś niewidzialna ręka, demon z długim ogonem. Raczej to negatywna energia Raya przewyciężyła pozytywną.

Zabrzmiało to jak New Age. Albo cała religia sprowadzała się po prostu do wiary w niewidzialne.

– Domyśla się pastor, dlaczego prosiłem o rozmowę?

– Teraz tak. Kiedy spytałem o pana na dole, powiedzieli mi, że idę do wydziału zabójstw.

Jestem przerażony.

Ale już przedtem zdecydował się rozmawiać z dala od swojej rodziny – spodziewał się czegoś złego. Podejrzał, że chodzi o coś więcej niż narkotyki i drobne kradzieże.

Pora go zmiękczyć.

– Cóż, nie chciałbym pastora straszyć, ale badamy związki Raya z ofiarą morderstwa.

– Związki? Ray jest podejrzany?

– Jeszcze nie.

– Ale może być?

– To by pastora zaskoczyło?

– Ray nigdy nie był brutalny. Tak, oczywiście, byłbym zaskoczony. Moe wysunął z akt pogodne, kolorowe zdjęcie Adelli Villareal i pokazał je Arnoldowi. Po twarzy pastora przemknął skurcz.

– Ona nie żyje? Mój Boże.

– Zna pastor tę dziewczynę.

– Widziałem ją raz. Z dzieckiem, w tym samym niebieskim kocyku. Dobry Boże, co się stało?

– Gdzie i kiedy pastor widział Adellę? – spytał Moe.

– Ray przyszedł z nią na Wielkanoc. Nie ostatnią – dwa lata temu. Ledwie miesiąc przed śmiercią.

– Na świąteczny obiad?

Wohr kiwnął głową.

– Przestaliśmy go zapraszać wiele lat temu, bo nigdy nie odpowiadał. A tu proszę, pojawił się sam z siebie. Miał garść kwiatów, wyraźnie z czyjegoś klombu.

– I przyprowadził znajomą.

– To druga niespodzianka. Wcześniej zawsze przychodził sam. Trzecią było to, że ona...

– Adella Villareal – odpowiedział Moe.

– Tak, Adella, nie była typem osoby, jaką można by kojarzyć z Rayem.

– To znaczy?

– Dobrze wychowana, uprzejma, bardzo miła młoda dama. Miała doskonałe maniery, nalegała, że pomoże nam przy nakrywaniu stołu.

– Inna niż pozostałe kobiety w życiu brata.

Arnold opadł na oparcie krzesła.

– Nigdy nie znalazłem żadnej innej kobiety w jego życiu, detektywie, po prostu... ona do Raya nie pasowała. Chociaż starał się zachowywać jak najlepiej. Kiedy się pojawia, zawsze chodzi o pieniądze. Tamtego dnia o nic nie prosił. Był przyzwoicie ubrany. Koszula, czyste dżinsy. Może w końcu się ustatkował.

– Uważał ich pastor za parę.

– Nie wiedziałem, co sądzić. Ale przyszedł z nią i z dzieckiem. Więc tak, założyłem, że są razem. Pamiętam, jak myślałem: Biedne dziecko, jeśli Ray jest jego tatą. Wybacz mi, Panie.

Moe wyjął zdjęcie Alicii Eiger.

– Kto to? – spytał Arnold.

– Kolejna przyjaciółka Raya.

– Kogoś takiego bardziej bym się spodziewał.

– Jak Ray przedstawił Adellę pastora rodzinie?

– Po prostu: „Cześć, przyjechaliśmy, to jest... Adella”. Żona pobiegła po dodatkowe nakrycie do stołu, żeby nie zawstydzać biedaczki.

– Założył pastor, że Ray jest ojcem dziecka, ale w którymś momencie zmienił zdanie?

– Nie było między nimi żadnej romantycznej więzi. Prawie się do siebie nie odzywali.

Głównie to ona rozmawiała z moją żoną o dziecku. Właściwie tylko jemu poświęcała uwagę.

– A Ray?

– Nie interesowało go ani trochę. Kiedy Adella wstawiała, żeby się zająć małym... to był

chłopczyk, słodkie maleństwo z gęstymi włoskami, Ray tylko się obżerał. Tak, jak nauczył się w więzieniu. – Arnold położył rękę na stole i się zgarbił.

– Chronił swoje jedzenie – powiedział Moe.

– Właśnie. Ma pan dzieci, detektywie?

– Nie.

– Na początku to tylko fizyczna opieka. Karmienie, odbekiwanie, przewijanie i od początku.

Adella wyraźnie się tym rozkoszowała. Przy stole zjadła bardzo mało, więc przygotowaliśmy jej paczkę na drogę. – Zmarszczył brwi. – Ray wyczyścił swój talerz, a potem zabrał się do jej dania.

Powiedział: „Ona tego nie tknie, po co marnować dobre zarcie”.

– Jak Ray odnosił się do Adelli?

– Pan myśli, że on zabił tę dziewczynę.

– Na dzień dzisiejszy wiemy tyle, że Ray ją znał, a ze względu na jego kryminalną przeszłość, trzeba mu się przyjrzeć.

– Nie był brutalny.

– Czasami ludzie robią rzeczy, za które nigdy nie zostali aresztowani. Arnold nie odpowiedział.

– Zszokowałoby to pastora, gdyby się okazało, że Ray kogoś zabił?

Oczy wielebnego podskoczyły jak na trampolinie.

– Przed chwilą pan powiedział, że nie ma żadnych dowodów...

– To prawda. Tylko pytam.

– Detektywie, sama myśl, że mój brat... nie, naprawdę sobie tego nie wyobrażam. Ray nie był brutalny. Nigdy...

– Ale...

– Ale nic.

– Przepraszam – powiedział Moe. – Zdawało mi się, że słyszę „ale”.

Arnold Wohr założył nogę na nogę, szarpnął klapę marynarki.

– Gdybyście mieli dowody... nie, nie, nie wierzę, że Ray posunąłby się tak daleko. Ale gdyby jednak... oczywiście chciałbym, żeby go zamknięto gdzieś, gdzie nie skrzywdziłby już nikogo.

– Nikogo innego – powtórzył Moe. – Czy jest jeszcze coś, co powinienem wiedzieć o bracie pastora?

Oczy Arnolda uciekły w bok, jak suwak strzelby. Wielebny wbił spojrzenie w plamę na ścianie.

– Nie jestem pewien, o co pan pyta, detektywie. Dla mnie to zabrzmiało jasno.

– Mogę się mylić, ale pastora wyraźnie coś bardzo martwi. Może dlatego, że wie pastor o swoim bracie coś, czego nie wie nikt inny?

Cisza.

– Wielebny, rozumiem, że tu chodzi o rodzinną lojalność, ale obu nam zależy na tym, żeby chronić niewinnych.

Arnold popatrzył na Moego.

– Wygląda pan młodo, ale prowadzi pan dochodzenia już od dłuższego czasu, prawda?

Właśnie został pastor moim nowym najlepszym przyjacielem. Moe się uśmiechnął.

– A pastor wygląda o wiele młodziej niż brat.

– Zalety życia w czystości – powiedział Arnold.

Potem się roześmiał.

– Moja żona tak mówi. A ja powtarzam jej: raczej życia nie w brudzie.

– Jego spojrzenie powędrowało na podłogę. – Tak, muszę panu coś wyznać. – Głęboki oddech. – To, co pan zauważył, to nie obawa, że Ray jest brutalny. Nie w ścisłym znaczeniu wyrządzania fizycznych krzywd...

Moe czekał.

– Czuję się jak Judasz, detektywie.

– Judasz zdradził Zbawiciela. Pastora brat raczej nie podpada pod tę kategorię.

Arnold popatrzył na Moego.

– Pan jest wierzący, detektywie?

– Zależy od dnia.

– Niech będzie... wiem, że to mój moralny obowiązek mówić prawdę. Ale gdybym miał pewność, że to się wiąże ze sprawą... nie mogę.

– Ray skrzywdził kogoś z pastora rodziny.

– Nie!

Moe przysunął się bliżej, wyprostował, żeby dominować.

– W takim razie co, wielbny?

Arnold pokręcił głową.

– Pastorze, to sprawa o zabójstwo. Adella Villareal została uduszona i porzucona. Jej dziecka od tamtej pory nie widziano.

Wohr ukrył twarz w dłoniach.

– Mój Boże.

– Chyba obaj wiemy, co Bóg sądzi o takich uczynkach...

– Ray nigdy jej nie skrzywdził – wykrztusił Arnold. Ramiona mu opadły. – Ale ją przestraszył. Moją córkę. Młodszą Sarę. Ma trzynaście lat, przyłapała go, jak podglądał przez okno.

– Jej pokoju?

Skinienie głową.

– Dziewczynki mieszkają razem. Eve była u koleżanki.

– Sarah przyłapała Raya na podglądaniu?

– Dobry Boże, tak.

– Kiedy to było, wielebny?

– Sześć miesięcy temu. Ray wyglądał jak zwykle: brudna koszulka, workowate szorty, gumowe sandały. Śmierdział alkoholem.

– I prosił o pieniądze – wtrącił Moe.

– Miał przygotowaną historyjkę. Zmienił swoje życie, teraz stał się „świetną inwestycją”.

Dałem mu wszystko, co miałem w portfelu, sto dziesięć dolarów. Chciał więcej, odmówiłem, zaklął i wyszedł.

– To wtedy oddał mu pastor swój samochód?

– Mój samochód... a, toyotę. Nie, została podarowana Kościołowi w zeszłym roku.

Myślałem, że przyda się żonie, więc zapłaciłem parafii pełną wartość z wyceny. Ale był

niepraktyczny. Dorywczo instaluję szafki z prefabrykatów; czasami Francine i ja musimy dostarczyć materiały do klienta. Kupiliśmy starego suburbana, a toyotę daliśmy Rayowi.

– Zamiast pieniędzy.

– Brakowało mi gotówki, pomyślałem, że ją sprzeda.

– Nie wyrejestrował jej pastor.

– Nie?

– Nie.

– Och... Czy Ray coś zrobił tym samochodem? Potracił kogoś po pijanemu?

– Nie, wielebny. Wróćmy do Sary. Pomógł pastor bratu, a on odwdzieczył się, podglądając dziewczynkę. To wtedy poprosił o pieniądze czy później?

Arnold zacisnął zęby.

– Sara powiedziała mi o tym dopiero kilka dni później. Wyglądała na zdenerwowaną i w końcu to z niej wydusiłem. Przypuszczałem, że chodzi o szkołę, kolegów. Nie spodziewałem się usłyszeć czegoś takiego.

– Co według niej się stało?

– Akurat kładła się spać. Zauważyła ruch za oknem i wyraźnie zobaczyła twarz Raya. Potem zniknął. Była pewna, że to on. Jego wąsy są dość charakterystyczne. Na szczęście to skromna panienka, do snu wkłada długą koszulę nocną. Ale sam fakt, że on... Chociaż Sarę to chyba bardziej rozłościło, niż przestraszyło.

– A pastor wątpił, że to jednorazowy wybryk.

– Rozmawialiśmy o tym w rodzinie, moja starsza córka Eve powiedziała, że Ray zawsze wydawał się jej dziwny. Nigdy nic nie zrobił, ale w jego obecności czuła się nieswojo. Eve to bystra, spostrzegawcza dziewczynka.

– Można się zastanawiać, czy Ray nie miał jakiejś mroczniejszej strony.

– A-Adella... w jej przypadku doszło też do takiej napaści?

Moe nie odpowiedział.

– Czy w przeszłości Raya było jeszcze coś, o czym chciałby mi pastor opowiedzieć? W kwestii seksualnej? Na przykład kiedy dorastaliście?

– Nie, nie, nic mi o tym nie wiadomo... czy zostanie oskarżony o podglądanie Sary?

– A chce pastor?

– Nie zgłosiłem tego, nie chciałem, żeby Sara przechodziła przez to całe traumatyczne postępowanie sądowe. Przedyskutowaliśmy wszystko i podjęliśmy decyzję. Drzwi naszego domu zamknęliśmy przed Rayem na zawsze. Wydawało się nam, że to najlepsze rozwiązanie. Teraz pan mówi, że Ray mógł postąpić jak zboczeniec...

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Ale nie zaprzeczył pan, kiedy spytałem, czy Adella była napastowana.

Moe zrobiło się pastora żal.

– Nie była, wielebny. I szczerze mówiąc, nie widzę sposobu, żeby oskarżyć Raya o podglądanie.

– Minęło za dużo czasu?

– Nawet gdyby pastor zgłosił zajście od razu, wątpię, czy wszczęto by dochodzenie. Łatwo wytłumaczyć, dlaczego ktoś został zauważony pod oknem bratanicy. Ray przebywał na terenie posesji za zgodą właściciela, a dziewczynka była ubrana. Wyszedł na papierosa, przypadkiem znalazł się pod oknem. – Moe spojrzał prosto na Wohra. – O ile nigdy wcześniej nie zrobił nic podobnego.

– Nie zrobił. – Wohr gwałtownie pokręcił głową.

– W takim razie żaden policjant by go nie zamknął. Nie tutaj i nie w La Puente.

Ale wątek seksualny był zdecydowanie wart zbadania.

– Dziękuję panu – powiedział Wohr. – Za to, że stara się pan poprawić mi nastrój.

– Jestem szczerzy, pastorze. Dziękuję, że pan przyjechał tu taki kawał i robi to samo.

Wohr poruszył się niespokojnie.

– Jeszcze jedna rzecz, detektywie. Przypomniało mi się coś, co Ray powiedział, kiedy widziałem go ostatni raz. Chodzi o tę gadkę, że niby bierze się w garść. Widział, że jestem sceptyczny, więc zaczął mówić konkretnie. Twierdził, że reprezentuje ludzi z branży rozrywkowej.

– Jak to reprezentuje?

– Też o to spytałem, ale on tylko powtórzył. Że reprezentuje. Jakby był czymś agentem.

Potem wspomniał o Adelli: „Pamiętasz ją? Pierwsza klasa, Arnie. O niej właśnie mówię”. Ja na to: „Ray, jeśli potrzebujesz pieniędzy, wal wprost, a nie mi tu mącisz”. – Pokręcił głową. – Nigdy się tak do niego nie odzywałem, coś we mnie wstąpiło. Zaczął przeklinać. Podstawił mi rękę pod nos i mówi: „Daj na tacę, skąpcu”. Zdenerwowałem się i wepchnąłem mu banknoty w dłoń.

Rzucił bluźnierczą uwagę, że skoro ludzie Boga tak się zachowują, to Bóg musi być pierdołą.

Wtedy zrozumiałem, że musi wyjść, zanim zrobię coś, czego będę żałował. Wciąż kipiałem z wściekłości, kiedy Sara opowiedziała mi, co się stało, i... jakby podłożyła ogień pod moją duszę.

Zadzwoiłem do brata, zostawiłem mu wiadomość, żeby się leczył ze swoich zбочonych impulsów i że nie chcę go nigdy więcej widzieć. I już nie zobaczyłem Raya.

– Sześć miesięcy temu.

– Nie co do dnia, detektywie. Mniej więcej. Reprezentował martwą kobietę.

– Jeszcze coś, pastorze?

Arnold pokręcił głową.

– Gdzie Ray mieszka? – spytał.

– Nie wiem, wielebny. – Nie było sensu prowokować konfrontacji między braćmi w mieszkaniu Alicii Eiger.

– Nie został aresztowany?

– Nie.

– Czyli rzeczywiście nie jest podejrzanym.

– Nie w tej chwili.

– W porządku – powiedział Arnold Wohr bardziej z żalem niż ulgą w głosie.

– Chodzi pastorowi po głowie coś jeszcze?

– Jeśli go aresztujecie, detektywie Reed, proszę mnie poinformować. Chciałbym go odwiedzić. Zobaczyć, jak mogę mu pomóc.

Moe wrócił do biurka i wydestylował kropelki faktów ze swojej rozmowy z Arnoldem Wohrem.

Obraz nikczemnej postaci Raya ładnie się wypełnił. Ramone W. nie miał na koncie aktów przemocy, ale miał zaburzenia seksualne, skoro podglądał trzynastolatkę.

Związki z „rozrywką”, którymi się chełpił, to kolejna miła niespodzianka, wiążąca go z Siekierą Dementem i motelem Eagle. Seks, narkotyki, albo jedno i drugie. Prawdopodobnie jedno i drugie.

Czy kontakty Wohra w branży ograniczały się do pijawek pokroju Siekiery? A może rzeczywiście współpracował z typami z poważną forszą?

I niezdrowymi upodobaniami.

Jeśli wpływy Wohra rozciągały się na uzależnionych topowych celebrytów, takich jak Mason Book, sprawa stawała się interesująca.

Góry pieniędzy wydawane, żeby zaspokoić żądzę.

Ramone „reprezentował” Adellę. A może tak naprawdę ją stręczył. Albo fantazjował.

Towarzyszyła mu na wielkanocnym obiedzie.

Z dzieckiem.

Którym Ramone się nie interesował.

Najbardziej upiorne w tym wszystkim było to, że Ray się chwalił swoją nową funkcją długo po śmierci Adelli. Nie miał na koncie żadnych brutalnych wybryków, ale bez skrupułów wykorzystywał pamięć zamordowanej dziewczyny, żeby wyłudzić pieniądze od brata.

Arnold i jego rodzina nie wiedzieli, co myśleć o związku Raya z zaskakująco uprzejmą „młodą damą”.

Bo obywatele tacy jak Arnold i jego rodzina żyli w innym świecie.

Ramone i Adella nie okazywali sobie żadnych czułości, nie rozmawiali ze sobą.

Ray zjadł jedzenie z jej talerza, kiedy poszła karmić dziecko.

Dlaczego Adella, troskliwa matka, zadawała się z takim lumpem?

Jedyny powód – pieniądze.

Wielkanocna wizyta była prawdopodobnie w wyobrażeniu Ramone’a żartem: przyprowadzić

luksusowe ciało do domu pobożnego brata w święty dzień.

Bez skrępowań i do tego złośliwy.

Gdyby dorzucić do tego podglądanie własnej, rysuje się tu naprawdę paskudny obrazek.

Zimny, nieczuły, seksualnie impulsywny.

Dokładnie tak Delaware opisywał klasycznego, zboczonego psychopatę podczas śledztwa w sprawie morderstw na bagnach.

Co znaczyło, że Ramone jest zdolny do wszystkiego.

Moe przyniósł sobie kawę, napił się w cichym gwarze sali detektywów, przed oczami mając migawki w technikolorze ze scenami powalającego okrucieństwa.

Urocza twarzyczka Caitlin wykrzywiona w agonii.

Adella Villareal – myśli, że jest profesjonalistką, ale czeka ją najgorsza z możliwych niespodzianek.

Dwie ładne, młode kobiety, tak różne od siebie, zjednoczone w śmierci.

Dziecko.

Moe poczuł, że musi wyjść na powietrze, bo zacznie rzucać przedmiotami.

Przeciskając się między detektywami, wybiegł na korytarz. Minął zamknięte drzwi maleńkiego gabinetu Sturgisa, powtórzył okrażenie kilka razy. Zaszło mu w ustach, zaczęły go piec oczy; kupił colę z automatu i wrócił za biurko.

Telefony dalej dzwoniły, mężczyźni i kobiety ze skupionymi minami mówili do słuchawek, stukali w klawiatury. Del Hardy zauważył spojrzenie Moego i zasalutował.

Moe pomachał mu i wrócił do akt morderstwa Adelli; nie spodziewał się, że znajdzie jeszcze cokolwiek, chciał tylko wyglądać na równie zaabsorbowanego sprawą, jak się czuł.

Jego wzrok wciąż wracał do zdjęcia.

Piękna, martwa dziewczyna, złapana w uśmiechu. Radosna z powodu małego kształtu, otulonego błękitem.

Gabriel, maleńki pączek człowieka z anielskim imieniem.

Cztery tysiące na koncie Adelli w banku, choć nigdzie nie była zatrudniona. Czy wyzwania samotnego macierzyństwa zmusiły ją do pracy dla Ramone'a?

Odwiedziła swoich rodziców z dzieckiem, zaraz potem uciekła bez pożegnania. Ramone też bez

zapowiedzi odwiedził brata.

A więc może to ona wpadła na pomysł złożenia świątecznej wizyty.

Dziewczyna, która lubi się drażnić.

To dlatego nie chciała powiedzieć, kto jest ojcem dziecka? Bo tata i tak nie odgrywał żadnej roli?

A może wręcz przeciwnie: był sławny i bogaty, więc płacił Adelli, żeby go nie wydała.

W takim razie – czemu dziwka?

Bo więcej to zawsze więcej?

A może dziecko pochodziło z nierządu – Moe zamknął akta, żeby pozbyć się z głowy obrazów i ułożyć logiczny ciąg wydarzeń.

Adella bawi się z bogatymi facetami z branży na imprezie zorganizowanej przez Ramone'a W. Zachodzi w ciążę, ustala, który celebryta jest ojcem, żąda pieniędzy w zamian za milczenie.

Trochę dostaje.

W chwili morderstwa dziecko miało pięć miesięcy, a Adella zginęła z czterema kawałkami na koncie. Niecały tysiąc za każdy miesiąc życia Gabriela. Może dojście do porozumienia chwilę trwało – przyjmijmy dwa miesiące, co daje dwa i pół tysiąca na miesiąc. Ale po wydatkach zostawała dwójka miesięcznie.

Przychód wynosił zatem cztery i pół miesięcznie, zaokrąglimy do pięciu. Sześćdziesiąt kawałków rocznie. Dla szyszki z branży to drobniaki. Dla Adelli – poważna suma.

A potem zrobiła się pazerna. Zażądała więcej.

Albo zgodziła się na pierwszą, niską ofertę, bo radość macierzyństwa czy hormony ją otępiły.

Albo bogaty tata obiecał podnieść stawkę.

Tak czy inaczej, dotarło do niej, że mieszka w nędznej kawalerce, oszczędza na pampersach i obiadkach, a tymczasem zamożny ojciec opływa w luksusy.

Dom na wzgórzach, prywatne odrzutowce, pokoje dla VIP-ów na żądanie, specjalne stoliki w Koi, Ivy, gdziekolwiek tacy jak on się obżerają. Aaron na pewno wyrecytowałby wszystkie nazwy...

Postanowiła wyciągnąć dużą kasę, zaczęła nękać dzianego tatusia.

Stała się problemem.

Pora na Ramone'a W., łajdaka i psychopatę zdolnego do wszystkiego.

Jedno pytanie: dlaczego bogaty tata nie załatwił sprawy, zwiększając wsparcie?

Bo jest narcyzem i gnojkiem, z nikim się nie liczy. Nie widzi powodu, żeby jakaś wagina, która powinna się była zabezpieczyć, miała prawo do jego stylu życia.

Dlaczego, do cholery, nie usunęła? Bo od samego początku zamierzała go wydymać – dosłownie i finansowo.

Będzie ciągle żądała więcej, nigdy się nie uwolnisz.

Lepiej wyeliminować problem.

Dwa problemy.

Do głowy Moego znów napłynęły falą obrazy. Mały, niebieski pakunek pleśnieje gdzieś na odludziu. Reszta świata zmieniła się w szumiące tło, a Moe w skupieniu usiłował wymyślić, jak się do tego wszystkiego ma Caitlin Frostig.

Pracowała w barze, gdzie kiedyś wpadali celebryci. Może też Siekiera Dement i Mason Book.

Alfons Adelli dostarczał seksu i narkotyków Siekierze. Może też, Bookowi.

Może, może, może... czegoś tu brakuje...

Nagle go oświeciło. Rory Stoltz znał wszystkich: Caitlin, Booka i Dementa.

Czy Pan Nieskazitelnny – z wybujałą ambicją – został wessany w jakieś mroczne i paskudne działania? Czy wyczuła to jego kochająca mamusia? Dlatego wrogo potraktowała Moego, gdy odwiedził ją w hotelu?

Rory Stoltz, uczciwy pracujący facet. Czy do jego obowiązków należało też przekazywanie forsy Adelli? Albo wynajętemu mordercy?

Gorzej?

Jeśli to Rory był spoiwem łączącym Adellę z Caitlin, cała sprawa sięgała aż do Masona Booka.

Jak Caitlin do tego pasowała?

Może Rory powiedział trochę za dużo i uczciwa dziewczyna wpadła w panikę.

Teraz ona stała się problemem.

Czy Rory współpracowałby przy wykańczaniu własnej dziewczyny?

Caitlin nie żyła, a chłopak wciąż pracował dla Masona Booka. W świecie, do którego wszedł, kobiet się używało. I wyrzucało je, kiedy nie były już potrzebne.

Oo, mała logiczna przeszkoda: w chwili morderstwa Adelli Rory sprzątał stoliki w Riptide, nie pracował jeszcze jako sługa Booka.

Z drugiej strony... to że nie był oficjalnie zatrudniony, nie znaczyło, że nie podlizywał się aktorowi. Ile zbrodni zrodziło się z podlanych alkoholem rozmów przy barze? Całe mnóstwo;

„zła pora, złe miejsce”.

A jeśli Book wyczuł w Rorym jakąś słabość?

Hej, chłopcze, chcesz mi pomóc rozwiązać pewien problem?

A jeśli Stoltz zasłużył sobie na posadę osobistego asystenta, bo zdał test na brak moralności?

Zdał test, ale oblał życie.

Moe wyszukał w Internecie agencje pośrednictwa pracy w L.A. Zawęził listę do kilku specjalizujących się w organizowaniu asystentów, prywatnych szefów kuchni, szoferów i innych specjalistów obsługujących branżę.

Rozszerzył poszukiwania o dodatkowe sześć agencji, chociaż nie specjalizowały się w prestiżowych posadach. Ta sama odpowiedź. Bez zbędnych pytań uwierzono w szybkie kłamstwo Moego, że jest prawnikiem, dla którego Stoltz chce pracować.

Nowa umiejętność, nigdy nie potrafił wciskać ludziom kitu, mama zawsze się śmiała, że jego twarz jest jak lustro duszy. Nie ma to jak wprawa.

Może tak samo było z Rorym. Jeden z tysięcy kalifornijskich dzieciaków, które miały nadzieję zaczepić się w branży, mistrz Stoltz nauczył się całego mnóstwa nowych rzeczy.

Takich, których nie zamieszcza się w CV.

Rory nie zarejestrował się w agencji, ale to jeszcze nie dowód, że został zatrudniony z powodu znajomości zawartej w Riptide. Tak czy inaczej był kolejnym odważnikiem na szalkach.

Załóżmy więc, że Rory na początku poznał Siekierę Dementa i Booka i szybko stracił moralny grunt pod nogami.

Może dlatego, że w ogóle miał słaby kręgosłup. Albo sława, charyzma i bogactwo okazały się o wiele bardziej kuszące niż kucie do egzaminów i gimnastyka na tylnym siedzeniu samochodu z Caitlin.

Takie miasto – ludzie zdobywali tu sławę, tylko się pokazując, a wyciekające świńskie filmy wideo wspomagały karierę. W takim świecie nic nie było zbyt podłe.

Dlaczego by nie sprzedać własnej dziewczyny, skoro to prowadziło do sukcesu?

Moe przeanalizował ułożony przez siebie scenariusz. Przyjrzał mu się z każdej strony. Za każdym razem obraz robił się coraz wstrętniejszy. Coraz bardziej spójny.

Teraz – jak to udowodnić?

Skupić się na ofierze.

Ekipa filmowa kręciła coś w Hollywood, blokując La Brea od Melrose do Sunset, i podróż pod ostatni znany adres Adelli Villareal w Gower zajęła zduszoną smogiem godzinę.

Kiedy Moe w końcu dotarł na miejsce, zastał zaskakująco ciekawą kamienicę z lat dwudziestych. Sześciomieszkaniowy budynek ze swoimi zdobieniami i wykończeniami przypominał mały pałacyk. Pomalowano go na brzoskwiniowo, a przed wejściem bulgotała fontanna.

Nikt nie otwierał w trzech mieszkaniach na parterze, ale to nic, Adella mieszkała na piętrze.

Jej kawalerkę wynajmowała teraz urocza młoda Azjatka. Miała biały kitel i identyfikator ze szpitala Kaiser: „Karen Chan, dr med.” Wyglądała na osiemnaście lat. Oczy zamykały się jej ze zmęczenia; oparta o futrynę drzwi poinformowała Moego, że mieszkanie było idealnie wysprzątane, kiedy się wprowadziła.

– Ale proszę porozmawiać z panią Newfield, drzwi obok. Znała tamtą dziewczynę; kiedyś ze mną o niej rozmawiała.

– Co mówiła?

– Że moja „poprzedniczka” została zamordowana i że tej sprawy nigdy nie rozwiązano.

Jakbym się miała przestraszyć. Ale czynsz jest niski, a przy pensjach rezydentów nie ma mowy, żebym się wyprowadziła. Potem się dowiedziałam, że dziewczyna zginęła gdzie indziej, więc w czym problem?

– Dlaczego pani Newfield chciałaby panią przestraszyć?

– Nie mówię, że chciała, bardziej zwierzała się ze swoich obaw. Jakby wciąż nie doszła do siebie. Przepraszam, muszę się przespać. Niedługo znów dyżur.

Moe podziękował i poszedł dalej korytarzem. Zapukał i usłyszał „Kto tam?” rzucone od niechcienia.

– Policja.

– Kto?

– Policja, proszę pani.

– W jakiej sprawie?

– Adelli Villareal.

Chwila ciszy.

– Momencik.

Drzwi uchyliły się na kilka centymetrów. Zza łańcucha wyjrzały ciemne oczy.

Moe odchylił połą blezera, pokazał odznakę przypiętą do kieszeni koszuli.

– Chwilkę.

Palce ze srebrnymi paznokciami zaczęły mocować się z łańcuchem. Kobieta, która popatrzyła na Moego, była jego wzrostu i miała rozłożyste biodra. Siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć lat, czarne jak pasta do butów włosy obcięte na pazia. Piwne oczy podkreślone szarym cieniem. Grubo upudrowana skóra kolorem i konsystencją przypominała mokry papier toaletowy. Kobieta miała na sobie perłowszare kimono drukowane w jasnofioletowe ryby. Brylantowe klejnoty na chudej szyi były za wielkie jak na prawdziwe.

– Detektyw Reed.

– Pan jest nowy.

Wyglądał aż na takiego żółtodzioba?

– Słucham?

– Za pierwszym razem policja przysłała kobietę. Byłam w szpitalu z kamieniem żółciowym, rozmawiał z nią mój mąż. Zupełnie bez sensu, przy jego pamięci. Leonard mówił, że ładna, ciągle o niej opowiadał, chciał mnie zdenerwować. Udało mu się. Przypalałam mu obiady przez tydzień. Potem wróciła i rozmawiała ze mną, ta kobieta. Nie wydawała się zainteresowana tym, co miałam do powiedzenia.

Moe się uśmiechnął.

– A to dziwne, skoro Leonardowi pamięć nie dopisuje – dodała kobieta.

– Dzwoniła pani do niej, żeby poinformować o swoim powrocie?

– A co, muszę? Pan żartuje.

– No tak... – Cóż, teraz przyszedłem ja.

– Nowy. – Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. – Młodych was teraz wypuszczają.

– Interesuje mnie wszystko, co pani wie o byłej sąsiadce. Mogę wejść?

– Jasne, czemu nie... oo, pan zaczeka. Chwila, chwila, chwila. Niech mi pan pokaże jeszcze raz tę odznakę i jakiś drukowany dowód tożsamości. Wygląda pan na policjanta, ale ostrożności nigdy dość.

Po trzydziestu sekundach mrużenia oczu i oględzin przez dwuogniskowe okulary Ida Newfield wpuściła Moe'go do salonu.

Spodziewał się zatęchłego, zagraconego pokoiku, zastał ascetyczne, nowoczesne wnętrze.

Szary filc na ścianach, szary dywan; jedna niska, czarno-brązowa skórzana kanapa; stół z chromu i szkła; czarna, lakierowana skrzynia bez uchwytów.

Wystrój ciepły jak na lotniskowym terminalu. Zupełnie jak u Aarona.

– Szykownie, co? – spytała Ida Newfield. – Jestem dekoratorką wnętrz, urządzałam takie domy, że nawet pan sobie nie wyobraża.

Z kieszeni kimona wyciągnęła pilota i nacisnęła guzik. Ze szczeliny w wieku czarnej skrzyni ze zgrzytem wysunął się czterdziestocalowy płaski telewizor.

– Nieźle – powiedział Moe.

– Najważniejsza jest przestrzeń negatywna – oznajmiła Newfield. Wcisnęła inny guzik, telewizor znów się schował. – Wie pan, co to znaczy?

– Rzeczy, których nie widać?

– Rzeczy otaczające rzeczy, których nie widać – poprawiła. – Czyli spokój umysłu, bo przestrzeń to pokarm duszy. Ona tego nie rozumiała. – Kciukiem wskazała ścianę dzielącą ich od sąsiedniego mieszkania. – Nie ta lekarka, ta druga. Miała czysto, ale wszędzie leżały rzeczy: ubranka dziecka, kojec, rozkładane łóżko, butelki, jedzenie. Fuj. – Pokręciła głową. – Słyszał

pan, co powiedział George Carlin o rzeczach? Najpierw kupujesz rzeczy, potem potrzebujesz rzeczy, które zajmują się twoimi rzeczami, i miejsca, żeby je trzymać. Geniusz. Mało brakowało, a urządzałabym mu dom, wiele lat temu.

– Czyli znała pani Adellę Villareal – wrócił do tematu Moe.

– Nie w znaczeniu przyjaźni. Ale wiem dobrze, czym się zajmowała.

– Czym?

– A pan co? Z choinki się urwał?

Moe zaczął.

– Nie wie pan? – zdziwiła się Ida Newfield. – Och, da pan spokój. Uprawiała seks za pieniądze.

Jestem feministką i bardzo mnie to bulwersuje.

– Skąd u pani ta pewność, że ona...

– Bo wychodziła późno wieczorem ubrana jak dziwka. Bo proponowała mi pieniądze w zamian za opiekę nad dzieckiem, kiedy nagle musiała „iść do pracy”. Zawsze w nocy.

Wychowałam własną dwójkę. Ostatnie, na co mam ochotę, to zmienianie zafajdanych pieluszek.

Dziękuję bardzo.

– Jak często wychodziła ubrana jak dziwka?

– Nie czekałam na korytarzu i nie liczyłam. Widziałam ją tak przypadkowo... z sześć razy?

Co za przebranie! Można by pomyśleć, że mężczyznom znudzi się w końcu oklepany styl i wykażą odrobinę wyobraźni.

– Jakie przebranie?

– Uliczne. Na wierzch zakładała płaszcz, ale ja od razu wyczułam, co się święci. Kabaretki, obcisła mikrospódniczka, nic niezakrywająca, dziesięciocentymetrowe szpilki, mała torebeczka na prezerwatywy. A udawała zupełnie kogoś innego.

– Kogo?

– Porządną, młodą mamusię. – Ida Newfield cmoknęła. – Porządna mamusia powinna mieszkać z tatusiem. A przynajmniej z inną mamusią, nie osądzam. Ale wychowywać dziecko w pojedynkę? Jasne, akurat się tak da. Nawet Leonard się przydawał, wtedy, dawno. Może gdyby miała pomoc, dziecko by tyle nie piszczało. – Znów ochrypli śmiech, tym razem pozbawiony wesołości. – On proponował, że się nim zajmie. To znaczy Leonard.

– Chciał zrobić dobry uczynek – powiedział Moe.

– O, jasne, wyszłam za świętego. Nie żeby kiedykolwiek siedział z dzieckiem. Słaba pamięć. Dowcipkował tylko: „Dlaczego nie zaproponowałaś moich usług, króliczku? W zamian za jej usługi”. Walnęłam go w ramię. Uwielbia to.

– Gdzie jest pani mąż?

– Na Hillside Memorial – odparła bez mrugnięcia okiem. – Zmarł dwa miesiące temu.

– Przykro...

– Miał dziewięćdziesiąt trzy lata. Byłam jego młodą laską. No to kto ją zabił?

– To właśnie usiłujemy ustalić, pani Newfield. Wie pani może, kto się opiekował jej dzieckiem?

– Różni ludzie.

– Widziała ich pani.

– Jak wchodzą i wychodzą.

– Ile różnych osób?

– Przynajmniej dwie... nie, trzy. Ale mogło być więcej. Jak mówiłam, nie szpiegowałam sąsiadki. Czasami po prostu przypadkiem coś zauważałam.

– Na przykład?

– Ludzi, którzy zostawali u niej, kiedy wychodziła odstawiona jak ulicznica.

– Może pani ich opisać?

– Nie przyglądałam się. Dwa razy to był mężczyzna i dwie kobiety. Jedna wyglądała, jakby miała trochę za uszami, pewnie pomagała koleżance z ulicy. A facet to zwykły menel.

Widywałam go w okolicy, pod barami.

Moe pokazał zdjęcie Raymonda Wohra.

– No pewnie – przytaknęła. – On ją zabił?

Spokojny głos, ale dłonie jej drżały.

– Nie ma na to dowodów, proszę pani.

– Nosi pan jego zdjęcie dla rozrywki?

– Noszę zdjęcia różnych osób, które panna Villareal знаła. Na przykład tej kobiety.

Na widok fotki Alicii Eiger zawołała:

– Tak, to ta starsza. Policyjne zdjęcie, prawda?

Moe kiwnął głową.

– Może ja też zostałamby detektywem – zażartowała Ida Newfield. – Niech mi pan pokaże tę młodszą i będziemy mieli całą trójkę.

– Więcej nie mam. A jak wyglądała młodszą kobietą?

– Typowa.

– Jak to?

– Kalifornijka. Długie blond włosy. Na pierwszy rzut oka porządna, ale kto tam wie? Może spełnia fantazje głupich facetów o defloracji dziewicy.

– Ile miała lat?

– Młoda. Jak studentka. Nie żeby studiowała.

– Dlaczego nie?

– Gdyby studiowała, czy zadawałaby się z mętami?

– Obejrzałaby pani jej zdjęcie na posterunku?

– Pan żartuje – prychnęła Ida Newfield. – Mam opuścić swój wygodny domek i jechać aż na Wilcox Street?

Posterunek Hollywood był kilka przecznic dalej. To, co Moe chciał jej pokazać, znajdowało się w West L.A. Wpadł na pomysł.

– Ma pani komputer?

– Bo co?

– Kazałbym przesłać zdjęcie w tej chwili.

– Ot tak?

– Mhm.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała Ida Newfield. Potem się roześmiała. – To znaczy, że policja wreszcie zastąpiła rowery prawdziwymi samochodami? Oczywiście, że mam komputer.

Nacisnęła guzik na pilocie, wysunął się telewizor. Poklikała w inne guziki. Na ekranie zajaśniał ekran powitalny Windows.

– Cały sprzęt jest na dole, telewizor działa jak monitor. Mam bezprzewodową klawiaturę i mysz, ale to maleństwo z reguły wystarcza. I niech pan zauważy, że nie muszę otwierać szafki.

Zaprojektowałam ją trzydzieści pięć lat temu, Knoll miał produkować, ale pora nie była odpowiednia. Wszystkie rzeczy są niewidoczne, bo system reaguje na podczerwień.

Zna pani mojego brata?

– Jestem pod wrażeniem – sapnął Moe.

– Przestrzeń negatywna, młody człowieku. Im mniej posiadamy, tym jesteśmy bogatsi.

Zmieszała sobie Gibsona, dodała dwie perłowe cebulki, a Moe zadzwonił z komórki do sali

detektywów West L.A, i wyjaśnił Delanowi Hardy'emu, czego potrzebuje.

– Z chęcią bym ci pomógł – odparł Hardy. – Niestety jestem za stary na ten technobelkot.

Może Burns?

Gary Burns, trzydziestopięcioletni detektyw drugiej klasy i miłośnik gier komputerowych, wysłuchał Moego i powiedział:

– Jasne, o ile skaner działa. Gdzie masz plik?

Minęło kilka chwil – Ida Newfield popijała drinka i opowiadała o domach, które urządziła

„w tamtych czasach”. Nagle ekran telewizora z niebieskiego zrobił się wielokolorowy; wypełniła go szczerą, jasną, groteskowo powiększoną twarz Caitlin Frostig.

Potwornie wesoła. Groza jej śmierci uderzyła Moego jak młotem, chyba po raz pierwszy, odkąd zajął się tą sprawą.

– To ona! – zawołała Ida Newfield. – Leonard uważał, że jest słodka. Moim zdaniem, pospolita. Też dziwka?

– Nie, proszę pani. Tylko dziewczyna, która w za dużo rzeczy się wplątała.

Kobieta była typowa.

Jeszcze jeden długonogi, opalony, tleniony blond żołnierz armii tych, którzy wychodzą na lunch, ale mało co jedzą.

W ocenie Aarona anorektyczne blondynki stanowiły dobrą jedną trzecią tłumu w centrum handlowym Cross Creek w sercu Malibu.

Ta konkretna miała rozjaśniane, popielato-złote włosy do ramion i strzępiastą grzywkę –

młodzieńczy styl, który wciąż do niej pasował, przynajmniej z daleka. Jeśli wyglądała zmarszczki, jej chirurgowi należał się złoty medal za subtelność.

Aaronowi podobał się jej wizerunek – zielona koszulka polo z długim rękawem, pewnie od Rona Hermana albo Freda Segala, welwetowe spodnie biodrówki w kolorze dobrego burbona, czekoladowe, designerskie mokasyny – Gucci, prawie na pewno. W uszach lśniły kolczyki z brylantami. Nienachalne, ale wystarczająco duże, by wysyłać komunikat: komuś na mnie zależy.

Czarna terenówka BMW X5, którą kiepsko prowadziła, gadając przez komórkę, dopełniała obrazu. Tylko sposób chodzenia odróżniał tę kobietę od reszty wyluzowanego, pewnego siebie batalionu uprzywilejowanych: głowę trzymała nisko, poruszała się powoli, kilka razy przystanęła w pół kroku, z pustym spojrzeniem, zanim podjęła nieunikniony marsz do Starbucksa.

Dla zwykłego obserwatora – typowa, ale Aaron obserwował ją zupełnie niezwyczajnie.

Kiedy Gemma Dement wchodziła do świątyni kawy, Aaron śledził ją już ponad dwie godziny. Znalazł sobie miejsce w ogródku miłej, małej wegańskiej kawiarenki po drugiej stronie wąskiej alejki, biegnącej między uroczymi, niewielkimi butikami.

Obiad: makaron z imitacją krewetek. Dobre opanowanie sztuki jedzenia pałeczkami ułatwiło Aaronowi wtopienie się w tłum.

W Starbucksie panował tłok. Piętnaście minut później Gemma wciąż tam siedziała.

W porządku, Aaron był czujny, skupiony na polowaniu. W końcu.

Cały ranek spędził w Malibu; kiedy wstał o piątej trzydziści, czuł się, jakby ktoś wepchnął

mu do ust wiadro łajna. Zmusił się do wyjątkowo forsownego treningu, potem wychłostał ciało chłodnym prysznicem.

Tak ocucony, wcześniej rano wrócił do Leo Carillo. Starał się nie myśleć o wczorajszym mandacie, cholerny gliniarz.

Dureń chciał mu wlepić trzy różne wykroczenia. W zestawieniu z mandatem za szybką jazdę, sprzed kilku miesięcy, groziło to tymczasową utratą licencji. Uparty drań, nieporuszony legitymacją prywatnego detektywa ani kopią listu polecającego, który Aaron dostał, kiedy odchodził z departamentu – zgodził się jedynie zejść do dwóch.

Proszę tu podpisać. Miłego wieczoru. I niech pan prowadzi ostrożnie.

Jadąc jak stary pryk z martwicą mózgu, Aaron mimo to zdołał dotrzeć do bram parku na siódmą. Przy umiarkowanym i łagodnym przyptywie nie było surferów; jedyny samochód w zasięgu wzroku – winnebago, stał na poboczu tak, by pasażerowie-turyści mogli porobić komórkami zdjęcia wody i nieba.

Otwarta żółta brama, budka strażnika na parkingu pusta. Aaron zaczął przeszukiwać teren od miejsca, gdzie parkował ram, do początku ścieżki; szukał niedopałka skręta, plastikowego woreczka, czegokolwiek. Przepatrzył cały asfalt i przesuwiał się właśnie w pobliskie krzaki, kiedy nadjechał otwarty dżip straży parku i zahamował obok jego porsche.

Za kierowcą siedziała młoda kobieta z krótkimi, brązowymi włosami, ubrana w mundur strażnika. Drobną, wysportowaną, twarz wróżki z bajki. Zmierzyła Aarona bystrym, gliniarskim wzrokiem i wysiadła.

Aaron rozmyślnie ubrał się w plażowy strój, ale bez popadania w kicz: biała, jedwabna hawajska koszula, drukowana w dyskretne, niebieskie palmy z butiku bolońskiego projektanta, kremowe lniane spodnie, włoskie sandały z miękkiej skórki, bez skarpet. Dziś założył

chromowany zegarek TAG Heuer, żeby się nie chwalić. Spryskał się wodą kolońską Givenchy, która wciąż działała.

– Dzień dobry panu – powiedziała strażniczka. – Szuka pan czegoś?

L. Martin.

– Tak, ale wątpię, czy znajdę. – Poruszył nadgarstkiem. – W niedzielę zgubiłem zegarek, byłem tu z dziećmi na spacerze. Dopiero z powrotem w Beverly Hills zauważyłem, że go nie ma.

– Skrzywił się. – Pewnie pękł pasek.

Na wzmiankę o ekskluzywnym mieście strażniczka uniosła brwi.

Facet nie żartuje? To ktoś sławny? Za niski na koszykarza... aktor?

Zerknęła na TAG-a.

– Przynajmniej ma pan drugi.

– Ten, który zgubiłem, był tani, elektroniczny. Ale dostałem go od dzieci na Dzień Ojca, wartość sentymalna.

– Kiepsko. – Strażniczka pokręciła głową. – Myśli pan, że spadł tutaj?

– Tu zaczynam. Przeszliśmy niecały kilometr, zanim dzieciaki opadły z sił... macie biuro rzeczy znalezionych?

– Owszem, ale są tam same koszulki, ręczniki, czapki. Jeśli mi pan powie, że był na koncercie Better Than Ezra, mogę panu pomóc.

Aaron szeroko się uśmiechnął.

– Nie macie przypadkiem koszulki Smokeya Robinsona?

Strażniczka też się wyszczerzyła.

– Niestety... zna go pan?

– Smokeya? Nie, uwielbiam tylko jego muzykę.

– Och. – Wyraźne rozczarowanie. Kobieta wskazała ścieżkę do parku. – Najlepiej cofnąć się po swoich śladach. Powodzenia. Niech Moc będzie z panem.

– Oby dobry Bóg panią wysłuchał.

Może Opatrzność lubiła urocze kobietki w obcisłych mundurach, bo już po kilku minutach Aaron znalazł ślad.

Dwa tropy butów odbijały ze ścieżki w gąszcz eukaliptusów i niższych krzewów, daleko przed polem namiotowym. Aarona naprowadziły połamane w tym miejscu gałęzie. Kiedy przecisnął się między drzewami, ziemia zrobiła się gładka i niedopałki były na niej wyraźnie widoczne. Dwa małe, brązowe, papierowe wałeczki, łatwo je przeoczyć, jeśli się nie szukało.

Aaron przystanął i rozejrzał się dookoła. Mała polana, z tyłu grubsze, gęstsze drzewa, platanina kolczastych roślin.

Buty o gładkich podszewkach zostawiły głębokie ślady. Ktoś ciężki. Sądząc po kształcie obcasa – kowbojki.

Dłuższe, płytsze ślady miały bieżnik.

Pospolite sandały huarache z Tijuany; może Mason Book nie interesował się modnym obuwiem. Albo był wystarczająco bogaty, żeby się tym nie przejmować.

Żadnych śladów poruszonej ziemi, sygnalizujących pochówek. Ale od zniknięcia Caitlin minęło piętnaście miesięcy, więc to nic nie znaczyło.

Zresztą za blisko ścieżki. Choć z drugiej strony, para aroganckich, pewnych siebie morderców mogła być aż tak lekkomyślna.

Założył rękawiczki, zebrał niedopałki, wrzucił je do foliowej, zaciskanej torebki. Jego wzrok przykuło coś obok kamienia. Pięć spalonych, tekturowych zapalek. Niedaleko nich –

kwadratowa, mała foliowa torebeczka.

Pusta, ale w rogu tkwiło kilka małych granulek. Brązowych. Może meksykańska smoła.

Powąchał. Czasami heroina dziwnie pachnie – mieszaniną octu i kocich sików. Ten towar był bezwonny. Pewnie dobrej jakości.

Zapakował torebkę i jeszcze raz się rozejrzył.

Po lewej, z dziesięć metrów od niego, gałęzie zaszeleściły i ciemny kształt oprotował jego obecność piskliwym krzykiem.

Stworzenie w kształcie pocisku wystrzeliło ponad kopułę drzew. Aaron zobaczył rozłożyste, strzępiaste skrzydła sokoła, który zniknął w oddali.

Pomyślał o panu Dmitrim. Mały ptaszek, akurat.

Zatrzymał się w Hows Market przy PCH i Trancas, kupił drożdżówkę i małe mleko. Posiłkował

się na parkingu, obserwując, jak budowlańcy wjeżdżają i wyjeżdżają ciężarówkami. Pieszko przyszedły dwie pokojówki w mundurkach, pewnie z wielkich domów przy Broad Beach.

Kilku robotników w kaskach przyglądało się C4S. Aaron, ukryty za przyciemnianymi szybami, przeżuwał śniadanie i zastanawiał się, czemu Siekiera Dement i Mason Book jechali aż do zachodniego Malibu, żeby sobie przypalić.

Musiał tu być coś szczególnego.

Bez uprawnień nie mógł wrócić tam z łopatą.

Nawet Moe potrzebowałby zezwolenia.

Park stanowy, Komitet Wybrzeża, Aaron już to sobie wyobrażał. Skończyłoby się pewnie jak w tym programie telewizyjnym przed kilku laty. Jakiś koleżka z talk-showu otwierał kryptę Ala Capone, tygodniami budował napięcie, a potem się okazało, że cholerstwo było puste.

Brzuchaty facet z pasem narzędziowym podszedł do porsche i spróbował zajrzeć przez szybę pasażera.

Aaron ją opuścił, gość odskoczył jak poparzony.

– Dzień dobry.

– Aha, cześć... fajny wózek. Ulepszał pan do X17?

– Nie – rzucił Aaron. – Zapłaciłem piętnaście kawałków mniej i podkręciłem do czterystu piętnastu koni.

– Super... miłego dnia, stary.

– Tobie też.

Aaron wziął dziś własny samochód, bo czarny mężczyzna na plaży musiał wyglądać najbogaciej, jak się dało. Poza tym stęsknił się za jazdą swoim fantastycznym autem. Nie wspominając o ogólnej atmosferze luksusu, która go spowijała, kiedy wsiadał za kółko.

Nie składał jednak dachu; mimo wszystko to dzień pracy.

Kiedy się pokrzepił, wykonał kilka telefonów do ludzi, którzy byli mu winni przysługi.

Pamiętając o coraz rzadszych telefonach między Masonem Bookiem a CAA, zaczął od agenta talentów w konkurującej firmie, którego rozwód przebiegł o wiele szybciej i spokojniej dzięki temu, czego Aaron się dowiedział o jego młodziutkiej, niezbyt kochającej żonie.

– Mam spotkanie o piątej – powiedział teraz. – Dlaczego pytasz o Masona?

Wymienił imię gwiazdora tonem mówiącym: „Gram w tej samej lidze”. Chociaż lista jego klientów kończyła się na serialowych statystach.

– To nic interesującego – odparł Aaron. – Ale musi zostać między nami, bo wszyscy wiemy, co się dzieje, kiedy różne rzeczy nie zostają między nami.

Był pewny, że facet pamięta, jak wszyscy się dowiedzieli, że żona przyprawiła mu rogi. Co z tego, że potem miał zmniejszone alimenty.

– Oczywiście. – Nadęty, jakby jego dyskrecja nigdy nie ulegała wątpliwości. – To co chcesz wiedzieć?

– Mason jest ciągle wzięty?

– Wzięty?

– Na topie.

– Nie aż tak jak kiedyś, ale mnóstwo ludzi wciąż bardzo by się ucieszyło, gdyby wrócił do pracy. Kiedy się przekonają, że wszystko z nim w porządku.

– Czyli...

– Jesteś detektywem i nie wiesz?

- Potrzebuję konkretów, Ken.
- Chodzą słuchy, że Mason nie spotkał jeszcze takiego narkotyku, z którym by się nie umówił.
- Aż tak?
- Jego ostatni film z Bookiem kręcili, kręcili i nie mogli skończyć. Przez jego dłuuuugie drzemki. Koka i trawa tak nie działają. Łapiesz, o co mi biega?
- Heroina.
- Mówią, że ma takie skutki.
- Daje w żyłę czy pali?
- A ja wiem? Raczej pali. Nie może sobie pozwolić na ślady po igłach.
- Ale skończyli ten film? – spytał Aaron.
- *Drobniaki dla Danny’ego*? Jasne i nieźle na tym zarobili. Prawdopodobnie.
- To znaczy?

Agent się zaśmiał.

- Wszystko zależy od księgowych. Robiłem projekt z Pam DeMoyne, z *Cieni naszych dni*.

Niesamowita babka, mówię tu o poziomie Streep czy Mirren. Ale szefostwo i tak wysłało materiał prosto na wideo, podrzucę ci DVD. Świetny film, dramat historyczny o sekretnym gejowskim życiu Szekspira. Pam grała Annę Hathaway, była...

- Księgowi – przypomniał Aaron.

- A, tak. Księgowi. Załatwiłem Pam dwadzieścia pięć procent zysków, co prawda netto, ale przy takim procencie to już powinien być sensowny pieniądz. Nie zobaczyła ani centa.

Zrobiliśmy audyt, okazało się, że jest trzysta tysięcy „opłaty dystrybucyjnej”. Pytam: co to ma być? Oni stękają i jęczą, w końcu mówią, że to cena przewiezienia filmu z biura produkcyjnego w Westwood do edytora w Burbank.

- Kosztowna taksówka. Biorę tę posadę.

- No właśnie. A więc, czy ostatni film Booka zarobił? Pewnie tak. Jemu baliby się wykręcić taki numer. Facet ma siłę przebicia.

- Ale już trochę mniejszą.

- Mhm. Nie grał nigdzie od... półtora roku, dwóch, trzech lat? Węszysz, bo coś śmierdzi, Aaron? Na

przykład, facet przegiął i studio chce go pozwać za złamanie zasad kontraktu?

– Nic podobnego, Ken. Opowiedz mi teraz o Siekierze Demencie.

– O kim?

– Najstarszy syn Lema. Podobno kumpluje się z Bookiem.

– Pierwsze słyszę. Nie mam czasu na plotki.

– Pracowałeś z Lemem?

– Chodzi ci o to, że jest faszystą, rasistą i fundamentalistycznym hipokrytą? Dla mnie to niefajny koleś, Aaron.

– A gdyby księgowość była fajna?

Ken się zaśmiał.

– Wtedy jasne. Tylko nie mów mojej matce.

Potem Aaron zadzwonił do Liany Parlat.

– Co powiesz na drugą wycieczkę do Riptide? Płacę tak samo.

– Jasne – odparła. – Może znów spotkam doktora Raua. Ale może być pojutrze?

– Zajęta?

– Przesłuchanie do kreskówki. Mam mówić jak wredna dwunastolatka.

– Nie musisz się specjalnie wysilać – zażartował Aaron.

Liana się roześmiała.

– Dzięki, tato – jęknęła nosowo.

– Nie dzwoniłaś do Raua, co?

– Nie dlatego, że się boję, Aaron. Pracuję.

– Jeszcze jeden dubbing wrednej gówniary?

– Klasyczna animacja. Obrzydliwa rodzina, jeszcze bardziej obrzydliwy pies z gazami.

– Odgłosy gazów masz w repertuarze?

– Mam podkładać głos Sinead, dwunastoletniej córki. – Zmieniła ton na piskliwy, wysoki. –

„Ojej, tатku, kiedy mówiłeś, że to wycieczka na łono natury, nie wiedziałam, że będziemy siedzieli na polu i słuchali, jak warczą kiszki Gyro”.

– Panie Oscar, nadchodzę.

– Lepsze to niż fizyczna harówka. Tak samo jak praca dla ciebie. Co mam robić tym razem?

– Posiedzieć, wchłonąć jeszcze trochę atmosfery. Jeśli wypłynie temat Caitlin, wpleć w rozmowę Siekierę Dementa.

– Syna Lema? – spytała. – Masz coś konkretnego?

– Nie jestem nawet blisko, Lee. Sprawa zimna jak lód, ale przesiewam piach, gdzie tylko mogę. – Uśmiechnął się, słysząc własny dobór słów; wciąż miał przed oczami polanę w Carrillo.

– Bardzo bym się cieszyła, gdybyś wygrzebał jakieś brudy. Lem to brutal i palant. – Znów dziecięcym głosem: – „Jejku, panie Fox, to by dopiero była wycieczka!” O dziesiątej rano Aaron zakończył czwartą wyprawę w tę i z powrotem wzdłuż kiepsko wyasfaltowanej, ocienionej drzewami szosy, wijącej się obok działki Lema Dementa w Solar Canyon, piętnaście kilometrów nad PCH.

Każde kółko zwiększało ryzyko, że ktoś go zauważy. Usiłował rozciągnąć przerwy między kolejnymi przejazdami, dlatego w jedną stronę nadrabiał dobre dwadzieścia kilometrów.

Gdyby nic się niedługo nie wydarzyło, musiałyby wrócić do miasta z foliowymi woreczkami i znakami zapytania.

Niecały kilometr za posiadłością Dementa zaczynał się teren publiczny: niezabudowany stanowy rezerwat wzdłuż coraz bardziej wyboistej drogi. Po jednej stronie granitowe zbocze, po drugiej – płytkie kaniony. Aaron wchodził swoim porsche w zakręty, rozkoszując się tym, jak napęd na cztery koła przykleja samochód do asfaltu.

Nad krzakami fruwały małe ptaki, w ogóle nieprzejmujące się jastrzębiami. O rany, ile tu skrzydlatych istot – szybowały, wyskakiwały z gęstwiny, krążyły.

Google Earth ukazywało satelitarne zdjęcie dwudziestu pięciu hektarów działki Dementa.

Dostęp tylko z jednej strony, wąska droga dojazdowa z bramy przy szosie dochodząca do sporej, płaskiej przestrzeni. Duży prostokąt na prawo od środka to pewnie główny dom. Dalej w głębi, na lewo, rozkwitało niczym pączki kilka mniejszych budowli. Ani śladu wznoszonego kościoła, ale może zdjęcie było stare.

Solar Canyon 20, łatwo znaleźć. Brama z siatki, otwierana ręcznie, prawie równo z drogą.

Ogrodzenie zwieńczone drutem kolczastym ciągnęło się dobre sto pięćdziesiąt metrów w obie strony.

Nie było skrzynki na listy, numeru, repliki kowbojskiego szyldu nad bramą, jak w wielu innych

ranczach, które Aaron mijał po drodze.

Z drugiej strony żadnych ujadających psów, tabliczek „Wstęp wzbroniony” czy jakichkolwiek odstraszaczy.

Przy trzecim kursie zaryzykował, stanął i rozejrzał się za dobrze ukrytą kamerą, nie znalazł.

Albo więc rozwój techniki wyprzedził Dementa, albo facet nie zawracał sobie głowy stróżowaniem.

Bo kamera za bardzo rzucałaby się w oczy?

Gość miał gotówki na tony, ale zamieszkał z dala od branżowego gwaru Beverly Hills, Brentwood, Colony, Broad Beach.

W miejscu, które z założenia miało nie rzucać się w oczy.

Przy piątym kółku Aaron już chciał się poddać, ale nagle na drodze za bramą pojawiło się czarne X5. Zygziem zjechało w dół.

Aaron zaparkował na wąskiej szosie, tuż poza zasięgiem widzenia terenówki, wysiadł i znalazł sobie bezpieczny punkt obserwacyjny.

Duży samochód stał na luzie, z otwartymi drzwiami kierowcy. Szczupła, jasnowłosa kobieta otwierała bramę kluczem. Kiedy odsunęła ciężką metalową ramę z siatką, wróciła do terenówki, wyjechała, znów wysiadła, zamknęła bramę na klucz.

Teleobiektyw Aarona uchwycił całą tę mozolną rutynę. Może Lem Dement nie chciał, żeby ludzie łatwo tu wjeżdżali i bez trudu stąd wyjeżdżali. Kiedy X5 zniknęło, Aaron obejrzał cyfrowe zdjęcia, w tym ładne zbliżenie kobiety.

Ale nie musiał zgadywać; zapamiętał każdą twarz z rodzinnego portretu Dementów z gazety z Malibu.

Gemma Dement nie zmieniła się ani trochę.

Okulary przeciwsłonecznie Fendi za siedemset dolarów zasłaniały oczy pani Dement.

Szła prosto na niego – czyżby aż tak wyszedł z wprawy?

Przygotowując się na konfrontację, Aaron wrzucił pałeczkami do ust sojową krewetkę.

Udawał, że rozkoszuje się smakiem. Potem otworzył książkę, którą przyniósł jako kamuflaż –

biografię George’a Washingtona Carvera w miękkiej okładce. Nigdy nie szkodziło wyglądać na intelektualistę, zwłaszcza czarnego.

Gemma Dement była coraz bliżej. Wyczuł, że patrzyła prosto na niego.

W którym momencie spieprzył? W butiku z designerskimi dżinsami? Na targu ze zdrową żywnością? W sklepie z bikini?

Dwie godziny śledzenia. Gemma dużo oglądała, ale nic nie kupiła. Wydawała się zajęta, ale najwyraźniej go zauważyła.

Dobra, plan B: jeśli kobieta będzie się ciskać, on uda zaskoczenie i robi czarującą minę; Gemma może się spieszyć i sobie pójdzie.

Gdyby zachowywała się nieprzyjemnie albo wpadła w paranoję – dałby jej do zrozumienia, że mu się spodobała, ale nie jest zboczeńcem.

W najgorszym wypadku mogła wezwać jednego z tych tępych ochroniarzy pilnujących centrum handlowego. Zanimby przyszli, Aaron już zdążyłby zniknąć.

Jak wyglądał, proszę pani?

Wszyscy oni wyglądają tak samo.

Była już trzy metry od niego.

Przystanęła na samym środku wąskiej uliczki. Miała roztargnione spojrzenie. Co za nieostrożność.

Atrakcyjna kobieta. Pociągająca. W sklepie z bikini udawał, że interesuje go sąsiednia wystawa z odzieżą dla surferów. Zbliżył się na tyle, by zauważyć parę szczegółów.

Gemma przymierzyła kilka kostiumów, krzywiła się, ciągle niezadowolona. Ale nie dlatego, że nie mogła nosić skąpych strojów; miała jędrne, szczupłe ciało. Zmarszczki na twarzy, i co z tego?

Po pięćdziesiątce, ale pewna siebie? Mimo że Lem regularnie spuszczał jej łomot?

Aaron nie zauważył żadnych siniaków ani śladów bicia; cóż, większość skóry była zakryta bawełną i

welwetem.

Gemma znów ruszyła, prosto do jego stolika. Cholera.

Wsadził nos w książkę, udał skupienie. Pani Dement zbliżyła się na tyle, że czuł jej perfumy.

Lekkie, trawiaste.

Spiął się wewnętrznie.

Minęła go, weszła do wegańskiego lokalu.

Otarł pot z czoła, zajął się jedzeniem. Zaryzykował rzut oka przez ramię do wnętrza restauracji.

Przy kasie nie było żadnych innych klientów. Chuda kobieta, ale niezły tyłek, z odrobiną tłuszczu. Wyglądała naturalnie, może nie miała liposukcji.

Pięć minut później wyszła, niosąc talerz z czymś zielonym i beżowym.

Dwa pozostałe stoliki stały na północ od Aarona, puste.

Wybrała bliższy.

Poprawiła włosy, wyprostowała się; siedziała jak grzeczna licealistka, ledwie dotykając krzesła platynowym tyłeczkiem. Przyglądając się swoim grzybom lub kiełkom, lub toru, rozpakowała pałeczki.

Popatrzyła w kierunku Aarona, aż musiał podnieść wzrok.

Uśmiechnęła się.

– Mniam – powiedziała.

Aaron przeczytał dwie strony o orzeszkach, wszedł do środka i poprosił o mrożoną herbatę.

W restauracji podawano tylko gorącą i zieloną, ale namówił dziewczynę za ladą, żeby dała mu kubek lodu; dorzucił trochę cukru, bo napar smakował jak płynne pozostałości po koszeniu trawnika.

Kiedy wrócił do stolika, Gemma Dement wciąż tam siedziała, może nawet trochę bliżej.

Jadła wykwintnie i czytała książkę. Anny Quindlen.

Czy Quindlen nie pisała o maltretowanych kobietach?

Tym razem Aaron spróbował nawiązać kontakt wzrokowy.

Nie dała się złapać. Zaczęła nucić. Zamknęła książkę, wrzuciła ją do torebki, wzięła talerz i postawiła na stoliku Aarona.

Przysunęła nogą torebkę do krzesła naprzeciwko niego i usiadła.

– Dzień dobry. – Gardłowy głos, może palaczka. Ale nie wyczuwało się od niej dymu, tylko czysty, świeży zapach.

Aaron nie musiał udawać zaskoczenia.

– Dzień dobry.

Skinęła głową. Jej niebieskie oczy miały taki kolor, jak ocean dziś rano.

– Oczywiście, powinnam się przywitać już dawno.

– Słucham?

– Tak trudno dobrać odpowiedni rozmiar. Ale już o tym wiesz.

Wytrzeszczył oczy.

Jej uśmiech był krzywy, dziwnie dziewczęcy.

– Nie przywitaliśmy się godzinę temu. Kiedy ja męczyłam się z bikini, a ty na to patrzyłeś.

Nie odpowiedział.

Gemma Dement złożyła dłonie jak do modlitwy i nachyliła się bliżej.

– Proszę, nie mów mi, że sobie to wyobraziłam. Poprawiłeś mi humor na cały dzień.

– Naprawdę? – spytał Aaron, zadziwiony, jak łatwo zmienił się w zawstydzonego uczniaka.

Ojej, pani Robinson.

– Z całą pewnością. Panie... czytelniku.

Sięgnęła przez stół, dotknęła jego książki. Krótkie paznokcie, bez lakieru. Czyste dłonie.

– Lekka lektura – powiedział.

Poczuł przyjemnie wzbierające wewnętrzne ciepło, kiedy palce Gemmy zadrżały. Jego siła karmiła się jej słabością. Pora popracować nad tą kobietą.

– Dla mnie nie wygląda lekko – stwierdziła.

– Jest lekka w porównaniu z tym, z czym mam do czynienia na co dzień.

Kolejny krzywy uśmiech, tym razem trudny do opisania. Aron chyba zauważył ciemniejszą plamę na skórze, tuż przy dekolcie, polukrowaną ziarnistym pudrem. Chociaż kolor, idealnie dobrany i

umiejętnie nałożony, prawie zlewał się ze złotą skórą.

Długie lata ćwiczeń w ukrywaniu siniaków?

– Teraz powinnam spytać, z czym masz na co dzień do czynienia?

– Nie, chyba że cię to interesuje.

Zaśmiała się.

– To pewnie coś nudnego... Jesteś wykładowcą?

– Prawnikiem – skłamał bez zająknięcia. – Adwokatem.

– Ach tak – westchnęła, odchylając się na oparcie.

Aaron rozłożył ramiona.

– Czekam na dowcipy o prawnikach.

– Nie znam żadnych. W ogóle nie przepadam za dowcipami. – Spoważniała, jakby chcąc to zademonstrować. – No to powiedz mi, panie prawniku, dlaczego obserwujesz mnie przez ostatnią godzinę?

Przynajmniej połowa obserwacji uszła mu na sucho.

– Bo jesteś piękna.

Jej twarz zrobiła się pusta. Pojawił się ten sam zeszkłony grymas, jak wtedy kiedy zatrzymywała się w pół kroku i nieruchomiła.

– Wyróżniasz się – dodał Aaron.

Czyżby jej oczy właśnie zwilgotniały? Otarła je zbyt szybko, żeby miał pewność.

– Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem. Chciałem podejść i porozmawiać, potem zobaczyłem twój pierścionek. – Zerknął na czterokaratowy brylant.

– A, to. – Obróciła go, chowając klejnot.

Uniosła drugą rękę. Przygładziła włosy.

Aaron wyjął swój wizytownik ze skóry aligatora i wysunął kartonik z samej góry, ułożony jak karta w talii sztukmistrza.

Dobrej jakości papier, jasnobłękitny, tłoczone granatowe litery przedstawiające mecenasa Arthura A. Volpe'a. Adres w Kansas City prowadził do skrytki pocztowej, numer telefonu należał do smutnej kawalerki Arthura A. Wimmera, dalekiego kuzyna mamy. Arthur był

alkoholikiem, który podawał się za chemika, ale nie mógł utrzymać się w żadnej pracy. W zamian za coroczną pensję od Aarona odbierał telefony rzeczowym tonem i mówił, co trzeba.

Nieźła forsa za góra pół godziny w roku.

Gemma Dement rzuciła okiem na wizytówkę.

– Prawnik na urlopie.

– Od dawna odkładanym.

Wydęła usta.

– Sam-samotny?

– Dobrze ujęte – odparł. – W L.A. bywa ciężko, kiedy nikogo się nie zna.

– *Volpe* – powiedziała. – Jesteś Włochem?

Aaron popatrzył jej w oczy, szukając ironii. Zobaczył tylko śmiertelnie poważną ciekawość.

– Rodzina mamy pochodzi z Mediolanu. – Wybrał to miasto, bo było ośrodkiem mody.

– Jak ta postać z serialu *Wydział zabójstw*.

– Porucznik Giardello – podchwycił Aaron. – Był w połowie Sycylijszym, to na południu.

Mediolan jest na północy.

– Cóż, przykro mi, że nie znam geografii Włoch. Podobał mi się ten serial. Dużo poczucia winy i pokuty. Nie uważasz, że to podstawa dobrej historii?

– Ależ oczywiście – przyznał Aaron. – Wina to najlepsza motywacja – rzucił beztróskim tonem.

Niebieskie oczy Gemmy Dement pociemniały. Nadziała kęs jedzenia na widelec, nie zjadła.

– *Volpe*. Co to znaczy?

– Po włosku lis.

– Często tam jeździsz? Do kraju przodków.

– Nigdy nie byłem we Włoszech. Krewni nalegają, żebym ich odwiedził. W końcu pewnie pojedę.

– Za dużo prawniczych obowiązków.

– O wiele za dużo. Zajmuję się sporami o nieruchomości, a tych nigdy nie brak.

– Tymczasem przyjeżdżasz do Malibu i patrzysz, jak dużo starsze kobiety męczą się z wyborem bikini.

– Odrobinę starsze.

– Kłamca – stwierdziła wesoło.

– Jak masz na imię?

Gwałtowne mrugnięcie.

– Gloria. Jak w tej piosence... cóż, panie Volpe, samotny, zapracowany adwokacie. Zrobiłeś mi prezent. Zauważając mnie.

– Wyjątkowo łatwo zwrócić na ciebie uwagę, Glorio – wyznał. Naprawdę tak myślał. Z

bliska jej smukła figura była jeszcze bardziej imponująca, wzbogacona obfitym biustem, zbyt miękkim i rozhuśtanym, żeby nie był prawdziwy. I te cudowne, małe wzniesienia nieosłoniętych sutków. Wyobraził sobie, jak Gemma ubiera się na ranczu, za kryształowo czystym oknem mając hektary bujnej zieleni. I nic do roboty, tylko przymierzać bikini.

Oczy koloru oceanu całowanego słońcem.

Ciemna plamka tuż pod dekoltem koszulki, dziwnie pociągająca. Aaron chciał tej kobiecie pomóc. Wiedział, że nie może, że Gemma jest tylko... potencjalną bazą danych.

Bogata, atrakcyjna, za swój olbrzymi brylant i styl życia płaciła cierpieniem.

Wina i pokuta.

Dała mu do myślenia.

– Wracając do tematu wina – powiedział. – Wydaje mi się, że różnica między dobrymi i złymi ludźmi tkwi w pokucie.

– O właśnie. Widzisz?

– Co takiego?

– Mógłbyś odpokutować za swój grzech.

– Jaki to grzech popełniłem?

– Stałeś i przyglądałeś się, jak przymierzam bikini. A gdybym wpadła w popłoch?

– Bardzo mi przykro. Ja tylko...

– Tylko co?

– To, co powiedziałem wcześniej. Jesteś wyjątkowo...

Uciszyła go, kładąc mu palec na ustach. Skórę miała ciepłą, lekko wilgotną, może nawet trochę tłustą. Jakby niedawno posmarowała się kremem.

Aaron czuł, jak między włosami wyskakują mu bąbelki potu.

Gemma Dement przysunęła się bliżej. Ujęła dłoń Aarona, potarła miejsce między jego kciukiem a palcem wskazującym. Dość beztrosko, w tak publicznym miejscu.

Ludzie przechodzili obok, nikt nie zwracał uwagi.

Nikt jej nie rozpoznawał. Kobieta powietrze.

Aaronowi zaschło w ustach. Powstrzymał się, żeby nie oblizać warg.

Gemma Dement spuściła powieki. Długie, podwinięte rzęsy. Znow błysk Pacyfiku.

Dwanaście cylindrów perfum.

– Twoim grzechem – wyszeptała – jest to, że nie zrobiłeś następnego kroku.

Pojechał porsche za jej bmw. Skręciła w prawo na światłach, ruszyła na północ PCH.

Prowadziła szybciej i pewniej niż w tę stronę. Bez roztargnionych zakosów, rozmów przez komórkę.

Aaron nie przekraczał prędkości, nie mógł sobie pozwolić na kolejny mandat.

Gemma to wyczuła, zwolniła, żeby jej nie zgubił.

Jak w tańcu.

Jak kobieta, która przystosowuje się do twojego rytmu. Wkłada cię z powrotem, kiedy wypadniesz.

Dokąd go zabiera? Z powrotem na ranczo? Lema nie było w mieście, kręcił jakiś film, dzieciaki w szkole, służba aż na tyle dyskretna?

Tak bezczelna kobieta; już rozumiał, dlaczego była bita.

Nie, wróc, to nigdy nie jest usprawiedliwienie.

Mimo to...

W co on się pakuje?

Kawałek na południe za Point Dume – daleko przed Solar Canyon – wystawiła rękę za okno, wskazała trzy razy w lewo.

Aaron zjechał za nią na wysepkę z nadzieją, że nie napatoczy się przypadkiem żaden glina z drogówki. Bmw X5 zaczekało, aż przejadą samochody z przeciwka, potem wtoczyło się na stromy, asfaltowy podjazd.

Na górze stał rząd białych, drewnianych domków. Tablica na słupku: „Plażowy Hotel Surf'n'Sea”.

Stawki dzienne i tygodniowe, kablówka, certyfikat AAA.

Hotel, akurat, typowy motel z lat pięćdziesiątych.

Nie po raz pierwszy praca zaprowadziła Aarona na randkę w motelu. Tyle że tym razem miał być kimś więcej niż facetem z aparatem.

Obowiązki służbowe; co mały Moe o tym wiedział?

Kiedy na horyzoncie zrobiło się czysto, Aaron skręcił.

Czekała pięć metrów dalej, na wpół ukryta w chmurze bugenwilli. Jej ręka znów wystrzeliła za okno. Aaron miał zjechać w prawo. Posłuchał, znalazł kilka miejsc parkingowych pod gigantycznym drzewem koralowym. Porsche na pewno się wyświni, ale Aaron rozumiał, czemu Gemma kazała tu stanąć – znajdował się poza zasięgiem wzroku recepcjonisty motelu.

Kiedy się zatrzymał, pani Dement go minęła. Pięć minut później szła w jego stronę z ponurą miną szkla Fendi rzucały miedziane błyski. Z pozoru poważna i skupiona, ale mowa ciała sugerowała coś przeciwnego: Gemma wesoło machała kluczem na breloczku w kształcie delfina.

Jak dziecko szykujące się na przeżycie przygody.

Kiedy znaleźli się w małym, ciemnym, zapleśniałym pokoju, zaciągnęła zasłony, poprawiła kilka razy dla pewności, że do środka nie wpada ani promyk dziennego światła.

Krok do całkowitego mroku. Źrenice Aarona zwęziły się, kiedy usiłował obserwować jej ruchy. Zachowywała się, jakby dobrze знаła rozkład pomieszczenia.

W co ja się wpakowałem, do cholery?

Kiedy tak stał, znów zaczęła nucić. Włączyła dwunastocalowy telewizor na rozchwianej szafce. Wstukwała kod, nie zaglądając do instrukcji.

Dom z dala od domu.

Wybrała stację muzyczną. Tak zwany smooth jazz, dużo powtórzeń, mało wyobraźni.

Perkusja z miotełkami. Leniwy saksofon.

O Boże, soundtrack do pornosa.

Aaron wciąż tkwił tuż za drzwiami, kiedy Gemma pomaszzerowała do łóżka, odsunęła skraj kołdry.

– Rozbierz się i ułóż wygodnie – poleciła. – Wracam za minutkę. Zabrała do łazienki torebkę. Aaron nasłuchiwał jakichś charakterystycznych dźwięków, czegokolwiek podejrzanego.

Nic nie usłyszał.

Dobra, nastąpiła chwila wyboru: albo uciekać i być może stracić szansę zdobycia niezłego tropu, albo zaryzykować.

Kilka chwil później był już pod kołdrą, jego ubranie leżało złożone równo na krześle, portfel, zegarek, komórka – bezpieczne na samym spodzie.

Patrzył, jak na tanim elektronicznym zegarku obok telewizora przeskakują cyfry.

„Minutka” trwała jeszcze cztery minuty, podczas których Aaron wyobrażał sobie różne okropieństwa.

Ona ma broń.

Brzytwę.

Jestem idiotą.

Drzwi do łazienki się otworzyły i Gemma stanęła przy łóżku, naga, z ciemnym futerkiem krocza tuż przy jego nosie, gotowym do inspekcji.

Jej ciało, choć niemłode, było piękne. Smukła talia, długie nogi. Ładny brzuch – taki mają kobiety niepopadające w obłąd na punkcie głodzenia się. Płodne biodra, podkreślone kanciastymi kośćmi. Bujne piersi – a jednak naturalne. Odrobinę opadające, ale nie wiedzieć czemu Aaronowi to się podobało. Włosy związała w kucyk. Pierścionek z brylantem zniknął z palca. To i widok jej tyłka sprawiły, że penis Aarona natychmiast stwardniał.

Kiedy zgięła się wpół i nachyliła, poczuł zapach jej oddechu, ostry od alkoholu. Gin, jałowce rozkwitły. W łazience dodała sobie odwagi.

Aaron dotknął jej. Łącząc przyjemność z obowiązkiem, poszukał sińców.

Żadnego, nie licząc tej jednej zakamuflowanej plamki. Ile ran wewnętrznych – nie miał pojęcia.

Gemma Dement weszła do łóżka; jego nos wypełnił zapach alkoholu i perfum. Ujęła go jedną ręką za głowę i podała mu do ust lewy sutek.

– Ssij mocno, ale nie gryź. Nie otwieraj oczu. Naprawdę jestem dużo starsza.

Aaron zastanawiał się, jak to ująć na następnym rachunku dla pana Dmitriego.

Poszedł na całość, spodziewając się szaleństwa – maniakalnego seksu, potem łez, wyrzutów, hysterii.

Płaczu i rozmowy o winie i pokucie.

Gemma obsłużyła go jak profesjonalistka, silna, milcząca, nawet niezdyszana. Przyjmowała różne pozycje, jakby grała do niewidzialnej kamery.

Kiedy była w łazience, Aaron obejrzał każdy centymetr pokoju, upewniając się, że żadnej tu nie ma.

Leżeli spleceni, aż znów się odsunęła. Zrobiła z nogami coś nieprawdopodobnego, zdołała wprowadzić go w siebie.

– Wygodnie ci?

– O... tak.

Posłuszna, troskliwa, rzeczowa. Zgadzała się na wszystko, co chciał, a potem zmieniała scenariusz bez ostrzeżenia, przyjmując nową pozycję.

To był układ choreograficzny, a ona nim kierowała.

Aaron powinien się tym zaniepokoić, ale dobrze się bawił. Musiał tylko się starać, żeby nie skończyć za szybko. Chciał zachować ten poziom przyjemności jak najdłużej.

Zorientowała się, że jest gotowy, wcześniej niż on sam.

– Spuść mi się w cipkę, to bezpieczne. Albo gdzie chcesz, twój wybór.

Dystans w jej głosie sprawił, że Aaron przelotnie zważył w sobie, ciśnienie krwi zmalało.

Gemma dłonią i ustami sprawiła, że odzyskał siły.

– Kiedy zechcesz, Artie – szepnęła. – Moim światem i tak już zakołysałeś.

– Proszę, zostań w łóżku – powiedziała po wszystkim i poszła się ubrać do łazienki. Kiedy wróciła, miała rozpuszczone włosy i wyglądała, jakby była na spokojnym spacerze w lesie.

Ruszyła do drzwi.

– Wychodzisz? – spytał Aaron.

– To ty masz urlop. Pozdrów ode mnie Kansas City. W Malibu laski są bardziej walnięte.

Aaron wyskoczył z łóżka i podbiegł do Gemmy.

– Zostań. Jesteś piękna.

Spojrzała w dół, zaśmiała się. Chwyliła go, żartobliwie pociągnęła.

– Krzepki z ciebie chłopiec, mój adwokaciku. Przykro mi, do widzenia.

– Zostawiasz mnie tu, żebym pokutował całkiem sam.

Gniew ściągnął jej twarz. Odsunęła się od Aarona.

Z obrzydzeniem.

– Co ja takiego powiedziałem? – spytał.

Skrzywiła się – zbrzydła, potem znów wyładniała. Ślina pryskała z każdym słowem:

– Pokuta jest dla dupków, którzy naprawdę grzeszą. Wypuść mnie stąd.

Moe siedział przy komputerze Liz, szukając w Internecie zdjęć Adelli Villareal z Siekierą Dementem albo Masonem Bookiem.

Book był wszędzie – chudy, jasnowłosy, przystojny, z lekko opadającymi powiekach.

Dement Junior pojawił się kilka razy, zawsze jako pijawka w drugim rzędzie.

Adelli nie było nigdzie.

To, że ktoś cię udusił, zabrał twoje dziecko, nie zasługiwało na uwagę, chyba że kręcono o tym film.

Moe pomyślał o Caitlin opiekującej się dzieckiem Adelli. Rory to załatwił? Czy Adella przychodziła do Riptide, rozmawiała z sympatyczną studentką? Skoro Caitlin studiowała i już pracowała, czemu brała drugie zajęcie aż w Hollywood?

Może Adella ją oczarowała. Albo Caitlin została przedstawiona Adelli przez kogoś bardziej wpływowego niż Rory, na przykład Masona Booka.

Moe miał dwa punkty startowe: Stoltz albo Raymond Wohr. Chłopak prawdopodobnie nie zechce rozmawiać z gliniarzami. Jeszcze tego brakowało, żeby się chował za adwokatem. I to jakimś znanym, wynajętym przez Masona Booka... Zostawał więc Wohr. Moe na pewno znajdzie sposób, żeby przycisnąć faceta.

Liz obudziła się i zawołała go z sypialni. Później wzięli razem prysznic, ona pojechała do laboratorium, on ubrał się do pracy. Zadowolony, że Liz nie ma i nie widzi jego dzisiejszego uniformu.

W drodze do Hollywood zadzwonił do Petry Connor i poinformował, że będzie pracował na jej terenie.

– Miłej zabawy – powiedziała. – Byliśmy w obyczajówce. Nie ma żadnej adnotacji o tym, żeby Adella handlowała swoim ciałem. Wohr i Eiger to płotki bez kontaktów w show-biznesie, o których ktokolwiek by wiedział.

– Wohr jest zboczeńcem – powiedział Moe i streścił swoją rozmowę z wielebny Arnoldem.

– Podglądał własną bratanicę? – zdziwiła się Petra. – Co za gnój.

– Cały czas myślę o tym, że w ogóle nie interesowałem się dzieckiem.

– Gnój, który nie lubi dzieci.

– Otóż to. W głowie układają mi się w różne paskudne scenariusze.

– Nic dziwnego – stwierdziła Petra. – Zabierasz się dzisiaj do drania?

– Jak tylko dojadę do jego domu. Jestem przy La Brea i Santa Monica.

– Witamy w Hollywood.

Zaparkował sześć przecznic od mieszkania przy Taft, skupił się na tym, żeby szurać nogami, mieć mętne spojrzenie.

Był nieogolony, w szarej czapce, koszulce wydobytej z dna kosza na pranie, najbrudniejszych dżinsach i najstarszych adidasach. Do tego włożył zatechłą zieloną bluzę z kapturem, którą kupił od ulicznego handlarza na rogu Hollywood i Highland za dziewięć dolarów.

Obejrzał ją uważnie, nie mógł się pozbyć wrażenia, że poliester zasiedliło jakieś mikroskopijne robactwo.

Wiarygodność na ulicy miała swoją cenę.

O ile w ogóle wyglądał wiarygodnie.

Może, bo kiedy skręcił z Hollywood Boulevard, nikt nie zwracał na niego uwagi.

Zgarbiony, wciągając policzki i wpychając jedną rękę głęboko w kieszeń dżinsów, jakby miał tam towar, powlókł się na kwartał Raymonda Wohra i Alicii Eiger.

Kamienica za kamienicą, niektóre w miarę w dobrym stanie. Ta jedna akurat nie – popękany tynk, obwisłe rynny, rudy trawnik. Za Franklin domy wyglądały trochę ładniej. Lepiej tam nie chodzić, żeby nie zaalarmować jakiegoś nerwowego obywatela. Moe skręcił na zachód, przeszedł

kilka przecznic, zawrócił, zapalił papierosa, ale potem tylko go trzymał w ręku. Powtórzył to wszystko kilka razy.

Bezcelowe włóczenie się samotnego, stukniętego wyrzutka.

Dużo samochodów, mało ludzi; motto L. A.

Przy czwartym okrążeniu spotkał drapieźnie wyglądającą, ostrzyżoną na jeża i obkolczykowaną dziewczynę. Prowadziła spuszczonego ze smyczy pit-bulla.

Wielkie, zębate zwierzę, pięćdziesiąt kilo mięśni. Pies podbiegł do lumpowatego przechodnia. Moe miał pistolet wetknięty za pasek spodni z tyłu, modlił się, żeby nie musiał go użyć.

Pit-bull powąchał jego buty. Polizał go po rękę.

Moe wziął głęboki wdech i poklepał twardy jak stal kark.

– Iggy cię lubi, stary – powiedziała dziewczyna. – Jesteś w porzo.

Tak, był wiarygodny.

Podczas siódmego spaceru po Taft zobaczył Ramone'a W. i Alicie Eiger. Kłócili się na chodniku. Za daleko, żeby słyszeć, co mówią, ale mowa ciała wyrażała wszystko.

Oboje ubrani w bluzy i dzinsy. Eiger bez makijażu, ze zmierzwionymi włosami, zupełnie jak Ramone. Na nosie miała niemodne okulary w rogowych oprawkach. Mogli być dowolną parą znużonych ludzi ulicy.

Mówiła głównie ona. Ramone wyglądał jak siedem nieszczęść.

Pozwalał Eiger trajkotać, wpatrzony gdzieś nad jej głową. Nawet nie udawał, że słucha. W końcu zrozumiała, że ją olewa, szturchnęła go w pierś, aż spojrzał jej w oczy. Kolejny monolog.

Ramone znów się wyłączył.

Eiger zaczęła machać rękami, chcąc wywołać jakąś reakcję.

Ramone głupio pokiwał głową.

Niezadowolona podeszła bliżej. Kolejna tyrada.

Przechodzący obok chłopak z irokezem odwrócił się, żeby na nich popatrzeć; Eiger na nim wyładowała swój gniew. Chłopak pojednawczo uniósł ręce i szybko odszedł. Eiger gadała dalej.

Tym razem Ramone próbował ją uciszyć, przyłożył palec do ust.

Zamachnęła się i rąbnęła go w twarz.

Facet zatoczył się, potarł bolące miejsce. Ręka Moego sięgnęła w tył, do pistoletu – spodziewał się oddania ciosu, bijatyki.

Gdyby się wtrącił, byłoby to katastrofalne dla sprawy, ale nie mógł pozwolić, żeby psychopata w biały dzień stłukł kobietę.

Alicia Eiger chwyciła się pod boki, jakby prowokując Ramone'a do riposty.

Głupia kobieta. Cmentarze były ich pełne.

Moe podszedł bliżej, żeby mieć dość czasu na skuteczne działanie. Żadne z nich raczej go nie zauważyło.

Raymond zesztwytniał. Eiger z niego kpiła. Pokazała mu palec. Ramone wzruszył ramionami, oklapł, odwrócił się i począł na południe, w stronę Hollywood Boulevard.

Eiger bezgłośnie coś powiedziała. Jedno słowo.

Moe czytał jej z ust.

Głupek.

Może powinien porozmawiać z tą księżniczką. Ale kiedy tak zastanawiał się, co robić, Eiger gniewnie wmaszerowała z powrotem do kamienicy.

Dzień dobry pani, wydział zabójstw LAPD. Dlaczego Ramone to głupek?

Moe przeszedł obok zapuszczonego budynku. Ramone zniknął mu z oczu, pewnie topił smutki U Boba albo w podobnej spelunce.

Może zajrzeć do baru? Usiadłby z piwem na sąsiednim stołku i postarał się skłonić faceta do mówienia.

Czy Ramone by się przyznał, że jest totalną dupą?

A skoro o tym mowa.

Obejrzana konfrontacja wstrząsnęła dotychczasowymi wyobrażeniami Moego. Uważał Ramone'a za morderczego oprycha, a ten okazał się niegroźny jak ślepy kociak.

Moe wrócił do samochodu. Napotkał kilka innych osób z psami, w tym starą, zgarbioną kobietę z małym, kudłatym kundelkiem, który zajadłe na niego naszczekał.

– Bardzo dobrze, Mistrzu – powiedziała staruszka. – To łobuz.

Kiedy wrócił do biurka w West L.A., Aaron siedział na jego krześle i bawił się swoim BlackBerry. Na widok Moego się poderwał.

– Mogę coś dla ciebie mieć.

– Mogę? – powtórzył Moe.

– Chodź, pogadamy?

Skąd założenie, że Moe chce z nim rozmawiać? Już miał to powiedzieć, ale coś w postawie Aarona go powstrzymało: nie było tego cwaniackiego błysku w oczach, a twarz wyrażała skupienie – tak Aaron wyglądał, kiedy rzucał długie piłki albo poprawiał postawę przy kiju. Z

reguły mu się udawało.

– Chodźmy – powiedział Moe.

– Być może znalazłem miejsce, gdzie pochowano Caitlin – oznajmił Aaron, kiedy znaleźli się w pomieszczeniu pozbawionym okien, bez podsłuchów.

Wciąż nie miał pojęcia o Adelli Villareal, Raymondzie Wohrze, Alicii Eiger. Moe pozwolił sobie na chwilę satysfakcji.

– Tak? Słucham. – Usiadł wygodnie.

Aaron opisał wycieczkę Masona Booka i Siekiery Dementa do Leo Carrillo, polanę, na której palili i wciągali heroinę.

– Wiesz na pewno, że to heroina. – Moe przyczepił się prawdopodobnie do nieistotnego szczegółu, bo od tych rewelacji i kłótni Eiger z Ramonem aż w głowie mu się kotłowało.

– Zrobiłem wstępny test. – Chytry uśmiech Aarona wrócił. – Zestawem małego chemika, Moses. Wcale nie gwarantuję, że to miejsce to grobowiec, ziemia była nieporuszona. Ale minęło dużo czasu, a chwasty rosną. Zanim zapytasz, jasne, możliwe, że ci dwaj po prostu lubią haj na plaży. Ale to kawał drogi z Hollywood Hills. Dlaczego nie raczyli się prochami za bramą na Swallowsong? Moim zdaniem, to miejsce ma dla nich znaczenie psychologiczne, a oni brali udział w jakimś rytuale.

– Wrócili na miejsce zbrodni.

Aaron założył nogę na nogę, wygładził klapę marynarki, popatrzył na Moego, usiłując odgadnąć, czy ten się z niego nabija. Nie wiedzieć czemu, Moe poczuł się jak zadra w tyłku.

– Tak bywa z psycholami, prawda? Przeżywają zbrodnię jeszcze raz.

Aaron się odprężył.

– Słuchaj, wiem, że to nie są konkretne dowody, Moses, ale tylko tyle mogłem zrobić bez używania łopaty. Mówiłem poważnie, kiedy obiecywałem, że nie będę ci wchodził w drogę. Pies tropiący rozwiałby wątpliwości bardzo szybko.

– Nie słyszę tu wystarczających powodów, żeby wzywać K9. Zwłaszcza do parku w Malibu.

Prawdopodobnie wmieszały się w to Komitet Wybrzeża.

Posłuchajcie mnie: mówię jak każdy inny zasłaniający się przepisami sztywniak.

– W porządku – powiedział Aaron. – Chciałem ci tylko przekazać wszystko, co wiem.

– Nie twierdzą, że to nie jest interesujące, Aaron, bo jest. Zwłaszcza że co chwila pojawia się temat Malibu. Wszystko, co dotyczy Caitlin, wydaje się związane z wybrzeżem.

Oprócz jej pracy opiekunki w Hollywood.

Aaron się rozpromienił.

– Dokładnie to samo pomyślałem. Caitlin i Rory studiują w Pepperdine, pracują w Santa Monica,

ranczo Lema Dementa jest w Solar Canyon. A teraz widziałem, jak Mason Book urządza sobie dwie nocne wycieczki po PCH.

– Nie może spać – mruknął Moe.

– Poczucie winy tak na ludzi działa. Chociaż nie wygląda na to, żeby przez wyrzuty sumienia pan Book się okaleczył.

– O czym mówisz?

– Zanim przyszedłeś, odebrałem SMS-a. – Postukał w BlackBerry.

– Jeden z moich informatorów słyszał plotkę, że nie było żadnych śladów cięcia na ciele Booka, kiedy leżał rzekomo po próbie samobójczej w Cedars. Nic nie wskazywało na to, że targnął się na swoje życie.

– Kim jest informator?

– Przykro mi, Moe, nie powiem. A biorąc pod uwagę, ile hałasu robią o poufność danych pacjentów, nie chcesz wiedzieć.

Słuszna uwaga.

– Wiarygodny ten informator? – spytał Moe.

– Bardzo.

– Pracuje w Cedars?

Aaron się uśmiechnął.

– Ktoś powiązany z kimś, kto zna kogoś, kto pracuje w Cedars. Zdradzę ci tylko, że mówimy o zgorzkniałym człowieku z branży, którego wysiudano z pracy i teraz zmierza ku zawodowemu zapomnieniu.

– Zacytował Merry Ginzburg słowo w słowo. – Silna motywacja, żeby pomóc mi zakończyć tę sprawę.

– Czemu?

– Obiecałem wyłączność na temat, kiedy kurz opadnie.

– „Kiedy”, nie „jeśli” – zauważył Moe. – Nie ma to jak optymizm.

– Jedyne sposoby na życie, braciszku... przepraszam. – Aaron poprawił marynarkę. Gładki jedwab koloru ciemnej czekolady: w tym odcieniu czarnym mężczyznom było do twarzy bardziej niż komukolwiek innemu. Moe cieszył się, że zdążył zrzucić ubranie menela. Zielona bluza trafiła do

kosza, bo nie mógł się pozbyć wrażenia, że jest żywa.

– Jeśli Book nie próbował się wykończyć, to dlaczego wylądował w szpitalu? I czemu rozgłaszano, że to samobójstwo?

– Dobrze pytania, Moses.

– Wyczerpanie. Nie tym zasłaniają się celebryci, kiedy idą na detoks?

– Tu nie było detoksu – odparł Aaron. – W ogóle żadnej chemii. To właśnie zaciekało informatora mojego informatora. Facet mieszkał tam jak w hotelu.

– Może nie dostawał leków od lekarzy, ale przyjaciele przynosili mu środki rozweselające; może próba samobójstwa była przykrywką dla czegoś zabójczego dla kariery. Na przykład całkowitego załamania. Gdyby Book posypał się psychicznie, jego szefowie nie chcieliby, żeby to wyszło na jaw. Lepiej zasłonić to półprawdą.

Aaron szeroko otworzył oczy.

– Podoba mi się ta wersja. Totalny, bełkoczący szaleniec z napadami szału... ludzie uciekają przed wariatami, ale depresja, samobójstwa, wychodzenie z dołka, to materiał na okładkę

„People”. Oprah zostaje twoją najlepszą przyjaciółką... tak, to ma sens, Moses.

– Ale Book nie trafił do Oprah ani do „People” – ciągnął Moe. – A to znaczy, że wciąż jest z nim źle, że jego problemy nie minęły. Wyjaśniałoby też, dlaczego od trzech lat nie nakręcił

żadnego filmu. Słyszy głosy, widzi małe zielone ludziki... w takim stanie nie trzymałby się scenariusza. Ale jedno mi tu nie pasuje. Psychotyków leczą farmakologicznie, prawda? Czy informator twojego informatora jest pewien, że nie podawano tam żadnych leków?

– Tak mi powiedziano. – Aaron pilnował się, żeby nie zdradzić płci Meny.

– W takim razie może się mylimy.

– Albo Book znalazł psychiatrę, który nie stosuje leków. Podoba mi się pomysł z totalnym świrem, bo facet byłby wtedy zdolny do różnych bardzo złych zachowań. Na przykład poderwania onieśmiałej jego gwiazdorstwem dziewczyny, takiej jak Caitlin, i przywiezienia jej do siebie na imprezę. A jak miał już wszystko pod kontrolą, wylazł z niego Lecter.

– Zabawił się z nią w Hollywood Hills, a ciało zakopał sześćdziesiąt kilometrów dalej, na wszelki wypadek.

– Z pomocą Siekiery Dementa, swojego głównego chłopca na posyłki, który mógł też brać udział w morderstwie. Mówię to, bo wybór Malibu wskazuje na udział Siekiery, Moses. Tam się wychował. Cholera, może to właśnie on wskazał, gdzie zakopać zwłoki, bo zna okolicę, to blisko rancza jego ojca.

– A Book – podjął Moe – pokręcony jak zwykle, wraca tam, żeby się upalić, przeżyć to jeszcze raz. Wożony przez Siekierę, który też podnieca się tym wszystkim.

– Za pierwszym razem Booka do Malibu zawiózł Stoltz – powiedział Aaron. – Chociaż gwiazdor stchórzył i zawrócił w Colony. Rory też mógł brać udział w zabijaniu. Cała trójka spotkała się w tym cholernym barze.

– Book to świr, ale z resztkami sumienia – kontynuował Moe. – Dlatego poszedł do Cedars tydzień po zabójstwie Caitlin. Wystraszył się tego, co zrobił.

Aaron klepnął go w plecy.

– Niezłe, Moses. Wiem, że to teoria, ale wszystko tu pasuje.

Moe zamilkł. Pokazać karty bratu? Czy cały czas traktować go jak kogoś z zewnątrz?

Aaron był bystry, w końcu by się domyślił. A może już wiedział.

– Co, Moses?

– To nie wszystko.

Moe po raz pierwszy w życiu zauważył coś u swojego brata.

Aaron potrafił doskonale słuchać.

Chłonąc fakty, nie poruszył ani jednym mięśniem. Adella Villareal, mały Gabriel, spotkanie Siekiery Dementa z Raymondem Wohrem i Alicią Eiger w motelu Eagle. Wohr podglądający bratanicę. Caitlin Frostig jako opiekunka dziecka Adelli.

Jedyne, czego Moe nie powiedział, to bierność Wohra wobec wyzwisk Eiger, która zburzyła jego wizerunek dominującego mordercy-psychola. Bo wciąż nie wiedział, co o tym myśleć.

– Ho-ho. – Aaron był autentycznie pod wrażeniem tego, co odkrył jego brat. Ani śladu „teraz mi to mówisz?”

– Czyli mamy ogniwo łączące dwie zabite kobiety... o rany... dobra, wysyłam człowieka do Riptide. Dasz mi jpga Adelli?

– Za duże ryzyko.

– Mój człowiek potrafi być subtelny.

Moe wiedział, że Aaron zdobędzie zdjęcia Adelli i bez jego pomocy.

– Chodź, dam ci skan.

– Dzięki. Teraz moja kolej na coś ekstra. Nic nie zatajałem, po prostu nie doszedłem do tego, kiedy zaczęliśmy tę burzę mózgów na temat Booka. Rano spędziłem trochę czasu z Gemmą Dement. Matką Siekiery.

Panował nad głosem, ale poruszył się niespokojnie.

Prawie nigdy się nie wiercił.

Moe się uśmiechnął.

– Atrakcyjna kobieta.

– Jak na swój wiek.

– Rozmawialiście o polityce?

– O orzeszkach ziemnych... nieważne, chodzi o to, że ta kobieta jest... mocno dziwna. Ma obsesję na punkcie winy i pokuty. Cytuję. Normalnie przypisałbym to jakimś przekonaniom religijnym, na przykład temu, że odkryła Boga razem z Lemem. – Chociaż nie przywiązuje za dużej wagi do siódmego przykazania. – Ale jeśli mały Siekiera brał udział w morderstwie, wiedza o tym mogłaby

ją męczyć.

– Życie z wielkim, mrocznym sekretem – wtrącił Moe. – Sama sprawiała wrażenie winnej czy tylko snuła filozoficzne refleksje?

Aaron pokręcił głową.

– Jakież emocje w tym tkwiły, ale trudno powiedzieć dokładnie jakie.

– Co to znaczy?

– Nie była przytłoczona poczuciem winy albo smutkiem, ale poruszyła ten temat bez kontekstu. Wina i pokuta. A raz nawet się wkurzyła. Niespodziewanie mocno.

– Ale nic o żadnym morderstwie.

Aaron się zawahał.

– To nie była taka rozmowa.

– Mimo wszystko, wygląda, jakbyś ją poznał całkiem dobrze.

– Wystarczająco dobrze, żeby się zorientować, że jest mocno pokręcona, Moses. Lem wciąż ją bije. Widziałem siniaka.

Założę się, że widziałeś.

– Bicie może człowiekowi namieszać w głowie – stwierdził Moe.

– Myślę, że to coś więcej. Nie jestem psychologiem, chodzi mi o aurę, jaką wytwarzała.

Mroczną, niepokojącą.

– Już drugi raz o tym wspomniałeś.

– O czym?

– Że nie jesteś psychologiem – odparł Moe. – A skoro ta sprawa zmierza w tym kierunku, może powinniśmy porozmawiać ze specjalistą.

Aaron poszedł w kąt sali detektywów i zadzwonił do kogoś, kogo wysyłał do Riptide. Do kobiety, zgadywał Moe. Aaron się rozluźnił i uśmiechnął do niewidocznego słuchacza. Kilka chwil później skończył; zeskanowali zdjęcie Adelli Villareal i wysłali je na adres lpvox36 na Hotmailu.

Moe zadzwonił do doktora Aleksa Delaware'a, połączył się z jego usługą pocztową.

– Czy to pilna sprawa, proszę pana? – spytała operatorka.

– Nie chcę umówić się na wizytę. Jestem detektywem Departamentu Policji Los Angeles.

– Nowym?

Moe zeszywniał.

– Słucham?

– Do doktora zawsze dzwoni detektyw Sturgis. Chodzi o morderstwo?

– Tak, proszę pani.

– Chwileczkę.

Chwilę później w słuchawce odezwał się Delaware. Nie wchodząc w szczegóły, Moe spytał, czy może wpaść porozmawiać z Aaronem o pewnej sprawie. Nie wiedział, jak Delaware rozlicza się z departamentem. Miał nadzieję, że doktor nie poruszy teraz tego tematu.

– Nie ma mnie w domu, Moe, sprawa sądowa w Beverly Hills. Ale nawet jeśli każą mi zeznawać, powinienem być wolny o czwartej, więc umówmy się za piętnaście piąta. Najlepiej u mnie. Muszę się zameldować psu.

Jechali zaadaptowaną ścieżką konną wijącą się nad Beverly Glen. W końcu zobaczyli ostre, białe kontury domu Delaware'a w górze między sosnami, sekwojami i sykomorami.

Aaron pomyślał:

To jest cel mojego snu, świetna sprawa; popatrz tylko, martwa cisza, kiedy potrzebujesz pomedytować; tyle zieleni... i to niebo, nie powiedziałbyś, że jesteś w L.A., a to zaledwie kawałek drogi od Westwood Village, centrum Beverly Hills, Strip, właściwie wszędzie blisko.

Facet pewnie bez przerwy widuje jastrzębie. Ciekawe, czy jeździ kabrioletem. Na pewno, bo jak można się tym wszystkim cieszyć z blachą nad głową. Aten dom... ho, ho, większy niż się wydaje na pierwszy rzut oka, pełne dwie kondygnacje, ciekawy kształt, widać, że projekt na zamówienie. Ładnie ustawiony na działce, świetnie wpasowuje się w krajobraz, to właśnie fajna współczesna architektura. Wnętrze pewnie czyste i spokojne, może bambusowe podłogi, wysklepione sufity, wszędzie przyjemne naturalne światło, kino domowe... nie, to stary seville.

Ale w niezłym stanie... może kabrio stoi w garażu... cudowny ogród... Któregoś dnia...

Moe stwierdził:

Ładny dom.

Doktor Alex Delaware zastanowił się:

Obaj na mojej kanapie wyglądają, jakby się tu źle czuli.

Jak pacjenci.

Jak małżeństwo, z trudem zachowujące pozory uprzejmości.

Pracował z braćmi przy sprawie morderstw na bagnach, wyczuł skomplikowane relacje.

Nie trzeba być psychologiem, żeby to zauważyć.

Alex zeznawał prawie godzinę w Beverly Hills, uchylając się przed niezbyt subtelnymi naciskami prawnika rozwodowego, by powiedział coś głupiego. Wrócił do domu dwadzieścia minut przed przyjazdem Reeda i Foksa. Wyprowadził Blanche do ogrodu, nalał jej świeżej wody, poświęcił chwilę uwagi, której łaknęła. Robin wybrała się po drewno do Ojai, miała wrócić koło ósmej. Nie zdążył przebrać się z sądowego uniformu – grafitowego prążkowanego garnituru, żółtej koszuli, bordowego krawata – ale zdjął marynarkę, podwinął rękawy, pokrzepił się czarną kawą, zanim zadzwonił dzwonek do drzwi.

Mała, płowa suczka francuskiego buldoga siedziała mu teraz na kolanach i uśmiechała się do detektywów z całym swoim kobiecym wdziękiem.

Aaron Fox odpowiedział jej uśmiechem.

– Dziękujemy za spotkanie, doktorze – zaczął Moe Reed, poważny i rzeczowy.

– Nie ma sprawy. O co chodzi?

– To dość skomplikowane.

– Wszystko z reguły takie jest, kiedy do mnie dociera.

Mówił głównie Reed, Foksowi jakby to nie przeszkadzało, choć Alex zauważył, że Aaron walczy z chęcią, by się wtrącić. Za każdym razem odchyłał się na oparcie kanapy ze zrezygnowaną miną i bębnił palcami po kolanie. Kolejność narodzin zawsze miała duże znaczenie.

– Rozumiem – powiedział Alex po wysłuchaniu streszczenia. – I co chcecie wiedzieć?

– Po pierwsze – odparł Moe Reed – jaki jest stan psychiczny Masona Booka?

Delaware pokręcił głową, rozluźnił krawat, podrapał psa za nietoperzymi uszami.

– Diagnoza na odległość to przegrana sprawa, panowie. Jeśli pytacie, czy Book może być chory psychicznie i nieleczone farmakologicznie podczas hospitalizacji, to tak, teoretycznie to możliwe.

– Ale mało prawdopodobne?

– Pacjentom ze schizofrenią przede wszystkim podaje się leki. Sprawdzają się one dobrze u wielu osób, ale nie u wszystkich. Jeśli Book w przeszłości nie reagował na leczenie farmakologiczne albo wciąż ma problem z uzależnieniem, możliwe, że ostrożny psychiatra wycofał się i go obserwował.

Wiecie, kto był lekarzem prowadzącym?

Obaj pokręcili głowami.

– Jeśli się dowiecie, dajcie mi znać.

Aaron Fox postukał w klawisze BlackBerry.

– Co to znaczy „wycofał się”? – spytał Reed. – Położyli go w szpitalu i tylko obserwowali?

– Przyjęto go na obserwację – odparł Alex. – Kiedy masz wątpliwości, postępuj tak, żeby nie skrzywdzić.

– Na oddziale VIP-ów?

– Tym bardziej.

– On na pewno wciąż coś bierze, doktorze – wtrącił się w końcu Fox. – W Carrillo znalazłem trawkę i meksykańskiego browna.

– On albo jego kumpel – odparł Alex.

– Book i Siekiera Dement pojechali tam razem. Myśli pan, że narkoman siedziałby z boku i patrzył, jak *compadre* zażywa?

– Zgoda, mało prawdopodobne. Zatrzymajmy się więc na chwilę przy narkotykach. Może Book trafił do szpitala na detoks.

– Tylko na tydzień?

– Tydzień by nie wystarczył, ale co jeśli Book zmienił zdanie i się wypisał? Nie trafił tam przymusowo. Nie przebywał nawet na oddziale psychiatrycznym. Co jest dla nas jakimś znakiem.

– Gdyby był wariatem, musiałby iść na oddział psychiatryczny? – spytał Reed.

Alex się zastanowił.

– Zazwyczaj tak, ale sława nagina zasady.

– Każde miejsce, gdzie ci ludzie śpią zmienia się w pięciogwiazdkowy hotel – zauważył

Reed. – Jeżeli Book chciał wyjść z Cedars, kto by się z nim kłócił?

– Jesteście pewni, że nie dostawał żadnych leków? – spytał Alex.

Reed spojrzał na brata.

– Niczego nie jesteśmy pewni – odparł Fox. – Informacja pochodzi z drugiej ręki.

– Raczej z trzeciej – poprawił go brat.

Fox się nie sprzeczał.

– Ktoś powiedział komuś, kto powiedział komuś... – Alex odchylił się na oparcie skórzanego fotela za biurkiem. Blat był pusty.

Cały gabinet idealnie schludny. Aaronowi się to podobało.

– Informator jest generalnie wiarygodny – powiedział. – Ale jasne, wolelibyśmy zdjęcia i filmik na YouTube.

My. Zabrzmiało to, jakby byli zespołem, ale ich mowa ciała nie do końca o tym świadczyła.

Alex przeczesał dłonią ciemne loki i popatrzył w prawo na przedstawiającą bokserów litografię George'a Bellowsa, która zawsze pomagała mu się skupić. Oczy miał szarobłękitne, czyste, przesywające; spojrzenie czujne i prawie niepokojąco intensywne.

Mała buldożycza ziewnęła, trzepocząc fąflami, zamknęła oczy i zasnęła.

– Przykro mi, nie powiem nic bardziej konkretnego, panowie. Book może mieć psychozę, fobię, upośledzenie narkotykowe, kliniczną depresję, co tylko chcecie. A może wcale nie trafił

tam z problemem psychiatrycznym.

– Fizyczne dolegliwości? – spytał Reed. – To dlaczego powiedzieli, że chodzi o próbę samobójczą?

– Właśnie – dodał Fox.

– A może i jedno, i drugie – stwierdził Alex. – Na zdjęciach widać bardzo chudego faceta.

Bracia wytrzeszczyli oczy.

– Zaburzenia odżywiania? – spytał Reed.

– W profesji Booka to ryzyko zawodowe. I wcale nieograniczone do kobiet, chociaż z nimi kojarzone. Łatka anorektyka czy bulimika mogła być dla kariery aktora bardziej szkodliwa niż próba samobójcza. Ignoranci uznaliby samozagłodzenie za zbyt kobiece dla takiego gwiazdora.

– A samobójstwo jest stylowe – powiedział Fox.

– Niestety w pewnych kręgach przypisuje się mu pewną romantyczną jakość. Ludziom bardzo się podoba koncepcja udręczonej duszy, zwłaszcza jeśli chodzi o artystów. W ostatnim akcie *Romea i Julii* nie występuje dwójka dzieciaków, które się głodzą albo wpychają sobie palce do gardła.

– Facet jest wyczerpany – podjął Reed. – Idzie na dożywianie i podanie płynów. Wychodzi, kiedy nie grozi mu już niebezpieczeństwo. To by wyjaśniało brak leków.

– Zgadza się, ale ja tylko zgaduję – przypomniał Alex. – I nie wiem, czy stan psychiczny Booka odgrywa znów tak ważną rolę w waszej sprawie.

– Poczucie winy nie jest istotne? – spytał Moe Reed. – To, że poszedł do szpitala tydzień po zniknięciu Caitlin?

– Ale też kilka miesięcy po morderstwie Adelli Villareal. Jeśli wiążecie ze sobą te sprawy, nie widzę tu żadnej prawidłowości.

– Uważa pan, że nie są ze sobą powiązane?

– Mogłyby być, jeśli obie kobiety natknęły się na tego samego złego człowieka. Nie przypuszczam, żeby Caitlin została zamordowana dlatego, że opiekowała się dzieckiem Adelli.

Między oboma zniknięciami minęło za dużo czasu.

– Mamy też zaginione dziecko – powiedział Aaron. – I nikt nie wie, kto jest ojcem.

– Jeśli Mason Book – podjął Reed – miałby wystarczająco dużo powodów, żeby pozbyć się Adelli razem z dzieckiem. To by też wyjaśniało upływ czasu, doktorze. A jeśli Adella za mocno przycisnęła Booka, a ten wysłał Siekierę Dementa, żeby zajął się problemem? Na przykład z pomocą jego ulubionego łajzy Ramone’a W., który prawdopodobnie w ogóle zapoznał Adellę z Bookiem, bo był jej alfonsiem? Później, kiedy Rory Stoltz zaczął pracować dla Booka, dowiedział

się czegoś i wypaplał to swojej dziewczynie. Caitlin była uczciwa i porządna, знаła Adellę, siedziała z jej dzieckiem, wystraszyła się, zagroziła, że pójdzie na policję. No to ją też załatwili.

Rory domyślił się, co się stało, ale nie może nic powiedzieć. Za bardzo się boi, że to samo spotka jego. To by wyjaśniało, dlaczego pani Stoltz tak broni syna.

– Albo Rory też jest socjopata i dlatego właśnie Book go zatrudnił – podsunął Fox. – Tak czy inaczej, nie można zrobić testu na ojcostwo, bo nie ma dziecka.

Bracia przysunęli się do siebie na kanapie, już bardziej przypominali zespół. Obaj przyglądali się doktorowi.

Alex skupił się na liniach i pustych przestrzeniach składających się na Bellowsowski pojedynek.

– To możliwe. Jeśli zdołacie dotrzeć do Booka, a on jest osłabiony, może się łatwo ugiąć.

Ale w tej chwili chyba nie warto się na nim skupiać, a zgadywanie, dlaczego trafił do szpitala, niewiele daje. Nie macie nic, żeby go powiązać z którąkolwiek ofiarą, a on żyje w luksusie z Siekierą. Który, wiecie to na pewno, jest powiązany z Ramonem W.

– Mówi pan, że powinniśmy skupić się na synu Lema Dementa – powiedział Fox.

– Chłopak zatrzymuje ruch, a potem pokazuje wszystkim palec... to kreśli interesujący obraz.

Bezczelny, lekkomyślny, agresywny człowiek.

– Typowy socjopata – podsunął Reed.

– Jeśli uda się wam przyłapać go na jakimś okrucieństwie, zgodzę się. Do tego dorastanie z ojcem, który bije matkę, może być powodem przemocy na tle seksualnym.

– Wierzy, że tak właśnie prawdziwy mężczyzna traktuje kobiety.

– Otóż to.

– Mama dostaje łomot, ale nie odchodzi – ciągnął Fox. – I lubi mówić o winie i pokucie.

Może dlatego, że wychowała bardzo niegrzecznego chłopca.

– Jaka była emocjonalna temperatura tej rozmowy? – spytał Alex.

– To znaczy?

– Czy pani Dement miał wyrzuty? Była zła? Wypowiadała się tak, jakby czytała scenariusz?

Fox się zamyślił.

– Chyba wszystko razem. Odniosłem wrażenie, że ma mocno nie po kolei w głowie.

Reed patrzył na brata, jakby spodziewał się czegoś więcej.

Fox wzruszył ramionami.

– To wszystko.

– Jak do tego się ma aspekt religijny, doktorze? – spytał Reed. – Ojciec Siekiery robi fortunę na filmie, który właściwie jest makabreską upozorowaną na pieśń pochwalną. Teraz na rodzinnym terenie buduje kościół. – Zanim Alex zdążył odpowiedzieć, Reed spojrzał na brata. –

Równie dobrze mogą tam rozwijać sektę, a Mason Book został do niej wciągnięty. Aktorzy na to lecą, prawda? Na każdą nowinkę.

Fox kiwnął głową.

– Facet jest anorektykiem – ciągnął Reed. – Uzależnionym zombie bez własnej woli.

Cholera, może w szpitalu go zaprogramowali i właśnie dlatego tam trafił. Albo ktoś go deprogramował, nieważne. Możesz się jakoś dowiedzieć, kto był jego lekarzem?

Fox się uśmiechnął.

– Alternatywnymi kanałami? Jasne, spróbuję. Zapomnij, że to słyszałeś. – Do Delaware'a: –

Czy ta rozmowa jest poufna jak terapia?

Alex się zaśmiał.

– Muszę sprawdzić.

– Co z aspektem religijnym, doktorze? – spytał Moe.

– Pewien mądry człowiek powiedział kiedyś: „Religia to dobra rzecz dla dobrych ludzi i zła rzecz dla złych ludzi”.

– Czyli z tą zgrają wszystko jest możliwe... w porządku, więc koncentrujemy się na Siekierze.

– Niekoniecznie – powiedział Alex. – Tak samo jak w przypadku Booka, nie ma na niego dość dowodów, a dzięki forsie taty jest grubą rybą. Rory Stoltz to płotka, ale opiekuńcza matka i teoretyczny dostęp do prawników Booka i Dementa sprawiają, że nie tak łatwo się do niego dostać. Poza tym może być niewinny.

– Dlaczego teoretyczny?

– Duże ryby zjadają małe rybki. Poświęciliby go, gdyby służyło to ich interesom. Z drugiej strony, jest ktoś, kogo możecie przycisnąć, bo ma dużą szansę wpaść w kłopoty, a bardzo niewielki rozsądek.

– Ramone W. – powiedział Reed.

– Oferma, która nie panuje nad impulsami – dodał Fox.

– I nie ma miejsca, gdzie mogłaby się skryć – dokończył Alex.

– Zacząłem go obserwować, a Petra Connor przydzieliła mu żółtodzioba w cywilu na czas mojej nieobecności – oznajmił Reed. – Problem w tym, doktorze, że to, co dzisiaj widziałem, bardzo mnie zaskoczyło. – Opisał starcie na chodniku z Alicią Eiger. – Walnęła go przez łeb, a on tylko stał. Wcześniej myślałem, że jest zdolny do bezmyślnego okrucieństwa.

– Może był za bardzo naćpany, żeby zareagować – podsunął Fox.

– Mimo wszystko. Jaki twardeł pozwala się bić publicznie? Tak się nie zachowuje płatny morderca.

– Ramone został przyłapany na podglądaniu bratanicy – powiedział Alex. – I prawdopodobnie nie robił tego pierwszy raz. Ile ma lat?

– Trzydzieści siedem.

– Interesujące. Podglądacze zazwyczaj zaczynają w młodym wieku, niektórzy przechodzą do przemocy na tle seksualnym. Fakt, że on wciąż podgląda, sugeruje pewną bierność.

– A co to mówi o jego zdolności do popełniania krwawych morderstw? – spytał Reed.

– Może nic – odparł Alex. – Wojny są planowane przez generałów, ale prowadzone przez szeregowców.

– Wykonuje rozkazy. – Fox pokiwał głową. – Jasne, czemu nie, jak w Rodzinie Mansona czy w każdej grupie świrów... cholera, to pasuje do hipotezy o pokręconej sekcji. Musimy wysłać psy do Carrillo, Moses.

Reed udął, że nie słyszy.

– Dobrze, zajmę się Wohrem. Coś jeszcze, doktorze?

– Wygląda na to, że robicie już wszystko co trzeba – odparł Delaware.

– A to z kolei mi wygląda na terapię – rzucił Fox.

Liana Parlat poprawiła ręcznik ułożony na prawym sutku Steve'a Rau.

Tkanina frotte była o wiele łagodniejsza dla jej policzka niż ostre jak stalowa wełna włosy na jego piersi.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Miran. – Zarzuciła ramię na jego beczkowaty tors.

– Jeśli nie, mogę je zgolić.

– I narazić mnie na odrastającą szczecinę? – Przesunęła opuszką palca po jego szczęce.

Coś drgnęło pod prześcieradłem. Zobaczyła przyczynę.

– Ojej, Stephen.

– Minęło dużo czasu, Lauro. Pewnie już połowę rzeczy zapomniałem.

Fałszywe imię zaczęło jej przeszkadzać. Właśnie teraz.

– Masz nadzieję na komplement? – spytała. – Dobrze: niezły ogier z ciebie.

Flaga zjechała do połowy masztu.

– O nie! – Liana zachichotała. – Przepraszam.

Wrażliwy. Ale taki słodki. Wszedł do Riptide pół godziny po tym, jak ona usiadła przy barze.

Nic nie działała, bo lokal był prawie pusty, a kilku obecnych pijaków powoli osiągało stan drewna. Za barem pracował ktoś inny niż poprzednio; nie Gus. Spięta kobieta z południowym akcentem roztaczała aurę lekceważącego pracownika tymczasowego. Miała kłopoty ze znalezieniem soku z limonek.

Kiedy Liana spytała barmankę, czy długo tu pracuje, ta zmarszczyła brwi, jakby dostała do rozwiązania matematyczne zadanie.

– Ee, cztery dni. Dzisiaj ostatni.

– Nie podoba się tu pani?

– Trupiarnia. Zero napiwków.

Odwróciła się plecami do Liany, spojrzała na wyświetlacz komórki, zostawiła na barze brudny kufel po piwie.

Dietetyczną colę i dwa łyki gimletu później Liana była w dołku. Nie zносиła wracać do Aarona z pustymi rękami.

Kiedy obejrzała zdjęcia Adelli Villareal, sprawa zrobiła się dla niej osobista.

Wesoła, piękna dziewczyna. Dziecko w niebieskim kocyku.

Liana wróciła myślami do października ostatniej klasy liceum.

Wpadka na tylnym siedzeniu zakończona zajściem. W rodzinie większa panika niż gdyby Liana umarła. Mama zamknęła się jak przerażony anemon, tata jeszcze gorzej, całkowicie odciął

się od córki na całą ciążę. Ich relacje już nigdy nie były takie same; ona miała poczucie, że go zawiodła, on nie zaprzeczał – ostatecznie znienawidziła ojca.

Brat i siostra traktowali ją jak dziwoląga.

Zwłaszcza kiedy musiała odejść ze szkoły, bo według regulaminu dziewczyny takie jak Liana wywierały bardzo zły wpływ.

Poranne nudności i depresja zdewastowały jej ciało i samoocenę. Po czterech miesiącach i dwóch dniach męki złapały ją skurcze. Miała wrażenie, że maszynka do mięsa miele jej wnętrzności. Pięć godzin później wyrzuciła z siebie krwawą masę do toalety na stacji benzynowej.

Z ulgą.

Z miażdżącym poczuciem winy.

Mimo że nie zrobiła nic, by wywołać poronienie. A może zrobiła? Te wszystkie modlitwy, prośby, złe myśli. Źle się odżywiła. Odwodniła się?

A może to stres, którego przysporzyła jej rodzina, zabił to, co w niej rosło.

Po maturze opuściła dom, znalazła posadę kelnerki.

Trzy lata później, w wieku dwudziestu jeden lat, sama nie wiedząc dlaczego, podwiązała sobie jajowody.

Adella Villareal stworzyła życie. Tylko po to, by je zabrano.

Ktoś musiał za to zapłacić.

Liana właśnie układała w głowie scenariusze zemsty, pobielając dłonią ściskając kieliszek z gimletem, gdy do baru wszedł Steve. Udawała, że go nie widzi. Grała dalej, kiedy stanął obok i zamówił piwo.

Tym razem ubrany luźno. Ciemnozielona koszulka polo i spodnie khaki, ładnie pasujące do jego

jasnej karnacji. Ale wciąż miał na nogach nijakie, brązowe pantofle, które nosił do garnituru. Chłopak potrzebował pomocy.

Szeroki uśmiech. Pomachał jej jak turysta. Spojrzała w jego stronę.

– Cześć, Lauro. – Usiadł na sąsiednim stołku, rozlewając przy tym piwo. – Ojej.

Niezdara. Co ciekawe, uznała, że to urocze.

– Cześć, Steve.

– No to... co u ciebie?

– W porządku. A u ciebie?

– Po prostu świetnie, pracuję, nie przeszkadza ci to?

– Co takiego?

– Że tu siedzę.

– A siedź sobie.

Oziębła odzywka, Steve się skrzywił. Liana odruchowo posłała mu ciepły, miły uśmiech.

Wyprostowała się, by różowa, satynowa bluzka opięła się gdzie trzeba. Łagodny, ale wyraźny róż świetnie pasował do czarnej, obcisłej spódnicy. Włosy miała wyczesane i lśniące, biżuteria od Michała Negrina błyszczała we wszystkich właściwych miejscach; Liana wiedziała, że świetnie pachnie.

Zapach Steve'a był trochę piżmowy – jak u zainteresowanego faceta. Pewnie nie psiknął się antyperspirantem po powrocie z pracy.

To też jakoś jej przeszkadzało.

– Co pan ostatnio porabiał, doktorze Rau?

– Nic ciekawego – odparł, ale jego szczerą twarz, duże oczy i fakt, że był facetem, sprawiły, że wdał się w pięciominutowy wykład o południowoamerykańskich trajektoriach gospodarczych i ich związku z akcjami koncernów naftowych. Potem kolejne pięć minut psychoanalizy Hugona Chaveza.

Liana udawała zainteresowanie i myślała o zdjęciu w torebce. Sporo się natrudziła, żeby złożyć je tak, by załamania nie przecinały twarzy Adelli Villareal. Ani małego Gabriela w niebieskim kocyku.

Aaron nie podał jej imienia niemowlaka. Zdziwił się, kiedy zadzwoniła godzinę później i spytała o nie.

– Zrób to dla mnie – poprosiła.

– Dobrze, Lee. Gabriel.

– Mały aniołek.

Kiedy pojawiło się drugie piwo Steve’a Rau – przemądrzała panna z południa nie dołała mu do szklanki, ale nic nie powiedział – on i Liana od dwudziestu minut rozmawiali już o niczym.

O głupotach, które obojga nie obchodziły. Steve denerwował się jak licealista na pierwszej randce. Czy w dzisiejszych czasach chłopcy się jeszcze w ogóle denerwowali?

Co ciekawe, to też...

Kiedy dotknął jej dłoni, a potem cofnął rękę, spojrzała mu głęboko w oczy i uśmiechnęła się

– dała mu przyzwolenie na drugą próbę. Ale już nie powtórzył gestu, tylko spytał:

– Lauro, czy jest jakakolwiek szansa, żebyśmy razem gdzieś wyszli?

– Jest – powiedziała.

– Naprawdę?

– Może już?

Ruszyli na północ Ocean w stronę Ivy at the Shore; Steve zadzwonił z komórki do restauracji i spytał, czy znajdzie się wolny stolik.

– Czasami jest tam tłok, przychodzą te typy od filmów – wyjaśnił Lianie, czekając na odpowiedź. Jakby nigdy tam nie była.

Trzymała go pod ramię. Mocno zbudowany chłopak. Pocił się, choć wiało chłodem.

– Tak – powiedział. – Jestem... dobra, świetnie, dzięki, do zobaczenia za chwilę.

Usiedli w środku, obok grupki hałaśliwych nastolatków; Liana wiedziała, że to miejsce dla płotek. Steve nie miał pojęcia, był zachwycony, że w ogóle weszli.

Oboje zamówili Sapphire Martini. Liana jak zwykle nie spieszyła się z popijaniem. Steve też nie.

– Nie jestem mistrzem picia – wyjaśnił.

Liana zamówiła kraby w miękkich pancerzach, wieczne „danie dnia”. Steve wziął stek.

Jedząc, dalej rozmawiali o niczym, a Liana zastanawiała się, jak poruszyć temat Adelli Villareal.

Niełatwa sprawa.

Właściwa chwila nigdy nie nadeszła. Zamówili na spółkę placek z limonkami. Wypili po bezkofeinowej kawie. Steve zostawił hojny napiwek i wyszli w pachnącą solą noc. Większość gapiów z Colorado Boulevard zniknęła, kilku nocnych rowerzystów przejechało Ocean Front. Po chodnikach grasowali bezdomni wariaci, których Santa Monica przyjmowała z szeroko otwartymi ramionami.

Steve objął Lianę ramieniem. Poszli z powrotem do Riptide, gdzie zostawili samochody. To był instynktownie obronny gest, a nie śliski podstęp, żeby sobie pomacać.

Z jakiegoś powodu Liana czuła się jak na studiach, choć nigdy nie studiowała.

Szli w milczeniu. Steve miał sprężysty krok, ale nie był to tryumfalny chód cwaniaka. Samo jej towarzystwo go uszczęśliwiało; Liana wiedziała, że powinna to przerwać, wrócić do baru, spróbować zrobić coś dla Aarona.

Nadstawiła Steve'owi policzek do cmoknięcia, w ostatniej chwili zmieniła zdanie i podała mu usta. Rozchyliła wargi, wysunęła czubek języka.

Steve odsunął się, łapiąc oddech.

– Rany.

Miękkie spojrzenie. Nie sposób tego udawać.

– Chodźmy coś zrobić – szepnęła.

Ciężko pracowała nad usunięciem z głowy obrazu Adelli Wlareal. Dziecka. Jej dziecka.

Gładkiej, niemal zbyt przystojnej twarzy Aarona Foksa. To akurat był cwaniak.

– Słucham? – spytał Steve.

– Pojedźmy gdzieś jeszcze – zaproponowała. – Chyba że jesteś zmęczony.

– Nie, nie... ee, zaryzykuję... mieszkam niedaleko stąd. Jeśli masz ochotę... to znaczy... albo jasne, możemy posłuchać gdzieś muzyki na żywo...

– Który to twój samochód? – przerwała Liana.

Wskazał białego passata.

– Ten volkswagen.

– Pojadę za tobą.

„Niedaleko stąd” okazało się wieżowcem na południowej ścianie Wilshire Corridor, kilka przecznic na wschód od Westwood.

Najdroższe mieszkania w Los Angeles. Nieźle jak na doktora ekonomii utrzymującego się z grantów. To prawda, budynek Steve'a był stosunkowo zwyczajny w porównaniu z sąsiednimi –

prosty, beżowy, oszczędnie obsadzony zielenią. Jeden z wcześniejszych, już zaczynał się trochę sypać. Ale mimo to widać tu, konkretne pieniądze.

Pełna obsługa, przed drzwiami odzwierny w mundurze.

– Dobry wieczór, doktorze Rau – powiedział.

– Cześć, Enrico. To moja przyjaciółka Laura.

– Witam. – Enrico uchylił czapki, pospieszył otworzyć drzwi. – Proszę.

Kiedy weszli do małego, obwieszzonego lustrami holu, Liana zastanawiała się, czy zostanie Laurą.

Jedenaście pięter plus parter. Winda miała niemodne połączane lustra i wzorzystą tapetę.

Pachniało w niej trochę starością.

Z dwupokojowego mieszkania Steve'a, cztery piętra pod penthousem, rozciągał się ładny widok na światła miasta. Meble z orzesznika też geriatryczne: kiczowate, pikowane kanapy w kwiaty, w niemodnych kolorach, z mnóstwem guzików; brązowe wykładziny, ściany w odcieniu zieleni, którego Liana nie widziała od lat siedemdziesiątych.

W kuchni szafki w kolorze awokado.

Skok w czasie – w epokę przed urodzeniem Steve'a. Jakiś spadek? Nawet jeśli tak, czemu nie odnowił mieszkania?

Może to inercja – albo skąpstwo – sprawiły, że jego eks odeszła. Ale nie, zostawił trzydzieści procent napiwku.

– Oto jesteśmy... – powiedział. – Tada!... Napijiesz się wody? Sam trochę obeschłem.

– Nie, dzięki.

– Jeszcze kawę? Cokolwiek?

– Nie trzeba.

Nalał sobie wody z kranu.

– Och, przepraszam... siadaj, proszę, rozgość się.

Liana przycupnęła na kanapie. Wypchanej jak neopren surferem.

Co ja robię w mieszkaniu tego faceta? Przypadkiem zjawił się w barze? Spokojnie, to stały bywalec,

nie śledził mnie. Ale stały bywalec w lokalu, gdzie zniknęły dwie kobiety, a ja, całkiem możliwe, weszłam prosto do jego...

I głos Aarona:

Głupia jesteś, Lee. Nie za to ci płacę. Uciekaj, jakby cię gonił sam diabeł...

Steve Rau umył szklanke, podszedł do Liany i stanął przed nią dwa kroki.

– Wystrój pierwsza klasa, co?

– Tak... przyjemny, domowy.

Zaśmiał się.

– Uwaga, ujawniam się: to lokum rodziców. Pięć lat temu przenieśli się do osiedla dla emerytów pod Las Vegas, a to, co zaczęło się jako pilnowanie mieszkania, zmieniło się w półstałe zamieszkiwanie. Półstałe, bo ciągle grożą, że tu wrócą.

– Pokolenie bumerang – powiedziała Liana.

– Dobrze określenie... chyba ukradnę je do jakiegoś artykułu.

– Proszę bardzo.

– W każdym razie, nie wolno mi tu nic zmieniać, na wszelki wypadek. Oprócz książek.

Zabrali wszystkie powieści i literaturę medyczną taty, więc przynajmniej mam to. – Wskazał

regał pełen burych tomów. Ekonomia, nauki polityczne, biznes, matematyka, programowanie, psychologia czynników ludzkich.

Dokładnie takich lektur należało się spodziewać po kimś, za kogo się podawał. I posługiwał się prawdziwym nazwiskiem – powitanie odzwiernego było na to dowodem.

Doktor Rau.

A barman Gus potwierdził tę sprawę z rozwodem.

Jak dotąd, Steve mówił szczerą prawdę. W przeciwieństwie do kogoś innego, kogo znamy.

– Gdyby rodzice coś mi zostawili, byłabym w siódmym niebie – wyznała Liana.

Podeszła do wielkiego, niedzielonego okna.

– Co za widok.

– Piękny, ale i tak powinienem kupić własne mieszkanie. – Stał za nią, a jego głos zabrzmiał cicho i gardłowo tuż przy jej uchu.

Odwróciła się do niego.

– O rany, jesteś tak niewiarygodnie śliczna. O rany?

Co ciekawe... pocałowała go.

Był uległy.

Pierwszy raz kochali się na jednej z kwiecistych kanap rodziców. Szorstki poliestr drapał

Lianę jak wściekły, ale przez dziewięćdziesiąt sekund – bo tyle zajęła cała operacja – mogła to wytrzymać.

Drugi raz w jego łóżku. O wiele lepszy, pod każdym względem.

Steve zapadł w fazę REM, jego oczy poruszały się pod powiekami, w tę i z powrotem jak samochodowe wycieraczki.

Liana wyplątała się z jego objęć, usiadła, zaczęła, żeby mieć pewność, że Steve śpi.

Rozchylił usta. Zaczął chrapać. Włożyła majtki, wyszła z sypialni, przeszukała salon.

Obiady w zamrażarce, trzy butelki heinekera w lodówce, w towarzystwie starej pizzy i pomarańczy porośniętej penicyliną. Awokadowy piekarnik wyglądał na rzadko używany, jeśli w ogóle. Mikrofalówka na blacie pachniała oregano, sosem pomidorowym i starym serem.

Liana przejrzała kilka książek. W wielu porobił schludnym pismem notatki.

„Czy to ma związek z Ekwadorem?”

„Korel, przycz. , oba? Ortogonalność? Jest sens robić zwyczajną analizę? Prawd. nie”.

„Manipulacja funduszy paliw związana z krótkoterminowymi/per baryłką?”

Saudyjskie p. f. ?”

Małe biurko w kącie – jego cały gabinet. W szufladach paragony i wyciągi z karty kredytowej. Potwierdzały tożsamość Steve’a i zdradzały, że jest oszczędny. I że niemało zarabia: sto dziewięć tysięcy dolarów na funduszu inwestycyjnym. Karty kredytowe spłacane na czas.

W najniższej szufladzie leżały notatniki wypełnione tym samym akademickim pismem. I list od szefa, doktora Hauera, chwaliący prezentację Steve’a na „konferencji Rady Spraw Światowych”.

Nic fałszywego, podejrzanego, złego.

Wróciła do sypialni.

Steve stał w drzwiach, w niebieskim szlafroku, zaspany. Kawał chłopca.

– Wszystko w porządku?

– Nie mogłam spać – powiedziała.

– Oprowadziłbym cię, ale nie ma co oglądać.

– Podziwiałam widok.

– Popodziwiajmy go jeszcze trochę.

– Lepiej już pójdę.

Zrzędała mu mina.

– Na pewno?

Kiwnęła głową.

– Oczywiście... miałem nadzieję, że... rozumiem, to twoja decyzja. Chociaż szkoda, Lauro.

Ja... to było... tak się cieszę, że znów się spotkaliśmy.

Delikatnie ujął ją za brodę, odgarnął jej włosy z twarzy, pocałował powieki. Była naga od pasa w górę, ale jego ręce nie badały terenu.

Oparła głowę o prężną pierś. Tym razem futro jej nie przeszkadzało. Czowała łomot serca Steve'a.

– Ja też się cieszę. Ale naprawdę muszę wracać do domu.

– Gdzie mieszkasz?

Liana się zawahała. Steve się zaśmiał.

– To się nazywa przedwczesne przesłuchanie. Nie wiem nawet, jak masz na nazwisko.

Co teraz...?

Jej milczenie musiało trwać dość długo, bo Steve westchnął ciężko, z poczuciem klęski.

– Na pewno masz dobry powód strzec swojej prywatności... Czy jest szansa, żebyśmy to powtórzyli? To znaczy, razem gdzieś wyszli...

Myśli Liany pędziły.

Steve'owi mina zredła jeszcze bardziej. Wycofał się do sypialni, poszukał na podłodze swojego ubrania. Przypomnił sobie, że zostawił je w salonie, wyminął Lianę i je pozbierał.

– Cokolwiek czujesz, Lauro, dla mnie to było... przepraszam. Odprowadzę cię do samochodu.

Stała bez ruchu.

Ubrał się szybko i niezdarnie. Odwrócił się do niej plecami, jakby nagle zawstydzony.

– Lauro, jeśli cię czymś uraziłem... moja była mówiła, że bez przerwy ją denerwowało to, co mówiłem. Ale Bóg mi świadkiem, nie mam pojęcia...

Liana odwróciła się od niego, spojrzała w głąb sypialni. Skotłowana pościel. Zapach seksu w powietrzu. Ręcznik, który Steve przyniósł, żeby przykryć swoją „stalową wełnę”, spadł na dywan.

– Lauro...

Poczuła się jak oszustka.

– Usiądźmy – poprosiła.

Rada Delaware'a wydała się Aaronowi sensowna: przyjrzeć się uważnie Raymondowi Wohrowi, wykorzystać alfonsa, żeby dostać się wyżej.

Ale w ten sposób wszystko lądowało w rękach Moego, a Aaron nie miał nic do roboty i musiał zmyślać, kiedy pan Dmitri zadzwonił spytać, jak idą sprawy.

Rosjanin nie dał się nabrać.

– Jeśli coś się wydarzy, proszę dzwonić – powiedział. – Maitland nie wygląda na zadowolonego.

Klik.

Aaron pojechał do Niemca, wziął opla, zadzwonił do Meny Ginzburg po raz trzeci – chciał, żeby dowiedziała się więcej o hospitalizacji Masona Booka. Wciąż nie odbierała.

Następny przystanek: ktoś, kto z pewnością będzie współpracował.

Ojciec i dziadek Manuela Lujona byli utalentowanymi ogrodnikami. Pracowali na niektórych z najwspanialszych posiadłości w San Marino. Trzej bracia Manuela podtrzymywali rodzinną tradycję. Przenieśli firmę Lujon Landscaping do Westside, gdzie zajmowali się ostentacyjnymi ogrodami w Holmby Hills i Beverly Park.

Manuel, inteligentny dwudziestopięciolatek, żywiący niechęć do nawozu, zrobił na uniwerku dyplom z pisania scenariuszy, który nie zaprowadził go nawet w poblizę branży. Na stałe pracował w antykwariacie na Pico przy Overland. Aaron dzwonił do niego, kiedy potrzebował

pewnego konkretnego kamuflażu.

Prosił Manuela, żeby po prostu był, nic nie robił – tak szczerzy chłopak nie nadawał się na aktora. W przeciwieństwie do Liany, która potrafiła oszukiwać jak zawodowiec.

Ona też nie odbierała telefonu, pewnie podczas drugiej wycieczki do Riptide niczego się nie dowiedziała.

To był dzień lekceważenia Aarona przez kobiety. Zawsze mógł zadzwonić do mamy.

Zaśmiał się na głos, ale śmiech zabrzmiał nieszczerze.

Jakbym był aktorem.

Następny wers, głosem Moego: A nie jesteś?

Kiedy Aaron przyjechał do księgarni Jeszcze Raz, Manuel sprzedawał stos podrapanych elmore'ów leonardów krępemu, brodatemu facetowi w hawajskiej koszuli, który przyniósł

własne foliowe okładki i powoli wszystkie zakładał. Potem Manuel obsłużył chłopaka. Przyjął

pomięte banknoty i garść monet za Roberta Crumba.

Innych klientów nie było; Aaron wyszedł spomiędzy krzywych sklejkowych półek. Manuel założył zakładkę własną lekturę. *Tęcza grawitacji* Pynchona.

– *Amigo!* – zawołał. – Co słyhać! Uciekando *por el* granica!

– Ile za pożyczanie ciężarówki od twoich braci?

– Raczysz żartować.

– Nie raczę.

– Skąd mam wiedzieć? I czuję się urażony. Zazwyczaj potrzebujesz moich zdolności aktorskich, a nie sprzętu.

Gdybyś tylko wiedział.

– Potrzebuję jednego i drugiego – oznajmił Aaron.

– Mnie w ciężarówce?

– Właśnie.

– Ach – powiedział Manuel. – Gdzie sadzimy azalie, senior? Pod *el* wierzba czyża...

– Możesz teraz do nich zadzwonić i spytać? Sporo zapłacę. – Aaron rozejrzał się po pustym antykwariacie. – Kiedy dasz radę się wyrwać z tego kotła biznesu?

– Dokąd?

– Do Hollywood Hills.

– I co mam tam robić?

– Pokręcić się i powygłądać na Meksykanina.

Manuel się zaśmiał.

– Stary, nawet nie próbujesz być politycznie poprawny.

– Reszta świata też nie – odparł Aaron. – Dlatego potrzebuje ciebie.

Dotknął swojej twarzy.

– Na wzgórzach są czarni, Aaron.

– Jak się tam za długo pokręczę, będzie jednego mniej.

– Tak samo ze mną – powiedział Manuel.

– Ciężarówka kupi ci czas. Załatw, żeby na pace było dużo gratów.

– Przerzucanie ziemi – zasugerował Manuel. – Kolejny niewidzialny człowiek. Dorzucić dla autentyzmu kilka worków nawozu? Z drugiej strony, komu to gówno potrzebne? – Kiedy obaj przestali się śmiać, spytał: – Jaka stawka?

– Zwykła.

– Trzydzieści pięć za godzinę.

– Zwykła stawka to dwadzieścia pięć.

– Powinna się zmienić, *amigo*.

– Trzydzieści – oznajmił Aaron i dotknął Pynchona. – Ale nie bierz tego.

– Nie lubisz literatury?

– Dzisiaj ty nie lubisz.

– Zwykły prosty *cholo* przerzucający piach za psie pieniądze.

Jedna z ciężarówek pracowała przy Hillcrest Drive w Beverly Hills i właśnie kończyła. Za dodatkowe sto dolarów najstarszy brat Manuela, Albert Lujon, kazał młodszemu dać kluczyki Manuelowi i wrócić do domu autobusem.

Wyraźna hierarchia rodzinna, pomyślał Aaron. Musi być fajnie...

Sprawdził telefon. Nic oprócz reklamówek tanich rozmów i dostępu do Internetu. Kiedy zakończy tę sprawę, musi znów zmienić numer.

Kiedy.

Jeśli kiedykolwiek.

O piętnastej Manuel w brudnym roboczym ubraniu i z ziemią za paznokciami stanął w idealnym punkcie obserwacyjnym, wcześniej wybranym przez Aarona: przy akurat pustym placu budowy pół przecznicy na północ od Swallowsong.

Budowano tu ostrokanciasty nowoczesny dom, od zakładania ogrodu inwestorów dzieliły jeszcze miesiące. Trawnik i podjazd zmieniły się w zarośniętą chwastami łąkę. Kiedy Manuel zaczął kosić, przechodząca obok kobieta mruknęła: „W końcu”.

Mówiła do powietrza, nie do człowieka pchającego kosiarkę.

Kiedy sobie poszła, Manuel zadzwonił do Aarona.

– Naprawdę powinienem dostawać trzydzieści pięć.

– Dlaczego?

– Bo mogę dostać uczulenia.

– Na trawę?

– Na bycie nikim.

Aaron jeździł po Hollywood Hills, mijał ciężarówkę Manuela raz za razem; podobał mu się podstęp, jaki wymyślił, ale wiedział, że akcje będzie musiał zakończyć o zachodzie słońca.

Manuel grabił skoszoną trawę w schludne kupki. Może faktycznie zasługiwał na trzydzieści pięć.

O czwartej po południu Aaron zrobił sobie przerwę na kawę i kanapkę w Mel's Diner na Sunset. Znalazł pusty boks w sąsiedztwie debilnych rockmanów, których dialogi składały się z beknięć i pochrząkiwań.

Nakręcony zupełnie bez powodu, zostawił większość jedzenia na stole. Właśnie wracał do opla, kiedy zapiszczała komórka. Moe.

– Cześć.

– Jakies nowości?

– Nie bardzo mam skąd je wziąć, Moses – odparł Aaron.

– Nie improwizujesz?

– Zaproponuj coś, braciszku.

Cisza.

– Jak się czegoś dowiesz, od razu daj znać – rzucił Moe i się rozłączył.

Czyli liczy na to, że się czegoś dowiem? Jeśli tak, to pierwszy komplement, jaki kiedykolwiek od brata usłyszał.

Wrócił na wzgórze, gotowy na kolejne okrążenie. Może tym razem zaryzykowałby i przejechał obok domu z fikuśną bramą.

Zanim dotarł na miejsce, zadzwonił Manuel.

– Mam coś interesującego. Jaguar XJ, długie podwozie, szary metalik, kobieta za kółkiem.

Wjechała w Swallowsong i coś mnie w niej zaintrygowało. Ruszyłem za nią i zgadnij, dokąd pojechała? Mam talent, zacznij myśleć o czterdziestu za godzinę...

– Opuściłeś posterunek?

– Chcesz narzekać, proszę bardzo, ale się opłacało. Poszedłem z grabiami na górę w samą porę. Zobaczyłem, jak wjeżdża w tę wariacką bramę. Spokojnie, nikt nie zadzwonił po La Migra.

Na pewno wjechała do środka i na pewno wyjechała. Po dwudziestu ośmiu minutach. Przyjemna dla oka.

– Blondynka? Brunetka?

– Siwa – powiedział Manuel. – Ale tak ładnie siwa. Chyba specjalnie zachowała ten kolor włosów. Kiedy wyjechała, wyglądała ponuro. Jakby to, co się działo przez te dwadzieścia osiem minut, nie było przyjemne.

– Zapisalesz numery?

– Dam ci dwa dolary zniżki, zgodzę się na trzydzieści osiem, jeśli dostanę parę brudnych szczegółów do scenariusza. To nad czym pracowałem, nie wypaliło. Za dużo Pynchona i DeLillo, za mało *Historii O*.

– Numery – warknął Aaron.

– Czyli umowa stoi? Świetnie. Masz długopis?

Aaron z komórki na kartę zadzwonił do swojego kontaktu w wydziale komunikacji.

Kasa nabiła, panie Dmitri.

Numery pasowały do rocznego jaguara zarejestrowanego na Arlene Friedę Solomon, lat czterdzieści jeden, ciemny blond, oczy zielone, metr pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt cztery kilo.

Adres na McCarty Drive w Beverly Hills.

Ładna okolica, tuż na południe od Wilshire, przyjemna, zadbana, piętrowe domy warte po trzy miliony z hakiem.

Arlene Solomon pozwoliła włosom posiwieć od czasu ostatniego odnowienia prawa jazdy dwa lata temu. Jej zdjęcie z wydziału komunikacji ukazywało szczupłą, wielkooką brunetkę.

Bardzo poważną – prawie smutną. Szarpanina z wydziałem komunikacji potrafiła człowiekowi zepsuć humor, ale kobieta wyglądała prawie jak w depresji.

Aaron zalogował się do Internetu przez BlackBerry. Arlene Frieda Solomon pojawiła się w bliskim wyniku.

„Psychiatra Arlene Solomon uznała wzrost zaburzeń jedzenia u coraz młodszych dzieci za dowód presji...”

„Doktor Arlene Solomon, psychiatra z Beverly Hills specjalizująca się w anoreksji i bulimii twierdzi...”

„Panel ekspertów w Oak Center w Beverly Hills, któremu przewodniczyła doktor Arlene Solomon, specjalistka od...”

Wylogował się, zadzwonił do Alexa Delaware’a.

– Słyszałem o niej – przyznał psycholog. – Ale osobiście nie znam.

– Co pan słyszał?

– Bystra, doświadczona, dużo wie. Prowadziła kiedyś klinikę zaburzeń odżywiania na uniwersytecie, może wciąż prowadzi.

– Do tego oddana pracy – powiedział Aaron. – Ładny gabinet na Bedford Drive, ale jeździ na wizyty domowe.

– Jej typ pacjentów czasami tego wymaga.

– A pacjenci tacy jak Mason Book dostają specjalne przywileje.

– Trudno stwierdzić, dopóki nie wiemy, jak traktuje pozostałych. Lekarze. Zawsze się nawzajem kryją.

– Coś jeszcze, doktorze?

Krótką pauzę.

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Cóż, przynajmniej teraz jest jasne, dlaczego Book był hospitalizowany – stwierdził Aaron.

– Prawdopodobnie.

– To znaczy?

– Zaburzenia odżywiania nie wykluczają mnóstwa innych problemów. Niewykluczone, że Book do szpitala trafił na przykład z depresją, stanami lękowymi albo nawet myślami samobójczymi.

– Pogłoski oparte na prawdzie... Zagłodzenie się na śmierć można chyba uznać za powolne

samobójstwo, prawda?

– Można – potwierdził Delaware. – A wy możecie trafić z powrotem tam, gdzie zaczęliście.

– To znaczy?

– Poczucie winy.

Kiedy Aaron zadzwonił do gabinetu doktor Solomon, usłyszał chłodny, męski głos operatora.

Nieprzyjazny odzwierny nie przeszkadzał w interesach. Psychiatra miała zajęte wszystkie terminy, nie przyjmowała nowych pacjentów.

Podając się za Clarence'a Howarda – jedna z jego fałszywych tożsamości – Aaron zadbał, żeby parę razy dramatycznie załamał mu się głos; przedstawił tragiczny przypadek nastoletniej córki, która wymknęła się spod kontroli i zmierza ku przedwczesnej zagładzie.

– To nie ode mnie zależy, proszę pana – odparł operator.

– Córka jest bardzo chora, a wszyscy mówią, że doktor Solomon to najlepszy specjalista.

– Przekażę pana wiadomość.

Klik.

Aaron opadł na oparcie fotela opła, popatrzył na niebo ciemniejące nad kanionami i szczytami, na fantazyjne dachy odległych posiadłości sterczące nad miastem bez zasad. Manuel właśnie odjechał firmową ciężarówką. Dom na Swallowsong odwiedziła tylko doktor Solomon.

Aaron zaparkował samochód na jednej z najwyższej położonych ulic w tej okolicy, przed kolejnym placem budowy. Połowa domów była tu w różnych stadiach wyburzania i przebudowy.

Kosztowna piaszczysta jama. Czy ktokolwiek w L.A. po prostu cieszył się tym, co miał?

Pragnąc ciszy, Aaron ustawił telefon na wibracje. Ledwie otworzył puszkę red bulla, kiedy komórka zaczęła skakać na fotelu pasażera.

Merry Ginzburg. Wreszcie.

– Kopę lat, panno G.

– Jeśli będziesz dalej tak do mnie wydzwaniać, skarbie, znów zacznę się czuć popularna.

– Pracowity dzień?

– Spotkania – odparła. – A potem spotkania na temat spotkań. Bezimienna lokalna stacja chciałaby, żebym opowiedziała o brudach branży w ich wieczornych wiadomościach. Nie jest to Carbon Beach

i bentleye, ale biedacy nie mogą grymasić. W każdym razie chyba się dowiedziałam, dlaczego wiesz, kto trafił wiesz gdzie.

– To bezpieczna linia – uspokoił ją Aaron.

– A więc dobrze: informator mojego informatora rozmawiał z innym informatorem, który miał informatora, więc to się może skończyć jak zabawa w głuchy telefon. W każdym razie całość sprowadza się do tego, że pan Book przestał jeść.

– Doprawdy?

– Anoreksja nie jest już problemem tylko dziewczyn, Denzel. Zwłaszcza w branży. Tu istnieje olbrzymia presja na posiadanie zapadniętych policzków. Ale kiedy kacheksji dostaje ktoś o statusie Booka, to już są duże brudy.

– Kaczego?

– Kacheksja, chorobliwe niedożywienie, skarbie. To termin medyczny. Kiedy usłyszałam o biednym Masonie, poświęciłam trochę czasu, żeby zapoznać się z tematem. Nie znalazłam w cyberprzestrzeni żadnego powiązania między nim a dietą bezkaloryczną, ale wzbogaciłam swoje słownictwo. Kacheksja. Ładne słówko, co? Ostre i kanciaste. W każdym razie biedny Mason trafił do Cedars na dożyłne sushi i wołowinę Kobe. To by tłumaczyło fakt, że nie dostawał

żadnych leków, prawda? Ludzie z kacheksją pewnie nie mogą przyjmować chemii. Zaczęłam dzwonić to tu, to tam. Wciąż próbuję ustalić, kto był jego lekarzem; jak się dowiem, postaram się wśliznąć...

– Nie – powiedział Aaron. – Proszę.

– Nie co?

– Nie grzeb w tym więcej, Mer.

Długa cisza.

– Panie Fox, panie Foxy-Fox. Dlaczego odnoszę wrażenie, że już to wszystko wiesz i tylko tak sobie pozwalasz mi trajkotać jak nafaszerowanej amfą gwiazdce, usiłującej dopchać się do czubków butów Spielberga?

– Nie wiedziałem – skłamał gładko. – To poważne informacje, za które jestem wdzięczny bardziej, niż sobie wyobrażasz. Dlatego właśnie musisz to zostawić.

– Niejedzenie Booka ma związek z morderstwem?

– Nie powiem nic więcej, Merry, nie wyciągaj, proszę, pochopnych wniosków.

– Bez dokładnych informacji, skarbie, kreatywny umysł Merry zawsze wyciąga najróżniejsze

wnioski.

– Rozumiem, ale teraz dalsze węszenie utrudniłoby śledztwo.

Merry ryknęła gardłowym rechotem, który zadzwonił Aaronowi w ucho i zmusił go do odsunięcia telefonu. Taki sam, niemal męski śmiech słyszał, kiedy ze sobą sypiali.

Postorgazmiczna radość, jakby właśnie pieprzył się z dokerem. Technicznie Merry była niezła, ale ten śmiech...

– Co cię tak bawi, Mer? – spytał Aaron.

– To, jak się nagle nadałeś, skarbie. „Utrudnić śledztwo”. Tekst prosto z kiepskiego serialu.

– Ale to prawda. Musisz być dyskretna.

– Planujemy rozwiązać tę tajemnicę przed szóstą przerwą na reklamy, Denz? Bo jak nie, nie wyobrażam sobie, żebym odpuściła tak smakowity kąsek. Sprzedałabym go tabloidom za o wiele większe pieniądze, niż zarobiłabym przez kilka miesięcy w tej gównianej lokalnej stacji...

– Odpuść sobie – powiedział Aaron. – W swoim czasie, dam ci coś o wiele większego.

Wystarczająco dużo brudu na cały program.

– Obiecanki cacanki.

– Czy kiedykolwiek cię zawiodłem, Mer?

– Oczywiście, skarbie.

– Kiedy?

– Jesteś mężczyzną – odparła. – Nie musisz nic robić, żeby mnie zawieść, wystarczy, że istniejesz. Ale dobrze, zachowam kłopoty Booka dla siebie. Choć nie na zawsze.

– Dzięki, Mer. Może kiedy ta sprawa się skończy, wyskoczylibyśmy na kolację. Nie w interesach, dla przyjemności.

Cisza.

– Najdroższy, jesteś totalnym draniem.

Aaron nie miał siły – ani argumentów – żeby się spierać.

Jest problem – poinformowała Petra. – Ten żółtodziób, którego dałam w zastępstwie, zamiast tylko obserwować Wohra, wczoraj wieczorem go przyskrzypił. Nie przytrzymał papierów wystarczająco długo, żeby facet został u nas na dołku. Wczesnym rankiem autobus zabrał go do hrabstwa.

– Zadzwoń tam – powiedział Moe.

– Już to zrobiłam. Nie mogą znaleźć łajzy.

– Przypadkiem go wypuścili?

– Wątpię – odparła. – Na pewno miałeś już do czynienia z ich systemem. A raczej jego brakiem. Za dużo ludzi, siedzą poupychani, szukają ich całymi dniami. Bardzo mi przykro.

Moe nigdy nie miał do czynienia z hrabstwem. Petra, choć niewiele starsza od niego, była weteranem.

– Damy sobie radę – powiedział. – Za co zgarnęliście gościa?

– Za korzystanie z usług prostytutki. Nieletniej, więc trafił do puszki jako pedofil. Nie dostał osobnej celi. Wiesz, co się może stać.

– O rany.

– Właśnie. Jeśli przez to posypie ci się śledztwo, będę się czuła podle. Niestety,

„przepraszam” nic nie naprawi.

– Przestań, zdarza się. – Prawdziwe myśli zachował dla siebie. Nie doszłoby do tego, gdyby sprawą zajmowało się West L.A. Ja i Sturgis.

Nie było logiki w tym szowinizmie. Pocięchy też nie.

– W obronie naszego żółtodzioba muszę powiedzieć, że bardziej doświadczony glina chyba też nie załatwiłby tego inaczej – dodała Petra.

– Okazało się, że prostytutka ma siedemnaście lat, ale na fotografii wygląda jak dwunastolatka.

– Udaje dziecko – powiedział Moe. – Gdzie to się stało?

– Niedaleko mieszkania Ramone’a, w zaułku przy Western, nieopodal baru z pieczonymi kurczakami, gdzie zbierają się różne zboki. Żółtodziób mówi, że Ramone cały wczorajszy dzień spędził poza domem. Wściekłość Eiger pewnie go przepłoszyła.

– Nie aż tak, żeby nie zapolował na młode ciało.

- Albo upokorzony chciał kogoś zdominować – zasugerowała Petra.
- Skręcili w zaułek. Kiedy żółtodziób tam doszedł, głowa dziwki była wiesz gdzie. Czyli jawny czyn, trudno to zignorować.
- Dziewczyna jest w areszcie?
- Nie, uciekła. Ale Ramone od razu ją sypnął. To jej stały klient. Delena Guzman, uliczna ksywa Pychotka. Z Salwadoru, ale jak dotąd żadnego związku z M13 czy innym gangiem. Mimo wszystko, ma już przechłapanie.
- Najpierw bratanica, teraz młodociana prostytutka. Delaware się nie mylił, to chronicznie zwyrodniały typ.
- Ściągnęliście Delaware'a?
- Tylko z nim rozmawialiśmy. Tyle psychologicznych niuansów, pomyślałem, czemu nie.
- To bystry gość – przyznała Petra. – Powiedział coś mądrego?
- Uważa, że Mason Book może być anorektykiem.
- Fakt, nasz gwiazdor wygląda jak szkielet... czyli co to znaczy?
- Tłumaczyłoby, dlaczego trafił do szpitala pod pozorem próby samobójczej.
- Tragiczna postać zamiast żałosnego chudzielca. Od razu się połapała, o co chodziło.
- Będę dalej męczyła hrabstwo, żeby znaleźli Ramone'a. Dzwoniłam już do kapitana więziennego szeryfa. Poprosiłam, żeby umieścili chłoptasia na oddziale pilnie strzeżonym albo dla psychicznie chorych. Spróbują, ale przez kiepski system komputerowy ledwie się orientują, kogo mają z tych groźniejszych.
- Jak się nazywa ten kapitan?
- Rojas. Jasne, ty też się podpisz pod petycją.
- Obywatelska inicjatywa na rzecz bezpieczeństwa Ramone'a W. – zadrwił Moe.
- Tylko tak długo, jak będzie nam potrzebny. Potem idzie na karmę dla rekinów.

Kapitan Rojas okazał się uprzejmy i pozornie skory do współpracy. Sprawiał wrażenie raczej polityka niż policjanta. Moe zastanawiał się, czy nie jest spławiany.

Odłożył słuchawkę, odciął się od gwaru sali detektywów, rozważył swoje możliwości.

Teraz nie było ich zbyt wiele.

Nie mógł się dostać do żadnej grubej ryby, a nawet Ray Woehr znalazł się poza zasięgiem.

Przypomniał sobie radę Delaware'a: „Znajdźcie słaby punkt i zaczniacie wbijać w niego klin”.

Ramone W. siedział za kratkami, ale kobieta, która dała mu publicznie po twarzy, była wolna.

Tym razem zaparkował niedaleko bloku przy Taft. Z powrotem w blezerze i spodniach khaki, białej koszuli i krawacie. Już nikogo nie udając, pomaszerował prosto do drzwi.

Otwarte, żadnych zabezpieczeń.

Śmierzący moczem korytarz, pomarszczona szara wykładzina, bure ściany pomazane graffiti, z niedopasowanymi drzwiami z czarnej sklejki – niektóre wisiały dobre kilka centymetrów nad podłogą, ślad po wyższej kiedyś posadzce. Brak żarówek w lampach. Chwiejna balustrada schodów – jakby miała się urwać od lekkiego szturchnięcia.

I cisza. Może wszyscy ci nocni ludzie odsypiali.

Białe, metalowe skrzynki na listy tuż za drzwiami wejściowymi wisiały krzywo. Były też powgniatane. Zdecydowanie ktoś tu miał problemy z kontrolą emocji.

Osiem mieszkań na każdym z dwóch pięter. Połowa skrzynek bez podpisów, pozostałe oznaczone najróżniejszymi metodami: długopisem, ołówkiem, taśmą samoprzylepną naklejanymi literkami.

„A. Eiger” namazano czymś, co wyglądało jak brązowy cień do powiek. Skrzynka numer 7.

Czyli to Alicia płaciła czynsz, nie Ramone W.

Sprzedaje swoje ciało w tanich motelach, musi za darmo obsługiwać recepcjonistę w zamian za zniżki, dostaje do zapłacenia rachunki. Tymczasem Ramone ugania się za dziewczynkami.

Może to ją tak rozwścieczyło.

Numer 7 był na samym końcu na parterze, na prawo od otwartych tylnych drzwi, które wychodziły na cuchnący zaułek zastawiony koszami na śmieci i zarośnięty chwastami.

Moe wyszedł na zewnątrz, rozejrzał się: nikogo. Wrócił, zastukał do drzwi Alicii Eiger.

Ciekawe, jak zareagowaliby mieszkańcy tej nory, gdyby na bełkotliwe: „Tak?”, odpowiedział: „Policja”.

Brak odzewu, bełkotliwego czy innego. Spróbował raz jeszcze. Przyłożył ucho do drzwi. Nic nie usłyszał. Potem cichy szum – urządzenie elektryczne?

Nagle łaskotanie w uchu sprawiło, że odskoczył z tym samym obrzydzeniem, z jakim wkładał używaną bluzę.

Tym razem robactwo było prawdziwe.

Małe czarne muchy krążyły w powietrzu i cienko brzęczały.

Mnóstwo much. Wylatywały przez szparę między drzwiami a wykładziną.

Takie same latały przy lśniących, szklanych drzwiach biur administracji koronera.

Cała brudna robota na Mission Road odbywała się po drugiej stronie czystego, ładnego placyku, ale muchy dostawały się wszędzie.

Jedna zbliżyła się nagle i bzyknęła tuż przy twarzy Moego. Machnął ręką, cofnął się. Wyjął pistolet.

Popatrzył na klamkę.

Milo Sturgis zawsze nosił w marynarce parę lateksowych rękawiczek. Moe kiedyś postanowił robić tak samo, ale na postanowieniu się skończyło.

W samochodzie też ich nie miał. Przecież pojechał tylko porozmawiać. Zakładał, że zastanie Alicie Eiger w domu. Chwycił klamkę przez krawędź blezera, nacisnął. Drzwi otworzyły się bez trudu. Jakby się go spodziewano. To dopiero powitanie.

Nie próbowano ukryć zwłok.

Wręcz przeciwnie: śmierć reklamowana.

Alicia Eiger leżała z rozrzuconymi rękami i nogami na podłodze brudnego aneksu kuchennego, twarzą w dół, w za dużej koszulce, kiedyś żółtej, teraz poplamionej czerwienią, podciągniętej powyżej pasa.

Charakterystyczna poza. Brak majtek. Brak wyraźnych plam nasienia. Ale dużo płynów fizjologicznych: z pęcherza i jelit kobiety wypływała istna struga.

Żyłki na łydkach. Odrobina błękitu na czerwieni.

Krzepka kiedyś kobieta zredukowana do krwawego worka mięsa.

Moe miał styczność ze śmiercią, ale na widok tych zwłok poczuł ostry skurcz żołądka.

Uspokoił się, wolno oddychając, rozejrzał. Uświadomił sobie, że zostawił szeroko otwarte drzwi na korytarz, cofnął się, okrył dłoń rękawem i je zamknął.

Tylko ja i ona.

Z bezpiecznej odległości ogarniał pomieszczenie oczami jak szerokokątnymi obiektywami.

Żadnych śladów włamania ani szkód w nędznym, prawie nieumeblowanym mieszkaniu.

Małym; łazienka z boku i pokój z aneksem kuchennym stanowiły całość uroczego domu Eiger i Raya Wohra.

Przyczyna śmierci była ewidentna. Nóż z drewnianą rączką tkwił wbity w lewą stronę pleców kobiety. Moe naliczył przez podartą koszulkę co najmniej dziesięć ran oprócz tej, ale krew mogła maskować kolejne.

Z oględzinami przodu trzeba poczekać na przyjazd ludzi koronera.

No tak, ale nie przyjadą, dopóki nie zostaną poinformowani.

Moe zadzwonił do Petry.

– Znalazłeś go? – spytała.

– Moja kolej na złe wieści – odparł.

– Co nagle to po diable – powiedziała śledczy koronera Maidie Johansen. – A ja jestem aniołem i stąkam bardzo ostrożnie.

– Och, daj spokój, Maidie – poprosiła Petra. – Spróbuj zgadnąć.

Johansen miała około sześćdziesiątki, była krępową kobietą z bladą cerą, kręconymi siwymi włosami i szeroko rozstawionymi piwnymi oczami. Nosiła okulary w drucianych oprawkach.

Kojarzyła się Moemu z nauczycielką z piątej klasy, której nazwiska nie mógł sobie przypomnieć.

Pamiętał tylko, że go nie lubiła. Mimo to zakuwał i dostawał piątki.

Odwrócono Alicie Eiger. Rogowe oprawki okularów pogięły się pod ciężarem ciała, ale oba szkła pozostały nietknięte. Na piersiach ani brzuchu nie było ran. Osobliwy widok w porównaniu z plecami, które przypominały rąbankę. Długi nóż przebił istotne dla życia narządy, ale nie przeszedł na wylot.

Piętnaście ran, według rachuby Maidie Johansen.

– Jedno, co mogę stwierdzić od razu, to że ktoś zadał ciosy ze sporą siłą. – Wskazała zgięty nóż, opisany i zapakowany.

Wyglądał na kuchenny, drewno zaszło nieprzyjemnym miedzianym odcieniem. Co ciekawe, Eiger miała zestaw tanich noży z białymi rączkami. Albo narzędzie zbrodni było jedynym bez kompletu, albo ktoś przyszedł przygotowany na rzeź.

Morderca, którego Alicia Eiger знаła i nie bała się do niego odwrócić plecami.

– Ktoś bardzo nie lubił tej biedaczki. – Maidie Johansen westchnęła.

– Przynajmniej nie trzeba przeszukiwać kieszeni.

– Czas zgonu? – spytała Petra.

– Nie mam pojęcia.

– Rany, Maidie, zajmiesz się tym wystarczająco długo, żeby móc wstępnie określić.

Johansen się wyprostowała.

– Dziecko, chcesz powiedzieć, że jestem staruchą?

– Nie, proszę tylko, żebyś podała jakąś informację, nieoficjalnie. Masz tam u siebie tyle trupów, że kto wie, kiedy zabierzesz się do autopsji Eiger.

– Lubię cię, detektyw Connor, ale nic z tego.

– Widziałem ją wczoraj po południu – wtrącił się Moe – więc to zawężyła margines czasowy.

– W takim razie oto moja opinia: nie wcześniej niż wczoraj po południu.

– Te muchy... – zaczęła Petra.

– Potrafią wywęszyć zwłoki w kilka sekund – powiedziała Johansen.

– To zamknięta przestrzeń, więc teoretycznie powinny dotrzeć tu później, ale obok są drzwi do zaułka pełnego śmieci, dziura nad progiem. W muszej społeczności wiadomość rozchodzi się błyskawicznie, a brzmi ona: „Lećmy szybko robić robaki”.

– Nie widzę na niej żadnych robaków.

– Potrzebują czasu, żeby się wykluć, Petro. Jajeczka mogą być w nozdrzach, uszach, odbycie, pochwie. Albo już tam w środku kłębią się larwy. W tym właśnie sęk: nie da się tego precyzyjnie ustalić. I nie pytaj mnie o *algor*, *rigor*, *livor* i tym podobne smakowitości. Doktor Srinivasan niedawno zrobił nam wykład i wiecie co? Wszystkie te wyliczenia oparte na stałej temperaturze trzydziści siedem stopni są niedokładne, bo normalna temperatura w rzeczywistości jest bliższa trzydziestu sześciu. Więc stare termometry generalnie mierzą niedokładnie. I nie mówcie mi tu, że stygnięcie dwa i siedem stopnia na godzinę jest stałe.

Doktor Srinivasan wykazał, że to nieprawda. W grę wchodzi wiele czynników. – Zaczęła odliczać na palcach. – Ilość tkanki tłuszczowej, temperatura pomieszczenia, wilgotność, zależna od pory roku zmienność temperatury-wilgotności, głębokość pobierania próbki z wątroby.

– Nie jest gruba – powiedział Moe. – Pogoda umiarkowana, nie wieją wiatry Santa Any, od tygodni nie padało. I założę się, że za każdym razem dźga pani wątrobę tak samo.

– Pochlebstwa są dla prostaczków. – Johannes skrzywiła się i przeciągnęła.

Moe skojarzyła się ze Sturgisem. Ta krępa, zgryźliwa kobieta mogłaby być jego damskim odpowiednikiem.

– Tyle w temacie mówienia w imieniu ofiary – mruknęła Petra.

– A teraz wzbudzacie we mnie poczucie winy.

– Wina to świetny motywator, Maidie.

Moe zastanowił się, czy Petra myśli o Masonie Booku. On myślał.

– Tak samo jak krycie swojego tyłka, Petro – odparła Johansen. Spojrzała na ciało. – Jeśli koniecznie potrzebujesz czegoś, żeby ruszyć z miejsca, stawiałabym na osiem godzin, plus minus. A tylko spróbuj się na to powołać, powiem, że mam alzheimera.

Idealnie przedział czasowy, kiedy Raymond Wohr był obserwowany. Cholera.

– Ile plus, ile minus? – spytała Petra.

Johansen pokręciła głową.

– Ta dzisiejsza młodzież. – Poprawiła okulary. – Możemy już zabrać ciało?

Żółtodziób nazywała się Jennifer Kennedy.

Petra nie wspomniała o płci. Bo niby dlaczego?

Kennedy urodą przypominała typową dziewczynę z farmy. Była rumiana, miała okrągłą twarz, całkiem ładną, niebieskie oczy i jasne włosy, krótko obcięte i nastroszone na czubku, prawie w irokeza. Trzy dziurki w jednym uchu, dwie w drugim. Moe nie zdziwiłby się, gdyby pod mundurem ukrywała tatuaże.

Siedziała na plastikowym krześle sali przesłuchań w Hollywood, bardzo się starała nie okazywać niepokoju.

Niestety, zdradzały ją te niebieskie oczy. Chociaż Petra i Moe rozmawiali z nią łagodnie.

Jak powiedziała Petra, zanim weszli: nie ma sensu jeszcze bardziej młodej stresować.

Młodej; Kennedy była starsza od Moego o cztery lata. Osiem lat pracowała jako sekretarka w firmie ubezpieczeń zdrowotnych, szesnaście miesięcy temu wstąpiła do akademii policyjnej.

Niezwykłe precyzyjnie zapisała przebieg obserwacji Raymonda Wohra, co do minuty.

Ray na pewno nie był w mieszkaniu od osiemnastej, kiedy Kennedy zaczęła go obserwować, do trzeciej nad ranem, kiedy został przyskrzyniony.

Jedyny przedział czasowy, kiedy mógł zadźgać Eiger, to dwie godziny między zmianami Moego i Kennedy.

Zdążyłby wrócić do mieszkania, zrobić Eiger awanturę o policzek, zemścić się, posprzątać i wyjść z powrotem na ulicę, żeby pić, wałęsać się i szukać nieletniej dziwki. Wyrzucić zakrwawione ubranie.

Ale w przeszłości nie stosował przemocy. I biernie znosił agresję Eiger. A to, w połączeniu ze wstępną oceną czasu śmierci, sprawiało, że Moe wątpił w winę Ramone'a W.

– Opowiedz nam, jak go złapałaś – powiedział.

– Spieprzyłam to? – spytała Kennedy.

– Wohr to zły człowiek, uprawiał seks z nieletnią zrobiłaś, co trzeba.

Jakby niepokieszona słowami Moego, Kennedy popatrzyła na Petrę.

– Nie miałaś wyjścia, Jennifer. Dobrze, że Wohr trafił do pudła. To umożliwi nam do niego dostęp.

Jak tylko go znajdziemy.

– W porządku – wymamrotała Kennedy. – To było tak, że go obserwowałam i nic się nie działo. Pił, łąził, wpadał do kolejnego baru, znów łąził.

– Dzwonił do kogoś? – spytał Moe.

– Może w jakimś lokalu, ale nie na ulicy. W końcu poszedł na Western, stało tam kilka dziewczyn przy barze z kurczakami. Choć z początku nie wiedziałam, czy to na pewno dziewczyny.

– Czasami to nie są dziewczyny – powiedziała Petra.

– Podeszedł do jednej z nich – ciągnęła Kennedy. – Najwyraźniej mieli już jakieś kontakty.

Czy jak to nazwać? Po prostu szybko się dogadali i schowali w zaułku. Kiedy tam zajrzałam, on stał oparty plecami o ścianę, a ona klęczała. Wyglądała na jedenaście lat; nie przypuszczałam, że...

– Była nieletnia, Jennifer.

Kennedy zmarszczyła brwi.

– Siedemnaście lat, osiem miesięcy. Kiedy przyłapałam Wohra, dał się zwinąć bez oporu.

Znalazłam przy nim trawkę. Nie zareagował. Dziewczyna uciekła, ale ja postanowiłam skupić się na nim. Wyglądała tak młodo. Chciałam tylko, żeby to się skończyło.

Wypuścili Kennedy, sami zostali w pokoju.

– Samotny funkcjonariusz po cywilnemu każe facetowi ustawić się do przeszukania, a on nie walczy – zauważył Moe.

– I to funkcjonariusz-kobieta – dodała Petra. Wyszczrzyła się szeroko. – Wolno mi to powiedzieć. Tak, jest cholernie bierny, ale nawet biernym facetom czasami strzelają korki.

– Nie widzę tego. – Moe pokręcił głową. – Alicie brutalnie zamordowano, ktoś zadał sobie trud, żeby ściągnąć z niej majtki i ułożyć ciało w znaczącej pozie. Może żeby nas zmylić.

– W takim razie pytanie: czy do kogoś dzwonił? Myślisz, że nasłał na Eiger ostrego zabójcę bez skrupułów?

– Na pewno się dowiem, jeśli ma telefon. Jeśli nie, zobaczymy, czy są automaty telefoniczne w barach, które odwiedził.

Petra kiwnęła głową.

– Bierność Wohra ma jedną zaletę: jak posadzimy faceta w sali przesłuchań, może zdołamy go obrobić.

– Czekam z niecierpliwością. – Podziękował jej, wyszedł z Hollywood Station, pojechał do West

L.A.

Skonstatował: rozwija mi się instynkt.

Dwie godziny później wciąż siedział za biurkiem, po raz tysięczny przeglądając akta Caitlin Frostig. Raymond Wohr nie miał komórki w żadnej sieci. Prześledzenie rozmów z płatnych telefonów w barach zajmie wiele godzin, ale Moe nie miał wyjścia.

Petra wciąż mocowała się z biurokracją aresztu hrabstwa; nikt w więziennym megalicie nie miał pojęcia, gdzie jest Ramone W. Równie dobrze mógł już zapłacić za metkę zboczeńca; pocięty, pokłuty, wepchnięty za jakiś więzienny kocioł.

Moe zastanawiał się, czy motywem była zemsta, czy chęć uciszenia Eiger w jakiejś ważnej sprawie.

Na przykład dwóch morderstw.

I zniknięcia dziecka.

W trakcie awantury na ulicy wydawało się, że Eiger próbowała Ramone'a do czegoś zmusić.

Namówić go, żeby coś zrobił. Poddała się i nazwała go głupkiem, potem walnęła przez łeb.

Wiedziała, że Ramone posiada gorące informacje, ale nie chciał tej wiedzy wykorzystać?

Na przykład ojcostwo małego Gabriela? Coś, o czym Caitlin mogła się dowiedzieć od Adelli, bo zajmowała się jej dzieckiem?

Ojcostwo bogatego faceta, takiego jak Mason Book?

Jeśli Ramone W. wiedział to lub chociaż podejrzewał, na pewno z tego nie skorzystał.

Mieszkał w norze, stręczył Eiger Siekierze Dementowi i recepcjoniście w motelu.

Zbyt bierny, żeby wykorzystywać? Ale Eiger to co innego. Męczy go, on ją spławia, bo jest za głupi, albo za bardzo się boi, żeby wymyślić plan?

Eiger ma dość bycia towarem, traci cierpliwość, atakuje Ramone'a na ulicy, daje mu po twarzy.

A teraz nie żyje.

Jeśli był tu jakiś związek, Moe uznał, że możliwości są dwie.

A: Ramone w końcu się poddaje, dzwoni z szantażem, partaczy sprawę i zmienia Eiger w ofiarę. Sam ledwie unika śmierci. Pozostaje w niebezpieczeństwie.

B: Wściekły na Eiger za to, że go upokorzyła, Ramone wykonuje telefon, po którym kobieta staje się zagrożeniem. Zmienia ją w ofiarę. Sam wciąż jest w niebezpieczeństwie.

No tak, i możliwość C: Żadne z powyższych.

Moe zacisnął pięści. Bolała go szczęka. Zgrzytał zębami, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Cholerny areszt... gnida musiała się w końcu znaleźć. Moe był pewien, że potrafi otworzyć tego durnia jak orzeszek. Kiedy, nie jeśli. Musiał w coś wierzyć.

Siedząc w ciemności nad Swallowsong Lane, Aaron podsumował listę wydatków.

Znał ją na pamięć, ale nie miał nic innego do roboty – zjadł już kanapkę i dwa razy poszedł się wysikać w krzaki.

Ciemna strona zawodu prywatnego detektywa. Ludzie tacy jak pan Dmitri w ogóle o tym nie myśleli.

Aaron rozweselał się, myśląc o ostatecznym rachunku, jaki przedstawi Rosjaninowi. Może w ogóle ostatnim, jaki mu przedstawi, jeśli niczym się nie wykaże.

Liana wciąż nie dzwoniła. Gdzie ona się podziewa, do diabła?

Możliwość, że znalazła się w niebezpieczeństwie, nie dawała Aaronowi spokoju, z osobistego i zawodowego punktu widzenia. Nigdy nie miał lepszego agenta niż Liana, a jakaś jego część – której nawet nie potrafił nazwać – bardzo się o nią troszczyła.

Nic nie mógł zrobić, więc wepchnął swoje zmartwienia do szufladek z tyłu głowy.

Najważniejsze to mieć wszystko poukładane.

Gdzie jesteś, Lee? Po raz kolejny zapewnił sam siebie, że to bystra kobieta. Wyraźnie ją ostrzegął. Kazał jej zachować ostrożność.

Minęła pierwsza w nocy. Przez ostatnie pięć godzin na Swallowsong wjechało sześć samochodów. Trzy przywiozły do domu sąsiadów; jeden z nich, stary mercedes diesel sedan, pojawił się z powrotem pół godziny później, ze starszym mężczyzną za kierownicą i kobietą ze zbliżonego rocznika trajkoczącą na fotelu pasażera.

Smoking, suknia, jakieś przyjęcie, wszyscy w dobrych nastrojach.

Pewnie jedna z tych idealnych par, razem od czterdziestu lat.

Musi być fajnie...

O dwudziestej drugiej trzynastej Rory Stoltz przywiózł Masona Booka do domu swoim hyundaiem, został z aktorem ledwie dwanaście minut i pędem zjechał ze wzgórza.

Prawdopodobnie nie miał nic do załatwienia, bo już się nie pojawił.

Tuż po dwudziestej trzeciej Siekiera Dement, sam w pickupie, jak zwykle przejechał znak stopu i pomknął w górę wzgórze. On też nie zabawił długo – dwadzieścia cztery minuty. Akurat tyle, żeby zapalić, wciągnąć nosem albo wypić i porozkoszować się hajem.

Aaron przelotnie zauważył płaską, brodatą twarz Dementa Juniora, kiedy pickup pędem mijał opła. Siekiera nie wyglądał na zamroczonego, wręcz przeciwnie. Był skupiony.

Pierwsza piętnaście.

Przekonany, że Mason Book nie przyjmie już więcej gości, Aaron wysiadł z samochodu i cicho ruszył w górę Swallowsong.

Swobodny krok nie zdradzał napięcia opanowującego wszystkie komórki ciała. Aaron uświadomił sobie, że serce tłucze mu się w piersi. Zwolnił, żeby uspokoić je głębokimi oddechami.

Później, wspominając te chwile, dziwił się własnej śmiałości. Albo głupocie, zależy, jak na to spojrzeć.

Teraz stał pod barokową bramą domu Masona Booka, wynajętego od Lemuela Dementa i patrzył, ile uchwytów i oparcie dla stóp zapewnia kuty żelazny wzór. Topografia posiadłości była wyjątkowo nieprzystępna – podjazd zakręcał, a włoskie cyprysy zasłaniały widok.

– Do diabła z tym wszystkim – szepnął na głos.

Czuł, że jego usta się poruszają, ale słowa wchłonął daleki szum ruchu na Strip. Liście szeleściły na ciepłym, słodkim wietrze z Hollywood Hills.

Sprawdził, czy jego glock jest mocno zapięty w nylonowej kaburze. Przeciągnął maszynką do zbierania kłaczek po czarnej, nylonowej kurtce, żeby usunąć włosy. Założył rękawiczki, rozejrzał się. Wziął głęboki wdech, chwycił się dłońmi górnego lewego fragmentu bramy, wepchnął czubek buta w wygodne kółko żelaznego zawijasa.

Wypuścił powietrze i podciągnął się w górę.

Kiedy stanął na prywatnym terenie Lema Dementa – czarnoskóry mężczyzna w ciemnym ubraniu i rękawiczkach, z bronią przy pasku – w głowie pojawił mu się ciąg „a co jeśli”.

Mógł tu się natknąć na wykrywacze ruchu. Albo psa.

Stado psów.

Może nawet ochroniarza, prywatnego policjanta. Albo dwóch. Chociaż przez cały czas, kiedy obserwował dom, nie zauważył żadnego goryla.

Chyba że liczyć Siekierę Dementa.

Inni pracownicy też mogli być problemem. Pokojówki, lokaje, posługacze, wszystko jedno.

To, że nikogo takiego nie zauważył, niewiele znaczyło.

Nie było powodów, żeby opuszczać małe prywatne miasteczko. Wystarczyło, że chłopiec na posyłki, Stoltz, miał kontakt ze światem zewnętrznym.

Czarny w Hills.

Aaron myślał o tym przed przeskoczeniem bramy. Przeanalizował w głowie każdy szczegół milion razy.

Postanowił zlekceważyć ryzyko, bo dwie dziewczyny nie żyły, i prawdopodobnie dziecko, a on miał dość bycia ograniczonym przez zasady, przepisy i inne pierdoły. Przez lepki głos w jego głowie, który podawał się za zwykły rozsądek.

Aaron był niezwykłym człowiekiem, a nie cholernym sługą publicznym.

Myślenie zbiorowe; karmił się tą cienką zupką przez dziesięć lat, wypluł ją i zamienił na pożywny wywar, doprawiony osobistą inicjatywą i wolną przedsiębiorczością.

Niech Moe i tacy jak on szarpią się z nakazami, listami gończymi, rozkazami ze śródmieścia, kryciem własnego tyłka i biernością. Przeszkoda za przeszkodą, stawiana przez bezmózgi system.

Brat nie odzywał się od czasu spotkania z Delaware'em.

Kolejna osoba nieodbierająca telefonów.

Zaczynamy: nieustraszony masajski wojownik staje przed otchłanią.

Uśmiechnął się na to pochlebstwo. Ale tkwiła w tym częśćka prawdy. Dwie dziewczyny nie żyły. I niemowlę, na Boga. A on nic nie wskórał, na dodatek pan Dmitri żądał wyników. Zasady i przepisy

nie mogły się tu sprawdzić.

Porzucił cholerny system, bo miał dość życia w zagrodzie jak pieprzony kucyk.

Dzielny czarny ogier wybija się ponad końskie pospólstwo. Parska i wierzga, pędząc ku wolności.

Tymczasem psa nie było.

Niezbyt mądrze, detektywie Fox.

Lepiej być żywym durniem niż martwym trybikiem. Życie, które sobie urządził, polegało na trudnych wyborach i znoszeniu ich konsekwencji.

Słodkich konsekwencji – trzysta tysięcy rocznie, porsche, prywatny magazyn odzieży, kobiety. Zasłużył na urlop. Wyjedzie, kiedy ta sprawa się zakończy.

Kiedy, nie jeśli. Czarny w Hills. Może kilka chwil dzieliło go od największej katastrofy życia.

Trwał nieruchomo długi czas, po prawej stronie zakręcającego podjazdu, ukryty w cieniu wyniosłych cyprysów. Dał krok do przodu, znów zaczekał.

Nie galopowało na niego stado rottweilerów, nigdzie nie wyczył ukrytych czujników. Łatwo było te małe draństwo schować, sam sporo ich zainstalował.

Po kolejnych dwudziestu krokach wciąż nie widział domu, tylko szorstki, kręty beton pod stopami. Tak samo po pięćdziesięciu. Po stu. Drzewa tworzyły nieprzeniknioną czarnozieloną ścianę. Posesja była olbrzymia.

Wciąż nie słyszał psiego warczenia. Żadnych alarmów, ostrzeżeń, nagranych ani na żywo.

Żadnych cichych kroków ochrony.

Szedł dalej, z ręką na glocku. Ile ten cholerny podjazd ma długości, kilometr?

Sądząc po włoskich cyprysach, spodziewał się zobaczyć tokańską willę, może wyburzoną i odbudowaną za ośmiocyfrową sumę. Lem Dement sypał forszą po swoim biblijnym horrorze.

A może przed Aaronem znajdowała się stara, oryginalna włoska posiadłość, którymi obsypane były wzgórza Hollywood w Złotej Erze.

Spodobał mu się ten pomysł, skupił się na zadaniu do wykonania, ale pozwolił sobie udekorować mały kącik umysłu fantazjami.

Chromowane potwory o długich pyskach – duesenbergi, packardy i rollsy phantomy – sunące tym właśnie podjazdem w ciepłą noc jak dzisiejsza. Szoferzy w liberii, roześmiani pasażerowie.

Wysokie wazony, wiaderka z szampanem w bagażniku – luksus.

Lśniące karoce podjeżdżają bezgłośnie i wypuszczają sobowtóry Harlow, Gable'a, Coopera i Hedy Lamarr w portyk pięćdziesięciopokojowej posiadłości, przypominającej tort weselny. Cały gmach żywy od złotych świateł i dowcipnych pogawędek.

Szczupli, modnie i ekskluzywnie ubrani ludzie rozmawiają z tym urywanym, eleganckim, prawie angielskim akcentem, w wymanikiurowanych dłoniach unosząc szklanki z drinkami.

Życie pełne przyjęć – w sali balowej fortepian – sam Gershwin uderza w klawisze.

Bilard, brandy, cygara dla panów.

Świergot chichotów i kolorowe drinki dla pań.

Wszyscy uwielbiają swoje życie... idąc przed siebie, wciąż wypatrując zagrożenia, Aaron wyobraził sobie wnętrze posiadłości. Wysokie, łukowate okna, oszałamiające widoki. Rozłożone leniwie miasto, wypoczywająca kobieta.

I kontrast – Mason Book z Siekierą Dementem w pickupach, kupowanie seksu w motelu Eagle. Palenie i wciąganie heroiny w parku stanowym.

Wina i pokuta. Ta wariatka...

Aaron przystanął, posłuchał. Tylko szum ruchu ulicznego, teraz trochę głośniejszy.

Dziś nie odbywało się żadne przyjęcie.

Nie takie, które komukolwiek by się podobało.

Jeszcze czterdzieści metrów i w końcu wyszedł na prostą. Rząd cyprysów się skończył.

Aaron stanął przed szerokim, pozbawionym ozdób okrągłym placem z betonu.

Żadnych samochodów w zasięgu wzroku.

Nic choćby odlegle kojarzącego się z Toskanią.

Albo ze Złotym Wiekiem.

Dom był parterowy, bezkształtny, długi, niski nóż z żelaznych dźwigarów i szkła.

Szkło na szkłe, żadnych widocznych spojeń. Klinowaty jak statek kosmiczny, przycupnięty na skraju urwiska ze spiczastym dziobem.

Gotów do startu.

Pod topornymi stalowymi przyporami, mocującymi budowlę do klifu, kilometry świateł.

Nieważki lot ku zapomnieniu. Od samego patrzenia na to Aaronowi zakręciło się w głowie.

Odwrócił wzrok.

Wokół domu ani śladu zieleni. Rozmyślnie zimna budowla.

Nie miałby się gdzie schować, kiedy już minąłby plac.

Tyle szkła. Zapalone światła we wszystkich przezroczystych pokojach.

Białe, przestronne pomieszczenia, niskie, czarne skórzane meble – takie, jakie Aaronowi się podobały.

Lodowaty wystrój; może pora pomyśleć o zmianie wystroju biura.

Pusto.

A potem już nie.

Mason Book, w za dużym czarnym szlafroku, z wynędzniałą twarzą i potarganymi żółtymi włosami wyłonił się zza białej ściany i poszedł – a raczej pokuśtykał – w stronę frontu domu, prosto w klin unoszący się nad pustką.

Stanął tam, wpatrzony przed siebie.

Pod osłoną ciemności Aaron podbiegł do przodu, zatrzymał się trzy metry od domu, z bocznym widokiem na czubek noża.

Zajrzał pod budynek. Podwórze za nim było akurat wystarczającej wielkości, by pomieścić błękitny basen.

Wciąż żadnych psów ani alarmów, a zapalone w środku światła ukazywały Masona Booka w pełnej okazałości – jak w artystycznym performansie.

Book nie miał pojęcia, że ktoś może go obserwować. Niech żyje fałszywa pewność siebie.

Zbyt długie buforowanie od rzeczywistości.

Zachwiał się, ledwie złapał równowagę. Szlafrok się rozchylił.

Nędzne, chude ciało. Usiadł, co wyraźnie sprawiło mu ból. Nadal wpatrywał się w coś, co z jego miejsca musiało być czarną pustką.

Jak dzieciak gotowy do skoku.

Aaron przysunął się bliżej.

Smutny dzieciak, zapłakany.

Moe jechał do domu. Rozmawiał z Liz przez komórkę, kiedy zapiszczał sygnał drugiego połączenia.

– Możesz chwilkę poczekać, skarbie? – spytał.

Liz się zaśmiała.

– Coś mi mówi, że jednak nie wpadniesz. Jeśli to jakiś trop, oby Bóg cię wysłuchał.

– E tam, to pewnie jakaś głupota – mruknął.

Okazało się, że nie.

Raymond „Ramone W.” Wohr siedział w żółtej piżamie oddziału psychiatrycznego w jednej z sal terapeutycznych używanych przez więziennych psychologów.

Trochę ładniejszej niż sale przesłuchań hrabstwa, ale niewiele.

Moe i Petra dali Wohrowi wyściełane krzesło, które wstawili do kąta, przysunęli sobie po plastikowym stołku i osaczyli swoją ofiarę.

Wohr był typem długonogim, który kurczy się na siedząco. Na łysinie dostał wysypki, kosmyki z boków głowy zwisały mu jak zwiędłe, tłuste strąki. Po niecałym dniu pobytu w areszcie jego cera nabrała więziennego odcienia. Moe zastanawiał się, czy to przypadkiem nie skutek strachu, a nie braku słońca.

A może światło jarzeniówek nie było łaskawe dla pomarszczonej, czerwonoookiej, szczerbatej, narkomańskiej twarzy Ramone’a. Obwisłe, nierówne wąsiska miał raczej siwe niż brązowe. Ręce mu się trzęsły. Na szyję spod kołnierza wypęłzał sinoniebieski tatuaż –

prymitywna opaska z kółek, kwadratów i iksów. Jak krzywo zawiązany krawat.

Było tuż po pierwszej w nocy; dziesiąty telefon Petry tego wieczoru w końcu zirytował ludzi szeryfa do tego stopnia, że porządnie przegrzebali papiery.

Ramone został zamknięty prawie dwadzieścia cztery godziny temu, wepchnięty między zwykłych aresztantów. Wiadomości o jego wpadce za pedofilię przybyły przed nim i choć trafił

do spokojnej celi, jawne groźby napakowanych Latynosów z sąsiedztwa sprawiły, że Wohr skamlał, jęczał i klął. W końcu zwrócił na siebie uwagę strażnika, który bardzo nie chciał mieć na głowie kolejnego skopanego na śmierć więźnia.

Wynikł problem, gdzie Wohra umieścić. Oddziały psychiatryczny i specjalny były przepełnione, a natura zarzutów nie pozwalała przyznać mu statusu „zaufanego”. W końcu wysłano Raya do kwatery tymczasowej: małej czytelnicy w najdalszym kącie więziennej biblioteki, gdzie rzucono mu koc i

kazano iść spać.

W czytelnicy nie stał ani jeden mebel, bo istniała obawa, że zostanie wykorzystany jako broń.

Strażnicy na obchodzie co kilka godzin budzili Wohra, świecąc na niego latarkami i szturchając go nogą. Była to generalnie izolotka i kiedy pobudzony gwałcieł z bipolarą dostał wylewu i zwolnił łóżko na oddziale psychiatrycznym, Woher już zmienił się w pustokkie widmo.

Przenosiny odbyły się dwanaście godzin temu, ale papiery wciąż nie dotarły.

– W każdym razie mamy łajzę – poinformowała Petra. – Tymczasem ludzie z obyczajówki szukają Psychotki. Gdzie jesteś?

– Właśnie zawracam na autostradę. – Po wielogodzinnym sprawdzaniu automatów telefonicznych w barach Moe rozpaczliwie potrzebował snu. – Spotkamy się za dwadzieścia minut.

– Dobra, przed wejściem. – Pauza. – To twoja działka, ja tam będę tylko na wszelki wypadek.

Moe nie potrafił stwierdzić, czy powiedziała to z uprzejmości czy z ulgą.

– Ciągłe nie rozumiem, za co mnie zwinęliście – jęknął Raymond Woher, nie przekonując nawet siebie.

– Nikt ci nie przedstawił zarzutów? – spytał Moe.

– No tak, ale...

– Molestowałeś nieletnią.

Nie odpowiedział.

– Pedofilia to poważna sprawa, Ramone.

Woher podrapał się w powiekę.

– Ułatwiłeś nam robotę – ciągnął Moe. – Odstawiłeś dla funkcjonariusz Kennedy niezły show.

– No kurde. – Jakby to on był tu poszkodowany.

– No co kurde?

– Mówiła, że ma dwadzieścia lat.

– Kto?

– Pycho... jak ona się tam nazywa.

– Szkoda, że wygląda na dziesięć.

– Nie dla mnie – prychnął Woehr. – To zależy... jak się widzi różne rzeczy.

– Nosisz okulary, Ramone?

– Co?

Moe powtórzył pytanie.

– Nie.

– Dla ciebie wyglądała na dwadzieścia lat. Dla wszystkich innych na dziesięć. Jest nieletnia i złapano cię z fiutem w jej ustach.

Drapiąca ręka Wohra zsunęła się na zgięcie łokcia. Stare zrosty, ale żadnych nowych nakłuć.

Oprócz torebki trawy w kieszeni jego dzinsów znaleziono granulki kokainy. Oraz komórkę na kartę, którą Petra wysłała już do analizy.

Moe się uśmiechnął. Woehr siedział jak kołek. Ani śladu emocji, do tej pory nie pomyślał o zażądaniu prawnika. To był problem z takimi durniami: za mało się bali.

– Pychotka nam mówi, że znacie się od dawna – skłamał Moe. – Od bardzo, bardzo dawna, i że cholernie dobrze wiesz, ile ma lat.

Spodobało mu się, jak ten podstęp zabrzmiał. Instynkt.

– No kurde... proszę pana – wymamrotał Woehr. – Nie chciałem robić nic głupiego, tylko się trochę wyluzować.

– Jedna z podstawowych ludzkich potrzeb.

– Właśnie.

– My to rozumiemy, Ramone. Niestety, system nie. Sądy są surowe dla molestujących. Dla jasności, mówię tu o naprawdę długiej odsiadce.

– Nikogo nie molestowałem. Wzięła pieniądze.

– Czyli normalna transakcja handlowa.

– No.

– Z iloma wyglądającymi na dwudziestki robisz takie transakcje?

Cisza.

– Może nie ze wszystkimi zapędzasz się aż tak daleko – ciągnął Moe. – Czasami wystarczy ci na nie popatrzeć, co?

Jedna z ciężkich powiek Wohra drgnęła. Przestał się drapać, położył ręce na kolanach.

– Nie ma jak dobre maniery, Ramone. Zaglądasz tylko przez okna, zajmujesz się sobą, nikomu nie dzieje się krzywda.

Milczenie.

– Poza tym podglądanie jest za darmo. To dlaczego tym razem zapłaciłeś?

Zamknął oczy i się zgarbił.

– Miałeś zły dzień, Ramone?

– Nie.

– Chcesz coś do picia?

– Nie.

– Na pewno? Wargi ci chyba zaschły.

– Cołę? – Jakby puszka napoju była niedościgłym marzeniem. Petra wstała, zanim Moe zdążył ją poprosić.

Pod jej nieobecność notował rzeczy bez znaczenia. Ramone zamknął oczy i udawał, że śpi.

Jednak jego gałki pod powiekami skakały na wszystkie strony.

Jak muchy na ciele Alicii Eiger.

Petra wróciła z wysokim, tekturowym kubkiem brązowego płynu. Wohr wypił wszystko jednym haustem, przycisnął dłoń pod żebra. Beknął i uśmiechnął się do funkcjonariuszki.

– Przepraszam.

– Co tam, na zdrowie. Ciesz się, póki możesz – powiedziała z naciskiem na ostatnie słowo.

Moe domyślił się, że to miała być zachęta.

– Ciesz się, czym możesz – poprawił. – Idziesz za kratki na bardzo długo.

– No kurde... nie zrobiłem nic złego.

Moe wzruszył ramionami, nagryzmolił coś jeszcze.

– Co mogę powiedzieć, Ramone?

Petra odebrała sygnał i zaczęła się bawić komórką. Przebywanie z dwójką znudzonych detektywów

wyraźnie niepokoiło Raymonda Wohra.

– Czyli co? Jeśli puszczę parę z ust, to mi jakoś pomoże, tak?

– Nie przypominam sobie, żebyśmy coś takiego mówili, Ramone.

– Jesteście tutaj.

– Wypełniamy tylko papiery, kolego. – Moe dalej pisał.

– Proszę pana.

– Aha.

– A gdybym coś wam dał?

Serce Moemu zabiło mocniej. Spojrzał znad notatek.

– Na przykład co?

– Nazwiska, miejsca. Grube sprawy w całym Hollywood. Mam dobrą pamięć.

– Handel narkotykami?

– Rany, czego ja nie widziałem. Wiem kto. Wiem co. Zakończylibyście połowę spraw.

Moe spojrział na Petrę.

– Co za hojność.

– Prawda? – odparła.

– Dajcie mi długopis i papier – poprosił Wohr. – Dużo macie czasu? Bo napiszę wam całą książkę.

– Zapowiada się na bestseller – stwierdził Moe.

– Nie śmieliśmy nawet o tym marzyć – dodała Petra. Oboje kpiącym tonem.

Wohr to wyczuł.

– Coś nie tak?

– Problem w tym, że my nie jesteśmy glinami od narkotyków – wyjaśnił Moe.

– Ee, nie ma mowy, nic o seksie. To nie moja działka – skłamał gładko Wohr.

– Nie chcesz wsypać innych pedofilów?

– Nie jestem... Jak powiedziałem wcześniej, to ludzka potrzeba, zajmuję się swoimi sprawami.

– Generalnie ograniczasz się do podglądania, co?

Ray pokręcił głową.

– Tego też nie mówię. Po prostu nic nie wiem o takich rzeczach.

– Czyli, według ciebie, nikt tu w ogóle nie jest poszkodowany, transakcja biznesowa. Kogo obchodzi, jak ktoś spuszcza parę. – Moe plasnął się w czoło. – A tak, to obchodzi sędziów i przysięgłych. Ale wiesz co? Mnie nie. I detektyw Connor też nie.

Moe nachylił się do Wohra, z trudem opanowując chęć zatkania nosa, kiedy dotarła do niego fala odoru. Smród więzienia, strachu i braku higieny.

– Nie jesteśmy też gliniarzami od seksu, Ramone. Oczy Wohra uciekły daleko w lewo.

– To kim jesteście?

– Glinami od morderstw.

Wohr poderwał głowę w górę i w tył, usiłując odsunąć się od Moe'go jak najdalej. Niestety, daleko nie mógł uciec. Krzesło ustawili mu w kacie.

– No kurde.

– Ciągle to powtarzasz, Ramone. Jak modlitwę, żeby odkupić swoje grzechy.

Wohr opuścił głowę na kolana, splótł dłonie na karku.

– Nie, nie, to naprawdę nie ja.

Moe czekał.

Wohr podniósł wzrok.

– Słyszała to pani, detektyw Connor?

Petra schowała komórkę do torebki.

– Ee, przepraszam, co takiego?

– Pan Wohr mówi, że jeśli chodzi o morderstwa, to naprawdę nie on.

– Nie, kurde... proszę pana... pani. Jak ktoś wam tak powiedział, to kłamał.

– Kto miałby tak powiedzieć?

Taniec oczu.

– Nikt.

– Dlaczego ktoś miałby to mówić, Ramone?

– Bez powodu... nie mówiliby.

– Oni, czyli...?

– Nikt. – Woher skrzyżował chude ramiona na piersi.

Moe odwrócił się do Petry.

– Pamiętasz, co nam gadali o facetach, którzy lubią małe dziewczynki? Takim chodzi o władzę i kontrolę. Zupełnie jak w przypadku morderstw. Zwłaszcza na tle seksualnym. – Znów do Wohra: – Nie ma większej jazdy na władzę, niż panować nad sytuacją kiedy gasną światła.

Ręce Ramone'a wystrzeliły do przodu, wnętrzem dłoni na zewnątrz.

– Nic z tego. Nie, nie, nie.

Moe westchnął.

Porozumiewawczy uśmiech Petry był doskonały: wierzysz temu gościowi?

Ramone W. podrapał się w głowę, potem w rękę, zakołysał się na krześle.

– No kurde. Dajcie mi papier i długopis, napiszę wam książkę o dragach, przehandlujecie ją kumplom od narkotyków. Wy im coś dacie, oni wam coś dadzą wszyscy będą zadowoleni.

– Masz interesujący pogląd na pracę policji – zauważyła Petra.

– No przecież... wszystko jest na sprzedaż.

– W sumie prawda – przyznał Moe. – Ludzkie życie też. Kiedy Woher nie odpowiedział, Moe ciągnął:

– Wszystko ma swoją cenę. Wszystko i każdy. Niektóre życia są drogie, inne tanie. Tanie życia łatwo się sprzedaje, żeby drogie mogły trwać. Doświadczony osobnik taki jak ty potrafi je rozróżnić.

– No kurde, nie wiem o tym nic, a jak chcecie, to tutaj jest kupa gości, którzy wam opowiedzą ciekawe rzeczy. Wystarczy iść do ludzi i poprosić: „Opowiedzcie mi o tym”. Nie ja, nie ma mowy, nie.

Długa przemowa. Woher się zadyszał i odchylił w tył, łapiąc oddech.

– Drogie życia, tanie życia – podjął Moe. Pauza. – Życie Adelli Villareal nie było chyba zbyt wiele warte.

Wohr siedział nieruchomo, nawet nie mrugał. Nie uprawiał tego aerobiku oczami, którego Moe się spodziewał. Czyżbym aż tak się pomylił?

– Nic ci to nazwisko nie mówi, Ramone?

Facet westchnął, przeciągle, ochryple. Teraz jego oczy zaczęły skakać jak szałwiarz wędki.

Drapał się tak mocno, że na rękach zostawały czerwone ślady. Siłą woli uspokoił wzrok, ale teraz wystraszone spojrzenie zdradzało go jeszcze bardziej.

Tak!

– Adella i Gabriel – podpowiedział Moe. – Dziecko. W twoim świecie małe życie jest supertanie, co?

Wohr ukrył twarz w dłoniach. Znow się zakołysał.

– Tanie życia – ciągnął Moe. – Dużo wiemy.

Wohr rozsunął palce, ukazując mokre oczy.

– To nie ja, proszę pana.

– To?

– To, co się stało.

– Co się stało? Czyli mówimy o czymś, nie o kimś? Co, nie kto? Rozmawiamy tu o matce i dziecku, Ramone. O ludziach. Zostali zamordowani, a my wiemy, kto to zrobił i że maczałeś w tym palce.

Oczy Wohra zrobiły się okrągłe. Groza sprawiła, że stary ćpun przez chwilę wyglądał młodo, prawie jak nastolatek. Zaskoczony. Później wróciło dawne znużenie albo czujność. Facet się skrzywił, patrząc najpierw na Moego, potem na Petrę. Obliczał szanse.

– Możesz sobie pomóc, Ramone – zachęcił Moe.

– Jak bardzo?

– Co to znaczy?

Chytry uśmiech.

– Transakcja. Jak się umawiamy?

– Nie zamierzam cię zwodzić, przyjacielu, szkoda czasu. Żyjesz dość długo, żeby znać rzeczywistość. Wszystkie oficjalne układy zależą od prokuratora. Ale my jesteśmy glinami od morderstw, prokurator nas słucha.

– Wykroczenie – zaproponował Woehr. – Bez odsiadki?

– Za co?

– Za Pychotkę.

Czyli nie przejmował się swoim udziałem w morderstwie. A może był aż tak cwany?

– Detektyw Connor? – zwrócił się Moe do Petry.

– Teoretycznie, gdyby wyjaśniły się dwa morderstwa, nie widzę problemu – powiedziała.

– Wyjaśnienie trzech morderstw byłoby jeszcze lepsze – stwierdził Moe.

– Bez wątpienia – przyznała Petra.

– Trzech? – Na twarzy Ramone’a pojawił się wyraz dezorientacji. Oo.

Moe walnął prosto z mostu:

– Caitlin Frostig.

– Kto? – W zmrużonych oczach ani śladu wahania. Prawdziwe zmieszanie.

– Caitlin Frostig – powtórzył Moe. – Opiekunka do dziecka Adelli. Ładna blondynka.

– A, ona.

– Znasz tę dziewczynę.

– Widziałem raz, może dwa razy. Też nie żyje?

– Pytasz na poważnie, Ramone?

– Tak, tak, tak. Widziałem ją raz. Przyjechałem po Addie. Kiedy Addie wychodziła, tamta dziewczyna siedziała z dzieckiem. Raz, dwa razy góra... tak, dwa razy. To wszystko, proszę pana.

Jeśli ona nie żyje, to ja pierwsze słyszę.

– Ale wiesz o nieżywej mamie. I zabitym dziecku. – Moe przypomniał sobie, co mówił

wielebny Woehr o chłodnym stosunku swojego brata do niemowlęcia. – Malutkie dziecko.

Gabriel. Jak ten anioł. Teraz naprawdę jest aniołkiem, Ramone.

Woehr nie odpowiedział.

– Martwe dziecko, martwa mama, martwa opiekunka... Niezły wynik jak na kogoś, kto nic nie wie o

zabijaniu.

Wohr uniósł kościsty tyłek z krzesła i przez sekundę Moe już myślał, że będzie musiał skuć durnia. Ale Ray ciężko opadł z powrotem, objął się ramionami, pokręcił głową. Chwycił się za policzki.

– Oberwie ci się za trzy morderstwa, Ramone.

– O Jezu Chryste.

– Może nie jesteś takim bardzo złym człowiekiem – ciągnął Moe.

– Może naprawdę przeszłość cię dręczy.

– No kurde... powinien pan... tutaj. – Klepnął się w czoło. – Paskudne obrazy. Chociaż ja nic nie widziałem.

– Obrazy czego?

– Pan wie.

– Powiedz mi, Ramone.

– Nieżywych ludzi. Bardzo się starałem je wyłączyć. Te obrazy.

– Próbowaleś zmienić kanał.

– Tak, tak.

– Łatwiej było zapomnieć za pieniądze, Ramone?

– Co?

– Twoje transakcje – przypomniał Moe. – Gęba na kłódkę w zamian za możliwość stręczenia dziewczyn bogatym ludziom.

Mur milczenia, ale Wohr nie zaprzeczył. Moe kontynuował:

– Może pozbyłeś się obrazów z głowy, ale prawo widzi to inaczej, Ramone. Siedzisz w tym po same uszy. Nie będzie trudno posadzić cię za wszystkie trzy. Ale nawet bez tego, trzeba się liczyć... – Do Petry:

– Wieczność?

– Plus jakieś sto lat – odparła. Przysunęła się bliżej do Wohra. – Biedny mały Gabriel.

Malutki szkielecik, jak zabawka, w pierwszej chwili człowiek nie myśli nawet, że jest prawdziwy.

– Znaleźliście go? – wykrztusił Wohr.

– A nie powinniśmy?

– Nie, nie, nie. Ja tylko...

Moe przysunął się do Wohra i do Petry jednocześnie. Jej dziewczęcy zapach trochę złagodził smród Ramone'a.

– Ty tylko co?

– Nie słyszałem, że go znaleźli.

– Ale słyszałeś, że zabili.

Cisza.

– Posłuchaj, Ramone. Niektórzy ludzie nie lubią niespodzianek, ale my tak. Łatwiej dzięki nim znieść nudę. Bez przerwy spotykają nas takie niespodzianki, że sobie nawet nie wyobrażasz.

Spojrzenie Wohra przeskoczyło z Moego na Petrę, z powrotem na Moego. Jego ciało było bezwładne, roztrzęsione i żalosne, ale oczy miał silniejszego, cwańszego człowieka.

Tyle wciągnął nosem, tyle wypił, IQ spadło mu pewnie do dwucyfrowego, a mimo to wciąż zachował spryt.

– Wiecie co wiecie – powiedział. – Ale ja nie wiem nic.

Moe to wyczuł: niebezpieczny punkt, w każdej chwili Wohr mógł się zamknąć w sobie, zażądać prawnika. Pora na kolejny skok.

– Cóż, w takim razie, Ramone, podzielimy się informacjami, żeby wszyscy wiedzieli wszystko. Zapłacono ci za milczenie w sprawie morderstw, ale to były drobne. Nie zgarnąłeś takiej kasy, jaką byś mógł.

Oczy Wohra znieruchomiały, ale pot zalewał mu twarz i szyję. Perfumy Petry już nie zdołały zamaskować smrodu. Wąsy Wohra zadrżały.

– Może nie zgarnąłeś dlatego, że się bałeś – ciągnął Moe. – Albo jesteś w ogóle małym faceciem, który zadowala się małymi pieniędzmi; wystarczy, że sprzedajesz ciała bogatym.

Podlizywanie się grubym rybom pozwala ci udawać, że twoje własne życie jest drogie, a nie takie tanie, jak Adelli, Gabriela i Caitlin.

Wohr pokręcił głową.

– Sęk w tym, Ramone, że sprzedawałeś ciało Alicii, a ona miała dość. Chciała, żebyś wreszcie upomniał się o porządne pieniądze. Musiała ciągnąć imprezy w gównianych motelikach takich jak

Eagle, bo ty za bardzo się bałeś zażądać swojego. Była zła. Wkurzona i sfrustrowana.

Do tego stopnia, że dała ci po twarzy na ulicy.

– Nic nie wiecie – warknął Woehr.

Moe się uśmiechnął.

– Naprawdę?

Woehr potrząsnął głową tak mocno, że krople potu poleciały na wszystkie strony. Kilka spadło na jasne spodnie Moego i czarne Petry. Żadne z nich ich nie starło.

– Alicia by tego nie zrobiła, nigdy mnie nie uderzyła.

– W takim razie skąd, według ciebie, o tym wiem, Ramone? Bo tam byłem.

Moe pozwolił, żeby facet to przetrawił. Kiedy opisał ubrania jego i Eiger, Ramone zaczął dygotać, jakby został poddany zbyt szybkiemu detoksowi.

– Nazwała cię głupkiem, zwyzywała, a potem zdzieliła w twarz – powiedział Moe i wyrecytował adres na Taft. – Widziałem to, Ramone. Ona nie poklepała cię żartobliwie po policzku, tylko tak sieknęła, że usłyszał cały kwartał. A co ty zrobiłeś? Powłokłeś się jak zbity pies do Boba, spiłeś się, a potem kupiłeś trochę drągów od jakiegoś palanta niedaleko Cherokee i aż do nocy włóczyłeś się po Hollywood, łąziłeś, piłeś i paliłeś, jak bezdomny, skopany kundel.

Nie mogłeś zapomnieć o tym, jak Alicia cię znieważyla, ale nie umiałeś się jej postawić.

Poszedłeś więc poszukać kogoś, kogo potrafiłbyś zdominować. Bo Pychotka wygląda na dziesięć lat i przypomina ci te wszystkie dziewczynki, które podglądasz, a one nie wiedzą, że się czaisz pod oknami ich sypialni.

– Ja tak nie robię...

– Twoja bratanica Sara twierdzi co innego.

Ramone rozdziawił usta.

Moe się uśmiechnął.

– Dzień pełen niespodzianek, przyjacielu. Funkcjonariusz Kennedy też zrobiła ci niespodziankę, kiedy zaskoczyła cię z głową Pychotki tam, gdzie nie powinno jej być.

– No... nie... – Jęk rozpacz, nie zaprzeczenie. Moe położył dłonie na ramionach Wohra i nacisnął.

– Wiemy wszystko. A ty wciąż nie masz dość rozumu, żeby przestać z nami pogrywać i poprawić

swoją sytuację.

Wohr opuścił brodę na pierś. Pociągnął nosem. Moe dał wzrokiem znak Petrze.

– Żal mi ciebie, Ramone – powiedziała. – Nie jesteś brutalnym człowiekiem. Ale jeszcze bardziej żal mi Alicii. Biedaczka zmądrzała, chciała tylko przestać się sprzedawać. Jak długo cię męczyła, żebyś wyciągnął sensowną kasę od tych morderczych drani?

Cisza. Przeczący ruch głową.

– Jak długo, Ramone? – spytała łagodnie Petra. – Pewnie od samego początku, co? Bo Alicia widziała w tym łatwe, duże pieniądze. W końcu mówimy tu o wielokrotnym morderstwie i bogaczach, nie trzeba geniusza.

– Bałem się – mruknął Wohr.

– Przycisnąć bogaczy?

Przytaknięcie.

– Niestety, Alicia widziała sprawy inaczej – powiedziała Petra. – Może dlatego, że wciąż sprzedawałaś ją ludziom, którzy popełnili te morderstwa.

– Alicia nic nie rozumie – odparł Wohr.

Użycie czasu teraźniejszego podyktowało następny ruch. Moe puścił ramiona Wohra, z kieszeni blezera wyciągnął dwa polaroidy.

Podźgane plecy Eiger i zbliżenie jej szarej, martwej twarzy.

– Ramone, Alicia nigdy już nic nie zrozumie.

Wohr wytrzeszczył oczy. Zaczął się gwałtownie trząść.

– O Jezu, Boże.

Szarpnął się w przód, zacharczał. Oboje detektywi odskoczyli w tył. Z rozdziawionych ust wydobył się tylko smród.

– O Jezu, o Jezu, Boże, Jezu.

Moe napawał się swoim okrucieństwem.

– Ach tak, cztery morderstwa – powiedział. – Do tablicy wyników dopisujemy zabitą dziewczynę. I to ty ją wystawiłeś.

Stopy Wohra skoczyły w tył, uderzyły o nogi krzesła.

– Nie ma mowy, nie, nie, nie...

Moe i Petra znów się przysunęli. Bardzo blisko, centymetry od jego twarzy. Moe w jednym ręku trzymał polaroidy, drugą chwycił Wohra za szczękę i obrócił jego głowę w stronę zdjęć.

Spodziewał się, że Wohr zaciśnie oczy, ale ten był dla siebie okrutny i patrzył.

Wciąż zdolny do poczucia winy?

– Wykonałeś telefon, Ramone.

Wohr wymamrotał coś niezrozumiale. Moe puścił jego twarz, narkoman potarł żuchwę.

– Nie musiał mi pan robić krzywdy.

– Ty sam robisz sobie krzywdę, Ramone. Bez niczyjej pomocy. Może, jak powiedziała detektyw Connor, nie jesteś złym człowiekiem, na pewno jednak bardzo słabym. Wybierasz najłatwiejsze wyjście. Ale, zabawne, ten sposób zawsze się okazuje najcięższy, prawda?

Powolne kiwnięcie głową.

– Znaleźliśmy twoją komórkę. Wiemy, że zadzwoniłeś i wystawiłeś Alicie.

Nadzieja, nadzieja, nadzieja.

Wohr oblizał wargi. Gwałtownie zamrugął.

Zwycięstwo!

– To współudział w morderstwie pierwszego stopnia, Ramone. Teraz dajemy ci szansę, żebyś sobie pomógł, przyjacielu. Ale musisz przestać kłamać, samemu sobie. Bo my znamy już prawdę.

Wohr jęknął. Potarł pięścią oko.

– Może nie chciałeś, żeby Alicia zginęła; przypuszczałeś, że tylko ją nastraszą. Ale nie tak pomyślą przysięgli.

– Uderzyła mnie – wybełkotał Wohr. – Znów. Miałem dość.

– No i proszę – oznajmiła Petra. – Okoliczności łagodzące. – Raczej motyw i dowód premedytacji. – Gdybyśmy mieli zgłoszenia o przemocy w waszym domu, wyszłoby ci to na dobre. Bez tego, kto uwierzy, że duży, silny mężczyzna bał się małej kobietki?

– Nie znacie Alicii – rzucił Wohr. – Jest groźna.

– Była – poprawił Moe i pomachał polaroidami. – Nawet jeśli ci uwierzymy, kogo to obchodzi? To nie nas będziesz musiał przekonać.

Wohr nie odpowiedział.

Moe spojrział na zegarek. Wstał i przeciągnął się, tak jak Milo. Nie dość, że zrobił wrażenie zrelaksowanego, poczuł się dobrze po tylu godzinach siedzenia.

Petra też wstała.

Ziewnięcie Moego było autentyczne. Schował zdjęcia do kieszeni.

– Daliśmy ci szansę poprawienia swojej sytuacji, a ty znów dokonałeś złego wyboru. Mam nadzieję, że spodoba ci się w więzieniu, Ramone, bo tylko to cię już czeka.

Petra otworzyła drzwi, zawołała strażnika.

– Dajcie mi długopis i papier – poprosił Raymond Wohr. – Napiszę wam inną książkę.

Kiedy detektywi się zgodzili, idiota się rozplakał.

Prywatny detektyw – sapnął doktor Rau.

– Pracuję dla prywatnego detektywa, Steve. Jestem aktorką.

– Najwyraźniej dobrą.

Był raczej oszołomiony niż zły. Ale nikt nie lubi być okłamywany. Żona zrobiła z niego idiotę, Liana mogła wywołać nieprzyjemne deja vu. Usiadła blisko drzwi, na wszelki wypadek.

– Liana... – powiedział Steve, jakby sprawdzając, czy jej prawdziwe imię pasuje. – Czyli tamten pierwszy raz to było zadanie?

– Mój szef i ja pracujemy nad sprawą Caitlin Frostig, tej dziewczyny, która zniknęła. –

Wyolbrzymała swoją rolę.

Odruch aktora, bo całe życie było castingiem.

– A ja wspomniałem o niej, zanim zapytałaś – przypomniał sobie Steve. – Pewnie pomyślałaś, że to dziwne. Opowiedziałem ci też o zaginionej parze. To się nazywa tworzyć dobry nastrój. Później, kiedy wróciłem do domu, poszperałem trochę w Internecie. Okazuje się, że tamta dwójka uciekała przed policją i została złapana. – Uśmiech. – Ale ty to pewnie wiesz.

– Wiem.

– Czuję się jak idiota. Poznaję kobietę i wspominam o znikających ludziach. Nie miałaś powodu do mnie dzwonić. Na pewno stwierdziłaś, że jestem dziwny... Czyli dzisiaj wieczorem wróciłaś do pracy?

– Taki był plan, Steve. Trochę mi nie wyszło.

– Słucham?

– To wszystko... – urwała speszona. – Wszystko, co się dzisiaj wydarzyło, nie miało nic wspólnego z moją pracą.

Chociaż jeśli dysponujesz informacjami, których mogę użyć, nie będę narzekać.

– Och – westchnął. – A tak się cieszyłem, że cię widzę. Liana. – Smakował jej imię. –

Bardziej mi się podoba niż Laura, chociaż Laura też ładne... naprawdę masz na imię Liana?

– Chcesz zobaczyć akt urodzenia?

– Przepraszam.

– To ja powinnam przeproszać, Steve. Masz prawo mi nie ufać.

– Po tamtym pierwszym razie wpadałem do Riptide częściej niż zwykle, miałem nadzieję znów cię spotkać. Prawie się poddałem. Musiałem wyjechać na konferencję. Byłaś tam przed dzisiejszym wieczorem?

– Nie.

– Czyli to jakby... przeznaczenie... chociaż w sumie nic niezwykłego, czysty rachunek prawdopodobieństwa. Bywam tam często, więc jest duża szansa, że się spotkamy.

Liana się uśmiechnęła.

– Zabrzmiało to jak prezentacja z konferencji. Steve oklapł.

– Pan Wygadany.

– Porządny z ciebie facet. Przestań być dla siebie taki surowy. Wstała, usiadła obok niego na starej, zakurzonej kanapie. Sięgnął po jej dłoń, zawahał się. Dokończyła ten ruch, ścisnęła jego palce.

– Liano, dzisiejszy wieczór, to że cię znów zobaczyłem, to... jakby życie w końcu zaczęło się układać. Wybacz, jeśli przesadzam. I nie obchodzi mnie, co cię tu tak naprawdę sprowadziło.

– Nie przesadzasz.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Czyli możemy się dalej spotykać? Tylko na tym mi zależy... to chyba nie przeszkadza w twoim... zadaniu.

– To tylko praca, Steve.

– Wydaje się interesująca.

– Zazwyczaj nie bardzo. Pogładził jej palce.

– Tajna agentka. – Na jego twarzy powoli rozlał się uśmiech. – Nosisz przebrania?

A jak myślisz, co to jest? – Steve, tan naprawdę współpracuję z detektywem, bo nie mogę robić tego, co bym chciała.

Odkryła się.

– Aktorstwo to niełatwa rzecz – odparł. – Podziwiam twoją wytrwałość.

– Od lat zajmuję się tylko podkładaniem głosów. Do kreskówek.

– O rany! Mogę posłuchać?

– Innym razem. – Pocałowała go. Poprawił się jej od tego nastrój.

Siedzieli tak przez chwilę, trzymając się za ręce.

– Naprawdę nie możesz zostać na noc? – spytał.

– Mam jutro przesłuchanie.

– Prywatny detektyw czy podkładanie głosów?

– To drugie – odparła. – Wiewiórka ciamajda.

Wytrajkotała fragment głupiego, wiewiórczego dialogu. Steve się roześmiał.

– Posłuchaj, nastawię budzik i oboje wczesnie wstaniemy.

– Nie dzisiaj, Steve. – Sięgnęła po torebkę, podała mu prawdziwą wizytówkę. – Tu masz mój numer. Przysięgam, prawdziwy.

Przyjrzał się napisom.

– Jesteś z Valley.

– To mnie dyskwalifikuje?

– Hej – powiedział. – Urodzony i wychowany w Sherman Oaks, aż mama i tata zdecydowali się na awans społeczny. Kiedy znów się spotkamy? Podaj mi jakiś termin, bo nie będę mógł się skupić.

– Jeśli w pracy nic mi nie wypadnie, może jutro, o ósmej?

– Mam spotkania do ósmej. Dziewiąta, dobrze? Zrobię rezerwację... lubisz włoską kuchnię?

– A kto nie lubi?

– Doskonale. Il Travino, niedaleko od ciebie w Tarzana.

– Cudownie.

Następny pocałunek był z jego inicjatywy. Dłuższy i bardziej miękki. Jak na zdołowanego mózgowca technikę miał coraz lepszą. Za drugim razem, w łóżku, sprawił, że poczuła rzeczy, których nie czuła już dawno. Nawet do tego jego filtra mogłaby się przyzwyczaić.

– Teraz mi lepiej – mruknął. – Odprowadzę cię na dół.

– Steve, wiem, że ryzykuję, ale... – Wyjęła zdjęcie Adelli Villareal i jej dziecka w niebieskim kocyku. – To inna dziewczyna związana z naszą sprawą. Znaleźli ją uduszoną w Griffith Park.

Steve skrzywił się, kiwnął głową.

– Na pewno widziałem ją w Riptide. Kilka razy. Nigdy przy barze, zawsze przy stoliku w rogu, w strefie VIP-ów. Dawno temu, kiedy celebryci ciągle tam... to taka sprawa?

– Być może – odparła Liana.

– Miała dziecko? Nie pomyślałbym.

– Dlaczego?

– Sprawiała wrażenie rozrywkowej dziewczyny... Cóż, każdy może być rodzicem. Dziecku nic się nie stało?

– Zniknęło.

– O mój Boże. Dobra, dobra, niech sobie przypomnę... Nie widziałem jej z Caitlin. Zawsze siedziała w drugiej sali. Odstawiona, roześmiana. Pamiętam ją, bo to wyjątkowo... ładna dziewczyna.

– Seksowna – podsunęła Liana.

– Ostentacyjnie seksowna. Może za bardzo... Nigdy nie była sama. To może zainteresować ciebie i twojego szefa, Liano. Bo zawsze przychodziła z tymi samymi ludźmi.

Powiedział jej z kim.

Ujęła jego twarz i mocno go pocałowała.

– Czym na to zasłużyłem?

– Przekazałeś dobre wieści, skarbie. Trzeba cmoknąć posłańca. Chyba zostanę na noc. Ale najpierw muszę wysłać SMS-a szefowi.

Gdyby Mason Book postanowił przytknąć twarz do zimnego szkła ściany domu, pewnie zauważyłby obserwującego go Aarona Foksa.

Aktor siedział na kwadratowym, czarnym skórzanym fotelu, rozchylony szlafrok ukazywał wynędzniałe ciało. Facet płakał.

Wyglądał o wiele starzej niż na ekranie, nie tylko przez brak makijażu i bezlitosne światło.

Wystające kości policzkowe, twarz poorana bruzdami, pasma siwych włosów.

Trzydzieści trzy lata, a zaczynał przypominać starca.

Zmiana w karierze, przyjacielu. Pora się zająć rolami charakterystycznymi.

Właściwie mam nawet dla ciebie scenariusz, ale zakończenie ci się nie spodoba.

Aaron główkował, jak dostać się do środka i nie uruchomić czegoś, nad czym by nie zapanował.

Przyjechał z gromadą małych pomocników, każdy z nich tkwił w odpowiedniej kieszeni czarnych, wodoodpornych szwajcarskich bojówek: kieszonkowy aparat bez lampy błyskowej, komórka, mininoktowizor, miniaturowy dyktafon wyposażony w jeden z głośników pana Dmitriego.

Plastikowe pęta, na wszelki wypadek.

Tak samo filipiński nóż bojowy.

Jedna z kieszeni się poruszyła. Zawibrowała komórka.

Zaryzykować i wyjąć? Ekran zabłyśnie...

Ale Book był chyba za bardzo w innym świecie. Nie, lepiej nie.

Poza tym, nieważne kto dzwonił, nic nie mogło być ważniejsze niż to, co się działo teraz.

Aaron nie chciał już słuchać o rzeczach; chciał sprawiać, żeby rzeczy się działy.

Upominając się, że musi zachować podwójne skupienie – obserwować Booka i wypatrywać powrotu Siekiery Dementa, czy innego niemile widzianego gościa – przesunął się wzdłuż szyby.

Były w niej spoiny, ale tak minimalne, że nawet z bliska ledwo widoczne.

Cały dom był zbudowany z olbrzymich tafli szkła, niektóre musiały być drzwiami. Ale które?

Podszedł jeszcze kilka kroków do sterczącego nad przepaścią dzioba domu. Jedna z jego gumowych

podeszew cicho zapiszczała. Znieruchomiał.

Mason Book siedział na fotelu.

Aaron dostrzegł plamy i pryszczki na kiedyś chłopięcej twarzy aktora. Nos Booka był kanciastą, kościstą wypustką, podobną do dzioba domu.

Facet przypominał zabawkę, ludzika wyprodukowanego do kompletu z budynkiem.

Siedział i cierpiał.

Gwiazdor, akurat.

Nagle wstał rozdygotany, z szeroko rozchylonym szlafrokiem.

Odwrócił się i spojrzał dokładnie tam, gdzie kuczał Aaron.

Włosy sterczące na wszystkie strony, sama skóra i kości, oczy szkliste jak u zdechłego indyka.

Patrzył prosto na Aarona, ale go nie widział.

Zawiązał pasek szlafroka i ruszył w głąb domu, mijając pokój za pokojem.

Dom – marzenie dla podglądacza. Spodobałby się Ramone'owi W.

Może tu był.

Kto wie, jakie w tym miejscu odbywały się świństwa?

Book zatrzymał się w zimnej, jasnej kuchni. Czarne szafki, podłoga z piaskowca, dwie kuchenki Wolfa, dwie lodówki, obie Traulseny, jedna z drzwiami z nierdzewnej stali, druga przeszklona.

Kiedy Aaron urządzał dom, sprawdził ceny tej marki. Zrezygnował z kupna takiej lodówki, za te pieniądze doładował silnik porsche i kupił pięć garniturów od Antonellego.

Book stał przed stalową lodówką. Długo nic nie robił, w końcu otworzył drzwi. Za drugim podejściem, wyężając oba wątle ramiona.

Ciężko dyszał; szlafrok gwałtownie unosił się i opadał.

Problemy z sercem od tego głodzenia się?

Book coś wyjął. Puskę napoju – nie, tej samej wielkości, ale z białym wieczkiem, dużo drobnego druku. Większe, czerwone litery.

Trzymał puszkę w wyciągniętej ręce, jak coś niebezpiecznego. Zaniósł ją z powrotem na front domu.

Opadł w ten sam kwadratowy fotel; omal nie potknął się przy tym o własne nogi i nie upuścił puszek.

Dyszząc otwartymi ustami, przyłożył ją do policzka. Znow rozprostował ręce i przyjrzał się białemu cylindrowi.

Aaron lepiej zobaczył białe litery. Wyciągnął minilornetkę. „Iso-Cal Intensive.

Zrównoważony białkowy suplement diety”.

Obowiązkowa przekąska Booka, przywieziona pewnie przez tę doktor od anoreksji.

Aktor postawił puszkę na podłodze, znow się rozplakał.

Rozklejał się, bo nie mógł się zmusić, żeby przyjąć jakieś kalorie?

Aaron nie był w nastroju do współczucia. Patologia bogaczy; w Sudanie nie ma zaburzeń odżywiania.

Book znow sięgnął po opakowanie, zaczął się zmagać z nakrętką, w końcu mu się udało.

Przysunął puszkę do ust. Znieruchomiał. Wstał. Odwrócił ją do góry nogami i wylał gęsty, biały płyn na podłogę.

Kiedy puszka była już pusta, postawił ją chwiejnie na środku bałaganu, którego narobił.

Wyśliznął się ze szlafroka, nagi ruszył z nagłą celowością na szklaną ścianę, za którą stał

Aaron.

Prosto na niego.

Aaron odskoczył w tył, był trzy metry od szkła, kiedy Book pchnął je rękami.

Ściana się otworzyła.

Mason wyszedł w noc, chudy jak szkielet, pokryty gęsią skórką, tlenione włosy trzepotały mu jak pierze na wietrze.

Zagubiony w jakiejś odległej galaktyce, ruszył ku szpicowi budynku, boleśnie powoli. Ciało stawiało mu opór.

W końcu dotarł do dzioba, wsunął się pod niego. Szedł dalej, w stronę urwiska. Oczy miał szeroko otwarte, wypełniał je żar, światło i kolory miasta.

Złożył dłonie, zakołysał się na piętach; zafalowały skurczone genitalia. Ręce i nogi miał jak patyki,

na plecach czerwoną wysypkę.

Wciąż trzymał złożone dłonie. Znow się zakołysał.

Jakiś rytuał modlitewny?

Ugiął nogi w kolanach, przesunął się do przodu tak, że palce stóp zawinął na krawędzi urwiska.

Szeroko rozłożył ramiona.

O cholera!

Aaron zmienił się w pocisk.

Wrzeszczący pocisk. Miał nadzieję, że na dźwięk jego głosu ten dureń znieruchomieje.

Wręcz przeciwnie. Odwrócił się, zobaczył go i się uśmiechnął.

Znow ugiął nogi i wystartował do lotu.

Z takim chudzielcem było łatwiej.

Ale nawet nędzny, pięćdziesięciopięciokilowy worek odwodnionych ścięgien wrywał

człowiekowi ramiona ze stawów. Aaron leżał płasko na brzuchu, cały w piachu i podrapany po ślizgu, walcząc, żeby nie puścić.

Ścisnął to cholerstwo za kostki, wiszące nad zapomnieniem, a grawitacja kopała go w tyłek.

Book się nie wrywał.

Ale i nie pomagał.

Dureń tylko wisiał, milczący, bezwładny. Martwy ciężar. Z dziwną cierpliwością jakby czekał, aż Aaron w końcu da sobie spokój.

Nie ma tak dobrze, ty chory, żaloszny, morderczy draniu.

Druga para rąk rozwiązałaby problem w jedną chwilę. Ramiona ciężarowca Moego...

– Trzymaj się... kolego – sapnął Aaron.

Book zachichotał.

– ... ś śmiesznego?

– Trzymaj się – powiedział Book swoim charakterystycznym, wysokim, ale pełnym wdzięku głosem.

– Przecież to ty mnie trzymasz.

Przy każdej sylabie ciało kretyna skakało. Najdrobniejsze drgnięcie wywoływało ból w ramionach Aarona, palące rozciąganie w brzuchu, plecach i biodrach.

Dzięki Bogu, że palant się głodził... Aaron poczuł, że zwalnia uchwyt, wbił czubki butów w piach. Znow pociągnął.

Book odrobinę podjechał w górę i osunął się z powrotem, kiedy mięśnie Aarona nie wytrzymały zwiększonego wysiłku. Tym razem szarpnięcie w dół sprawiło, że niemal puścił. Ból ramion był nie do zniesienia.

Wciągając powietrze przez zęby, Aaron się skupił, pomyślał o martwych ludziach, martwym dziecku, o tym, że ten dupek tak łatwo się nie wywinie.

– Przyciśnij dłonie do zbocza góry, kolego – wysapał. – Żebyś tak luźno nie wisiał.

– To nie góra – odparł Book. – To wzgórze.

– Wszystko jedno.

Book znów zachichotał. Jakby odgrywał jeszcze jedną ze swoich ról. Gnojek.

– Zrób to... zaprzyj się.

– Dlaczego?

– Bo... – zgrzytnięcie zębów – ...ja tak mówię.

Nie odpowiedział.

– Zrób to! – Aaron zacisnął zęby jeszcze mocniej. Miał wrażenie, że dłonie zaraz oderwą mu się od nadgarstków. Jeszcze kilka sekund i... – Zrób to!

– Dobra, dobra. – Jękliwym głosem, jak rozpuszczony bachor, którym był.

– Obie ręce. Przyciśnij... mocno.

Book usłuchał. Aaron natychmiast poczuł ulgę. Wciągając powietrze, zapał się, jeszcze raz odetchnął, zmówił modlitwę, puścił lewą ręką i przesunął ją w górę chudej łydki. Zacisnął dłoń.

Wbił palce w ciało aktora. To musiało boleć. Book nawet nie mruknął.

Aaron puścił prawą ręką, wbił ją w drugą łydkę.

– Policzę do trzech. Na trzy się odepchnij. Mocno.

– Co?

– Jakbyś chciał wskoczyć na górę.

– Dla...

Aaron oszczędzał siły. Wygłosił więc bardzo szybką mowę:

– Zrób to, bo inaczej powiem wszystkim o dziecku i cały świat się dowie, że twoje samobójstwo wcale nie było szlachetne.

Cisza.

– Zrób to.

Brak odpowiedzi.

– Mały Gabriel. Magazyn „People”, „Us”, „Enquirer”...

– Dobrze, dobrze – wychrypiał Book, jakby coś utkwilo mu w gardle.

– Na trzy. Odepchnij się.

Aaron odciął się od bólu i zebrał siły. Czuł, że nogi mu dygoczą. Z wysiłku? Nie, znów wibrowała ta cholerna komórka.

Dodzwoniliście się państwo do Biura Detektywistycznego Foksa. Pana Foksa nie ma obecnie w biurze, całkiem możliwe, że za chwilę da ciała na maksa...

– Gotowy, Mason?

– Wiesz, jak mam na imię. Debil.

– Oczywiście, że wiem. Gotowy?

– Tak jest.

– Na trzy. Mocno się odepchnij.

– Tak.

Uwaga, akcja. Kamera.

– Raz. Dwa. Trzy.

Book odepchnął się niemrawo, dłonie ześliznęły się z łydek, ale Aaronowi udało się go podciągnąć wystarczająco wysoko, żeby wepchnąć ręce pod klatkę piersiową. Rwał, targał

chaotycznie – wyciągał go w górę.

Ciało Booka było bezwładne, jak u wyciąganej na brzeg, zmęczonej ryby. Aaron złapał go za długie, zmierzwiłone włosy, mocno szarpnął.

Odwłókł drania daleko od urwiska, cisnął płasko na plecy, mocniej niż to konieczne. Z trudem łapał oddech.

Mason Book, umazany ziemią i krwią, patrzył na niego z czymś w rodzaju nabożnego podziwu.

Aaron stał nad nim zasapany. Czuł się, jakby serce miało mu się zaraz wyrwać z ust niczym zakrwawiony ptak. Ubranie podarte, całe ciało obolałe jak po dniu spędzonym w betoniarni.

Krew na dłoniach, kolanach, policzkach, łokciach. Może pomieszana z krwią Booka. Miał nadzieję, że drań nie jest niczym zarażony.

Book się uśmiechnął.

– Ja cię znam.

– Co ty powiesz.

– Czarny anioł.

Kiedy trzeci SMS do Aarona pozostał bez odpowiedzi, Liana uznała, że może spokojnie wyłączyć telefon i wrócić ze Steve'em do łóżka.

Jeśli pan Fox ma czas się zabawiać, ja też robię sobie wolne.

Ręcznik wrócił na kudłatą pierś; Liana włożyła koszulkę Steve'a, on spodnie od piżamy.

Oboje próbowali zasnąć.

Ręcznik podskoczył, kiedy Steve ryknął „ha-ha”, które zahuczało przez tors i bawełnę frotte.

– Śmiejesz się, młody człowieku?

– Aha.

– Co cię rozbawiło?

– Wyobrażam sobie.

– Co?

– Nieważne.

– Wielkoludzie, pamiętaj, trzeba ze sobą rozmawiać.

– To trochę dziecinne.

– Zawsze chętnie nawiązuję kontakt ze swoim wewnętrznym dzieckiem. – Szturchnęła go w żebra.

– Dobrze, dobrze. – Wydawał się w pełni rozbudzony. – Myślałem o pracy detektywa. Jedno, w czym jestem niezły, to zdobywanie informacji. Dajesz mi temat, a ja ryję jak kret.

Wyobrażałem sobie nas razem, jako Nicka i Norę Charles. Też marzenie, co?

Najpierw chciałabym pobyć z tobą wystarczająco długo, żeby się przekonać, czy naprawdę jesteś taki słodki, miły i wyrozumiały, jak się wydajesz. Jeśli tak, szybko połatam twoją samoocenę, ale potem kto wie, może nie będziesz już taki miły, jeśli cię za bardzo rozkręcę.

Więc muszę uważać, żeby nie przesadzić, nie zmienić cię w typowego, aroganckiego faceta. Ale założę się, że zdołam dobrze wymierzyć. Potem urządzę to mieszkanie na nowo – poznam twoich rodziców i przekonam ich, że zmiany są w najlepszym interesie nas wszystkich, uwierz mi, skarbie. Sprawię, że mnie polubią udowodnię, że jestem idealną dziewczyną dla ich chłopca.

Popatrz, jak często się ostatnio uśmiechasz. Nie tak jak wtedy, kiedy na scenie była tamta chciwa suka. Moje marzenie, Stevenku, to ty i ja mieszkający tu, na Wilshire Corridor, oba nasze samochody

w garażu, odźwierni witający mnie po imieniu, noszący mi zakupy. Ty się bardziej wyluzujesz, pojedziemy na fajne wakacje, pokażę ci, jak żyć. I to.

Dużo tego. Twój RAND i moje zlecenia, finansowo będziemy urzędzeni. Sprzedam mieszkanie, dołożę się do kupki; będziemy kochającymi się partnerami, a nie facetem z utrzymanką. A twoi rodzice polubią mnie tak bardzo, że dorzucą trochę forsy na...

– Śpisz, Liano? – szepnął Steve.

– Masz rację – odparła. – To dopiero marzenie.

Podpisane oświadczenie Raymonda Wohra nie było dokładnie tym, na co Moe miał nadzieję, ale wystarczyło, żeby obudzić zastępcę prokuratora okręgowego Johna Nguyena.

Nguyen pracował przy morderstwach na bagnach. Wtedy, podczas śledztwa bez przerwy robił różne prawnicze trudności.

Tym razem powiedział:

– Podoba mi się to.

– Musimy wydostać Wohra z hrabstwa i przenieść go z powrotem do aresztu Hollywood – oznajmił Moe. – Im szybciej, tym lepiej.

– Zajmę się tą sprawą.

Moe wrócił do sali przesłuchań, pokazał Petrze podniesiony kciuk. Uśmiechnęła się.

Ramone W. pił kawę i jadł trzeciego pączka; dolną część wyniszczonej twarzy zdobił cukier puder.

– Co? – spytał.

Detektywi nie odpowiedzieli na jego pytanie, tylko jeszcze raz kazali mu powtórzyć oświadczenie. Nic nie zmienił w treści ani formie, wciąż zaprzeczał, że odegrał jakąkolwiek bezpośrednią rolę w morderstwie Adelli Villareal i jej dziecka. Ale przyznał się, że zaaranżował

coś, co – jak się upierał – miało być zwykłą seksualną transakcją.

Zadzwoił do Adelli bez uprzedzenia i powiedział jej, że załatwił świetną robotę – zupełnie inny rodzaj klienta, facet chciał ją już, teraz.

Była ostrożna.

– Jak to?

– Pokazałem mu twoje zdjęcie. – Kłamstwo, ale co z tego? Mogło zadziałać na jej korzyść, skąd miał wiedzieć, że tak nie będzie?

Ten „związek” zaczął się w Riptide. Zabrał tam Adellę i Alicię na drinka z okazji urodzin.

Na Alicię nikt nie zwrócił uwagi, ale Adella, cała odstawiona, w czarnej mini, zupełnie inna sprawa.

W noc transakcji powiedział:

– Klientowi spodobało się twoje zdjęcie.

– Pokazałeś mi moje zdjęcie? – spytała. – Jak jakąś reklamówkę?

– Co za różnica, klient pierwsza klasa, Addie.

– Jasne. Ostatni „klient pierwsza klasa”, z którym mnie umówiłeś, ważył dwieście kilo i się rozplakał, kiedy kazałam mu dorzucić stówkę.

– Zapomnij o stówce, Addie. Tu mówimy o trzech kawałkach.

Cisza.

– Jesteś tam, Addie?

– Trzy tysiące – powiedziała.

– Co najmniej. Z gościa można wyciągnąć sporo więcej.

– Trzy tysiące – powtórzyła. – Co mam zrobić za tyle kasy?

– Nic specjalnego – odparł Ramone.

– Wykrztuś to.

– To co zwykle, bez analu.

– Trzy tysiące... cholera, nie mam opiekunki do dziecka.

– Spoko, ja i Alicia zajmiemy się małym. Właściwie weź dzieciaka ze sobą j jak tylko skończysz, od razu go odbierzesz.

– Zostawić ci Gabriela? Nie zmieniłbyś pieluchy, nawet gdybym ci napisała instrukcję.

– Mnie i Alicii. Ona ma dwójkę dzieci.

– Nigdy ich nie widziałam.

– Dwójkę – podkreślił Ramone.

– Gdzie są? A cholera wie.

– Dorosły – stwierdził Ramone.

– No nie wiem. Gabriel ma zły humor. Chyba ząbkuje.

– Alicia da sobie radę. Trzy kawałki, Addie, kto wie, jaki będzie napiwek.

– Nie dzielę się napiwkami.

– No kurde...

– Nie – oznajmiła kategorycznie. – Nie ma mowy. To jak w restauracji, napiwek bierze ten, kto obsługuje.

– O rany – jęknął Ramone. – No niech ci będzie. Przyjedź do Hyatta, tego na Strip. Zapisz sobie numer pokoju. Facet cię wpuści.

– Trzy tysiące – powiedziała. – Na pewno bez analu? Ciągnie mnie jeszcze po porodzie.

– Tylko drzwi frontowe, Addie.

– Trzy kawałki za standard.

– Miękki klient, normalnie za to nie płaci, ale pokazałem mu twoje zdjęcie i się napalił.

– Napalił się? To jakiś zbok?

– Nie, nie, po prostu ma chcię. Ale jak będziesz się za długo grzebać, to się rozmyśli. Weź

małego, Alicia zaczeka na ciebie na korytarzu niedaleko pokoju, przywieź butelki, pieluchy i całą resztę.

– A cztery? – spytała.

– Zaczekaj. – Stojąc samotnie w mieszkaniu Alicii, Ramone zakrył słuchawkę ręką i udał, że rozmawia z klientem. – Mówi trzy i pół, ale masz być zaraz. Wchodzisz?

– Tak.

– Teraz mogę ci zdradzić, kim jest klient. – Wszeptał imię.

– Nie gadaj!

– No i co, Ramone daje radę czy nie?

– Jezu... dobra, jasne, jasne, włożę lepsze majtki.

Wohr dokończył pączka.

– To wszystko. Tak samo, jak opowiedziałem za pierwszym razem.

– Nie wiedziałeś, co się stanie? – spytał Moe.

– Nie.

– Co zrobiliście z Gabrielem?

– Addie weszła do pokoju z dzieckiem. Mnie tam nie było.

– Alicii też nie.

– Nie.

– Czyli to klient wpadł na pomysł, żeby Adella przyniosła małego?

– Plan był taki, że Alicia zaczeka na korytarzu, ale musiała iść do łazienki i minęła się z Addie.

– Jasne – mruknął Moe. – Na pewno.

Długa cisza.

– Były dwa plany – wtrąciła się Petra. – Ten, o którym powiedziałaś Adelli, i ten, który wykonałeś.

– Ja nawet nie przekroczyłem progu Hyatta.

– Alicia też nie. W ogóle tam nie pojechała.

Cisza.

– Całą tę historię o Alicii wymyśliliście po to, żeby ściągnąć dziecko – stwierdził Moe.

Bez odpowiedzi.

– Może Adella chciała nawet wezwać opiekunkę, ale ty powiedziałaś: „Nie trzeba, my się tym zajmujemy”.

– Ee – zaprzeczył Woehr. – Tak nie było.

– Zamierzała poprosić o pomoc Caitlin Frostig.

– Nie, nie znam jej.

– Dwa razy się spotkaliście.

– To nie znajomość. Zadzwoiłem, to wszystko.

– I pojechałeś do Hyatta.

– Nie! – wykrztusił Ramone. – Nie pojechałem.

– A to niespodzianka.

– To prawda.

Moe opanował chęć uduszenia gnoja.

– Nie obrażaj nas, Ramone. Widzimy, że kłapiesz dziobem, ale nie słyszymy prawdy, a tylko prawda może cię wyzwolić.

– Powiedziałem prawdę.

– Nie, przedstawiłeś swoją historyjkę. Bo od samego początku chodziło o Gabriela. Inaczej nie kazałbyś Adelli go przywozić.

Wohr spuścił wzrok.

– Wysyłać dziecko na robotę. – Petra pokręciła głową. – To dopiero chory układ.

– No kurde... Moe podniósł głos.

– Mów o dziecku.

– Nic nie wiem o żadnym dziecku.

– Nie żadnym dziecku, Ramone. O małym Gabrielu, słodkim maluchu, którego kazałeś Adelli zabrać do Hyatta. – Moe pomachał podpisanym oświadczeniem. – Sam to przyznałeś, Ramone.

Wohr objął się ramionami, osunął niżej.

– Tylko zadzwoniłem, nic więcej.

Moe oparł kciuk na jego obojczyku. Znalazł odpowiedni punkt. Nacisnął. Wohr zaskomlał.

– Chodziło o to, żeby Adella przywiozła dziecko – powiedział Moe.

– Chyba tak.

– Chyba?

– Zrobiłem, co mi kazali.

– Za tysiąc dolarów.

Cisza.

– Nie zastanawiałeś się, dlaczego ktoś dał ci tysiąka za głupi telefon? – spytał Moe.

– Addie dla mnie pracowała.

– Tak, chwaliłeś się, że ją reprezentujesz, pan wielki agent. Ale nie była w twojej stajni. Bo ty nie masz stajni, Ramone.

– Ale nadarzają mi się okazje. Rockmani, na przykład w Whiskey.

– Świetnie – powiedziała Petra. – Jesteś mocny alfons. Czy to się nie wiąże z odpowiedzialnością? Dzwonisz, nigdy więcej nie widzisz swojej dziewczyny, ale nie próbujesz się dowiedzieć, co się stało?

– Pomyślałem, że wróciła.

– Gdzie?

– Do Arizony. Do rodziców. Już raz tak zrobiła, nie pisnęła ani słówkiem.

– Umówiłeś ją na drogą randkę, dopilnowałeś, żeby przywiozła dziecko – ciągnęła Petra. –

Potem ona znika, a ty w ogóle nie jesteś ciekawy.

– Ja tylko zadzwoniłem.

– Za tysiąc dolarów – powtórzył Moe. – Jedź do Hyatta na Strip, masz tu numer pokoju, jesteś wolna. Ktoś ją morduje, wyrzuca w Griffith Park, a ty o tym nie wiesz?

Cisza.

– Przypuszczałeś, że pojechała do rodziny, kiedy wszyscy inni wiedzieli, że ktoś ją zabił, i nikt nie widział dziecka? Daj spokój, stary.

Moe nacisnął trochę mocniej. Wohr zaskomlał.

– Jesteś dobry w dzwonieniu, Ramone. Cholerny spec od telefonów.

– Co?

– Ustaliliśmy to godzinę temu. – Nie musieli już kłamać. – Wystawiłeś Alicie, bo robiła szum, wsiadała na ciebie, że nie zgarnąłeś większej forsy za ten pierwszy telefon.

Zwiesił głowę.

– Cóż, nie dziwię się po tym, jak cię potraktowała – podsumował Moe.

– Ja też – dodała Petra. – Gdybym ja tak zrobiła swojemu facetowi...

Wohr poderwał głowę.

– Zdzieliła cię na ulicy – przypomniał Moe. – A ty nie oddałeś. Zachowałeś zimną krew, podziwiam. Detektyw Connor też jest pełna uznania.

– Wprost anielska cierpliwość – rzuciła Petra.

– Po prostu odszedłeś – powiedział Moe. – Zachowałeś się jak mężczyzna. A potem wykonałeś jeden ze swoich słynnych telefonów. Co w tym złego? Takie są fakty. Komuś je przedstawiłeś, a co z nimi

zrobią, to nie twoja sprawa. Problem w tym, że pokroili Alicię, Ramone. Jak mięso na kotlety. Chcesz jeszcze raz zobaczyć zdjęcia?

– Nie! – Wohr chwycił się za tył głowy. Zgiął się wpół. – No kurde.

– Straszny widok – przyznał Moe. – Nawet dla detektywów takich jak my, którzy bez przerwy widzą ofiary morderstw. Ale to nie twoja sprawa, ty tylko wykonałeś telefon. Reszta to ich decyzja. I to ci pomoże, Ramone. Musi, bo ludzie rozumieją różnicę między wykonaniem telefonu a zamordowaniem kogoś piętnastoma ciosami noża.

– Ja nie wiedziałem.

– Czego?

– Niczego.

– Tego, co się miało stać po twoim telefonie?

– Tak.

– Ty tylko dzwonisz – prychnęła Petra. – Jesteś człowiekiem od telefonów, królem linii telefonicznych.

Wohr nie odsłaniał twarzy. Petra wyciągnęła z kieszeni własny telefon, a Moe czekał na jakiś dramatyczny gest. Ale nie, po prostu przeczytała SMS-a. Bezgłośnie powiedziała: Jest John.

Moe z powrotem usiadł, przysunął kolana tuż do kolan Wohra. Znosił smród jego oddechu, kwaśną rozpacz bijącą z wielkich porów.

– Zauważ, Ramone, że my ci opowiadamy o Alicii, a nie pytamy. Bo nie jesteś nam potrzebny.

Wohr podniósł wzrok.

– Tak – powiedział.

– Co, tak?

– Uderzyła mnie, ja zadzwoniłem. – Dotknął policzka. – Musiała wiedzieć, że wyciągnięcie kasy się nie uda.

– Porządny z ciebie facet. – Moe klepnął go po udzie. – Szczerowość, to cię uratuje. Teraz bierz ołówek i pisz szczegóły, które pominąłeś za pierwszym razem.

Wohr posłuchał. Kiedy skończył, Moe podniósł go na nogi, skuł, przedstawił mu zarzuty, przeczytał prawa.

– Morderstwo? – zdziwił się Wohr. – Za dzwonienie?

Moe i Petra odprowadzili go do drzwi. Zastępca prokuratora okręgowego John Nguyen stał na zewnątrz z papierami i rozmawiał ze strażnikiem więziennym. Spojrzał na Wohra.

– To on? – spytał jakby zawiedziony.

– Oto cesarz telefonów. – Petra się zaśmiała.

Moe pomyślał, że wyglądała bardzo ładnie, świeża, pewna siebie i spokojna, w nieskazitelnym kostiumie.

W jego głowie grała kiepska muzyka, odrobina melodii, ale zbyt wiele nietrafionych dźwięków.

Aaron był pasterzem, Mason Book owcą.

Chudy jak patyk aktor stał nagi w salonie raketowego domu i potulnie dawał się ubierać w szlafrok. Napój białkowy, który wylał, poplamił lepko czarny fotel i gładką, kamienną podłogę.

Aaron uważał, żeby w to nie wdepnąć; poprowadził Booka w stronę kanapy, później zobaczył, że świetnie widać z niej światła miasta.

Samobójczy widok; nie było sensu przypominać Bookowi, co go ominęło. Aaron wziął

chudzielca za łokieć i zaprowadził do przyległego pomieszczenia, mniejszego, umeblowanego czerwonymi, zamszowymi fotelami, czarnym biurkiem z szarym, tweedowym obrotowym fotelem i czarnymi, lakierowanymi regałami na książki, pustymi, nie licząc kilku płyt na jednej z półek.

Nowe filmy, samo badziewie, pewnie gratisy z wytwórni albo Akademii. Nigdzie nie było widać żadnego z filmów Booka.

Aaron posadził aktora na obrotowym krześle, obrócił go do czerwonej ściany, wsunął rękę do kieszeni bojówek i włączył dyktafon. Szybko i bezgłośnie; zawsze warto mieć dobry sprzęt.

– Opowiedz mi, co się stało, Mason.

– Kiedy?

– W noc, kiedy Adella Villareal została zamordowana.

Oblizął wargi.

– Ja tego nie widziałem.

Tyle w temacie wyrzutów sumienia. Zaczynamy kombinować.

Aaron uśmiechnął się zapraszająco, usiłując zapomnieć o bólu, który wciąż krążył po jego ciele. O palcach zmęczenia wydrapujących dziury w adrenalinie.

Powtarzał sobie, że to się uda, musi. Book był walnięty, a takich nietrudno otworzyć. Aaron miał nadzieję, że nikt się nie pojawi w niewłaściwym momencie.

Book siedział i milczał. Dłoń Aarona przesunęła się nad nylonową kaburę.

– Mason, pora na szczerą z samym sobą.

– Widziałem wszystko, ale nie to – powiedział Book.

– Nie co?

– Zabijanie.

– Czyli wiesz, że została zabita.

Book uniósł trupią twarz. Jasne włosy się zakołysały, kiedy rozłożył ramiona w geście: „Kto, ja?”
Chłopięcy urok, mimo wyniszczenia, którego sam dokonał.

Przy odpowiedniej ilości makijażu i właściwym kącie ustawienia kamery mógłby jeszcze zagrać jedną z czarujących ról.

– Jestem twoim aniołem, Mason. Musisz mi powiedzieć.

Pociągnął nosem, z oczu znów mu pociekło.

Drań użala się nad sobą. Aaron miał ochotę strzelić go w pysk.

Book odwrócił się i zacharczał. Jego klatka piersiowa nadęła się jak miech, a z ust popłynęły krople mętnego, bursztynowego płynu; pociekły po brodzie, skapnęły na podłogę.

Nadchodzi załamanie. Cholera. Gdzie Delaware, kiedy jest potrzebny?

– Opowiedz mi, co wiesz, Mason – poprosił Aaron. – Poczujesz się o wiele lepiej.

Facet znowu zacharczał. Sapnął głośno i chrapliwie, stracił panowanie nad sobą i dostał ataku kaszlu. Aaron klepał go po plecach, aż paroksyzm ustał. Book zareagował na tę pociechę jak zraniony szczeniak, przycisnął głowę do uda Aarona. Chwycił go za rękaw dłonią z brudnymi paznokciami.

Aaron go znów poklepał. Book przytulił się mocniej.

– Przyszędłeś się mną zaopiekować.

– Oczywiście, Mason. Ale muszę się dowiedzieć wszystkiego.

Oderwał dłoń Booka od swojej ręki, przyciągnął sobie czerwony fotel i usiadł naprzeciwko aktora. Przysunął się, aż jego kolana prawie dotknęły kościstych kolan gospodarza. Przypomniwał

sobie ponure, policyjne sale przesłuchań. Tutaj było ładniej, ale tak samo bezdusznie.

– Mów, Mason.

– Powiedział, że to tylko spotkanie z tą dziewczyną.

– On, czyli?

– Przyjaciel. Ja jej nawet nie znałem.

– Jak się nazywa ten przyjaciel, Mason?

– Naprawdę ma na imię Ahab.

– Ale wszyscy mówią na niego Siekiera.

– Siekiera. Tak... Znasz go?

Bingo! Aaron niemal poczuł, jak silniczek dyktafonu radośnie mruczy w jego kieszeni.

– My, anioły, wiemy różne rzeczy.

– Nie jest sławny – wyjaśnił Book. – Chce być, ale nie jest.

– Na pewno spotykasz takich mnóstwo.

– O tak... – odparł Book. – Myślałem, że będzie mnie bronił. Jest gruby, silny. Je, co chce.

– Szczęściarz... Czyli Siekiera był umówiony z Adellą.

– Powiedział „dziewczyną stamtąd”.

– Skąd?

– Z tego lokalu, gdzie kiedyś chodził.

– Klubu?

– Raczej baru – sprostował Book.

– Baru, gdzie ty i Siekiera wpadaliście się napić?

Book skupił spojrzenie na Aaronie.

– Wyglądasz jak Denzel.

– Podobno.

– Denzel umiałby zagrać anioła – stwierdził Book. – Bardzo utalentowany gość.

– Fakt – zgodził się Aaron. – Jak się nazywa ten bar?

– Riptide.

– Adella też tam się pojawiała.

– Nie wiem, jak ma na imię – powiedział Book. – Nigdy tam z nią nie byłem.

- Siekiera był.
 - Nie widziałem.
 - Ale ci się zwierzył.
 - Mhm.
 - W tę noc, kiedy to się stało, Mason, Siekiera powiedział, że co to jest za spotkanie?
 - Wiesz.
 - Chcę to usłyszeć od ciebie.
 - Impreza. My wszyscy.
 - Ty i Siekiera mieliście urządzić sobie trójkąt z Adellą – sprecyzował Aaron.
 - Nie wiedziałem, jak ma na imię. Stwierdził, że to niezła dupa, którą zna z Riptide. I że jest szalona.
 - Idealna do trójkąta.
 - Nigdy do tego nie doszło – mruknął Book, jakby wciąż żałował.
 - A co się stało?
 - Pojechaliśmy do hotelu.
 - Konkretnie.
 - Do Hyatta.
 - Którego Hyatta? – spytał Aaron, pewien, że zna odpowiedź.
 - Na Sunset.
- Pięć minut samochodem ze Swallowsong.
- Obok Comedy Store.
 - Tak.
 - Mieliście się zabawić w hotelu.
 - Kiedy tam przyjechaliśmy, Siekiera zaproponował: zrobmy to inaczej, na powietrzu.
 - Impreza na dworze.

– Fajny pomysł, pomyślałem. Siekiera wszedł do środka i zaraz wyszedł z dziewczyną. –

Book zadrżał. – Wiesz o dziecku, prawda?

Serce Aarona zabiło mocniej z radości. Zachował ponurą minę.

– Wiem o różnych rzeczach, Mason. Czyli Adella opuściła hotel z Siekierą i dzieckiem.

Kiwnięcie głową.

– Gdzie wtedy byłeś?

– W pickupie.

– A gdzie pickup stał?

– Na hotelowym parkingu.

– Siekiera nie bał się zostawić kogoś tak sławnego jak ty w samochodzie, przy hotelu?

– Kazał mi położyć się z tyłu. Tak robimy.

– Kiedy?

– Kiedy nie chcemy, żeby mnie ktoś zauważył.

A ty go posłuchałeś, bo jesteś głupcem o zniszczonym mózgu.

– Było całe zawinięte... w niebieski kocyk. Więc chyba chłopiec.

– Pojechała się zabawić z dzieckiem?

– Dziwne – przyznał Book. – Wskoczyła do tyłu. Kiedy usiadłem prosto, bardzo się ucieszyła.

– Dlaczego?

– Bo zobaczyła, że to ja. – Bez chępliwości, stwierdzał tylko fakt.

– To dla ciebie tam przyszła.

– Mhm.

– Myślała, że ma randkę tylko z tobą.

– Siekiera tak lubi – wyjaśnił Book. – Ja poznaję dziewczyny, on też.

– Bo sam by ich nie poznał.

Book się uśmiechnął.

– Jest trochę gruby.

– Więc używa ciebie jako przynęty.

– Aha.

– Tak zrobił z Adellą.

– Bo chciał ją zabić – wypalił Book.

Aaronowi aż zacisnęło tchawicę. Zmusił się do swobodnego oddychania.

– Tak ci powiedział.

– Domyśliłem się. Kiedy nie wyszła.

– No przecież wyszła z hotelu.

– Stamtąd tak, ale z parku nie.

– Z parku – powtórzył Aaron. – Cofnijmy się trochę, Mason. Odebraliście Adellę z Hyatta.

Myślałeś, że tam odbędzie się spotkanie. Ale Siekiera chciał się zabawić na powietrzu, więc pojechaliście do parku.

– No.

Porzucił ją tam, gdzie zabił? Moe twierdził, że nie.

– Griffith Park.

– Nie, ten przy plaży – sprostował Book. – Mówiła, że to za daleko. Zapłaciłem jej trochę i się uspokoiła. Chociaż dziecko jechało z przodu i ciągle marudziło.

– Dziecko było z przodu ciężarówki?

– W foteliku.

– Siekiera przywiózł fotelik.

– Wyjaśnił, że sam jest tatą. Miał też inne rzeczy.

– Jakie?

– Pieluchy, butelki.

– Nie wydało ci się to dziwne?

Book zamrugał.

– Może. Wtedy o tym nie myślałem.

– Siekiera naprawdę jest ojcem?

– Nie. Zamordował dziewczynę, więc chyba kłamstwo to nic wielkiego.

Pierwszy raz ten dureń wykazał się odrobiną refleksji. Może w głowie mu się przejaśniało.

Aaron wołał go skołowanego i bełkoczącego. Postanowił złagodzić pytania.

– Chyba mamy już jakiś obraz, Mason. Ty i Adella siedzicie z tyłu pickupa, dziecko z przodu, w foteliku, wszyscy są wyluzowani...

– Ona nie – przerwał Book. – Była trochę... jakby zdenerwowana. Dałem jej więcej pieniędzy.

– Ile?

– Nie wiem.. Z pięć tysięcy?

– Pięć tysięcy dolarów?

– Może dwa. Trzy, sześć, nie wiem, to był zwitek setek. Dostaję forszę w plikach jako kieszonkowe.

– Przywożą ci gotówkę.

– Myron przywozi. Mój business manager. Czasami Siekiera jeździ do bankomatu.

– Ma twój PIN.

– Nie lubię wychodzić z domu.

– W porządku. Wróćmy do tamtej nocy. Który to był park przy plaży?

Znał odpowiedź.

– Daleko – odparł Book. – Za domem jego ojca. Lem Dement ma tam gdzieś wielki dom.

– Byłeś w tym domu?

– Nie, stoi od strony lądu. Ja wolę plażę.

– Ta plaża...

– Leo Carrillo – powiedział Book. – Był aktorem.

– Kto?

– Leo Carrillo.

– Co ty powiesz.

– Aha. – W głosie aktora pojawił się ślad samozadowolenia. Facet był pokurczonym wrakiem, ale wciąż potrafił czuć się lepszy od kogoś z zewnątrz. – Grał Meksykanów w westernach. Nazwali jego imieniem plażę...

– Znam Carrillo – przerwał mu Aaron. – Ładne miejsce.

– Nawet bardzo – zgodził się Book. – Park znajduje się od strony lądu, ale woda jest tuż za autostradą słycać szum. Lubię ten odgłos, może przeprowadzę się do Colony, żeby móc spać.

– Adella myślała, że jedziecie do domu ojca Siekiery?

Book rozdziawił usta.

– Rzeczywiście dużo wiesz.

Aaron się uśmiechnął.

– A potem, kiedy Siekiera minął zjazd...

– Powiedziała: „Hej, dokąd to?”

– A on...

– Nic. Jechał dalej. Nie tak znów daleko.

– A potem?

Book oblizał wargi. Pokręcił głową, jak w ćwiczeniu jogi. Rozległo się trzeszczenie.

– Siekiera zatrzymał się przed jakąś bramą i wysiadł z samochodu. Ona mówi: „Co jest, kurwa?”, on otwiera drzwi, wyciąga dziewczynę. Bardzo gwałtownie.

Book zamknął oczy.

– Nienawidzę pistoletów.

– Siekiera ma pistolet.

– Kiedy go przynosi, zawsze powtarzam: „Odłóż to”.

– Co potem?

– Dziecko zaczęło płakać. Siekiera przystawił dziewczynie pistolet do pleców i kazał iść.

– Do parku.

– Mhm. Wrzasnęła: „Pieprz się!” Wykręcił jej rękę, bardzo szybko i mocno. Zaczęła krzyczeć. Dziecko też wyło. Zakryłem dłońmi uszy. – Pokazał, jak to zrobił.

Aaron łagodnie opuścił jego rękę.

– Co dalej?

– Siekiera uderzył ją w tył głowy pistoletem, a kiedy upadła, złapał ją za szyję. – Znow oblizał wargi. – Po PCH jeździły samochody. Dziwne.

– Za ciemno, żeby ktokolwiek coś zobaczył, ale ty widziałeś.

– Nie patrzyłem. Dziecko płakało. Siekiera skończył z dziewczyną, wepchnął ją z powrotem do samochodu. Obok mnie. Śmierdziało.

– Co śmierdziało?

– Zesrała się. Dziecko strasznie wrzeszczało.

– Musiałeś się bardzo bać, bo przecież nie spodziewałeś się niczego innego, jak trójkąta.

Book umilkł.

– Twoje uczucia są ważne, Mason. Dla mnie.

– To było... byłem... nieźle napruty.

– Czym?

– Trochę koki, trochę amfy. Żeby się pozbierać.

– Po czym?

– Xanax. Signopam, valium, ambien... różne takie.

Nie chciał się przyznać, że wciągał heroinę. Aaron już to widywał. Ćpuny z wyższych sfer przyznawały się do wszystkiego oprócz heroiny.

– Wzięliśmy też trochę ekstazki – mruknął Book. – Nie poprawiła mi humoru.

– Bo właśnie widziałeś, jak Siekiera zamordował Adellę.

– Cała głowa mi... Byłem zaskoczony.

- Tym, co się stało.
- Taka ładna dziewczyna... Zdziwiłem się, że tak brzydko pachniała. A potem...
- Tak, Mason?
- Noo... W głowie zrobił mi się jazgot. Przestałem sypiać. Jeść.
- Bo było ci źle z tym, co widziałeś.
- Poszedłem do szpitala – ciągnął Book. – Nie czułem się chory, ale lekarz kazał mi iść.
- Bo nie jadłeś i nie spałeś.
- Chcieli mnie karmić dożylnie – jęknął Book. – Powiedziałem nie, jeszcze nie.
- Nie byłeś gotów na karmienie. Wyciągnął ramiona. Błagał, żeby go dotknąć. Aaron siedział bez ruchu.
- Wyrzuty sumienia mają dobrzy ludzie, Mason.
- Przyszła się spotkać ze mną. Chciała być sławna.
- Co się stało po tym, jak Siekiera wsadził Adellę do pickupa?

Ramiona Booka opadły.

- Powiedział: „Jedźmy ją gdzieś wyrzucić”.
- Wtedy ruszyliście do Griffith Park.
- Straszny kawał. – Book się skrzywił. – Obrzydliwie śmierdziało, dzieciak darł się w niebogłosey. Siekiera kazał mu stulić ryj, ale to nic nie dało, więc puścił głośno Pink Floydów.
- Co zrobiliście w Griffith Park?
- Zabraliśmy ją tam, gdzie było ciemno, i położyliśmy na ziemi.
- Ty i Siekiera.
- Nie chciał nieść sam, cały się wysmarować; złapał za nogi, ja za ręce. Strasznie się bujała.
- Book zagapił się na Aarona. – To źle, co? Że mu pomogłem.
- Za to dobrze, Mason, że mi to mówisz. A co z dzieckiem?
- Siekiera odwiózł mnie do domu.

– Co z dzieckiem? – powtórzył Aaron. – Siekiera gdzieś je zabrał.

Brak odpowiedzi.

– Co zrobił z dzieckiem, Mason?

– Nie rozmawialiśmy o tym.

Teraz Aaron obdarował idiotę łaską anielskiego dotyku. Wstał i położył dłonie na kruchych ramionach aktora.

– Świetnie się spisujesz, Mason, ale musimy dojść do samego końca. Co Siekiera zrobił z dzieckiem?

– Nie wiem, nie wraca do tego tematu.

– Żeby zadośćuczynić, Mason, wyrzuty sumienia nie wystarczą. Musisz odpokutować.

– Wina i pokuta – mruknął Book. – Jak tytuł filmu.

– Dobrego filmu. Mógłbyś w nim zagrać główną rolę.

Book zaśmiał się nosowo, nieludzko. Wysunął się spod dotyku Aarona, chwycił dwoma palcami przód własnej szyi i odciągnął blady kawałek skóry.

– Nie jestem gwiazdą. Jeszcze za mało.

– Czego za mało?

Zamknął oczy i wykręcił skórę.

Aaron siłą rozprostował mu palce. Szyja Booka pozostała blada. Tak się zabiedził, że nawet krew słabo krążyła.

– Mason, była jeszcze jedna dziewczyna, Caitlin.

– Kto?

– Blondynka, dwadzieścia lat, pracowała w Riptide.

Zmarszczył czoło. Dwadzieścia sekund szczerego namysłu. Pokręcił głową.

– Caitlin Frostig – powtórzył Aaron. – Dziewczyna Rory'ego.

– Rory. To mój asystent.

– Chłopak na posyłki.

– Aha.

- On też ma twój PIN?
- Nie, dostaje drobną gotówkę.
- Na co?
- Na to, czego potrzebuję.
- W tym kokę, amfę i inne takie?

Book zmarszczył brwi.

- Nie powinien mieć kłopotów.
- Dlaczego?
- To dobry asystent.
- Zawsze pod ręką.
- Aha.
- Caitlin Frostig była jego dziewczyną.

Cisza.

- Długie jasne włosy – ciągnął Aaron. – Dwadzieścia lat, studiowała z Rorym...
- Hostessa – przerwał Book.
- Znasz ją.
- Niezła. – Pokiwał głową. – Lubię wysokie blondynki.
- Bawiłeś się z nią kiedyś?
- Nie chciałyby.
- Skąd wiesz?
- Lubiła Rory'ego. Mówił, że się kochają.
- Na pewno poderwałeś mnóstwo dziewczyn, które miały chłopaków.
- No tak – przyznał Book. – Ale od razu widać, które się zgodzą.
- Rory opowiadał coś o Caitlin?

- Tylko to.
- Dobry asystent?
- Marzy, żeby zostać agentem. Obiecałem mu pomóc, kiedy będzie gotowy.
- Czyli?
- Jak skończy studia.

Aaron znów usiadł.

- Mason, czy chcesz mi coś powiedzieć o Caitlin Frostig?
- Na przykład co?

Facet był aktorem, ale teraz na pewno nie grał. Głowę Aarona wypełnił obraz skrzywionej twarzy pana Dmitriego.

- Na przykład cokolwiek, Mason.
- Noo... Była jak w tej piosence Davida Lee Rotha *Dziewczyny z Kalifornii*. Ale nie nadawała się do zabawy.
- Dlaczego?
- To widać od razu.
- Założę się, że ty widzisz, Mason... Dobra, muszę cię stąd zabrać. Na wypadek, gdyby Siekiera wrócił.

– Jest u ojca. Wszystkich odesłałem.

– Kim są wszyscy?

– Rory. Kimora.

– Kimora?

– Sprząta.

Chciał w samotności wykonać swój ostatni lot.

– Mimo to cię stąd zabiorę – stwierdził Aaron. – Włóżmy jakieś ubranie.

W olbrzymiej, zabałaganionej garderobie olbrzymiej, zabałaganionej sypialni z kopulastym świetlikiem w suficie Aaron znalazł jedwabne szorty ze sklepu na Savile Row, dzinsy Rock & Republic rozmiar dwadzieścia dziewięć, czarną bluzę Gucciego, mokasyny ze skóry aligatora za

tysiąc dolarów. Book bez wstydu zrzucił szlafrok i bezwolnie, jakby był z gumy, pozwolił się Aaronowi ubrać. Dżinsy okazały się za duże; Aaron zaciągnął w talii aktora pasek ze skóry pytona.

– Nieźle wyglądasz, Mason.

Book się zaśmiał.

– Gdzie jest kod do otwierania bramy?

– Nie wiem... to robi Kimora.

– Może gdzieś znajdę?

– W kuchni.

– Pokaż mi.

Na kartce obok telefonu w kuchni widniała kolumna kodów do bramy i numerów telefonów do różnych specjalistów. Aaron wybrał opcję, która pozostawiała bramę otwartą w nieskończoność. W razie czego później powie, że tak ją zastał, wcale nie wtargnął na posesję.

Nie tłumaczyło to, dlaczego znalazł się tuż nad urwiskiem, kiedy Book zamierzał ze sobą skończyć. Ale tu chodziło o morderstwo. Aaron uratował facetowi życie i uznał, że nic wielkiego mu nie grozi.

– Dobra, kolego, przyskamy.

Book ani drgnął. Gapił się na chromowanego traulsena, z którego wcześniej wyjął odżywkę.

Wtedy Aaron zrozumiał: to była próba ostatniego posiłku. Book uważał się za więźnia.

Mimo to nie potrafił się zmusić, żeby zginać z pełnym żołądkiem.

– Chcesz coś przegryźć, zanim pójdziemy, Mason? Może pić?

Book odsunął się od lodówki, wolno kręcąc głową.

– Twój anioł uważa, że powinieneś coś zjeść.

– Ee – powiedział Book. – Jeszcze za mało.

– Za mało czego, Mason?

Aktor znów chwycił palcami skórę na szyi.

– Za mało zrzuciłem.

To dopiero byłoby zdjęcie.

Aaron wyobraził sobie ten kadr.

Mason Book wlecze się w dół Swallowsong Lane pod rękę z „beziemiennym towarzyszem”.

W zasięgu wzroku ani jednego paparazzo.

Za ile mógłbym to sprzedać tabloidom?

Book się potknął.

– Powoli, Mason.

Był beziemiennym czarnym towarzyszem. Bez wątpienia uznaliby, że to ochroniarz, może z kryminalną przeszłością. I co z tego.

Book nie stawiał opora, kiedy Aaron wsadził go na fotel pasażera opla.

– Niezły wózek – mruknął. – Takimi jeżdżą w niebie? – Zaraz potem zasnął.

Aaron szturchnął gwiazdora palcem, żeby się upewnić, że facet nie udaje, potem zapiął mu pasy. Wyciągnął plastikowe pęta, użył trzech: spiął razem obie ręce Booka, potem przypiął prawą do pasa na brzuchu. Uwolnienie się z tego nie sprawiłoby dużego problemu, ale w obecnym umysłowym i fizycznym stanie aktora takie zabezpieczenie było równie pewne, jak stalowa klatka.

A teraz – dokąd go zawieźć?

Wkładając kluczyk do stacyjki, Aaron przypomniał sobie o trzech nieodebranych połączeniach. Sprawdził komórkę.

Trzy SMS-y od Liany – a raczej jeden powtórzony trzy razy: „wgodn zrdl: riptide adella z dmnt nie wre”.

Teraz już wiedział, dokąd zabrać swojego nowego kumpla.

Moe odebrał telefon, kiedy razem z Petrą kończyli kawę i jajecznicę U Denny’ego niedaleko Hollywood Station. Raymond Wohr siedział w pojedynczej celi; wcześniej posilił się pączkami, batonikami Hershey i napojem Mountain Dew.

– Późno pracujesz, Moses – odezwał się Aaron. – Myślałem, że włączy się poczta.

– Pracowita noc.

– Zapowiada się jeszcze bardziej pracowita. Mam kogoś, kogo chciałbyś poznać.

– Czyli?

Aaron mu powiedział.

– Zrobiłeś coś nielegalnego, co nas załatwi? – spytał Moe.

– Ja? Byłem aniołem.

Moe i Petra pojawili się w biurze Aarona trzydzieści pięć minut później. Mason Book spał

spokojnie pod wypchaną pierzem kołdrą w rzadko używanym pokoju gościnnym. Plastikowe pęta wciąż miał na rękach; teraz był przypięty do grubej, mosiężnej nogi łóżka.

Przespał całą drogę, nie poruszył się nawet, kiedy Aaron zarzucił go sobie na ramię i wniósł

po schodach. Pozostawał tak bezwładny, że detektyw kilka razy sprawdzał mu oddech. Spokojny i równy, dobry, mocny puls. Za drugim razem, kiedy Aaron szturchnął Booka, ten otworzył oczy, uśmiechnął się jak szczęśliwe dziecko i znów zasnął.

Po części dlatego, że zeszła mu adrenalina, ale badanie krwi na pewno dałoby bardzo interesujące wyniki. Aaron przeniósł nagranie z dyktafonu na komputer, potem skopiował na płytę, którą na koniec zamknął w sejfie.

Booka należało trzymać w ukryciu, dopóki nie będzie miał kryształowo czystej krwi. Aaron znał lekarza, na którym mógł polegać; pomógł mu przejść przez wyjątkowo wredny rozwód.

Facet bez przerwy proponował darmowe badania, ale Aaron nie wierzył w lekarzy, dopóki człowiek jest zdrowy. Albo dopóki nie potrzebuje ich do zadań specjalnych.

Na razie Book musiał zostać tutaj.

Dokładnie to samo Aaron powiedział Moemu i Petrze, kiedy zaczęli mówić, że trzeba gwiazdora aresztować.

– Rozumiem, o co ci chodzi – przytaknął Moe, zaskakując brata. – Ale dopóki go nie spiszemy i nie zamkniemy, to wygląda jak porwanie.

– Dlaczego? Jest moim gościem – odparł Aaron.

– Gość przykuty do łóżka?

– Nic takiego nie widzieliście. Żadne z detektywów się nie odezwało.

– Uratowałem mu życie – ciągnął Aaron. – Logiczne, że jest zależny ode mnie i że wy na tym skorzystacie.

– Jasne, sprowadź jeszcze jakąś dziewczynę i będzie impreza – odparła Petra.

– No właśnie.

Moe się skrzywił.

– Imprezę obiecano Adelli. Wierzysz Bookowi, że nie wiedział o planach Siekiery?

– Wierzę.

– A w to, że niby nie wie, co się stało z dzieckiem?

– Gdzieś w głębi duszy czuje, że Siekiera zabił małego; między innymi stąd się bierze jego pogarda dla samego siebie. Ale w tej chwili nie przyzna się do tego. Dlatego właśnie trzeba go przytrzymać. Dajmy mu czas, żeby się otrząsnął, ja nad nim popracuję, otworzy się bardziej.

– Albo wręcz przeciwnie – stwierdził Moe. – A jeśli się zamknie? Lub, co gorzej, dostanie jakiegoś ataku?

– Każę go obejrzyć lekarzowi.

Moe wciąż się wahał.

– Sam nie wiem...

– Słyszałeś nagranie – przekonywał Aaron. – Gdyby nie ja, Book byłby plamą truskawkowego dżemu na dnie kanionu. Właśnie dałem wam w prezencie bonanżę.

Detektywi wymienili spojrzenia.

– O czymś nie wiem, chłopcy? – spytała Petra.

– Mamy własną bonanżę wyjaśnił Moe.

Aaron ze spokojem mistrza zen wysłuchał informacji, jak Raymond Wohr przyznał się do wystawienia Adelli. Tak samo przyjął wieści o zamordowaniu Alicii Eiger i bilingu potwierdzającym telefon Wohra do Siekiery Dementa trzy godziny przed jej zadżganiem.

– To idealnie pasuje do zebranych przeze mnie danych – oznajmił, kiedy skończyli. – Adella знаła młodego Dementa z Riptide, ale nie Booka. Była problemem Siekiery, bo to on zmagstrował jej dzieciaka. Czyli Book mówił prawdę, robił tylko za przynętę. Wszystko zaczyna się układać w całość. Naoczny świadek łączy Siekierę z Adellą, a logika każe zakładać, że Dement junior jest głównym podejrzanym w sprawie Alicii.

– Ciekawe, co taki drań mógł jeszcze nawywijać – powiedziała Petra. – Jest teraz na ranczu ojca?

– Zastanawiasz się, czy jeszcze czegoś byśmy tam nie wykopali? – Aaron pokiwał głową. –

Na przykład kości dziecka?

– Przeszło mi to przez myśl. Moe potarł potężny biceps.

Ramiona Aarona wciąż pulsowały bólem. Gdzie byłeś, kiedy cię potrzebowałem, braciszku?

– Typowa historia – powiedział. – Dziewczyna zachodzi w ciążę z niewłaściwym facetem, próbuje na tym zarobić, przesadza. Dziecko może być pochowane w Leo Carrillo, gdzie Siekiera i Book jeździli zapalić. Jakby to była kaplica.

– Po co kaplica Bookowi, jeśli jest czysty? – spytał Moe.

– Nie wiem... Może jednak Book wie więcej o dziecku. Tak czy inaczej, ja bym tam wysłał psy.

– Kolejny dzień na plaży – mruknęła Petra. Do Moego: – Czy Siekiera jest u ojca czy nie, mamy pretekst, żeby tam wejść.

Moe kiwnął głową.

– Jeszcze jedno – wtrącił Aaron. – Co Wohr powiedział o Caitlin?

– Widział ją raz czy dwa.

– Nie kłamie?

– Tak myślimy.

– Czyli Caitlin to zupełnie inna historia. – W co ja się, do cholery, wpakowałem? Dzień dobry, panie Dmitri...

– Niekoniecznie – odparła Petra. – Siekiera mógł zabić Caitlin, bo po prostu to lubi. Nie potrzebował gwiazdora, więc mu o tym nie powiedział.

– Nie chciał, żeby Book za dużo wiedział, bo ten jest umysłowo niestabilny – rozważał

Aaron. – Tak, to ma sens.

– Równie dobrze Siekiera może czekać na odpowiednią porę, żeby się pozbyć sławnego przyjaciela – dodał Moe. – Zagłodzony narkoman ze skłonnościami samobójczymi? Nikt niczego nie będzie podejrzewał.

– Takie piórko łatwo zrzucić – przyznał Aaron.

– Motywem w przypadku Caitlin mogło być pożądanie – ciągnął Moe. – Albo wiedziała za dużo. Od Adelli lub Stoltza, który kłapał jadaczką i się jej zwierzył. Przestraszyła się, zagroziła, że pójdzie na policję. Zamiast ją chronić, Rory powiedział Bookowi. Albo poszedł prosto do Siekiery i go ostrzegł.

– Sprzedał własną dziewczynę? – spytała Petra. – Żadnych skrupułów.

– Rory załatwia prochy Bookowi – przypomniał Aaron. – Więc nie jest takim porządnym, uczciwym chłopcem, za którego uważa go mama. Mały fiutek chce, żeby jego posada asystenta przełożyła się na niezłą robotę u sławnych i bogatych.

– Całkowite zepsucie – podsumowała Petra. – Doskonały wstęp do pracy w branży.

– Czyli kości Caitlin mogą być pogrzebane na ranczu – wywnioskował Aaron. – Kolejny powód, żeby tam wejść.

– Wciąż mnie męczy stan Booka – wahał się Moe.

– Chcecie go zabrać, jest wasz. Ale to oznacza rozgłos, prawników, zamieszanie, nad którym nie zapanujecie. Zostawcie go tutaj, a sprowadzę lekarza i kogoś pewnego, żeby go pilnował.

Wyobraził sobie minę, jaką zrobiłaby Liana, dowiadując się o swoim nowym zadaniu. Przy pięknej kobiecie aktor poczułby się jak u siebie w domu. Co tam, mogłaby nawet założyć blond perukę.

– Kiedy tu wrócimy, Book będzie żelował włosy i jadł stek.

– Wrócimy skąd? – spytał Moe.

– Z naszej małej imprezki.

– Naszej?

– Cóż, Moses, lubię zaimki liczby mnogiej. – Aaronowi wydawało się, że zauważył uśmiech Petry, ale teraz wyglądała poważnie i nie umiał odczytać jej nastroju. – Braciszku, nie proszę cię o wylewne okazywanie wdzięczności. Ale załatwiłem ci czyste złoto, dlaczego chcesz się mnie pozbyć?

Teraz Petra zdecydowanie się uśmiechała. Zakryła usta szczupłą, białą dłonią.

Moe uniósł brwi.

– Jak sądzisz, partnerko?

– Ja nie mam nic przeciwko, ale to ty decydujesz.

Moe przesunął palcem pod kołnierzem koszuli. Jeszcze raz rozmasował rękę, jakby coś go bolało, i spojrzał na Aarona.

– Dzięki. Braciszku.

Przyjęcie zaczęło się o czwartej rano.

Proszę przyjść we własnych kamizelkach kuloodpornych; nie wymagamy potwierdzenia przybycia.

Na otwartą przestrzeń musieli się dostać pod osłoną nocy. Szarej raczej niż czarnej, dzięki skąpemu lukrowi gwiazd i rozmytemu różkowi księżycy.

Detektywi Departamentu Policji Los Angeles Moses Reed, Petra Connor i Raul Biro przyjechali na działkę Dementa nieoznakowanymi sedanami. Zastępca prokuratora okręgowego John Nguyen siedział z tyłu samochodu Petry, emerytowany detektyw LAPD Aaron Fox towarzyszył bratu.

Przed nimi w przerobionym, wojskowym humvee wiozło się sześciu funkcjonariuszy pożyczonych z dwunastoosobowego oddziału specjalnego, mistrzowie sztuki zaskoczenia.

Konwój zamykało piętnaścioro zastępców szeryfa, w tym dwóch poruczników i kapitan. Aż tyłu oficerów, bo Malibu było ich jurysdykcją.

Sława podejrzanego prawie wszystko popsowała. Ludzie szeryfa wyklócali się o „szczegółową międzydepartamentową sesję planowania”, „strategiczną zwłokę” i potrzebę zachowania ostrożności z tą „prestizową rodziną”.

Przekładało się to na krycie tyłka i wymówki, żeby nalot przesunąć na długo po świcie, a wejście na teren posiadłości zacząć telefonem spod bramy, dając Dementom lub komuś z ich pracowników szansę podjechać z rancza i otworzyć kłódkę.

– No jasne – rzucił John Nguyen. – A przeszukanie niech nadzoruje OJ.

Szef Nguyena zadzwonił i przywrócił logikę.

W geście ratowania twarzy, kapitanowi szeryfa Carlowi Neihroidowi pozwolono przeciąć kłódkę.

Chwilę to trwało, bo była mocna, a Neihroid od lat siedział za biurkiem, nie używał nożyc od czasów, kiedy jako nowicjusz robił naloty na handlarzy narkotyków.

Kilka stęknień później stal ustąpiła i brama stanęła otworem.

– Naprzód – powiedział dowódca oddziału specjalnego Juan Silva. – Wyłączyć światła, dziesięć na godzinę. – Mówił pewnym siebie głosem, ale nikt nie wiedział, co ich czeka.

Droga dojazdowa była prawie kilometrową szutrówką, wijącą się wśród wysokich traw, rozrzuconych z rzadka kęp rozmarynu, zagonów maków, skarłałych od wiatru sykomor i kochających suszę kalifornijskich dębów.

Ani śladu stróżujących psów, żadnego wycia alarmów.

Pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie droga rozszerzała się w rozległą równinę, Aaron zauważył maleńkie, mrugające światełka w konarach wielkiego dębu. Zapalały się i zaraz gasły.

Jakby gwiazdy spadały na ziemię i umierały po jej dotknięciu.

Chwilę później: znów błyski, tym razem z nijakiej kępy szaławii.

– Widzisz to, Moses?

– Co?

– Kamery na podczerwień, wszędzie ich tu pełno.

Moe wezwał przez radio Juana Silvę.

– Widzieliśmy – zameldował Silva. – Właśnie mieliśmy dać wam znać. Zakładamy hełmy. I zwalniamy jeszcze bardziej, do trzech na godzinę. Nikt nic nie robi, dopóki nie powiem inaczej.

Hummer zatrzymał się na skraju równiny, zostawiając akurat tyle miejsca, by Moe wepchnął się tam swoją crown victoria.

Za otwartym łukiem drzew rozciągała się goła ziemia, srebrnoszara.

Według asesora hrabstwa, działka Lema Dementa miała dwadzieścia pięć i pół hektara, ale z tego, co Moe widział, tylko jeden czy dwa były płaskie; reszta to nakładające się na siebie wzgórza, niknące w ciemności.

Na lewo od wjazdu na równinę, z dwadzieścia metrów dalej, znajdowała się zagroda. Kiedyś, bo teraz płot leżał przewrócony i brakowało zapachu końskiego łajna.

Moe opuścił szybę kolejne pięć centymetrów. Tu w ogóle niczym nie pachniało.

Humvee stał bez ruchu; Moe spojrzał na prawo od wjazdu, dalej niż zagroda po lewej.

Najbliższą budowlą był duży dom – wielki prostokąt, widoczny na zdjęciu satelitarnym Google Earth Aarona. Dalej wznosiło się kilka mniejszych budynków – szopy albo domki, rozsypane u podnóża wzgórz. Moe naliczył cztery, ale w ciemności mogły się kryć inne. W

piachu rosły trzy dęby; poskręcane gałęzie i uschłe liście wycinały dziwne kształty na niebie.

Ani śladu żadnego kościoła, maszyn budowlanych. Ale łysy kawał ziemi na zdjęciu satelitarnym był wyraźny: daleko z prawej, trzydzieści kroków od domu.

Wielki spłacheć terenu odgradzony sznurkiem napiętym na drewnianych kołkach.

Wstępny zarys jakiejś budowy, ale ziemia nienaruszona.

Nie dotyczyło to kopania ręcznego.

Hummer nadal stał w miejscu; Moe zaczął się martwić, że silnik za głośno warczy. Ale w domu ani w żadnym z mniejszych domków nie zapaliły się światła.

To akurat mogło znaczyć wszystko.

Dziwne miejsce na wychowywanie dzieci, mocno wyizolowane. Zupełnie nie w hollywoodzkim stylu. Lem Dement zbił fortunę na swoim rzekomo religijnym filmie, ale kto by przypuszczał, widząc jego domostwo.

Główny budynek był duży, ale prosty. Niski, ze ścianami z bali, z pochyłym dachem, na którym zamontowano antenę satelitarną, i długim na cały front gankiem, umeblowanym kilkoma składanymi krzesłami.

W tym miejscu znajdował się kiedyś letni obóz. Dom był prawdopodobnie budynkiem administracyjnym i stołówką.

Dzisiaj nie będzie zielonej nocy.

Przed domem stało kilka samochodów, ale Mosesowi zasłaniał je hummer.

– Hearst Castle to nie jest – szepnął Aaron. – Raczej typowa myśliwska hacjenda.

W głowie Moe pojawiły się obrazy. Głowy nad kominkami. Trofea, których nie chciałby oglądać żaden porządny człowiek. Milczał. Pół minuty później przez radio zgłosił się Juan Silva.

– Zaparkujemy przy zagrodzie dla koni, ale wy się nie ruszajcie. Hunwee podtoczył się do jednego z przewróconych fragmentów ogrodzenia, zatrzymał, wyłączył silnik.

Teraz Moe widział cały front domu; na samym środku znajdowała się nagroda główna, czarny ram Ahaba „Siekiera” Dementa, prawdopodobna skarbница dowodów rzeczowych.

Obok stało osiem innych pojazdów w idealnym szeregu. Jakby precyzja była dla kogoś ważna.

Aaron rozpoznał czarne bmw X5 Gemmy Dement. Pozostałe samochody odpowiadały danym rejestracyjnym, które zdobył Moe: mercedes coupe Lema Dementa z tablicami LEMDEM, pickup escalade z LDTOO, trzy mercedesy kabriolety, należące do syna numer dwa, sobowtóra Ahaba o imieniu Japhet oraz nastoletnich Mary Giles i Paula Mikięgo. Na końcu, dosłownie i w przenośni, stał stary jensen interceptor na czterech sflaczałych oponach, mocno powgniatany.

Czas włókł się jak żółw, a oddział specjalny planował i planował w swoim opancerzonym wozie.

Wszędzie ciemne okna, nic nawet nie mignęło. Kamery na podczerwień przekazywały obraz, którego nikt nie oglądał? Czy ochrona Dementa objęła się w pracy?

A może cała rodzina grzecznie spała, nie spodziewając się, że za chwilę spotka ją najgorszy

koszmar?

– Wychodzę sprawdzić – zgłosił przez radio Juan Silva.

Moe patrzył, jak wysoka postać w hełmie bezgłośnie zakrada się na tył domu. Kilka chwil później Silva znów się pojawił i wsiadł z powrotem do hummera.

– Z tyłu jest drugi ganek i dwie pary drzwi, kiepskie zamki. Zauważyłem śpiące dzieciaki, więc to komplikacja. Wiecie, kto czy co jest w tych domkach z tyłu?

– Nie – powiedział Moe.

– Widziałem trójkę dzieci w jednym pokoju, na piętowych łóżkach, i dwójkę w pojedynczych. Zostają jeszcze dwójka i rodzice, a dom bardzo przestronny, więc mogą być wszędzie. Potrzebujemy jak najwięcej ludzi, żeby szybko zabezpieczyć teren. Nasza szóstka idzie przodem, reszta mundurowych za nami jako wsparcie. Dobrze, kapitanie Neihrold?

– Jasne – odparł kapitan.

– Nie znaleźliśmy żadnych informacji, że na miejscu mieszkają pracownicy – zameldował

Silva. – Ale to logiczne, że muszą tu jacyś być. Może są niezarejestrowani, i stacjonują w tamtych domkach. Biorąc pod uwagę odległości, uznajemy ich za średnie zagrożenie, więc detektywi mogą stać na straży. Raczej będziecie się nudzić, chyba że ktoś tam ma wojskowy sprzęt dalekiego zasięgu.

– Nie widzę żadnych wyrzutni rakiet – poinformował Moe.

– Właśnie to, czego pan nie widzi, może pana ugryźć, detektywie. Dowcipniś, powiedział

bezgłośnie Aaron.

– Kryjcie się za drzewami – ciągnął Silva. – Miejcie oczy i radia otwarte. Powinno pójść gładko, ale kiedy już otworzymy tę puszkę, może się zrobić interesująco.

Samochody policyjne jeden po drugim wtoczyły się na równinę, zaparkowały obok zagrody, wypłuły pasażerów.

Jeszcze jedna krótka, szeptana narada między Silva, Neihroldem i Moem.

O czwartej siedemnaście Silva dał znak i poprowadził swój oddział do wielkiego domu.

Postacie w hełmach rozproszyły się, otoczyły budynek. Zastępcy szeryfa stali tuż za nimi. Moe, Petra i Raul pobiegli do kępy dębów.

John Nguyen został w samochodzie Petry – nie po to, do diabła, kończył prawo, żeby się bawić w komandosa.

Aaron wysiadł z crown victorii i dołączył do brata za drzewem.

Moe popatrzył na niego. Pokręcił głową.

Z rezygnacją, nie ze sprzeciwem.

Sygnał.

Jednoczesne wyważenie drzwi frontowych i dwojga tylnych. Trzaskające drewno, tłuczone szkło, jak zwykle wyrzaskiwane ostrzeżenia.

Światło z przodu.

Żadnej reakcji z domków z tyłu. Moe i reszta skupili się na przebiegu akcji.

Pierwsze skutki nalotu pojawiły się po kilku chwilach: Siekiera Dement, z kucykiem, nagą piersią i spodniami od pizamy zawiązanymi pod obwisłym brzuszyskiem, został wyciągnięty na zewnątrz przez dwóch największych antyterrorystów. Skuty za plecami, ze zwieszoną głową i ledwie otwartymi oczami, szurał nogami, wleczony przez policjantów.

Dalej: jego brat Japhet, w szortach i koszulce z napisem „Occidental College”. Skuty, skołowany, potknął się kilka razy, kiedy zastępcy szeryfa sprowadzali go po schodach.

Już nie był sobowtórem Siekiery: zrzucił z piętnaście kilo, zgolił brodę, ostrzygł włosy na schludnego blond jeża.

Nie wyglądał źle – więcej matki niż ojca, pomyślał Aaron. Czekał, aż pojawi się Gemma.

Było mu jej żal. Mąż bokser, syn morderca psychopata.

Co by powiedziała na widok Aarona?

Pochlebiał sobie, że obdarzyłaby go szczególną uwagą.

Zastępcy szeryfa przyprowadzili jeszcze trójkę – najmłodsze dzieci Dementów. Jedno się załamało i rozplakało; mundurowy wziął je na ręce.

Dalej dwójka nastolatków – Mary Giles w różowym szlafroku. Wysoka, szczupła, długie ciemne włosy i regularne, ładne rysy swojej matki. Nieskrępowana, trzymana tylko za ramiona.

Nagle zaczęła się wrywać.

– Dlaczego to, kurwa, robicie!

Jej wrzask na pewno dochodził do domków.

Stamtąd – żadnej reakcji. Były puste albo zajęte przez nielegalnych imigrantów, zbyt przerażonych,

żeby się pokazać. Tak czy inaczej – dobrze. Powinno pójść gładko.

Kiedy odprowadzano Mary Giles, dwaj inni zastępcy pojawili się z ostatnim z młodych Dementów, siedemnastoletnim Paulem Mikim. Workowata koszulka, opadające szorty. Surferska fryzura, pryszczata twarz, chudy jak czapla.

Oszołomiony i bierny.

Oprócz Siekiery Dementa, wsadzonego na tył Hammera, wszystkie dzieci wywieziono poza posiadłość.

Juan Silva wyszedł z domu, wypatrzył Moego, podbiegł.

– Mamy trochę trawki, trochę broni: trzy rewolwery, dwa sztucery. Do tego kolekcja noży, wszystko z pokoju Siekiery. To było na widoku, możecie szukać dalej do woli. Gdzie odstawić podejrzanego?

– Na razie zostawcie tutaj – odparł Moe. – Co z rodzicami?

– Główna sypialnia pusta, łóżko zasłane. Spytałem córkę, gdzie są, ale mnie zbluzgała. Mają inny dom?

– Nic o tym nie wiemy. – Moe pokręcił głową. – Kiedyś mieszkali w Hollywood Hills, ale tamten dom ktoś wynajmuje.

Silva uciekł wzrokiem. Nudził się, kiedy zrobił już swoje.

– Może pojechali na wakacje. – Zerknął na hummera. – Przesadzimy chłopaka do waszego samochodu, dobra?

– Najlepiej do mojego – zaproponował Biro. – Mam klatkę.

– Jasne... – zgodził się Moe. – Teraz sprawdzmy tam. – Wskazał domki. – Potem wzywam ekipę koronera i kilka psów.

– Niezły plan – powiedział Silva.

Zdjął hełm i przeciągnął dłonią po krótkich, czarnych włosach. Pewny siebie i zblazowany, kolejna misja wykonana.

Jego poza zniknęła chwilę później, kiedy nocną ciszę rozerwał huk wystrzałów.

Trzy wystrzały, jak sznurek petard.

Kilka sekund ciszy.

Krzyki, rozkazy.

Kiedy Juan Silva, trójka detektywów i czterej inni antyterrorysty zajęli nowe pozycje bliżej domków, w dwóch frontowych oknach środkowego zapaliły się światła.

Wszyscy pomyśleli to samo: Dziwne. Po co się zdradzać?

Zza koronkowych firanek widać było tylko żółte światło.

Raz, dwa, trzy – pistolety i karabiny wycelowały w okno.

Aaron Fox trzymał się kilka kroków z tyłu. Wystarczająco blisko, żeby wszystko widzieć i słyszeć, ale w bezpiecznej odległości od nerwowych palców na spustach.

Cel miał spadzisty dach, ściany z bali i kryty ganek na całym froncie. Miniaturka głównego domu.

Silva podał karabin jednemu ze swoich ludzi, przyłożył zwinięte dłonie do ust.

– Policja, wychodzić! Tyłem, z rękami na głowie! Jesteście otoczeni! Wychodzić!

Nic.

Silva powtórzył ostrzeżenie, dał znak dwóm swoim ludziom, żeby zaszli domek od tyłu.

Zanim ruszyli, rozległ się kobiecy głos:

– Jestem bezpieczna... dziękuję. Chodźcie. Proszę.

– Niech pani wyjdzie.

– Nie... nie mogę się ruszyć... boję się. Proszę.

Juan Silva naradził się z ludźmi.

– Zobaczcie, czy dacie radę się włamać od tyłu. Jeśli wszystko gra, wyjdźcie frontem.

Gemma Dement siedziała na brzoskwiniowym bujanym fotelu obok zapleśniałego plastikowego łóżka w kształcie wyścigówki. Ubrana była w grubą, za dużą kraciastą koszulę i różowe spodnie od dresu. Łóżko miało realistyczne opony, światła, zderzaki. Pstrokata kołdra też w samochody – ferrari, lamborghini i inne ostronose potwory. Takie same poduszki, bardzo dużo poduszek. Sądząc pod wysokości i grubości kołdry, pod spodem leżała dodatkowa pościel.

Na wzgórzach Malibu noce bywały zimne; w domku nie zainstalowano ogrzewania.

Rozpuszczone jasne włosy Gemmy skręcały się od wilgoci znad dalekiego oceanu.

Brzoskwiniowy kolor fotela ładnie podkreślał jej cerę. Najpierw błagała Silvę, potem spróbowała uśmiechów i trzepotania rzęsami. Twierdziła, że się zmoczyła i wciąż ze strachu nie może się ruszyć. Na spodniach od dresu nie było widać żadnych śladów problemów z pęcherzem, ale nikt nie kazał kobiecie wstawać.

– Raul, przynieś aparat – poprosiła Petra.

Biro wyszedł.

Gemma Dement ściągnęła usta.

– Tak się bałam – wyrecytowała drewnianym głosem. – Chciał mnie uderzyć. Znowu.

Na prawo leżał mały, kanciasty, chromowany pistolet; magazynek od razu przejął Moses Reed.

Na lewo leżał Lem Dement. Płasko na plecach, z jedną mięsistą nogą ugiętą, drugą prosto.

Monumentalna góra brzuszyska mierzyła w sufit. Galaretowatą twarz porastała biała szczecina, schodząca za dekolt koszulki.

Rozdziawił usta. Z bezwładnych warg wystawała sztuczna szczęka – niepełny górny mostek.

Ręce miał grube, włochate, rozrzucone. Lewą dłoń przeszywała dziura o rubinowych krawędziach.

Koszulka reklamująca *Szawła w Pawła*, zmieniła kolor z białego na szkarłatny. Czerwień krwi była głębsza na chłonnym, brązowym welurze dresowych spodni z białymi paskami. Stopy poznaczone błękitnymi żyłami tkwiły w czarnych, zamszowych kapciach z małymi, złotymi wilkami na czubkach.

Pół metra od głowy leżał szary kapelusik, brudny, powycierany, nabity przynętami na okonie.

W pobliżu żadnej wody, kogo on chciał nabrać? – pomyślał Aaron.

Bez konkretnego powodu zaczął liczyć dziury po kulach.

Oprócz rany na dłoni Dementa zauważył dwie w górnej części uda, dwie w korpusie, z czego jedna wyglądała jak ładny, czysty postrzał w serce.

Nieładny i nieczysty w pachwinę. Na sosnowych deskach podłogi rozlewały się kałuże różnych wycieków.

Trzy łuski na widoku, pozostałe pewnie wtoczyły się pod meble albo utkwiły w ścianie – no tak, jedna za łóżkiem, półtora metra nad kołdrą.

Sześć strzałów, sześć trafień.

Wokół żadnej z ran nie było widać przypalonego ciała ani obwódek z prochu, ale trudno mieć pewność przez tę całą krew.

– Znow zaczynam oddychać – powiedziała Gemma Dement.

Pokazała, jak to robi.

Spod kołdry w wyścigówki dobiegł stłumiony dźwięk. Ferrari drgnęło. Wybrzuszył się materiał.

– Cicho tam! – warknęła Gemma.

Petra i Juan Silva chwycili ją za ramiona, podnieśli, odciągnęli od łóżka.

Moe Reed podniósł kołdrę. Na zasikany prześcieradle siedziało dziecko – chłopiec – mały brzdąc, nos jak guzik, pucołowate policzki, rumiany, z czarnymi włosami. Szczękał zębami.

Miał na sobie niebieskie śpiochy, wypchane na pupie pieluchą. Na oko Mosesa wyglądał na dwa lata.

Spojrzenie Gemmy Dement mówiło, że ten gnojek to skaza jej życia.

Aaron pomyślał: była z nim dłużej niż matka, a wciąż go nienawidzi. Ze skurczem żołądka wyszedł do przodu.

Na jego widok Gemma ułożyła usta w „och”, ale nie powiedziała ani słowa. Jej rysy złagodniały. Mechanicznie – dziwnie – się uśmiechnęła.

– Wina i pokuta – mruknął Aaron. Spodziewał się wybuchowej reakcji.

Ale Gemma puściła do niego oko. Bez seksualnych podtekstów. Chytrze i porozumiewawczo. Z pewnością siebie.

Zadowolona z osobistego żartu, którego Aaron nie chciał rozumieć, Moe podniósł

chłopczyka. Mały przyczepił się do niego jak osierocona małpka w zoo, która przytula się do wszystkiego, co ciepłe.

Moe miał niepewną minę; Aaron stłumił uśmiech – przy tym całym nieszczęściu wyszedłby na gnojka.

Jakby jakaś iskra przeskoczyła z ciała chłopca do Moego, bo ten nagle czule przytulił

malucha i zmierzwił mu włosy.

– Gabriel?

Gemma Dement się roześmiała.

– Coś panią bawi? – spytała Petra.

– To nie Gabriel, tylko Azrael. – Znów mrugnięcie, rozbawione i przez to jeszcze bardziej upiorne.

– Izrael, a nazwisko?

– Och, proszę – prychnęła Gemma Dement, jakby usłyszała absurdalne pytanie. –

Poczytajcie swoje pisma. Swoje żydowskie pisma, bo oni wiedzą co i jak.

Chłopiec wtulił buzię w pierś Moego, nie zważając na szorstki kevlar. Gemma Dement zeszywniała, Petra i antyterrorysta zacieśnili uchwyt.

– Pani Dement... – zaczął Moe.

– Ja nie mam się czego bać. Ale pan tak. – Głową wskazała chłopczyka. – Dotyka pan tego dziecka, a ono sprowadza tylko kłopoty.

Malec nie widział Gemmy, ale może wyczuł jej pogardę; zaczął chlipać, przytulony do potężnej piersi detektywa. Moe poklepał malucha po plecach.

– Już, już, kolego. Zabierzcie ją stąd.

Petra i antyterrorysta pchnęli Gemmę do drzwi. Nie opierała się, ale wykręcała tak, żeby nie spuszczać wzroku z malutkiego ciała.

Drugie ciało jej nie interesowało. Krew rozlewała się powoli, miarowo. Policjanci musieli się odsunąć, żeby nie wdepnąć w kałużę.

Ma obsesję na punkcie tego dziecka. Tu chodzi tylko o nie, pomyślał Aaron.

Chłopiec zaczął płakać.

– Ciszej tam! – Lśniące białe zęby wcale nie upiękшыły wściekłego grymasu Gemmy Dement.

Szarpnęła się, ale nie wyrwała. Opluła kamizelkę antyterrorysty. Policjant pozostał nieporuszony.

Chłopiec łkał, spazmatycznie chwycił powietrze, a Moe go pocieszał.

– Bądź przeklęty, Azraelu – powiedziała Gemma Dement, kiedy wyciągano ją za drzwi.

Nie krzyczała. Nuciała – jak inkantację. Beznamiętnym, spokojnym, obłędnie rytmicznym głosem.

Metalicznym jak leżący na podłodze pistolet.

– Bądź sobą przeklęty, bądź sobą przeklęty, bądź sobą przeklęty, Azraelu. Błogosławiony, przeklęty,

błogosławiony, przeklęty aniele śmierci.

Dobre wieści, złe wieści.

To zależało od perspektywy.

Dobre wieści dla Gemmy i złe dla prokuratury były takie, że Maureen Wolkowicz zgodziła się reprezentować oskarżoną. Bezsprzecznie najskuteczniejsza, najbardziej bezwzględna i pozbawiona skrupułów adwokat na zachód od Missisipi.

Nie tracąc czasu, uciszyła klientkę, sprowadziła gromadę psychologów i zorganizowała licznie odwiedzoną przez dziennikarzy konferencję prasową, podczas której ogłosiła, że śmierć Lema Dementa nastąpiła na skutek „najbardziej oczywistego przypadku samoobrony w obliczu chronicznej, okrutnej, wielokrotnej przemocy domowej”.

Jak to się miało do zamordowania Adelli Villareal, porwania i półtorarocznego maltretowania małego Gabriela Villareala – tego Wolkowicz nie powiedziała.

John Nguyen przysiągł się tym zająć. O ile nie zostanie odsunięty.

Od czterech dni czekał na wiadomość, czy sprawy nie przejmie jego szef. To by znaczyło, że i tak całą robotę odwaliliby Nguyen, a szef odśpiewał arię na sali sądowej i wziął na siebie całą chwałę.

John był o wiele lepszym oskarżycielem od swojego szefa, tępaka z mianowania, który – według sądowych wyjadaczy – nie wymusiłby nawet pierdnięcia po talerzu fasoli.

Wszystko rozbijało się o perspektywy.

Łatwy wyrok, sprawa jest moja.

Jeszcze jeden OJ., Robert Blade, Phil Spector – sprawa jest twoja.

Złe wieści dla Gemmy Dement i dobre dla bezpieczeństwa publicznego były takie, że – o czym nie wiedziała ani ona, ani Maureen Wolkowicz – Ahab „Siekiera” Dement nienawidził

swojej matki ponad wszelkie wyobrazenie. Właściwie nienawidził obojga swoich rodziców.

Obiecał więc wszystko wyśpiewać, zanim jeszcze podpisano ugodę, że nie dostanie kary śmierci.

W ogóle zaskakująca persona, ten Siekiera. Mimo tłustych włosów, tępej facjaty i splątanej brody – wizerunku zaściankowego prostaka, który kreował od lat – okazał się inteligentnym, elokwentnym młodzieńcem. Skończył filologię angielską i chemię na Harvardzie i Westlake, a także spędził rok na Stanfordzie, gdzie studiował stosunki międzynarodowe. Potem rzucił studia dla kariery muzyka, z której niestety nic nie wyszło.

– Zamiast sławy wystarczyły mu skutki uboczne – powiedział Aaron. Patrzył przez szybę, jak Moe, John Nguyen, Siekiera i prawnik Siekiery, młody wilk o wyjątkowo pasującym nazwisku Toothy* [*Toothy* (ang.) – zębaty (przyp. tłum.)], tańczą wokół prawniczych detali.

Doktor Alex Delaware kiwnął głową. Przyszedł tu na prośbę Moego. Miał wyrazić swoją opinię na temat oskarżonego o podwójne morderstwo. Delaware zgodził się także sporządzić psychologiczną ocenę Gabriela Villareala i nadzorować psychospołeczny rozwój dziecka, kiedy zostałoby już wysłane do Arizony, do rodziców matki. Właśnie wrócił ze szpitala Western Pediatrics, gdzie Gabriel przebywał na obserwacji. Mały miał się całkiem dobrze.

Za szybą trwało przesłuchanie.

Charles Toothy, w kiepskim garniturze, ale dobrej koszuli i przyzwoitym krawacie, powiedział:

– W takim razie umowa stoi.

– Jeśli – odparł John Nguyen. Toothy na to:

– „Jeśli” będzie „kiedy”. Żeby uniknąć niejasności, zamiast powtarzać te same detale wiele razy i być może o czymś zapomnieć, mój klient przygotował pisemne oświadczenie i chciałby je teraz przeczytać.

Wyjął z teczki pismo – efekt ścisłej współpracy klienta i jego rzecznika.

– Może sobie czytać, co chce – wtrącił się Moe. – Ale musi też odpowiedzieć na wszystkie nasze pytania.

– Na wszystkie, na które się zgodzę – zaznaczył Toothy.

– Jeśli będzie się pan zbyt często nie zgadzał, nici z umowy – zastrzegł Nguyen.

Toothy pogładził swój krawat od Hermesa.

– Jestem pewien, że się dogadamy.

– To się jeszcze okaże.

Siekiera Dement odchrząknął.

– Mógłbym już zaczynać? Chciałbym mieć to za sobą. „Nazywam się Ahab Petrarch Dement. Przyjaciele znają mnie jako Siekierę. Jestem muzykiem, rockowym gitarzystą i elektrycznym basistą. Mój główny adres zamieszkania: to Solar Ganyon 20, Malibu, Kalifornia 90265.

Około trzech lat temu pierwszy raz spotkałem Adellę Villareal. Poznałem ją przez naszego wspólnego znajomego Raymonda Wohra. Pan Wohr pracował jako barman, a panna Villareal prawdopodobnie jako kelnerka w klubie pokerowym w Gardena, w Kalifornii.

»Prawdopodobnie«, ponieważ nie posiadam wiedzy z pierwszej ręki o tych faktach i opieram się na słowach Raymonda Wohra.

Poznałem pana Wohra przez swoje zainteresowanie nielegalnymi substancjami odurzającymi; amfetaminą, kokainą, marihuaną, haszyszem, i środkami uspokajającymi na receptę. Wszystkie te specyfiki w różnych okresach sprzedawał pan Wohr. Wydaje mi się, że poznałem pana Wohra pod klubem Bang Hole w East Hollywood, obecnie niedziałającym. Nie jestem tego jednak pewien, ponieważ wiele moich wspomnień z tamtego czasu zostało wymazanych przez nadużywanie narkotyków.

W pewnym momencie pan Wohr poinformował mnie, że posiada także dostęp do zawodowych prostytutek i z przyjemnością może mnie z nimi umawiać. Nie odwiedzałem prostytutek regularnie, ale czasami korzystałem z ich usług, więc wyraziłem zgodę.

Pan Wohr przedstawił mi kilku prostytutkom, w tym kobiecie, z którą mieszkał, Alicii Eiger. Nie pamiętam dokładnej liczby spotkań z nią ani z żadną inną kobietą umówioną przez pana Wohra, ale było ich kilka. Kiedy znałem już pana Wohra dość dobrze, powiedział mi, że ma teraz »towar wyższej jakości«, lecz ten towar »kosztuje kupę forsy więcej«. Byłem tym zainteresowany i kilka dni później pan Wohr przedstawił mi Adelli Villareal – zauważalnie młodszej, atrakcyjniejszej i, według pana Wohra, »zupełnie świeżutkiej«.

W okresie około jednego miesiąca uczestniczyłem w trzech spotkaniach z panną Villareal –

jedno odbyło się w jej mieszkaniu, dwa w hotelu Millenium Biltmore w Los Angeles. Ponieważ poczułem do panny Villareal niezwykle przywiązanie, w jej urodziny zabrałem ją do baru na Ocean Avenue w Santa Monica, gdzie w przeszłości często bywałem. Lokal nazywa się Riptide.

Podczas swojej drugiej wizyty w Riptide panna Villareal, oficjalnie będąca tam ze mną, poznała i zainteresowała się innym mężczyzną. Tą osobą był mój ojciec, Lemuel Dement, reżyser filmowy. Zaskoczyło mnie to i niezmiernie rozżaliło. Ponieważ jednak rywalem okazał się mój ojciec, nie wiedziałem, jak się zachować. Lemuel Dement, wykorzystując moje zmieszanie, zaproponował mi dziesięć tysięcy dolarów, żebym »poczuł się lepiej«, z zastrzeżeniem, że nie będę żywił urazy do niego ani Adelli Villareal i po prostu »popłynę z prądem«.

Przyjąłem te pieniądze, choć w duchu nie zgadzałem się z takim rozwiązaniem sytuacji.

Czasami czułem się wręcz, jakbym tracił zmysły. Zacząłem zażywać więcej narkotyków.

Moje złe samopoczucie pogarszał fakt, że niedługo po poznaniu Lema Dementa Adella Villareal zaszła z nim w ciążę. Ani panna Villareal, ani Lem Dement nie wydawali się niezadowoleni z takiego rozwoju wypadków. Oboje sprawiali wrażenie wręcz szczęśliwych, a ojciec, zwłaszcza pod wpływem alkoholu, zaczynał napomykać o »życiowej zmianie«, co rozumiałem jako zapowiedź porzucenia mojej matki, Gemmy Dement, i małżeństwa z Adellą Villareal.

Przysporzyło mi to ogromnego emocjonalnego cierpienia i wepchnęło głębiej w bagno okrutnych i agresywnych myśli. Zacząłem przyjmować jeszcze więcej narkotyków oraz częściej korzystać z usług

prostytutek. Czynności te często łączyłem, w czym brali udział Raymond Woehr oraz Alicia Eiger.

Około dwóch lat temu Adella Villareal urodziła chłopczyka, którego razem z Lemem Dementem nazwała Gabriel. Uważam, że to Lem Dement wybrał to imię, ponieważ pod wpływem alkoholu wyznał mi, że dziecko było jego »małym aniołkiem«. Powiedział: »Wygląda jak aniołek, zachowuje się jak aniołek, zasługuje na anielskie imię«. Uznałem, że ojciec podkreśla w ten sposób kontrast między słodyczą dziecka a moim zachowaniem i osobowością, których nie można żadną miarą uznać za anielskie. Porównanie to zraniło mnie emocjonalnie i rozzłościło.

Mimo tego, co Lem Dement opowiadał o nowym życiu, nie porzucił mojej matki i nie ożenił

się z panną Villareal. Wysyłał jej jednak pieniądze na utrzymanie dziecka w kwocie trzech tysięcy dolarów miesięcznie. Płatności dokonywał gotówką; zaoferował mi tysiąc dolarów miesięcznie za dostarczanie pieniędzy Adelli Villareal w różnych restauracjach i barach w Hollywood. Teraz uważam, że mogło to wynikać z okrucieństwa mojego ojca.

W tamtym okresie swojego życia byłem w ciężkiej depresji, rozwścieczony, zdezorientowany i pozbawiony punktu zaczepienia, dlatego gotów byłem zrobić wszystko, żeby tylko zyskać aprobatę ojca. Poza tym otrzymywane od niego pieniądze przydawały się na zakup narkotyków, które brałem regularnie.

Cztery razy dostarczyłem po trzy tysiące dolarów Adelli Villareal. Wszystkie wpłaty przyjmowała bez żadnych uwag. Kiedy przywiozłem jej piątą płatność, zachowywała się inaczej.

Wyraziła swoją frustrację spowodowaną niewystarczającą ilością pieniędzy oraz postępowaniem mojego ojca, który najwyraźniej przestał odbierać jej telefony. Mówię »najwyraźniej«, bo od kiedy panna Villareal mnie odrzuciła, ja i ojciec nie rozmawialiśmy o szczegółach ich związku poza tym, że była »gorąca w łóżku«. Wieczorem, kiedy dostarczyłem piątą płatność, zagroziła, że

»ujawni« fakt, iż Lem Dement jest ojcem jej dziecka, i »rozwali tę sektę biblijnych hipokrytów«, czyli naszą rodzinę.

Nie zareagowałem na tyradę panny Villareal, a także nie wspominałem o tym ojcu.

Opowiedziałem za to o wszystkim swojej matce, Gemmie Dement, kobiecie chorej psychicznie i nadużywającej alkoholu, być może z powodu przemocy domowej, którą stosował wobec niej mój ojciec przez cały okres trwania ich małżeństwa. Moja matka rzekomo była też maltretowana przez kilku mężczyzn, zanim wyszła za Lemuela Dementa. Mówię »rzekomo«, bo moja wiedza o tych faktach jest ograniczona do tego, co mówi matka pod wpływem alkoholu.

Matka na pogróżki Adelli Villareal zareagowała spokojnie. Byłem tym zaskoczony, nawet zaszokowany. Powiedziała mi, że zna sytuację, wie o wszystkim od wielu miesięcy i już zdecydowała, »co z tym zrobić«.

Następnego dnia spotkała się ze mną na obiedzie w The Mesa Rock Cafe w Agoura Hills, w Kalifornii, i przedstawiła swój plan. Miałem porwać Adellę Villareal wraz z dzieckiem i przywieźć

ich do naszego domu przy Solar Canyon w Malibu. Porwanie miało nastąpić w trakcie służbowej podróży ojca. Kazała mi »zrobić wszystko, co konieczne«, żeby osiągnąć »całkowitą kontrolę« nad panną Villareal i dzieckiem, na przykład użyć przemocy, więzów, a »nawet cholernych strzałek usypiających, jak będzie trzeba«. Kiedy panna Villareal znalazłaby się w rękach Gemmy Dement, miała zostać spętana, pozbawiona jedzenia, wody oraz snu i poddana

»redukacji«, aż zgodziłaby się oddać dziecko i zostawić naszą rodzinę w spokoju. Matka zamierzała zaproponować pannie Villareal dziesięć tysięcy dolarów za opuszczenie Kalifornii.

Wyraziłem opinię, że dziesięć tysięcy dolarów nie wystarczy.

Matka uśmiechnęła się i powiedziała: »Cóż, w takim razie sama wykopała sobie grób«.

Zrozumiałem przez to, że śmierć panny Villareal nie zmartwiłaby Gemmy Dement. Poczułem potrzebę uszczęśliwienia matki. Od lat mnie za nic nie pochwaliła. Poza tym zaproponowała mi sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów w zamian za wykonanie jej planu, a także własny dom w Oregonie, stanie, w którym od dawna chciałem mieszkać, ponieważ kocham przyrodę i chcę uciec od miejskiego życia.

W powyższych okolicznościach zrealizowałem zadanie, wykorzystując Raymonda Wohra do umówienia fikcyjnego spotkania między panną Villareal a sławną osobą, której tożsamość wydawałaby się Adelli atrakcyjna. Wybrałem pana Masona Booka, słynnego aktora, ponieważ znam go od kilku lat i wynajmuje on dom od mojego ojca.

Pan Book nic nie wiedział o moim planie, nie brał też udziału w żadnych przestępczych działaniach. Nie miał również wcześniejszych kontaktów z Adellą Villareal.

Spotkałem się z Adellą Villareal w wynajętym pokoju w hotelu Hyatt na Sunset Boulevard w Hollywood. Poinformowałem ją, że Mason Book zmienił zdanie, ale mój ojciec chce się z nią tego wieczoru zobaczyć, bo postanowił w końcu odejść od żony. Miałem instrukcje zawieźć pannę Villareal do naszego rodzinnego domu w Solar Canyon – już wcześniej chciała odwiedzić to miejsce, nigdy jednak go nie widziała. Skłamałem, że moja matka i rodzeństwo wyjechali na wakacje i że będzie tam sama z Lemem Dementem. Poleciałem jej także zabrać dziecko, bo ojciec zamierzał uznać je za swojego legalnego potomka i sprowadził prawnika, by podpisać stosowne dokumenty.

Panna Villareal była początkowo podejrzliwa i zaskoczona moją obecnością. Ponieważ jednak wcześniej przywoziłem jej comiesięczne wypłaty od ojca, ostatecznie mi uwierzyła i zeszła do mojego pickupa.

Zawiozłem pannę Villareal i jej dziecko do Malibu, ale zamiast skręcić do Solar Canyon, pojechałem kilka kilometrów dalej do Plaży Stanowej Leo Carrillo. Lubiłem to miejsce jako dziecko i nastolatek – spacerowałem między drzewami, kiedy byłem przygnębiony, lub chowałem się w krzakach, zażywając narkotyki. Zamierzałem fizycznie obezwładnić pannę Villareal, aby matka miała nad nią całkowitą kontrolę. Z tego powodu zabrałem ze sobą pistolet kaliber 38 i plastikowe kajdanki, kupione w sklepie internetowym m.dominacja.net.

Zatrzymałem samochód tuż przy bramie wjazdowej na parking Plaży Stanowej Leo Carrillo, w miejscu niezbyt osłoniętym, ale uznałem je za odpowiednie, ponieważ sądziłem, że wszystko pójdzie szybko.

Nie poszło szybko.

Panna Villareal bardzo się wściekła, gdy próbowałem ją zmusić, by wysiadła z samochodu i poszła ze mną w ciemne, odludne miejsce. Tam zamierzałem spętać jej ręce. Kiedy stawiała opór, wyjąłem pistolet. Byłem zaskoczony, że się nie przestraszyła, a nawet usiłowała fizycznie mnie zaatakować.

Zaskoczenie przerodziło się w panikę; uderzyłem Adellę Villareal pistoletem w tył głowy, a potem chwyciłem rękami za szyję. Nadal chciałem ją tylko obezwładnić, ale udusiłem. Przestała oddychać.

Kiedy zobaczyłem, co zrobiłem, wpadłem w popłoch. Wsadziłem ją z powrotem do samochodu i zawiozłem daleko od Malibu, do Griffith Park. Wybrałem to miejsce, ponieważ również reprezentowało przyjemne wspomnienie z dzieciństwa – rodzice zabierali tam mnie i moje rodzeństwo na wycieczki do zoo, na karuzelę i do Muzeum Gene'a Autry'ego, gdzie są wystawiane eksponaty związane z przemysłem rozrywkowym i muzycznym.

Zostawiłem ciało panny Villareal w okolicy Fern Dell w Griffith Park i wróciłem do matki, która czekała na mnie na drodze kilka kilometrów od domu. Ucieszyła się na mój widok i powiedziała, że dobrze się spisałem. Stwierdziła, że zmieni imię dziecka na Azrael, najwyraźniej jedno z imion używanych przez Anioła Śmierci. Mówię »najwyraźniej«, bo nie jestem religijny, a wręcz zniechęciłem się do religii, widząc, jak moi rodzice niszczą za jej pomocą siebie i innych.

Choć matka opisuje Azraela jako wszelkie zło, opiekowała się nim od tamtego czasu; między innymi dała mu łóżko-samochód, z którego wyrósł mój najmłodszy brat. Obawiałem się jednak tego, co może w końcu zrobić z synem panny Villareal; wszystko to przysparzało mi wiele cierpień, zwiększało moje niezrównoważenie umysłowe i częstotliwość zażywania narkotyków.

Przez blisko półtora roku śmierć Adelli Villareal pozostawała niewyjaśnioną zagadką i byłem przekonany, że ta zbrodnia uszła mi na sucho. Z całych sił starałem się zapomnieć, co zrobiłem.

Kilka miesięcy później skontaktował się ze mną Raymond Wohr, który zaczął pytać, dlaczego od jakiegoś czasu się do niego nie odzywam. Odparłem, że nie mam czasu. On wtedy powiedział:

»Ale miałeś czas zająć się Adellą i jej małym, co?« W tym momencie uświadomiłem sobie, że jest problem, i poszedłem z tym do matki. Po rozważeniu faktów uspokoiła mnie, że pan Wohr nie wie nic oprócz tego, że odebrałem pannę Villareal z hotelu. Potem powiedziała, że Adella Villareal była »zwykłą dziwką i szmatą, a takie jak ona bez przerwy ktoś zabija« i że pan Wohr to »tylko nędzny alfons«. I dodała: »Spróbuj go spłacić, a jak nie wyjdzie, znajdziemy rozwiązanie«.

Umówiłem się z panem Wohrem, że zapłacę mu pięć tysięcy dolarów w zamian za milczenie. Zgodziłem się także znów korzystać z usług prostytutek dostarczanych przez pana Wohra, najczęściej Alicii Eiger, i płacić za to podwójnie.

Problem pojawił się na nowo dopiero trzy dni temu. Raymond Wohr zadzwonił do mnie i oznajmił, że Alicia Eiger jest niezadowolona, iż nie daję im więcej pieniędzy, i zagroziła, że ujawni swoje podejrzenia w sprawie zamordowania Adelli Villareal. Pan Wohr poinformował

też, że zamordowanie dziecka zostałoby uznane za straszną zbrodnię. Choć on sam, osobiście, »w dupie ma wszystkie bachory«.

Kazałem panu Wohrowi uspokoić pannę Eiger. Odparł, że nie potrafi, że »totalnie jej odwaliło«. Nawrzeszczała na niego i uderzyła go w twarz, w biały dzień na ulicy, Taft Avenue.

Zadzwoniłem więc do Alicii Eiger i powiedziałem, że chciałbym wszystko naprawić. W związku z tym przyjadę do niej z dodatkowymi dwoma tysiącami dolarów w gotówce.

Stwierdziła, że to za mało. Zażądała dziesięciu. Negocjowaliśmy i zgodziliśmy się na siedem tysięcy pięćset dolarów. Umówiłem się z nią na dostarczenie pieniędzy tego samego dnia. Po drodze zatrzymałem się w sklepie z AGD Bed Bath & Beyond w Beverly Center i kupiłem średniej wielkości nóż kuchenny, który mogłem ukryć w kieszeni kurtki.

Pojechałem do Hollywood i zaparkowałem kilka przecznic od mieszkania Alicii Eiger na Taft. Panna Eiger zaprosiła mnie do środka. Wyglądała na pewną siebie. Przez chwilę rozmawialiśmy, potem zażądała pieniędzy. Powiedziałem: »Jasne«, sięgnąłem do kieszeni, odwróciłem ją, obezwładniłem i kilkakrotnie dźgnąłem. W plecy. Nie chciałem widzieć, jak umiera. W przeciwieństwie do tego, co mogą myśleć inni, nie jestem potworem ani sadystą, który lubi patrzeć na cierpienie i śmierć.

Przez wiele lat byłem fizycznie i emocjonalnie zaniedbywany i maltretowany, ale wiem, że zabijałem i muszę za to zapłacić. Mam nadzieję, że otrzymam należytą opiekę, tak by naprawić wady swojej osobowości i nauczyć się, jak być produktywnym członkiem społeczeństwa.

Z poważaniem

Ahab P. Dement”

Siekiera odchrząknął i odłożył papiery.

– To dość wyczerpujące oświadczenie – powiedział Charles Toothy.

– Chyba nie będą państwo mieli zbyt wielu pytań.

– Kiedy pana ojciec wrócił do domu, jak zareagował na obecność dziecka? – spytał Moe.

– Nie umiem odpowiedzieć z własnych obserwacji – odparł Siekiera. – Mieszkałem gdzie indziej. Z tego, co mówiła matka, był wstrząśnięty. Jej słowa brzmiały mniej więcej tak: „Tata prawie posrał się na złoto”. Kiedy jest pijana, przeklina, a dzwoni do mnie najczęściej, kiedy jest pijana.

– Zadzwoniła do pana poinformować, że ojciec wrócił.

- Tak.
 - Był wstrząśnięty.
 - Chciał wiedzieć, skąd dziecko się tam wzięło. Matka podobno nie odpowiedziała mu wprost, ale zasugerowała, że on Adelli więcej już nie zobaczy, a jak będzie robił zamieszanie, cała rodzina może trafić do więzienia. Albo jeszcze gorzej, do piekła.
 - I...?
 - I nic.
 - Pana ojciec się z tym pogodził.
 - Tak.
 - Nie próbował jej pobić?
 - To wcześniej startował do niej z pięściami. Zanim kupiła pistolet. Potem to się skończyło.
 - Całkowicie przestał ją bić.
 - Tak.
 - Jak dawno temu?
 - Hm... może rok. Ale...
 - Ale co?
 - Ona się sama ściska za rękę. Żeby mieć siniaki. Nie wiem dlaczego, po prostu tak robi.
 - Rozumiem – powiedział Moe.
 - A ja nie – odparł Siekiera. – Może tam, gdzie mnie wyślecie, coś mnie oświeci.
 - A może pan oświeciłby nas co do Caitlin Frostig?
 - Kogo?
- Moe powtórzył pytanie.
- Nigdy o niej nie słyszałem. – Siekiera Dement pokręcił głową.
 - Szkoda.
 - Dlaczego szkoda?

– Chcę się zmienić. Pomagać innym.

W piękny, słoneczny poniedziałek Moe Reed i Aaron Fox pojechali na północ Pacific Coast Highway. Aaron siedział za kierownicą swojego porsche. Obaj bracia mieli okulary przeciwsłoneczne i koszule z krótkim rękawem – Aaron białą Mało za trzysta dolarów, Moe granatową bez marki.

Na pierwszy rzut oka byli dwoma przystojnymi, młodymi mężczyznami, jadącymi się zabawić.

Porsche miało maleńki, ledwie funkcjonalny tylny fotel; tak na wszelki wypadek.

Zaparkowali w miejscu dla gości Uniwersytetu Pepperdine, pokazali nakaz w biurze administracji, poszli poszukać Rory'ego Stoltza.

Znaleźli go, kiedy wychodził z seminarium z zarządzania, i odprowadzili od kolegów z grupy na wielki, idealnie zielony trawnik, dzielący kampus od PCH.

Jasne włosy miał nażelowane i schludnie uczesane z przedziałkiem, nie postawione na sztorc, jak kiedy pracował dla Masona Booka. Ubrany był w nieskazitelnie czystą, jasnozieloną koszulę, idealnie wyprasowaną przez matkę, podobnie jak proste spodnie khaki.

Wysoki, smukły, opalony. Żywa reklama Ralpa Laurna, pomyślał Aaron.

Oprócz twarzy, skrzywionej na granicy płaczu.

– Nie możecie...

– Naprawdę? – Moe uniósł brwi.

Rory zrobił głupio stoicką minę, zawzięty dzieciak, jeszcze głębiej utwierdzający się w uporze. Zaczął skubać źdźbła trawy.

– Oto, co wiemy – zaczął Moe. – Regularnie kupujesz narkotyki dla Masona Booka i Siekiery Dementa.

Wypielęgnowane palce zmiądzły garść trawy, opuszki zabarwiły się na zielono. Na Boga, chłopak miał manikiur. Ja mam lepszy, pomyślał Aaron.

– Byłeś także widziany, jak symulujesz zakup narkotyków – ciągnął Moe.

Chłopak zwiesił głowę. Jego ręce zatrzepotały.

– Nie dość, że dowozisz narkotyki Bookowi i Siekierce – ciągnął Moe – to okradasz ich, kiedy każą przywieźć coś na receptę. Wcześniej gromadzisz własny zapas po niższych cenach, im podajesz wyższe. Wysyłają cię po zakupy, ty chwilę jeździsz po mieście i wracasz z towarem, mówiąc, że musiałeś się strasznie napracować, żeby go znaleźć, i zgarniasz zyski. Czasami Mason Book odpala

ci coś ekstra za fatygę.

– Taki jesteś sprytny. – Aaron cmoknął z udawanym podziwem. – Po co ci zajęcia z zarządzania? Jak długo, myślałeś, możesz to ciągnąć, zanim ktoś się dowie?

– Obserwowaliśmy cię, Rory – powiedział Moe. – I wiesz co? Przetrzęsaliśmy twój pokój, a tam znaleźliśmy zapasy xanaxu, ritalinu i valium. Uważamy, że kupujesz je hurtowo od kumpli ze studiów.

Chłopak pokręcił głową.

– Uczelnia będzie ci bardzo wdzięczna za taki skandal. Zapomnij o dyplomie, wiemy wystarczająco dużo, żeby cię wsadzić na dobre parę lat.

Stoltz podniósł wzrok.

– Lat – powtórzył Moe.

– Nigdy nic nie kupowałem, ludzie dawali mi sami, a ja zbierałem.

– Nie obrażaj naszej inteligencji, Rory.

Cisza.

– Sęk w tym – ciągnął Moe – że o tym wszystkim możemy zapomnieć.

– Co... słucham?

– Twój koleżka Siekiera został aresztowany za morderstwo. Rozpaczliwie próbuje ratować swoją skórę, buzia mu się nie zamyka. A to znaczy, że każdy, kto go zna choćby przelotnie, będzie wciągnięty w bardzo śmierdzące szambo. Zakładamy, że nie chcesz należeć do tego grona.

– Morderstwo? Ja... ja nie...

Moe położył rękę na ramieniu Rory'ego, poczuł, jak mięśnie chłopaka kurczą się ze strachu.

Przydatny gest, zamierzał włączyć go do swojego repertuaru na stałe.

– Rory, musisz nam opowiedzieć o Caitlin. W tej chwili. Nawet jeśli ją zabiłeś. Bo my się i tak dowiemy, a wtedy... gorzej dla ciebie.

– Zabić ją... nie, ja nigdy... – Rozdziawił usta. – Nie, ja tego nie zrobiłem, przysięgam, nie, ja nigdy...

Nieuniknione łązy.

– W takim razie, co się z nią stało? Przeczający ruch głową.

– Ratuj własny tyłek, chłopcze – Moe się uśmiechnął. – Kto wie? Może któregoś dnia zostaniesz ważnym agentem. – Do Aarona: – Dałby radę, co?

– Moralne kwalifikacje już ma – odparł Aaron.

Opalenizna Rory’ego pokryła się różowymi plamami. Niebieskie oczy zaszyły mgłą szoku i słonej wody.

– O Boże...

Moe nacisnął mocniej.

– Co się stało z Caitlin, Rory?

Chwila. Dwie.

Trzy.

– Obiecałem.

– A teraz łamiesz obietnicę.

Rory popatrzył za nich, na autostradę. Błękitną nieskończoność. Cały ten ładny lakier i chrom mknące w różne piękne miejsca. Ocean jak miękki, błękitno-zielony koc, zmarszczony niewidzialną ręką.

– Nie możecie się na mnie powołać – powiedział. Zadufany mały kutas.

– Możemy wszystko, co się nam żywnie spodoba – odparł Moe. – Gadaj, zanim cię wsadzę do pudła.

– Dobrze, dobrze. Ale zrozumcie: zrobiłem, co w mojej mocy.

Klasztor Santa Barbara to stu pięćdziesięcioletnie dzieło sztuki w stylu baroku i mauryjskiego odrodzenia, schłostane wiatrem ceglane mury ozdobione łukami i kolumnami, dziedzińce udekorowane bujnymi ogrodami. Dawno już uznany za zabytek, jest pierwszym kandydatem w każdym castingu do roli Świętego Przytułku.

Klasztor sióstr Pocieszycielek to jeden z wielu identycznych domów po wschodniej stronie Santa Barbara, stojący przy nijakiej, dziurawej uliczce w dzielnicy robotniczej.

Jeden z wielu parterowych budynków, pospiesznie skleconych dla wracających weteranów II wojny światowej.

Siedem zakonnice, które tam mieszkają, to imigrantki z Ameryki Środkowej. Zajmują się chorymi dziećmi, pacjentami z alzheimerem i bezdomnymi. Najstarsza siostra Lourdes Echevarria, spędziła w klasztorze połowę ze swoich osiemdziesięciu pięciu lat.

Mała działka, na której stoi dom, jest jedną z licznych nieruchomości należących do Kościoła Katolickiego; jej wartość zwiększyła się wielokrotnie od chwili zakupu w 1938 roku.

Kilka miesięcy temu biskup Santa Barbara, mieszkający wygodnie w pięknej posiadłości w o wiele lepszej części miasta, wydał nakaz eksmisji zakonnice. Budynek planowano sprzedać w ramach zbierania pieniędzy na niemal miliardowe odszkodowanie dla ofiar księży pedofilów.

Zakon miał zostać rozwiązany, siostry „przeniesione” według uznania archidiecezji.

Między sobą zakonnice rozmawiały o tym, jakie to niesprawiedliwe, że muszą oddać swój dom, żeby zapłacić za ciężkie grzechy księży. Publicznie trzymały się swoich ślubów posłuszeństwa i czekały na to, co przyniesie im los.

Wiele z nich płakało, kiedy były pewne, że nikt nie słyszy.

Ktoś słuchał. Wykazał się inicjatywą i zadzwonił do reportera „Santa Barbara NewsPress”.

Niedługo potem pojawił się artykuł na pierwszej stronie gazety, który spowodował wybuch oburzenia na archidiecezję; wrzało w całym stanie. Plany eksmisji wstrzymano, choć jedynie tymczasowo.

Siostry Pocieszycielki dalej pomagają innym i starają się nie myśleć o przyszłości.

Zakonnice noszą białe bluzki, ciemne spódnice i białe pantofle na płaskim obcasie lub adidas. Trzy najstarsze zakrywają włosy błękitnymi chustami. Dom ma ledwie sto trzydzieści metrów kwadratowych, podzielonych na maleńkie pokoje. Zakonnice nie posiadają nic oprócz piętrowych łóżek w dwóch sypialniach.

Trzecia sypialnia w głębi budynku został przeznaczona dla gości, których siostry nazywają

„lokatorami”.

Od szesnastu miesięcy lokatorką klasztoru jest młoda kobieta z krótkimi, ciemnymi włosami, łagodnym głosem i pracowitymi dłońmi. Mówi na siebie Catherine, a siostry nigdy nie dociekały, czy to jej prawdziwe imię.

Catherine zapukała do drzwi klasztoru i poprosiła o dach nad głową na kilka dni. Upierała się, że będzie wykonywać domowe obowiązki, robiła więcej, niż do niej należało – według siostry Lourdes, pracowała za trzy. Dni zmieniły się w tygodnie, potem w miesiące. Catherine spytała, czy może pomagać też na zewnątrz, i zaczęła towarzyszyć siostrze Marii Guadalupie i Marii Anastasii w wyjazdach do domów opieki dla osób ciężko upośledzonych umysłowo.

Catherine sprząta, karmi i śpiewa pacjentom. Bez słowa skargi zmienia im pieluchy.

Zakonnice przepadają za tą dziewczyną. Podejrzewają, że to ona zadzwoniła do reportera.

Tego tematu jednak nigdy nie poruszają, bo w ich świecie nie ma miejsca na podejrzenia, oskarżenia i kary.

Ostatnio Catherine przestała nosić dzinsy i kolorowe T-shirty. Ubiera się w białą bluzkę i ciemną spódnicę, jakie lubią zakonnice.

Sama w swoim pokoju, po długim dniu, czasami wygląda przez okno na ogród warzywny, zajmujący większość podwórka, podziwia pomidory, bakłażany, karczochy, winogrona. Płacze.

Najczęściej jest spokojna.

Aaron i Moe patrzyli, jak wynosi śmieci. Wytoczyła dwa z trzech plastikowych pojemników na chodnik, przystanąła, żeby popatrzeć w niebo.

Inne włosy, ta sama twarz.

Nie chcąc jej przestraszyć, podeszli z uśmiechem.

– Jesteście – stwierdziła.

Ani mrugnięcia zaskoczenia.

Ostrzegli Rory’ego, żeby nie zapowiadał ich przyjazdu. Chłopak nie posłuchał.

Złoty medal za lojalność. Miłość.

Znów zrobił „to co trzeba”.

Moe się przedstawił. Mógł się założyć, że Rory już wygadał, jak się nazywają, i dokładnie ich opisał.

Mimo to nie uciekła.

– Miło mi pana poznać, detektywie Reed. – Spojrzała na Aarona.

– Aaron Fox, Caitlin – powiedział.

– Pana również miło poznać, panie Fox.

Ładna dziewczyna, jasne oczy, rumiane policzki. W tym samym wieku co Rory, ale wydawała się bardziej... dorosła.

– Nie przyjechaliśmy tu robić żadnych kłopotów – odezwał się łagodnie Moe. – Słyszeliśmy, jaką krzywdę wyrządził ci ojciec. – Użycie liczby mnogiej przyszło mu bez trudu.

– To było dawno temu – odparła Caitlin Frostig.

– Owszem, ale to wciąż przestępstwo.

– Wiem, detektywie Reed.

– Jeśli chcesz wnieść oskarżenie...

– Nie chcę.

– Jesteś pewna.

– Tak. Dużo o tym myślałam i nie chcę.

– Szanujemy to, Caitlin. I rozumiemy, jakie to dla ciebie trudne. Ale co jeśli twoje oskarżenie uratuje przed tym samym inną dziewczynę?

– Nigdy by tego nie zrobił – odparła Caitlin.

– Skąd wiesz?

Bo wiem. – Musnęła palcami kosz na śmieci. Znowu popatrzyła w niebo. Na popękany tynk na frontowej ścianie domu. Pomidory w równych rzędach, rosnące przed nim jako ozdobne krzewy.

Odeszła i Moe był pewien, że ją stracił.

Ale nie, zerwała kilka pomidorów i wróciła do braci.

– Jesteście, panowie, głodni?

Moe powstrzymał odruchową odmowę, wziął cztery małe, czerwone kulki, którymi go częstowała. Wrzucił jedną do ust.

– Pyszne.

– Panie Fox?

– Dziękuję... bardzo dobre, Caitlin.

– Co do innych dziewczyn... – podjęła temat – to, co się stało między ojcem a mną, psychologowie nazywają dynamiką sytuacji. Moja matka zmarła, kiedy byłam mała. Ojciec nie miał nikogo innego i stałam się substytutem. Nie mówię, że to dobrze. Ale nic takiego już więcej się nie zdarzy.

Wyjaśniła to jasno i wyraźnie. Z klinicznym dystansem. Albo się z tym uporała i była gotowa żyć dalej. A może powrót do zdrowia nawet się jeszcze nie zaczął.

– Przykro mi z powodu tego, co przeszłaś – powiedział Moe.

– Mhm... Czy musicie, panowie, mu mówić, gdzie jestem?

– Nie, jeśli nie chcesz.

– Nie chcę.

– W takim razie milczymy jak grób.

– Bardzo dziękuję. – Przysunęła się, jakby zamierzała cmoknąć Moego w policzek, ale się powstrzymała. – Jeszcze pomidorów? Rosną jak szalone, przyniosę panom torbę, weźmiecie trochę na drogę.

Uprzejmy sposób, żeby powiedzieć: „Jedźcie już, proszę”.

– Bardzo chętnie – odparł Moe.

W drodze powrotnej do L.A. obaj bracia jedli pomidory, słuchali muzyki i niewiele rozmawiali.

Na długo przed zjazdem w autostradę 405 Południową, Moe powiedział:

- Jeśli możesz, zostań na 101 i skręć w Laurel.
- Chcesz zajrzeć na Swallowsong? – spytał Aaron.
- Podrzucić mnie do Liz. Mieszka na Fuller przy Melrose.
- Nie ma sprawy. W połowie kanionu:
- Nieźle się spisaliśmy, co, Moses?
- Daliśmy radę.
- To było coś więcej niż zwykle morderstwo – stwierdził Aaron.
- O wiele więcej... Wczoraj wieczorem dzwoniła mama. Zakładam, że do ciebie też.
- Jasne.

Moe pozwolił sobie na uśmiech.

- Koszerne kielbaski są już passe. Witaj, ekologiczna wołowino z bizona. Jadłeś to kiedyś?
- Nie. Kupiła pół zwierzaka.
- Bycza mama.
- Grill za osiem tysięcy dolarów – mruknął Aaron. – Uwierzyłybyś? Właściwie takie coś powinno ci się podobać. A tak, ty nigdy sam nie gotujesz, pomyślał Moe.
- Wyobrażasz ją sobie w fartuchu, wdychającą dym?

Aaron się roześmiał.

- Z trudem... Ale wpadnę. Zrobię jej przyjemność.
- Pewnie, dlaczego nie – powiedział Moe.
- W takim razie do zobaczenia.
- Mhm.

Aaron zerknął na brata. Moe znów był intrygującym sobą. Aaronowi to nie przeszkadzało.

Obaj żyli na terenie sejsmicznym. Za dużo ruchów i powierzchnia może popękać.

– Dzięki – rzucił Moe na Sunset. – Że mnie podrzucasz, chociaż ci nie po drodze.

– Kto powiedział, że nie po drodze?

– A po drodze?

– Kto wie? – Aaron się uśmiechnął. – Kolejna wielka zagadka.

– Tak czy inaczej, dzięki. Braciszku.

Kilka chwil później Aaron patrzył, jak piękna czarnoskóra kobieta wychodzi z mieszkania i wita jego brata najcieplejszym uśmiechem, jaki w życiu widział. Krzyki radości, uściski, długi pocałunek, który wprowadziłby Moego w zakłopotanie, gdyby Aaron jeszcze patrzył.

Powietrze było ciepłe, ale wjeżdżając z powrotem w górę Laurel, Aaron postawił dach porsche.

Chciał mieć ciszę, kiedy dzwonił do Meny Ginzburg i przekazał jej informacje o Masonie Booku.

Wydzielał małe kąski, składające się razem na drobny skandalik. O daniu głównym nie musiała wiedzieć.

Gdyby Siekiera Dement zachował się lojalnie, nazwisko Booka nie pojawiłoby się w sądowej dokumentacji. Nie zostałby w żaden sposób powiązany z zażywaniem narkotyków, samobójstwem, zamordowaniem kobiety, którą pomógł zwabić na śmierć.

Aaron spędził z Bookiem trochę czasu; był przekonany, że aktor naprawdę został wykorzystany jako bezwolny pionek. Po prostu znany facet szastający kasą.

Ale Lianie Book nie imponował. Mężczyzna w jej życiu był liczykrupą z doktoratem. Aaron zamierzał go sprawdzić.

Nawet te drobiazgi, które dał Merry, wystarczyły, żeby jej kariera nabrała rumieńców. Może zarobiłby niezły grosz, gdyby to dobrze rozegrał.

– Czyli miałam rację – powiedziała. – Głodzi się.

– Prawie umarł, Mer.

– Dzięki, Denzel.

– I co, dotrzymuję słowa?

Westchnęła.

– Dotrzymujesz.

– Zjedzmy kolację.

– Nagroda pocieszenia? – spytała. – To słodkie, ale dzięki.

– Dobrą kolację – odparł Aaron. – Bez zobowiązań.

– To niemożliwe, mój drogi. Dla nas obojga.

– Nigdy nie wiadomo.

– Fakt – przyznała Merry. – Im jestem starsza, tym mniej wiem.

– Ile jestem panu winien? – spytał pan Dmitri.

– Muszę policzyć.

Dmitri wrócił do lektury rosyjskiej gazety. Jego fabryka tętniła gwarem. Po drodze do gabinetu szefa Aaron zajrzał do boksu Maitlanda Frostiga. Księgowego nie było.

Dmitri podniósł wzrok, jakby zaskoczony, że Aaron wciąż tu jest.

– Dziękuję panu, panie Fox. Zadzwoń, kiedy pojawi się następny problem.

– Nie mogę się doczekać. – Aaron nadal siedział.

Rosjanin odłożył gazetę.

– O co chodzi, panie Fox?

– Może to aroganckie, ale mam wrażenie, że wieści o Caitlin pana nie zaskoczyły.

Dmitri się uśmiechnął.

– Zauważyłem też, pana Frostiga nie ma przy biurku – dodał Aaron.

– Pewnie jest w łazience – powiedział Dmitri. – Jutro będzie inne wyjaśnienie jego nieobecności.

– Proszę pana... Dmitri zarechotał.

– Nie jestem z rosyjskiej mafii, panie Fox. Maitland kiepsko pracował. Zostanie zlikwidowany. – Śmiech. – Jego posada w firmie zostanie zlikwidowana. To, co się z nim dzieje, to już nie moja sprawa. Mówiłem panu, czym się zajmuje moja żona?

– Jest psychiatrą.

– Doskonałym psychiatrą. W Moskwie była dyrektorką szpitala. Zanim wsadzili ją do więzienia za to, że nie chciała truc dysydentów. To kobieta o wielkiej mądrości.

– Rozumiem.

Dmitri dotknął swojej megakostki Rubika.

– Ja znam się na liczbach, ona na ludziach. Jestem z niej dumny.

– Słusznie.

Oczy Dmitriego zabłyszczały.

– Tak sobie myślę, panie Fox, że powinienem być dumny również z pana.